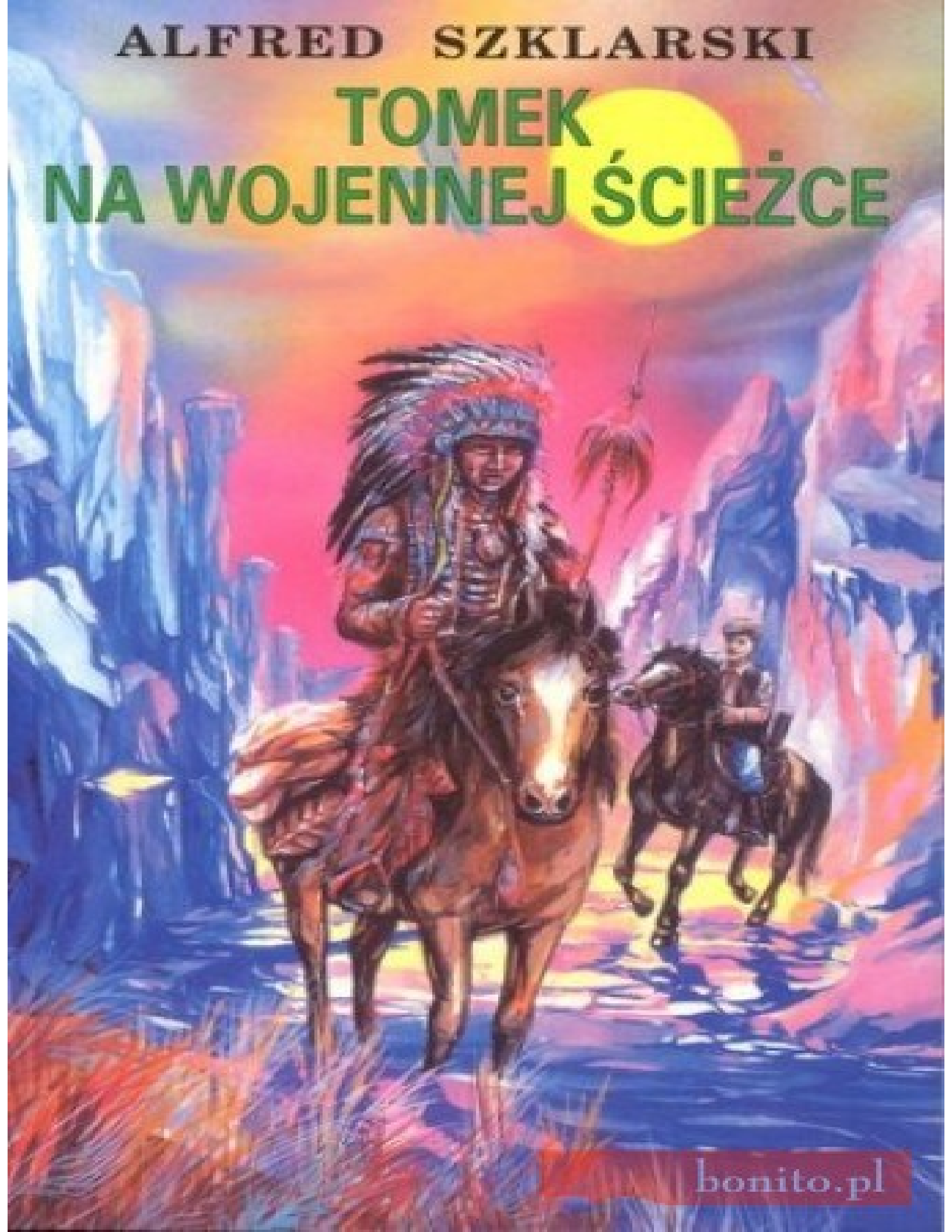


ALFRED SZKLARSKI

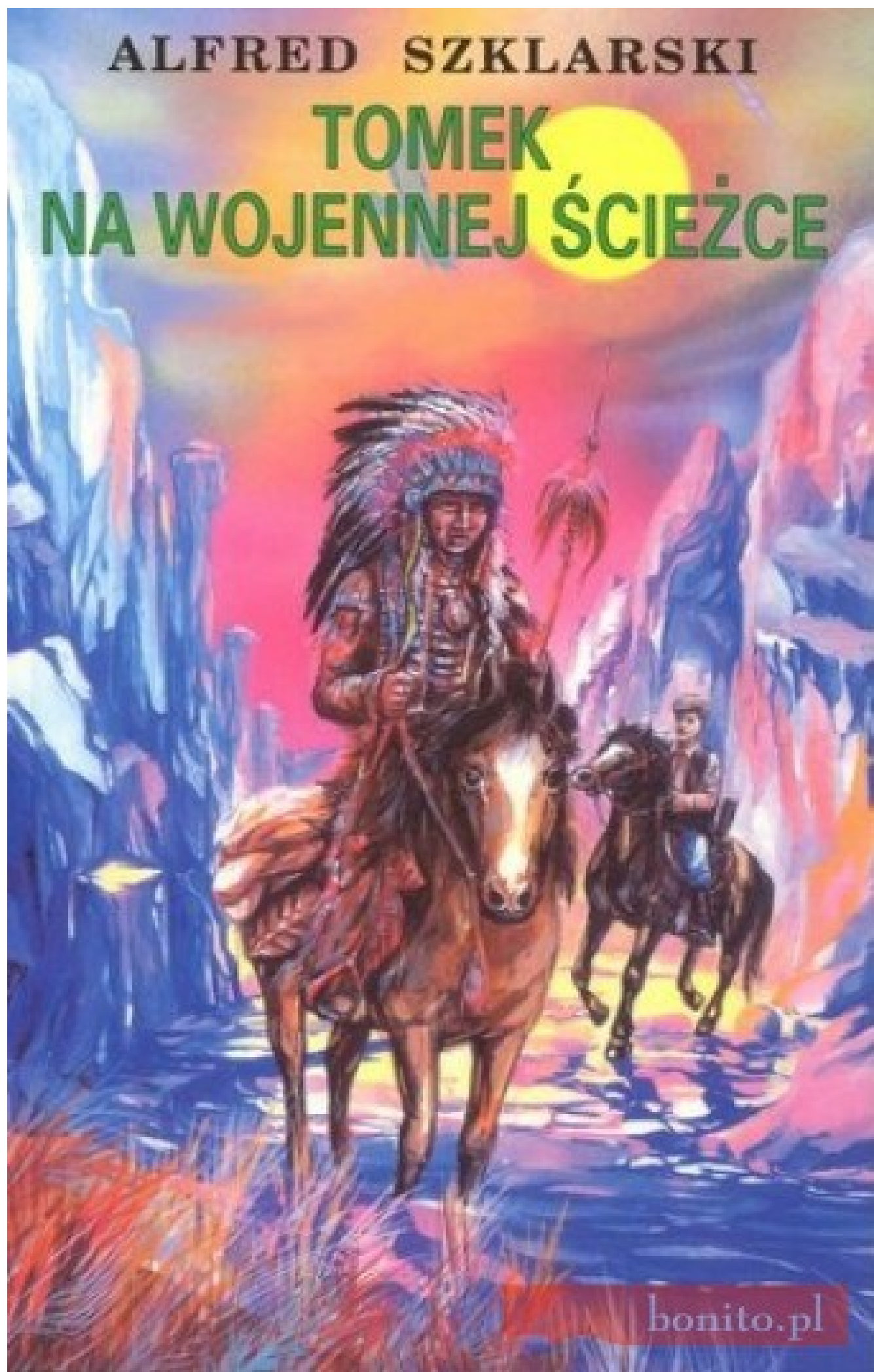
TOMEK NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE



bonito.pl

ALFRED SZKLARSKI

TOMEK NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE



bonito.pl

Alfred Szklarski

Tomek na wojennej ścieżce

Konwersja do formatu Epub:



NIEOCZEKIWANY NAPAD

Ognisto-krwisty mustang drugimi susami pędził przez rozległą prerie. Jeździec siedzący na nim pochylił się nisko do przodu, aby obszernym rondem wyszywanego srebrem sombrera osłonić twarz przed smagnięciami wiatru. Półdziki szlachetny rumak z nieokiełznaną pasją przeskakiwał pojawiające się na jego drodze kolczaste kaktusy, zręcznie omijał wykroty i gnał przed siebie, brzuchem po purpurowej szalwi porastającej szeroką równinę wiatru upajał jeźdźca i wierzchowca.. Długo mknął wlokąc za sobą po stepie wydłużony cień.

Zaraz człowiek uniósł głowę. Wydał okrzyk radości, a następnie ostro ściągnął cugle wierzchowca. Musiał posiadać niezwykłą zręczność i siłę, gdyż osadzony na miejscu mustang czterema kopytami zarył się w ziemię. Przez krótką chwilę okazywał niezadowolenie; przysiadł na zadzie, stawał dęba, lecz wprawne dłonie jeźdźca szybko zmusiły go do posłuszeństwa.

Młody człowiek lewą ręką zsunął do tyłu filcowy kapelusz o szerokich kresach, który opadł mu na plecy, zawisając na rzemieniu przełożonym pod brodą. W ogorzalej od słońca twarzy błysnęły wesole, jasne oczy. Teraz z większym prawdopodobieństwem można było ocenić jego wiek. Mógł mieć około szesnastu lub siedemnastu lat, chociaż z postawy wyglądał na dziewiętnaście. Wrażenie to wywoływały jego szerokie bary, wysoki wzrost oraz wyrobione mięśnie, uwydatniające się pod obcisłą, barwną koszulą flanelową.

Jeździec uspokoił rumaka, po czym z uwagą spojrział przed siebie na południe, gdzie wśród grupy poszarpanych skał wystrzelała ku niebu dość wysoka góra — cel jego porannej wycieczki. Wznosiła się na samym pograniczu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Meksyku. Z jej właśnie szczytu zamierzał przyjrzeć się bliżej meksykańskiej ziemi, której północne rubieże, ze względu na częste napady rabunkowe i utarczki zbrojne, zwano “wiecznie płonąca granicą”.

Z miejsca, w którym zatrzymał się jeździec, można było dokładnie odróżnić linie załamów na stokach góry. Wyraziście też rysowały się potężne kaktusy, pokaźniejsze krzewy szalwi oraz głązy zalegające sam wierzchołek.

Mimo to chłopiec nie dał się zwieść wzrokowemu zbudzeniu, któremu łatwo ulec przy ocenianiu odległości w nadzwyczaj przejrzystym powietrzu stepowym. Góra oddalona była od niego jeszcze o trzy lub cztery kilometry, postanowił więc zwolnić tempo jazdy, aby zachować siły rumaka na drogę powrotną. Lekko dotknął szyi mustanga, półdziki wierzchowiec posłusznie ruszył stępa.

Chłopiec bacznie rozglądał się po okolicy. Bliskość Meksyku budziła w nim niezwykłą ostrożność. Nie mógł lekceważyć słów doświadczonego szeryfa Alana, wyraźnie ostrzegającego, iż na pograniczu stale należy mieć się na baczności. Chociaż pomiędzy obydwojma państwami już od wielu lat panowały pokojowe stosunki, zbrojne oddziały, złożone z Meksykanów i Indian meksykańskich, często przemykały się na stronę amerykańską w celu zagarnięcia stada bydła lub owiec, a czasem wzięcia do niewoli dzieci, które potem przymusowo zatrudniano na rancho. Te lokalne najazdy niespokojnych

sąsiadów pobudzały Amerykanów i Indian przebywających w nadgranicznych rezerwach[1] do odwetu, a nieraz nawet do zaczepnych kroków. Trwała tu więc ustawiczna walka podjazdowa, w której nie brak było krwawych ofiar.

Młody Polak, Tomek Wilmowski — on to bowiem był owym samotnym jeźdźcem — nie lękał się niebezpieczeństw. Nie lubił jednak lekkomyślnie narażać się na nie, ponieważ doświadczenie nabyte podczas włóczęgi po świecie uczyniło go roztropnym i rozważnym.

Tomek zaledwie od tygodnia przebywał w Nowym Meksyku[2] tutaj, według zapewnień ojca, powinien całkowicie odzyskać siły, nadwątlone po stratowaniu przez rozjuszonego nosorożca afrykańskiego podczas ostatniej wyprawy łowieckiej w Ugandzie.[3] Kilkumiesięczny wypoczynek w Anglii pozwolił mu już zapomnieć o ciężkiej chorobie i gdy nadarzyła się okazja do wyjazdu na daleki Dzikie Zachód[4], skwapliwie przyjął propozycje ojca.

Miał ku temu dwa powody. Po pierwsze, poznana wcześniej w niezwykłych okolicznościach w Australii młodsza od niego Sally, udając się obecnie do szkoły w Anglii, zatrzymała się po drodze na dłuższy wypoczynek u swego stryjka zamieszkałego w Nowym Meksyku. Tomek miał spędzić z nią wakacje w nadzwyczaj zdrowych warunkach klimatycznych, a potem wspólnie odbyć powrotną drogę do Anglii. Po drugie — Tomek, jego ojciec oraz ich dwaj przyjaciele, Smuga i bosman Nowicki, wciąż trudnili się łowieniem dzikich zwierząt dla wielkiego przedsiębiorstwa Hagenbecka, dostarczającego do ogrodów zoologicznych i cyrków różne okazy fauny świata. Hagenbeck cenił odważnych Polaków, ponieważ zawsze bez wahania podejmowali się trudnych zadań. Kiedy dowiedział się, że Wilmowski ma zamiar wyprawić swego przedsiębiorczego syna w podróż do Stanów Zjednoczonych, postanowił powierzyć mu pewną misję. zaproponował Tomkowi, aby zwerbował tam trupę Indian, którzy za odpowiednim wynagrodzeniem zgodziliby się brać udział w przedstawieniach cyrkowych. Wszak Indianie byli powszechnie znani ze wspaniałej tresury mustangów i brawurowej jazdy. Oryginalny obóz indiański, przeniesiony w całości do Europy, na pewno wzbudziłby duże zainteresowanie. Przecież jeszcze pamiętano heroiczne walki czerwonoskórych wojowników z lat 1869-1892, toczących do ostatka zaciekły bój o utrzymanie swojej wolności. Nazwiska nieustraszonych wodzów, jak: Siedzący Byk, Czerwona Chmura, Cochise i Geronimo[5] stały się symbolem bohaterstwa Indian.

Tomek Wilmowski udając się na tak długo oczekiwane spotkanie ze swoją młodą przyjaciółką, z radością przyjął propozycje Hagenbecka. Wszak w ten sposób mógł osobiście poznać dzielnych Indian, dla których zawsze odczuwał duży szacunek. Oczywiście ojciec Tomka obawiał się wysłać zbyt nieraz porywczego syna na samodzielną długą wyprawę, toteż jako opiekun wyruszył z nim jego najserdeczniejszy druh, bosman Nowicki.

Dwaj przyjaciele od tygodnia przebywali w gościnie u stryja Sally, szeryfa Allana, Tomkowi nigdy nie ciążyła opieka dobrodusznego marynarza. Obaj byli niespokojnymi duchami i obaj przepadali za przygodami. W dodatku olbrzymi bosman od chwili przybycia na ranczo Allana spędzał większość czasu w towarzystwie ładnej i przemiętej

Sally, zważając, aby nie stała się jej jakakolwiek krzywda. Dingo, wierny pies Tomka, również przypominał sobie widocznie, że to właśnie mała Australijka była jego pierwszą panią, gdyż nie odstępował jej na krok. Tomek korzystał więc z całkowitej swobody. Już w pierwszych dniach rozpoczął samotne wypadki konne, aby dokładnie poznać okolice oraz nawiązać przyjazne stosunki z Indianami mieszkającymi w pobliskich rezerwach.

Obecnie w doskonałym humorze zbliżał się do celu porannej wycieczki. Cieszył się, że wkrótce ujrzy meksykańską ziemię, znaną mu już trochę z książek polskiego podróżnika Emila Dunikowskiego[6], który odbywał wyprawy badawcze do Stanów Zjednoczonych oraz Meksyku. a potem szczegółowo opisywał swe spostrzeżenia i przygody.

Samotna góra stawała się obecnie z każdą chwilą wyższa, coraz szerzej przełamała horyzont zasnuty liliową mgiełką. Wkrótce Tomek znalazł się tuż u jej stóp, z łatwością odszukał wąską ścieżkę wiodącą na szczyt. Bez chwili wahania skierował na nią wierzchowcu, lecz zaledwie rzucił okiem na ziemię, natychmiast ściągnął cugle. Lekko zeskoczył z siodła. Nie wypuszczając z dłoni arkanu przywiązanego do uzdy konia, pochylił się nad spostrzeżonymi przed chwilą śladami, wyciśniętymi na zwirowatej ścieżce.

Ho, ho! Ktoś już dzisiaj jechał tędy przede mną! Mógłbym się nawet założyć, że to Indianin — rozmyślał — Tylko czerwonoskórzy nie podkuwają swoich koni. Czego on szuka o tak wczesnej porze na samej granicy? Przyjechał z północy, jest więc mieszkańcem Stanów Zjednoczonych. Hm, dziwne wydaje mi się, że w biały dzień opuścił rezerwat. Lepiej wycofam się stąd jak najprędzej.

Zaraz jednak porzucił te myśli. Rozważył swe położenie: Odwrót przed samotnym, prawdopodobnie bezbronnym Indianinem zakrawałby na tchórzostwo. Nie mógł do tego dopuścić. Przecież nie brakowało mu odwagi. Cóż z tego, że w bezludnym miejscu napotkał indiański ślad? Może to był kowboj zatrudniony u któregoś z ranczerów? Może właśnie poszukiwał zagubionego bydła? Szczyt góry był doskonałym punktem obserwacyjnym. Poza tym Tomkowi wydawało się, że jeżeli będzie unikał spotkań z Indianami, to nigdy nie wypełni misji powierzonej mu przez Hagenbecka. Szeryf Allan, jak wszyscy starsi ludzie, na pewno trochę przesadzał z tymi niebezpieczeństwami czyhającymi na pograniczu. Wystarczy zachować ostrożność, a wszystko będzie w porządku.

Uspokojony, wprowadził konia między kaktusy. Wyszukał miejsce porośnięte kępami trawy i tam przywiązał mustanga do gałęzi krzewu szałwiowego. Poprawił pas z przytroczoną do niego pochwą z rewolwerem, aby móc w każdej chwili sprawnie wydobyć broń, po czym zawrócił na ścieżkę. Nie tracąc czasu na dalsze zastanawianie się, ruszył za śladami pozostawionymi przez nie podkutego konia. Po kilkudziesięciu krokach trop zbaczał ze ścieżki w krzewy szałwiowe i ginął. Dopiero kilka metrów powyżej tego miejsca odszukał na ścieżce siady stóp obutych w mokasyny.

Tomek gwizdnął cicho.

“Mój Indianin uczynił to, co ja zrobiłem przed chwilą. Wobec tego najpierw przyjrzę się jego koniowi” — pomyślał.

W tej chwili w przydrożnych krzakach, jakby odzew na myśl Tomka, rozległo się parsknięcie. Indiański wierzchowiec musiał wyczuć jego obecność. Tomek ostrożnie rozsunął krzewy. Nie opodał spostrzegł niskiego, gniadego mustanga z białymi łatami na zadzie. Zwyczajem indiańskim siodło zastępowała derka w barwne wzory, przytrzymywana grubym rzemieniem przewiązonym wokół przodu końskiego tułowia. Cugle nie były przeciągnięte przez uzdę pozbawioną wędzidła, lecz po prostu uwiązane pod dolną szczęką. Tomek wiedział, że cugle służą czerwono skórnym tylko do hamowania, wierzchowcem kierują bowiem nogami. Od uzdy zwisał arkan przywiązany do krzewu.

Tomek uważnie przyglądał się wzorom na indiańskim siodle. Podobne pokazywał mu szeryf Allan jako rękodzieła nawajskie. Czyżby Indianin należał do szczepu Nawajów? Przypuszczenie to lekko zaniepokoiło Tomka. Nie tak dawno jeszcze we wszystkich częściach świata rozbrzmiewały imiona Nawajów i Apaczów, gdyż żaden szczep indiański nie wykazał tyle szaleńczej odwagi w walkach z białymi najeźdźcami, jak ci synowie pustyni arizońskiej.

Mustang strzygł uszami, parskał coraz głośniejszymi, uderzał kopytami o ziemię, jakby chciał ostrzec swego pana. Tomek szybko wycofał się na ścieżkę. Uważnie badał ślady stóp. Rozmiary ich pozwalały przypuszczać, że Indianin nie był jeszcze dorosłym mężczyzną. Ośmielony tym spostrzeżeniem Tomek ruszył ostrożnie w kierunku szczytu. W dobre pół godziny, wykorzystując jako osłonę krzewy szałwi i kaktusy, dotarł na płasko ścięty wierzchołek. Tutaj ścieżka ginęła wśród głazów. Tomek ukrył się za jednym z nich. Czujnym wzrokiem szukał Indianina. Nie dostrzegł go jednak w pobliżu, przesunął się więc coraz dalej ku południowej krawędzi szczytu. Stąpał cicho, uważnie, by nie potrącać kamieni. Tuż, na samej grani wznosił się wysoki, podłużny głaz. Tomek spojrział w górę i zamarł w bezruchu. Z głazu zwisały dwie stopy obute w mokasyny.

Chłopiec wstrzymał oddech, aby przedwcześnie nie zwrócić na siebie uwagi. Podczas poprzednich wypraw poznał doskonale tajniki podchodów i tropienia. Przesunął się nieco w prawo. Indianin leżał na brzuchu na wysuniętym kamiennym bloku. Wpatrywał się w falisty step po drugiej stronie granicy, z tyłu jego głowy, zatknięte za przepaskę, tkwiły trzy małe orle pióra. Tomek rozejrzał się wokoło. Teraz zauważył starą strzelbę opartą o pobliski kamień. Widocznie Indianin nie spodziewał się tutaj spotkania z kimkolwiek, skoro odłożył broń. Biały chłopiec uśmiechnął się chytrze. Opowiadano tak wiele o niezwykłej wprost czujności Indian, a tymczasem udało mu się podejść niepostrzeżenie Nawaja, mimo iż mogło się wydawać, że pragnie pozostać niezauważony. Postanowił sprawić młodemu Indianinowi niespodziankę. Bezszelestnie usiadł na ziemi. Zastanowiło go, kogo lub czego wypatruje Indianin na stepie. Przez jakiś czas śledził kierunek jego wzroku; spoglądał ku południowi, lecz prócz różnych odmian kaktusów nic nie mógł dostrzec na falistej równinie. W końcu znudzony wyczekiwaniem odezwał się głośno po angielsku:

— Może młody czerwony brat powie mi, co ciekawego widzi na stepie?

Efekt tych kilku wypowiedzianych słów przeszedł najśmielsze oczekiwania białego chłopca. Indianin bowiem natychmiast wychylił się zza krawędzi głazu, a ujrawszy

intruza jednym sprężystym skokiem stanął przed nim. Oczy jego błyszczały złowrogo.

— Czego tu szukasz, podstępny biały psie? — wyrzucił z siebie jednym tchem dość dobrą angielszczyznę. Tomek był zaskoczony pełnym wściekłości, obraźliwym odezwaniem się Indianina, lecz opanował wzburzenie i spokojnie odparł:

— Mógłbym ciebie o to samo zapytać. Miałbym nawet większe ku temu prawo, gdyż nie znajdujemy się na terenie rezerwatu, ale nie zrobiłbym tego nigdy w tak nieprzyjazny sposób, jak ty to uczyniłeś.

— Każdy szpieg jest tylko podstępny, parszywym psem! — nienawistnie odparł Indianin.

— Zgadzasz się z tobą, lecz nie jestem szpiegiem!

— Kłamiesz jak wszystkie blade twarze! Nasłał cię tutaj szeryf Allan. Mieszkasz u niego!

— Stąd wiesz, że mieszkam u szeryfa Allana? — zdziwił się Tomek powściągając gniew.

— Teraz się zdradziłeś! — triumfująco krzyknął Indianin. — Cokolwiek jednak odkryłeś, nigdy już tego nie zdradzisz bladym twarzom?

Zupełnie nieoczekiwane groźne znaczenie słów Indianina wprowadziło Tomka w osłupienie; trwało ono jednak tylko krótką chwilę. Nieraz już przecież jego życiu zagrażały niebezpieczeństwa. Podczas ekspedycji w głąb nieznanymi lądów śmierć często zaglądała mu w oczy, toteż błyskawicznie potrafił reagować na wszelkie niespodzianki. Teraz jednym spojrzeniem stwierdził, że Indianin, poza tomahawkiem za pasem, nie miał przy sobie innej broni. Aby sięgnąć po starą strzelbę opartą o kamień, musiałby przejść obok niego. Poza tym Tomek nie bez satysfakcji spostrzegł, że trochę wyższy od niego przeciwnik jest wynędzniały. Zdawały się o tym świadczyć wąskie ramiona i płaska klatka piersiowa. Obserwacje Tomka nie trwały chyba dłużej niż kilka sekund. Nagłym ruchem stanął na nogi i odgrodził Indianina od jego strzelby.

— Dlaczego czerwony brat grozi mi bez żadnego powodu? — zapytał pojednawczo, aby wyjaśnić to dziwne nieporozumienie. — Niczym sobie nie zasłużyłem na podobne traktowanie!

— Dość już zbędnych słów! Broń się, zdradliwa biała żmijo! — zawołał Indianin dobywając tomahawka zza pasa.

Tomek był niezawodnym strzelcem. Miał rewolwer, mógł więc chwycić za broń i jednym pociągnięciem palca unieszkodliwić przeciwnika. Żywił jednak wrodzony wstręt do przelewu krwi, a ponadto szczerze współczuł niedoli Indian tak barbarzyńsko tępionych przez białych najeźdźców. Postanowił więc unieszkodliwić młodego zapaleńca bez uciekania się do użycia broni. Przecież bosman Nowicki, znany z niezwyklej wprawy w walce wręcz, nie na darmo uczył go obezwładniających napastnika niezawodnych chwytów. Gdy wzburzony Indianin zaatakował Tomka, ten nagle uskoczył w bok, jednocześnie prawą ręką chwycił w przegubie dłoń grożącą mu tomahawkiem, a lewą

nacisnął łokieć czerwonoskórego. Silne szarpnięcie powaliło Indianina na ziemię — tomahawk wypadł mu z dłoni.

Nim zdążył powstać, Tomek przytłoczył go całym ciężarem ciała.

Rozgorzała gwałtowna walka. Indianin jak piskorz wyslizgiwał się z rąk białego chłopca, a dłonie jego uporczywie kierowały się ku szyi przeciwnika. Tomkowi błysnęła myśl, że nie docenił sił czerwonoskórego. Gorzej na pozór zbudowany Indianin zdawał się być ogromnie wytrzymały. Walczył z determinacją, zdecydowany zabić przeciwnika. Teraz Tomek nie miał już wątpliwości, że toczą walkę na śmierć i życie.

Po jakimś czasie gwałtowność zmagania trochę osłabła. Do tej pory żaden z chłopców nie przemówił słowa ani nie wydał jęku, chociaż obydwaj odczuwali skutki bezkompromisowej walki. Tomek oddychał z coraz większą trudnością. Wężowe uściski Indianina męczyły go coraz bardziej.

Znów potoczyli się na ziemię. Koszula Tomka zwisała już w strzępach. Ostre kamienie boleśnie raniły. Naraz dłoń Indianina zacisnęła się kurczowo na jego gardle. Tomek zdobył się na olbrzymi wysiłek i nogami zrzucił z siebie Indianina, lecz zaledwie powstał, przeciwnik już czaił się do nowego ataku.

“Jeżeli go nie zastrzelę, zabije mnie na pewno” — pomyślał Tomek, widząc, że Indianin jest mniej zmęczony.

Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że nie chce, że nie powinien użyć rewolweru wobec bezbronnego czerwonoskórego. Postanowił więc zmienić taktykę.

Gdy Indianin znów go zaatakował, zaczął walczyć pięściami.

Zaraz też uzyskał widoczną przewagę. Celną uderzenia lądowały na brzuchu i podbródku Indianina, który cofał się teraz ku krawędzi. Zorientował się, że walka przybiera niepomysłny dla niego obrót. Skupił się, po czym nagłym skokiem rzucił się na białego chłopca. Po chwili znów spleceni w morderczym uścisku potoczyli się na skraj wierzchołka. Tomek, doprowadzony do ostateczności, głową uderzył Indianina w twarz, szarpnął z całej siły i nagle poczuł, że jego stopy tracą oparcie. Przez kilka sekund przeciwnicy chwiali się na ostro ściętej grani. Dłoń Indianina ponownie wpiła się w gardło Tomka. Wtedy jeszcze raz zdobył się na wysiłek, i nagle obaj runęli w dół na usiane głazami strome zbocze.

Splecione w straszliwym zmaganiu dwa ciała upadły na kamienny blok.

BIAŁY I CZERWONY BRAT

Tomek krzyknął z bólu, lecz ani na chwilę nie stracił przytomności. Gdy staczali się z grani, silnie przywarł do przeciwnika. Dzięki przypadkowi w momencie upadku na głaz Indianin znalazł się pod nim. Tym samym uchronił go przed bezpośrednim uderzeniem o skałę. Tomek poczuł tylko ogromny ból w rękach, którymi obejmował napastnika. Po dłuższej chwili z największym wysiłkiem uwolnił krwawiące dłonie. Skóra na nich była popękana i starta. Syknął z bólu próbując rozprostować palce. Na szczęście były to tylko powierzchowne obrażenia, o których prawie natychmiast zapomniał, gdy spojrzał na leżącego bez ruchu czerwonoskórego.

Zaniepokojony pochylił się nad nieprzytomnym Nawajem. Wąska strużka krwi sączyła się spod leżącej na głazie głowy. Tomek uniósł ją ostrożnie. Indianin miał skórę na tyle głowy rozciętą, lecz splecione w warkocze włosy musiały złagodzić siłę uderzenia, gdyż czaszka zdawała się być nienaruszona. Z kolei Tomek uważnie obejrzał posiniaczone ciało czerwonoskórego. Nie znalazł poważniejszych obrażeń. Jedynie kostka nad stopą prawej nogi zaczęła zatracać swój kształt, ginąc w powiększającej się opuchliznie.

Tomek szybko ściągnął z siebie resztki koszuli i podarł ją na pasy. Jednym z nich mocno obwiązał krwawiącą głowę nieprzytomnego, a następnie zaczął bandażować puchnącą stopę. Indianin jęknął głucho.

— Widzisz, do czego doprowadziłeś? — mruknął Tomek. — Co za licho podkusiło cię do nastawiania na moje życie?

Indianin leżał w dalszym ciągu bez ruchu, toteż Tomek gorączkowo zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mógłby pomóc rannemu przeciwnikowi. Od szczytu oddzielała ich dziesięciometrowa stroma ściana, aby zaś zejść w dół, trzeba było pokonać ostro ścięte, usiane kamieniami zbocze.

Nie namyślając się długo powziął decyzję. Przerzucił sobie Indianina przez prawe ramię, po czym ostrożnie zszedł z głazu na górskie zbocze. Zejście nie było łatwe. Tomek z trudem znajdował pewniejsze oparcie dla stóp. To zsuwał się razem z lawiną drobnych kamieni, to znów przyklękał, aż w końcu opanowało go wielkie znużenie. Kilkakrotnie musiał przysiąść, aby nabrać tchu. Indianin spoczywający bezwładnie na jego barkach ciążył mu coraz bardziej. Tomek jednak nie myślał o sobie. Nie zważał na własne zmęczenie i skaleczenia. Zaciskał zęby i całą uwagę skupiał wciąż na nieprzytomnym przeciwniku. Dzięki olbrzymiemu wysiłkowi, na jaki potrafił się zdobywać w chwilach nagłej potrzeby, po niesłychanie uciążliwym schodzeniu Tomek znalazł się w końcu u podnóża góry.

Złożył Indianina na ziemi. Wyszukał duży, o jajowatym kształcie kaktus. Nożem usunął kolce, odciął go do grubej łodygi i przyniósł do leżącego na ziemi Nawaja. Rozkrojenie kaktusa było dziełem jednej chwili. Teraz wydobywał soczysty miąższ i wyciskał z niego wodę na twarz zemdlonego.

Minęła dłuższa chwila, zanim przez twarz Nawaja przebiegł skurcz wywołany bólem.

Otworzył oczy, lecz gdy ujrzał nachylnego nad sobą Tomka, szybko opuścił powieki. Zdawało się, że znów popadł w omdlenie, niebawem jednak spojrzał przytomniej, wreszcie już całkiem świadomie wpił wzrok w twarz białego chłopca.

— No, nareszcie odzyskałeś przytomność — odezwał się Tomek siląc się na uśmiech.

— Zwyciężyłeś mnie, nie oszczędzaj, dobij! — szepnął Nawaj.

— Chyba zły duch cię opętał — rozgniewał się Tomek. — Najpierw zupełnie bez powodu nastajesz na moje życie, a teraz chciałbyś uczynić ze mnie tchórzliwego mordercę!

— Szeryf Allan kazał ci iść moim tropem...

— Cóż za głupstwo! — wykrzyknął Tomek. — Nikt mi nie polecił cię śledzić i wcale cię nie zwyciężyłem. Chciałem się po prostu przyjrzeć okolicy po stronie meksykańskiej i dlatego wyprawilem się na ten samotny szczyt. Przypadkiem natknąłem się na ciebie. Nie wiem, z jakiego powodu na mnie napadłeś, ale pewne jest, że czubiliśmy się jak dwa zacierzowane koguty. Stoczyliśmy się z krawędzi, a ty uderzyłeś głową o głaz. Tak oto wygląda to moje “zwycięstwo”.

— Mieszkasz jednak u szeryfa Allana — powtórzył z goryczą Nawaj szukając oczu Tomka.

— Jeżeli już wiesz, że mieszkam u pana Allana, to powinieneś wiedzieć również, iż przebywam u niego zaledwie od kilku dni. Przyjechałem z dalekiego zamorskiego kraju po tę młodą squaw[7], z którą mam pojechać do Anglii.

— Ugh! Więc ty naprawdę nie należysz do ludzi szeryfa?!

— Nie mam z nimi nic wspólnego — zapewnił Tomek. — Ale wróćmy do ciebie, w jaki sposób mógłbym ci pomóc? Na nieszczęście mocno się potłukłeś przy upadku.

— Więc mój biały brat nie jest jankesem[8]? — jeszcze zapytał czerwonoskóry.

— Jestem Polakiem, moja ojczyzna znajduje się daleko za wielką wodą — wyjaśnił Tomek, zadowolony, iż Nawaj nazwał go białym bratem.

— Ugh! Naprawdę zły duch przysłonił mój wzrok, abym nie dojrzał prawdy. Muszę szybko naprawić błąd, może jeszcze nie jest za późno... — mówił Nawaj gorączkowo, usiłując jednocześnie wstać. Zachwiał się jednak. Upadłby, gdyby Tomek nie podtrzymał go w ostatniej chwili.

— Co ty wyprawiasz? Masz zwichniętą nogę — oburzył się biały chłopiec.

— Pomóż mi wejść na górę, nie mam chwili do stracenia — odparł Indianin opierając się na ramieniu towarzysza.

— Tędy nie uda nam się wspiąć na szczyt — zaoponował Tomek — Najlepiej obejdźmy górę dookoła, aż do ścieżki.

— Jeśli mój biały brat chce mnie przekonać, że nasze spotkanie było zupełnie przypadkowe, to... pomoże mi wejść jak najszybciej na szczyt góry — niecierpliwie odparł

Nawaj.

— Ha, nie ma rady, próbujemy! — westchnął Tomek, niespokojnie spoglądając na strome zbocze.

Zaczęli powoli wspinać się po stoku. Twarz młodego Nawaja pobladła z olbrzymiego wysiłku. Był mokry od potu. Co chwila osuwał się na ziemię, mimo że Tomek ze wszystkich sił podtrzymywał go pod ramię. Indianin włókł za sobą zwichniętą nogę, nie zważał na ból, nie godził się na odpoczynki, uparcie dążył ku szczytowi. Tomek był już niemal zupełnie wyczerpany; nogi odmawiały mu posłuszeństwa, z trudem chwycił ustami powietrze, a tymczasem znajdowali się zaledwie w połowie drogi. Indianin jednak musiał tu znać doskonale każdą piędź ziemi, gdyż zamiast piąć się pionowo pod górę, podążał ukosem i odnajdywał niewidoczne dla Tomka, łagodniej opadające skłony zbocza. Platforma skalna, na którą spadli z głównej grani, znajdowała się teraz o kilkadziesiąt metrów na prawo od nich. Indianin okazywał coraz większy niepokój. W pewnej chwili przysiadł na zboczu. Prawą dłonią osłonił oczy przed słonecznym blaskiem; długo wpatrywał się w falisty step.

— Ugh! Jest, jest tam, na wschodzie! — zawołał naraz, wskazując ręką kierunek. Tomek wyteżył wzrok. W oddali na małym wzniesieniu ujrzał jeźdźca spoglądającego na samotną górę.

Młody Indianin machał rękoma, wołał coś głośno w nieznanym języku, lecz tajemniczy jeździec stał bez ruchu jak kamienny posąg. Zbyt wielka odległość oddzielała go od chłopców, aby mógł usłyszeć nawoływania. Na szarozielonym, stromym zboczu byli dla niego niewidoczni. Tomek zrozumiał, że gdyby Nawaj znajdował się teraz na samym wierzchołku góry, na olbrzymim głazie, jeździec musiałby zauważyć jego sylwetkę na tle jasnego nieba.

— On nie może nas spostrzec ani usłyszeć — zawołał Tomek do swego towarzysza.

— Wystrzel w górę z rewolweru! Na pewno usłyszysz strzał! — krzyknął Nawaj. — Prędeż, prędeż! Patrz, on odjeżdża!

Była to prawda. Jeździec ruszył już z pagórka; jego wierzchowiec biegł coraz szybciej wprost ku granicy Stanów Zjednoczonych.

— Strzelaj! — krzyknął Nawaj chwytając Tomka za ramię.

Tomek chciał dobyć broni, lecz jego dłoń zamiast na rękojeść trafiła w pustą pochwę.

— Zgubiłem rewolwer, musiał mi wypaść w czasie naszej bijatyki — zawołał.

— Szukaj prędko, inaczej hańba mi! — przynaglał Indianin zrozpaczonym głosem.

Tomek, jakby nagle przybyło mu sił, rzucił się w kierunku głazu, gdzie spodziewał się znaleźć zgubiony rewolwer. Potykał się, lazał na czworakach, aż w końcu dotarł do stóp wielkiego bloku skalnego. Wyciągnął ręce, by uchwycić się krawędzi, lecz chociaż wspiął się na palce, nie mógł jej dosięgnąć. Był zbyt zmęczony, aby ryzykować karkołomną wspinaczkę. Postanowił odszukać przejście, którym zsunął się przedtem z kamienia,

niosąc nieprzytomnego Indianina. Niebawem odnalazł je i za chwilę był już na głazie.

Po krótkich poszukiwaniach ujrzał czarny rewolwer na piargach zbocza. Z okrzykiem triumfu porwał z ziemi broń. Na nieszczęście lufa zapchana była ziemią. Nim zdołał przeczyścić ją wyciorem, jeździec, pędzący teraz po stepie jak wichur, znajdował się na linii samotnej góry. Tomek uniósł rewolwer i raz za razem naciskał spust. Niestety, tajemniczy jeździec nie mógł już usłyszeć strzałów. W tej bowiem właśnie chwili zniknął za górą, której wysokie zbocze stłumiło odgłos palby.

Tomek zorientował się w sytuacji. Nie tracił czasu na powtórne naładowanie broni; schował rewolwer do pochwy i podążył z pomocą Indianinowi, który zaczął się wspinać na zbocze góry.

Wytrzymałość młodego Nawaja oraz upór, z jakim dążył ku szczytowi, wzbudziły w białym chłopcu wielkie uznanie.

Tomkowi nie zbywało na rozsądku i sprycie. Nie miał wątpliwości, że Indianin przybył na samotną górę, aby się spotkać z nieznanym jeźdźcą. Musiało to być nadzwyczaj ważne spotkanie, skoro Nawaj rozpoczął walkę na śmierć i życie, przypuszczając, iż Tomek śledził go na polecenie szeryfa Allana.

Minęło sporo czasu, zanim obaj chłopcy znaleźli się z powrotem na szczycie. Indianin był całkowicie wyczerpany. Rana na głowie i zwichnięta noga musiały mu mocno dolegać, chociaż dotychczas zdawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi. Widocznie przez cały czas myślał o tajemniczym jeźdźcu, zaledwie bowiem osiągnęli szczyt góry, natychmiast skierował się ku północnej krawędzi, skąd roztaczał się widok na step leżący po stronie amerykańskiej.

Obaj chłopcy natężali wzrok wypatrując jeźdźca. Nigdzie go jednak nie było widać. Indianin zasępił się jeszcze bardziej. W końcu przerwał milczenie:

— Czy mój brat mógłby odszukać strzelbę?

— Zaraz to zrobię. Na pewno jest przy głazie. Niech mój czerwony brat poczeka tu na mnie — odparł Tomek.

Z łatwością znalazł strzelbę. Była to stara, dobrze już zużyta broń. Tomek obejrzał ją starannie — wiedział, że niepozorne nieraz na pierwszy rzut oka strzelby traperów i czerwonoskórych odznaczały się niezwykłymi zaletami. Na długiej lufie widniały nacięcia: zwyczajem Dzikiego Zachodu mogły oznaczać liczbę zabitych wrogów. Tomek zliczył karby. Było ich trzynaście obok siebie, a w pewnym oddaleniu znajdowały się dalsze cztery.

Indianin był jeszcze zbyt młody, aby wszystkie nacięcia na lufie strzelby upamiętniały jego zwycięstwa. Zapewne więc odziedziczył broń po jakimś znamienitym wojowniku. Sam fakt posiadania takiej broni stanowił dowód, iż młody Nawaj musiał być wśród swoich nie byle jaką osobistością.

Tak rozumując Tomek postanowił przyjrzeć mu się uważnie. Szedł ostrożnie chowając

się za głazami. W ten sposób niepostrzeżenie przybliżył się do Nawaja. Indianin siedział na ziemi i oparłszy łokcie na kolanach ukrył twarz w dłoniach.

Tomek zdumiał się: czyżby czerwonoskóry płakał? Było to mało prawdopodobne, ponieważ łzy nie licowały z jego poprzednim mężnym zachowaniem. A jednak Tomek nie mylił się: spomiędzy kurczowo przyciśniętych do twarzy palców spływały łzy. Nawaj naprawdę płakał. Czy były to łzy bólu, czy też wyraz rozpaczy i zawodu? Tomek nie mógł odgadnąć, zrozumiał wszakże, iż podpatrywanie człowieka w chwili jego słabości nie jest szlachetne. Jak najostrożniej wycofał się i dopiero po jakimś czasie jawnie już powrócił do towarzysza.

Indianin w dalszym ciągu siedział na ziemi. Poprawiał włosy rozczochrane podczas walki. Obok niego leżał strzép koszuli, którym Tomek zabandażował mu ranę. Na twarzy Indianina nie było widać jakiegokolwiek podniecenia. Doskonale panował nad sobą. Na widok Tomka odezwał się:

— Mój biały brat znalazł strzelbę. To dobrze. Czas już na mnie, muszę się spieszyć.

Tomek położył strzelbę obok czerwonoskórego, po czym powiedział:

— Mój czerwony brat źle zrobił zdejmując opatrunek z głowy. Rana krwawi jeszcze.

Nawaj spojrział na niego. Długo wpatrywał się w oczy białego chłopca. Widocznie nie dopatrzył się w nich podstępny czy zdrady, gdyż uśmiechnął się smutno i odparł:

— Biali ludzie najbardziej lubią czerwonoskórych, gdy oglądają ich kości bielące się w słońcu na stepie. Każdy Indianin jest dla nich parszywym psem, upierającym się mieszkać na ziemi, którą oni chcą mieć dla siebie. Nawajowie, Apacze i Siuksowie potrafią jednak skoczyć wrogowi do gardła. Jestem Nawajem. Gdyby jakikolwiek biały lub czerwonoskóry policjant na usługach białych spotkał mnie na stepie rannego, byłbym narażony na doprowadzenie do szeryfa jako podejrzany o napad. Powiedziałem to, ponieważ mój brat przyjechał tu z za wielkiej wody po małą białą squaw i niebawem odjedzie z nią do swojej ojczyzny.

— Słyszałem już nieraz o podłym postępowaniu białych ludzi wobec Indian, lecz nie spodziewałem się, że znaleźli się wśród was zdrajcy, którzy pozostają na usługach najeźdźców. Bo przecież amerykańska ziemia do was należy, to wasza ojczyzna.

— Mój biały brat jest tak młody jak ja, lecz Manitu[9] obdarzył go wielkim rozsądkiem. Mój biały brat powinien zasiadać już w radzie starszych swego szczepu. Gdyby inni biali mówili i postępowali jak ty, to indiański topór wojenny nigdy by nie był przeciwko nim wykopany. Niestety, nawet nie wszyscy Indianie rozumieją konieczność wspólnej obrony. Znaleźli się zdrajcy. To naprawdę parszywe czerwone psy!

— Rozumiem twoją nienawiść, ponieważ mój kraj także jest w niewoli. I u nas również znajdują się zdrajcy. Teraz jednak musimy pomyśleć o twoich ranach. Trzeba podłożyć skrawek koszuli pod opaskę, za którą masz zatknięte pióra. Czekaj, pomogę ci! No, tak jest dobrze. Stopę natomiast naciągniemy i owiniemy.

Tomek z wielką zręcznością naciągnął zwichniętą stopę, po czym usztywnił ją bandażem z koszuli. Indianin mimo bólu zamyślił się nad czymś, lecz dopiero po dłuższej chwili wyraził swą obawę:

— Mój biały brat mieszka u szeryfa Allana, gdy wróci podrapany w podartym ubraniu, szeryf na pewno zapyta go, co się stało. Co mój brat odpowie?

— Przede wszystkim postaram się o to, aby pan Allan nie ujrzał mnie w takim stanie. Wywabię z domu mego druha, bosmana Nowickiego, i poproszę, aby mi przyniósł świeżą koszulę.

— Czy mój brat ma na myśli tego olbrzymiego białego mężczyznę, który również mieszka u szeryfa? — zapytał Nawaj.

— Więc ty widziałeś bosmana Nowickiego? Jak to się stało? — odparł Tomek pytaniem, zaczynając podejrzewać, iż Nawaj śledził wszystkie osoby mieszkające na ranczo Allana.

— Pracuję jako kowboj u szeryfa — padła krótka odpowiedź.

— Och, więc to tak! — roześmiał się Tomek. — Wobec tego możemy razem wrócić do domu.

— Nie, ja przebywam ze stadem na pobliskim pastwisku. Gdyby szeryf ujrzał nas razem, z łatwością by się domyślił prawdy. A jak mój biały brat wytłumaczy przed przyjacielem swój niezwykły wygląd?

— Nie kłopotz się o to. Powiem mu, że koń zrzucił mnie na wielkiego kaktusa. Bosman Nowicki jest wspaniałym towarzyszem. Nigdy nie zadaje więcej pytań, niż to jest konieczne.

— A mała biała squaw? — indagował Indianin.

— Jeżeli masz na myśli Sally, to możesz być całkowicie spokojny. Uwierz we wszystko, co powiem, a jej matka jest uosobieniem dobroci i bardzo mnie lubi. Obydwie mieszkają w dalekim kraju nazywanym Australią. Farma ich znajduje się na stepie, na skraju ogromnego lasu. Otóż mała squaw zgubiła się pewnego dnia w tym lesie. Ściągnięci z okolicy farmerzy nie mogli jej odszukać. Miałem szczęście. Znalazłem ją przypadkiem; zwichnęła nogę, tak jak ty obecnie, i nie mogła sama wrócić do domu. Pani Allan i Sally uczynią wszystko, o co je poproszę. Nie kłopotz się.

— Dlaczego mój biały brat jeździ do różnych dalekich krajów?

— Wraz z ojcem i jego dwoma przyjaciółmi łowimy dzikie zwierzęta, a następnie sprzedajemy je Europie. Zwierzęta te można potem oglądać w specjalnie przystosowanych do tego celu ogrodach.

— Ugh! Czerwony Orzeł słyszał o takich ludziach, którzy chwytają dzikie zwierzęta.

— Widzę, że mój brat ma piękne imię — zauważył Tomek. — Czy mogę nazywać mego brata Czerwonym Orłem?

— Wszyscy mnie tak nazywają — odparł Nawaj. — Chodźmy do naszych koni.

— Czerwony Orzeł nie powinien forsować zwichniętej nogi. Wezmę mego brata na plecy. Bierz strzelbę i siadaj — zaproponował Tomek.

Po krótkim wahaniu Tomek wziął Indianina “na barana”. Ruszyli ścieżką w dół zbocza. Tomek był bardzo silny, lecz zmęczony wydarzeniami tego ranka wielokrotnie przystawał, aby chwilę odpocząć, zanim dotarli do koni. Mustang natychmiast zwietrzył ludzi — parsknął i bił kopytami o ziemię. Nawaj gwizdnął. Mustang zarżał i uspokoił się.

Indianin zszedł z pleców Tomka tuż przy koniu. Odwiązał koniec arkanu od gałęzi krzewu, a następnie, nie wypuszczając strzelby z ręki, uczepił się długiej grzywy mustanga. Zgrabnym skokiem znalazł się na jego grzbiecie.

— Niech mój brat usiądzie za mną — zaproponował.

— Nie warto, kilkadziesiąt kroków stąd zostawiłem mojego wierzchowca — odpowiedział Tomek.

Wkrótce odszukał i dosiadł swego konia. Szybko zjechali z góry na szeroki step. W milczeniu ruszyli galopem. Dopiero po półgodzinnej jeździe Nawaj osadził wierzchowca.

— Tutaj nasze drogi się rozchodzą — odezwał się. — Mój biały brat pojedzie na północny zachód, a ja muszę się udać wprost na północ, tam znajduje się pastwisko.

— Czy Czerwony Orzeł przybędzie wkrótce na ranczo pana Allana? Chciałbym porozmawiać o różnych sprawach — powiedział Tomek.

— Postaram się niebawem spotkać z moim białym bratem.

— Będę czekał. Do widzenia!

Tomek machnął przyjaźnie ręką, po czym zawrócił konia w kierunku ranczo. Indianin siedział bez ruchu na grzbiecie mustanga lekko pochylony do przodu, trzymając w obydwu dłoniach swą długą, naznaczoną karbami strzelbę. Gdy biały chłopiec zaczął się oddalać, wskazujący palec prawej ręki Indianina dotknął spustu. “Umarli nie zdradzają tajemnic” — pomyślał, unosząc broń do ramienia.

Już miał nacisnąć spust, gdy naraz uświadomił sobie, że biały chłopiec ani jednym słowem nie zapytał go o nieznanego jeźdźcę.

“Przecież to ja chciałem go zabić, a on nie tylko nie wykorzystał zwycięstwa, lecz pomógł mi jak przyjacielowi. Ten biały nie wie nic o Czarnej Błyskawicy, a więc tym samym nie może nas zdradzić.”

Wolno, z ulgą opuścił broń i szepnął: “O, Wielki Manitu! Nienawidzę białych i gotów jestem polec w walce z nimi. Nie mogę jednak zabić człowieka, który zachował się wobec mnie tak szlachetnie.”

TROJE PRZYJACIÓŁ

Tomek gnał przez step nieświadom, że tego dnia po raz drugi jego życie wisiało na włosku. Nie przyszło mu nawet do głowy, że Indianin mógł posłać za nim zdradziecką kulę. Teraz, w drodze na ranczo, rozmyślał nad tym, jak uniknąć spotkania z szeryfem Allanem. Najlepiej byłoby wsunąć się do swego pokoju niepostrzeżenie, lecz to zdawało mu się trudne do wykonania. Murzyńska służba, pani Allan i Sally stale kręcili się po całym domu. Gdyby ktokolwiek z nich spotkał go w takim stanie, nie obyłoby się bez pytań. Tego zaś Tomek pragnął uniknąć za wszelką cenę.

Jedynym człowiekiem, na którego dyskrecję mógł bezwzględnie liczyć, był bosman Nowicki. Dlatego też postanowił podkraść się w pobliże domu, a potem w jakiś nie zwracający uwagi sposób wywabić przyjaciela. Z takim zamiarem zbliżył się do ranczo od strony zagród dla bydła i koni. Rozejrzał się wokoło. Nikogo nie było w pobliżu. Szybko wprowadził wierzchowca do zagrody, rozkulbaczył go i położył siodło oraz uzdę na drewnianych poprzeczkach ogrodzenia. Zamknął za sobą bramę i zaszył się w zaroślach okalających zabudowania.

Szpalery krzewów kończyły się mniej więcej dwadzieścia metrów przed obszerną otwartą werandą domu mieszkalnego. Tomek ukrył się w nich, bystro obserwując przedpole. Nie upłynął kwadrans, gdy na werandzie pojawiła się Murzynka Betty z tacą pełną naczyń i białym obrusem pod pachą. Nakryła okrągły stolik, ustawiła na nim naczynia, po czym zniknęła w głębi domu.

Tomek widząc te przygotowania zaniepokoił się nie na żarty. Czyżby to już była pora drugiego śniadania? Zaczął się zastanawiać, która może być godzina. Na wycieczkę wybrał się zaraz po wschodzie słońca. Wyruszył więc około czwartej rano. Jazda do granicy meksykańskiej zajęła nie więcej niż godzinę, a wejście na górę i tropienie Indianina również z godzinę. Walka trwała zapewne kilkanaście minut. Zejście po stromym zboczu z nieprzytomnym Czerwonym Orłem pochłonęło jakieś pół godziny, a może nawet więcej. Wchodzenie pod górę, odszukanie rewolweru, potem strzelby i rozmowa około trzech godzin, a powrót na ranczo godzinę. Jak wynikało z obliczenia, od chwili opuszczenia ranczo minęło prawie sześć godzin. Była chyba dziesiąta lub jedenasta, czyli pora drugiego śniadania.

Zaledwie Tomek zdążył dojść do tego wniosku, na werandzie ukazała się czarnowłosa Sally z matką, w towarzystwie nieodłącznego bosmana; za nimi wbiegł Dingo. Zasiedli do stołu. Pies warował przy krześle dziewczynki. Zaraz też wkroczyła Betty z tacą zastawioną potrawami.

Tomek zmarkotniał. Zamknął oczy, aby nie widzieć, jak jego przyjaciele zabierają się do śniadania. Dzięki niezwykłej przygodzie zapomniał o jedzeniu, teraz jednak żołądek gwałtownie zaczął się domagać swoich praw. Do uszu Tomka dolatywał brzęk naczyń oraz wesole głosy pani Allan i bosmana, nakłaniającego Sally do nałożenia większych porcji. Tomek wepchnął palce w uszy, aby tego nie słyszeć, lecz zaraz przypomniał sobie, że przy każdej okazji należy hartować wolę, natychmiast zatem otworzył oczy. Zaczął obserwować

posiłających się towarzyszy. Niebawem stwierdził, że wiele by stracił, gdyby jak struś chował głowę w piasek. Otóż Sally, nakłaniana przez matkę i bosmana do jedzenia, zaniechała nagle oporu. Z zapalem nawet zaczęła zgarniać na swój talerz potężne porcje, a pani Allan i dobroduszny bosman głośno zachwycali się jej wspaniałym apetytem.

— To skutek ostrego stepowego powietrza, łaskawa pani — mówił tubalnym głosem marynarz. — Nawet na mnie działa ono jak najlepszy na świecie rum jamajka. Jeżeli tak dalej pójdzie, to wkrótce się nie zmieszczę w luk okrętowy. Czuje, że będę musiał się wypuszczać na konne wycieczki z Tomkiem, żeby trochę stracić na wadze.

— Co też pan mówi, panie bosmanie! — oponowała pani Allan. — Jest pan wprawdzie okazałym mężczyzną, ale pod pana skórą nie widać ani grama tłuszczu. Poza tym, cóż byśmy tu robiły bez pana miłego towarzystwa? Mój szwagier stale jest zajęty swoimi sprawami. Tomek natomiast ugania się całymi dniami po stepie, a tylko pan jeden opiekuje się nami naprawdę.

— Wielka to dla mnie przyjemność, może mi szanowna pani wierzyć — wylewnie odparł bosman. — Przypadła mi do serca mała Sally. Nasz Tomek również nie mógł o niej zapomnieć. Pisał listy z podróży, wysyłał fotografie, a jak tylko upolowaliśmy w Kenii wspaniałego lwa, to zaraz przeznaczył skórę na prezent dla niej.

— Panie bosmanie, mój drogi panie bosmanie, proszę mi poważnie powiedzieć, czy Tomek naprawdę zawsze o mnie myślał? — spytała Sally, jednocześnie nieznacznie podając kawał szynki psu leżącemu przy jej krześle.

— Zapewniam cię, za tak było. A żebyś widziała, jaki był zły, gdy w żartach nazywałem cię “miłą turkaweczką”.

— Nic mi o tym nie pisał, bo on jest prawdziwym dżentelmenem. Wszystkie moje koleżanki pękały z zazdrości, kiedy czytałam im jego piękne listy. Żadna nie mogła się przecież poszczycić taką znajomością!

— O, tak! — przytaknął bosman rozsiadając się wygodniej. — Nasz Tomek potrafi pisać piękne listy, nic dziwnego, bo jego szanowny tatuś zawsze mówi o wszystkim, jakby czytał z książki. Wprawdzie Tomek radził się mnie czasem, jak by to ładnie list do ciebie ułożyć, ale u niego niezbyt głęboko trzeba szukać rozumu. Zuch chłopak!

W tej chwili Tomek poruszył się niespokojnie.

“A to ci zdrajca z tego bosmana” — mruknął pod nosem. Śmiał się szczerze, widząc, jak sprytna Sally zręcznie pozbywa się coraz to nowej porcji jedzenia na rzecz Dinga.

Tymczasem pani Allan nie domyślała się prawdy. Zdziwiła się niezmiernie, widząc tak szybko opróżniony talerz córki.

— Kochanie, czy nie jesz za szybko? — zawołała. — Naprawdę apetyt bardzo ci się poprawił, lecz nie powinnaś tak przeładowywać żołądka.

— Jestem wciąż głodna — obłudnie powiedziała Sally.

— Lepiej pobiegnij do ogrodu i zerwij trochę owoców — poradziła matka.

Sally jakby tylko na to czekała. Podniosła się z krzesła, podziękowała i razem z Dingiem opuściła werandę.

Tomek nie chciał niczego uronić z zabawnej sceny rozgrywającej się podczas śniadania; aby lepiej widzieć, wysunął głowę zza krzewu. Teraz, gdy dziewczynka zbiegła z psem z werandy, gwałtownie cofnął się w głąb szpaleru. Niechcący potrząsnął gałęziami.

Szelest nie uszedł uwagi Dinga. Zaledwie zwęszył swego pana, kilkoma wielki susami dobiegł doń machając ogonem. Tomek omal nie runął na ziemię, gdy wielki pies usiłował polizać go ozorem po twarzy. Przytrzymał swego ulubieńca za kark i gestem nakazał spokój. Wierny, posłuszny Dingo dobrze znał każdy ruch Tomka, uspokoił się natychmiast. Tylko jego wilgotny nos drgał, łowiąc nieznaną woń bijącą od chłopca.

“Poczuł zapach Indianina” — pomyślał Tomek.

Krok za krokiem cofał się w rosnące opodal krzewy. Dingo szedł za nim. Tomek nie mógł nawet marzyć o pozbyciu się psa bez zwrócenia uwagi dziewczynki.

Zagłębiał się więc pospiesznie w zarośla, aby znaleźć się jak najdalej od werandy w chwili, gdy Sally ruszy za Dingiem. Nie omylił się w rachubach. Sally przecież widziała psa znikającego w krzewach. Zawołała nań, a kiedy długo nie powracał, zaczęła go szukać.

— Dingo, Dingo! Gdzie się podziałeś ty nicponiu? Chodź tu zaraz!

Dingo jednak nie wracał, chociaż strzygł uszami słysząc nawoływania. Sally trochę rozgniewana nieposłuszeństwem psa wbiegła w głąb ogrodu. Po kilkunastu krokach stanęła zdumiona. Ujrzała Tomka. Jego wygląd przeraził ją ogromnie. Naga pierś chłopca, twarz i ręce pokryte były zakrzepłą krwią. Zwichrzona czupryna, poszarpane sombrero zwisające na rzemieniu na plecach, a także porozrywane skórzane spodnie wskazywały niedwuznacznie, że przeżył jakąś niecodzienną przygodę.

W innym wypadku Tomek byłby niezmiernie rad z wrażenia, jakie jego widok wywarł na Sally, tym razem jednak uśmiechnął się tylko, na migi nakazując milczenie. Sally była córka australijskiego pioniera i widziała niejedno, toteż szybko opanowała zdumienie. Posłusznie udała się za towarzyszem.

Gdy znaleźli się w odpowiedniej odległości od werandy. Tomek przystanął i rzekł:

— Mądra z ciebie sroka. Sally, Dobrze wiesz, kiedy i jak należy się zachować. Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

— Czy musisz mnie o to pytać? — oburzyła się dziewczynka. — Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko. Tommy, wyglądasz jakbyś kogoś zamordował! Możesz bez obawy wyznać mi prawdę. Będę milczała jak grób. Jeżeli jednak grozi ci śledztwo, to mogę powiedzieć, że przez cały czas bawiliśmy się razem w ogrodzie.

Tomek zachichotał na ten niecodzienny pomysł Sally.

— Skąd ci przyszło do głowy, że popełniłem morderstwo? — zapytał.

— Przecież jesteś cały pokrwawiony, zgubiłeś koszule, podarłeś spodnie i kapelusz.

Oho, ja znam się na rzeczy! — odparła.

— Pleciesz głupstwa, jak to przed chwilą robił bosman Nowicki — powiedział Tomek.

— Widzę, że nas podsłuchiwałaś! To nieładnie — oburzyła się dziewczynka.

— Stało się to zupełnie przypadkiem — uspokoił ją Tomek. — Nie mogłem przecież w takim stanie pokazać się twojej matce. A poza tym nie chciałem, aby szeryf Allan mnie widział.

— Och! O to możesz być zupełnie spokojny. Stryjek wyjechał konno wczesnym rankiem i nie wrócił jeszcze do tej pory. Jesteśmy sami w domu. Stryjek na pewno cię nie zobaczy.

— To... bardzo dobrze. Przyrzekłaś już, że będziesz milczała jak grób. Czy chcesz teraz coś dla mnie zrobić?

— Zaraz ci odpowiem, Tommy, ale przedtem wyjaśnij mi, czy bosman Nowicki tylko tak naumyślnie mówił, że ty nie mogłaś o mnie zapomnieć i stale pisałaś do mnie listy?

Tomek zaczerwienił się, przyparty jednak do muru musiał odpowiedzieć. Zapytał więc:

— Czy często otrzymywałaś ode mnie listy?

— Często, nawet bardzo często — przyznała.

— No, więc widzisz, że bosman powiedział prawdę.

— No tak, ale nie wiem, czy stale o mnie myślałaś.

— A czy mógłbym nie myśleć pisząc do ciebie listy?

— To prawda! Jaka ja jestem niemądra!

— Nigdy bym nie powiedział, że jesteś niemądra — żywo zaprzeczył Tomek.

Sally spojrzała nań z niedowierzaniem.

— Powiedz mi teraz, co mam zrobić? — zagadnęła.

— Postaraj się dyskretnie wywołać tutaj bosmana Nowickiego.

— Tylko tyle?

— Niestety, w tym wypadku to wszystko, co kobieta może uczynić.

Sally pokraśniała z zadowolenia, że Tomek nazwał ją kobietą.

— Dobrze, Tommy, postaram się przyprowadzić pana bosmana, ale naprawdę nie wiem, co mam mu powiedzieć. Mama i pan bosman w najlepsze rozmawiają na werandzie.

— Po prostu poproś go, żeby ci pomógł odszukać Dinga. Ja tymczasem przytrzymam tutaj psa aż do waszego przybycia — doradził Tomek.

— Niezły pomysł, pan bosman na pewno mi nie odmówi. Poczekaj chwilę — odparła

Sally i pobiegła w kierunku domu.

Niebawem Tomek usłyszał głosy zbliżających się przyjaciół.

— Skaranie boskie z tobą. dziewczyno — utyskiwał bosman. — Nie dasz nawet człowiekowi po jedzeniu odpocząć. To drzewo jest za wysokie i trzeba cię podsadzić, to ciekawa jesteś, co znajduje się w środku kaktusa, a jak nie możesz już czego innego wykombinować, to znów Dingo ci zginął w krzakach. A wszystko dlatego, żeby tylko włóczyć mnie po tych wertepach.

— Ho, ho. teraz pan narzeka, a przed chwilą zastanawiał się pan, czy dla zdrowia nie warto by się wybierać z Tommym na konne wycieczki — odparła Sally.

— Taki on dobry jak i ty. Wytrzymałby tylko moje brzuszysko na szkapie. Ciekaw jednak jestem, dokąd znów powlokło się dzisiaj to chłopaczysko.

— Jeżeli pan będzie cierpliwy, to na pewno wkrótce zaspokoi pan swoją ciekawość — zachichotała Sally.

— Nie ma co, dobrana z was para gagatków!

— Czy pan tak naprawdę myśli? — ucieszyła się Sally.

Nie otrzymała jednak odpowiedzi, gdyż w tej chwili bosman zatrzymał się i zawołał:

— Coś ty znów znalazł, brachu? Co się stało, u licha?

— Nic specjalnego, panie bosmanie — z humorem odparł Tomek, mrugając nieznacznie do przyjaciela. — Przez pomyłkę wskoczyłem w beczkę pełną kotów, które mnie trochę podrapały.

— Koty te również zjadły ci koszulę, podarły spodnie i sombrero — żartowała Sally. — Panie bosmanie, tęsknił pan już za Tommym, więc przyprowadziłam pana do niego.

— No, no, pędraki! Powiedziałem przed chwilą, że dobrana z was para — mruknął bosman, bacznie przyglądając się chłopcu. — Skoro zrobiłaś swoje, to biegnij teraz za Dingiem do sadu po owoce, a my na pewno wkrótce przyjdziemy do ciebie.

— Będę na was czekała — odpowiedziała Sally. — Dingo, chodź ze mną!

Dziewczynka zniknęła w krzakach. Przez dłuższą chwilę bosman surowym wzrokiem przyglądał się Tomkowi. Potem przybliżył się do niego. Nie mówiąc ani słowa wyjął mu z pochwy rewolwer. Wprawnym ruchem sprawdził, że w bębenu tkwiły puste łuski po wystrzelonych nabojach. W milczeniu rozładował broń, schował wystrzelone łuski do kieszeni, przeczyścił lufę wyciorem, wyjął z pasa chłopca pięć kul, nabił nimi rewolwer i wepchnął go z powrotem do pochwy.

— Jak długo mam cię uczyć, smyku, że broń natychmiast po wystrzeleniu ma być na nowo naładowana? — zapytał surowo.

Tomek się zmieszał. W myśl niepisanego prawa łowców zwierząt, podobne niedopatrzenie było traktowane jak największe wykroczenie. Cóż by się bowiem stało

podczas niebezpiecznej wyprawy z łowcą, gdyby nie pamiętał o konieczności trzymania broni w pogotowiu?

Odparł więc ze skruchą:

— Zapomniałem, ale to wszystko z powodu nadzwyczajnych okoliczności... Widzi pan...

— Mamy czas na wyjaśnienia — przerwał bosman. — Czy może depcze ci ktoś po piętach? Może postrzeliłeś kogoś?

Tomek poznał już podczas licznych przygód niektóre słabostki bosmana. Olbrzymi marynarz lubił pochlebstwa, chcąc, więc złagodzić jego gniew odparł pospiesznie:

— Dzięki pana niezawodnym chwytom dałem sobie radę bez użycia broni. Później dopiero strzelałem w górę, żeby zwrócić czyjąś uwagę.

— Ha, jeżeli tak się sprawy przedstawiają, to dobra nasza — rozchmurzył się bosman. — Później opowiesz mi wszystko dokładnie. Najpierw trzeba cię jakoś przemycić do domu. Wyglądasz, jakbyś się bawił w chowanego z tygrysem.

— Bo też ciężką miałem przeprawę — przyznał chłopiec. — Musi mi pan przynieść koszulę i spodnie.

— Poczekaj tu na mnie, wrócę migiem — mruknął bosman.

Nim minęło pół godziny, Tomek, dzięki pomocy przyjaciela znalazł się nie zauważony przez nikogo w pokoju, który zajmował razem z bosmanem. Marynarz, chociaż paliła go ciekawość, nie prosił o wyjaśnienia, dopóki Tomek umyty, pooblepiany plastrami na zadrapaniach i już w świeżym ubraniu nie zasiadł do obfitego posiłku. Teraz dopiero bosman rzekł:

— No, najwyższy czas kochany brachu, żebyś powiedział, co ci się przytrafiło.

Tomek szczegółowo informował bosmana o przebiegu porannych wydarzeń. Kiedy zakończył, marynarz pomyślał chwilę, po czym rzekł:

— Nie ulega wątpliwości, że twój Indianiec czatował na tego jeźdźca, o którym wspominałeś. Ważne to musiało być spotkanie, skoro chciał cię ukatrupić tylko za to, że zjawiłeś się tam nieproszony. Ponieważ nie chciał, aby szeryf się o wszystkim dowiedział, jasne jak słońce, że to jakaś ciemna sprawka.

— Jestem tego samego zdania, bosmanie — wtrącił Tomek.

— Hm, ciekawe, dokąd to szeryf Allan wyjechał o świcie...

— W ostatnich dniach często przebywa poza domem — wtrącił Tomek, dobierając się do dzbanka z kawą.

— To prawda, ale dzisiaj przyjechało po niego dziesięciu indiańskich policjantów.

— Nic o tym nie wiedziałem. Panie bosmanie, czyżby pan wiązał ten fakt z przybyciem z Meksyku tajemniczego jeźdźca?

— Może tak, a może nie! W każdym razie dowiemy się czegoś ciekawego po powrocie

szeryfa.

TAJEMNICA MŁODEGO NAWAJA

Dzień chylił się już ku końcowi, a szeryf Allan jeszcze nie powrócił do domu. Tomek i bosman, zaintrygowani jego przedłużającą się nieobecnością, czekali w wygodnych fotelach na werandzie. Pilnie wsłuchiwali się w odgłosy płynące ze stepu. Lada chwila spodziewali się usłyszeć tętent końskich kopyt. Tymczasem wokół rozbrzmiewało jedynie ćwierkanie świerszczy i rechotanie żab nad pobliskim stawem.

Niebawem na werandę weszła Sally z matką. Przybycie pań zmusiło dwóch przyjaciół do przerwania domysłów na temat wyprawy szeryfa. Dla odmiany zaczęli teraz wspólnie podziwiać zachód słońca. Całe niebo przedstawiało prawdziwe kłębowisko złota, czerwieni, srebra i błękitu. Szałwiowy step, obramowany od południowego zachodu pojedynczymi, poszarpanymi pasmami gór, mienił się purpurą.

Pani Allan zachwycała się ciepłym kolorytem arizońskiego nieba. Chwaliła również orzeźwiające, zdrowe powietrze. Jej zdaniem Nowy Meksyk i Arizona stanowiły wymarzony kraj dla osadników. Bosman potakiwał skwapliwie, lecz zamiast na piękny horyzont, częściej spoglądał na stojącą przed nim szklanekę ulubionego rumu.

Sally pochyliła się do Tomka. Zaczęła szeptać mu coś do ucha, gdy naraz rozległ się głuchy tętent koni. Nie ulegało wątpliwości, że większa grupa jeźdźców zbliżała się galopem do ranczo. Tomek spojrział na bosmana, ten jednakże z całym spokojem popijał swój rum, zdając się niczym nie przejmować.

Tętent koni potężniał z każdą chwilą. Wkrótce w obłoku kurzawy ukazała się gromada jeźdźców. Osadzili spienione wierzchowce tuż przed werandą. Wysoki, chudy szeryf Allan lekko zeskoczył z karosza. Niedbałym ruchem rzucił cugle Murzynowi, który wybiegł mu na spotkanie, a następnie odwrócił się ku pozostałym jeźdźcom. Byli to Indianie ubrani w skórzane spodnie i kurtki. Na głowach o krótko ostrzyżonych włosach nosili szare kapelusze z szerokimi kresami, niczym nie różniące się od kapeluszy kawalerzystów armii Stanów Zjednoczonych. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny.

Na rozkaz wydany w języku angielskim przez szeryfa, Indianie zeskoczyli z koni. Tylko jeden z nich nie wykonał żadnego ruchu. Jak wykuty z kamienia posąg siedział nieruchomo na mustangu, chociaż nie można było mieć wątpliwości, że, tak jak większość Indian amerykańskich, znał bardzo dobrze mowę białych ludzi.

Teraz dopiero można było spostrzec, że odzienie miał inne niż pozostali Indianie. Długie skórzane nogawice z frędzlami na szwach sięgały z tyłu tylko do pośladków, które osłaniała przepaska przeciągnięta między nogami. Szeroki, barwnie tkany pas opuszczał się aż na biodra. Spod luźno otwartej z przodu kamizelki z długimi rękawami wyglądało nagie miedziano-brązowe ciało. W przeciwieństwie do reszty jeźdźców miał na głowie czarne sombrero. Długie włosy opadały mu na ramiona.

Tomek w ostatniej chwili powstrzymał okrzyk zdumienia. Indianin żywo przypominał mu tajemniczego jeźdźcę widzianego z dala tego ranka. Przyjrzał mu się baczniej. Zaraz też zrozumiał, dlaczego pozostał na koniu. Ręce Indianina były skute w przegubach stalowymi

kajdankami, a stopy związane grubym rzemieniem przeciągniętym pod końskim brzuchem.

Tomek zbliżył się do bosmana.

— Wydaje mi się, że to jest ten tajemniczy jeździec, którego widziałem rano na stepie — szepnął.

— Trzymaj język za zębami, dopóki się nie dowiemy, co to za ptaszek — mruknął bosman.

Tymczasem szeryf nie tracił czasu. Na jego polecenie Indianie rozwiązali stopy jeńca, ściągnęli go z wierzchowca, powalili na ziemię i natychmiast skuli nogi tuż nad kostkami stalowymi kajdankami. Następnie trzech Indian odprowadziło konie do zagrody, podczas gdy inni zaczęli się zagospodarowywać pod gołym niebem przed werandą domu.

Dwaj Indianie z karabinami gotowymi do strzału usiedli przy jeńcu.

Szeryf Allan wszedł na werandę. Zaledwie wydał polecenie Murzynce Betty, aby przygotowała pożywienie dla Indian, Sally podbiegła do niego.

— Co to wszystko ma znaczyć, kochany stryjku? Kim jest ten związany Indianin? — zawołała.

— Pomówimy o tym za chwilę; jestem głodny jak wilk — odparł szeryf. — Czy jedliście już kolację?

— Czekaliśmy na ciebie, Johnny — odpowiedziała pani Allan. — Teraz jednak straciłam chęć do jedzenia. Cóż uczynił ten biedny człowiek, że jest traktowany w ten sposób?

— Biedny człowiek? — zdziwił się szeryf. — To nie dla niego określenie! Gdy usłyszysz, kto to jest, na pewno cofniesz swe słowa. Australijscy krajowcy nie dali się wam tak we znaki, jak nam wojowniczy Indianie amerykańscy. Stąd też i twoje oburzenie. Chodźmy teraz na kolację, widzę, że Betty nakryła już do stołu.

Szeryf wykonał ręką zapraszający ruch. Wszyscy weszli do jadalni. Allan z apetytem pochłaniał różne smaczne potrawy. Tomek, Sally i jej matka jedli niewiele, natomiast bosman Nowicki dotrzymywał towarzystwa gospodarzowi.

Obydwaj podsuwali sobie półmiski i ochoczo dolewali z dzbana zimnego piwa.

— Oni się chyba nigdy nie najedzą — szepnęła Sally, czekająca z wielką niecierpliwością na jakieś wyjaśnienia stryjka.

— Pociesz się, ich żołądki już długo nie wytrzymają. Twój stryj zwalnia tempo... — również szepem odparł Tomek.

Sally mrugnęła porozumiewawczo do niego, gdy w końcu szeryf otarł usta serwetką i odsunął talerz. Z pudełka stojącego na stole wyjął wonne cygaro. Scyzorykiem odciął starannie grubszy koniec, po czym zapalił. W milczeniu wypuszczał dymne kółka.

— Widzę, że nasze piękne panie straciły apetyt na widok Indiańca w stalowych

bransoletkach — odezwał się bosman, uśmiechając się wyrozumiale. — Wielka to cnota mieć litościwe serce. Wiele się człowiek napatrzył podczas włóczęgi po zakamarkach świata, ale muszę się przyznać, że i mnie zawsze wzrusza niedola bliźniego.

Szeryf poważnie spojrzał na pocziwego marynarza. Wolno wypuścił kłęb błękitnego dymu.

— Czy ktoś z państwa słyszał o Tańcu Ducha? — zapytał spokojnie.

Bosman zaprzeczył ruchem głowy. Pani Allan i Sally również nie słyszały o takim tańcu. Tomek natomiast odezwał się pewnym głosem:

— Taniec Ducha był rewolucyjnym tańcem szczepu Siuksów.

— Brawo, kawalerze! Widzę, że jeszcze nie zdążyłem właściwie ocenić twojej wiedzy o świecie i ludziach — pochwalił szeryf Allan. — Skąd się o tym dowiedziałeś?

— Przed każdą wyprawą staram się zdobyć trochę wiadomości o kraju, do którego mamy zamiar się udać — odparł chłopiec.

— Musisz pan wiedzieć, że nasz Tomek odziedziczył po swym szanownym rodzicielu smykałkę do nauki. To chodzące encyklopedie — chełpliwie rzekł marynarz, rad, iż może się pochwalić wiadomościami wychowanka.

— Nie posądzałem Tomka o zbyt wielkie zainteresowanie książkami, widząc jak całymi dniami ugania się na mustangach po stepie — przyznał szeryf. — Czy jeszcze wiesz coś więcej, mój chłopcze, o Siuksach i Tańcu Ducha?

— Niestety, to już wszystko.

— A czy stryjek wie? — podstępnie zapytała Sally.

Szeryf uśmiechnął się do niej zaczął mówić:

— To dość dawna i dziwna historia. W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym wśród Indian północnego zachodu rozeszła się wieść, że w jakimś zakątku Wyoming zjawił się Great Medicine Man, wielki szaman, który wzywał wszystkich czerwonoskórych do rokoshu przeciwko białym kolonistom. Był to Indianin Wovoka ze szczepu Piute. Nawoływał on współbraci do zaniechania wzajemnych walk plemiennych i zjednoczenia się. W myśl jego idei, Indianie powinni zaprzestać wyniszczających wojen oraz porzucić zwyczaje przejęte od białych ludzi. Jeżeli dokonają tego, to wtedy zjawi się indiański Mesjasz, który wypędzi białą rasę za wielkie morze, wskrzesi zaginione bawoły i przywróci stary sposób życia Indian.

Te idee odrodzenia szerzone przez starego Wovoke znane tu były jako Taniec Ducha, ponieważ tak zwał się taniec towarzyszący związanym z nimi obrzędom. Na czas tańca czerwonoskórzy zakładali białe koszule bawełniane ozdobione świętymi symbolami, mającymi chronić ich od zła. Taniec ten wprowadził Indian w jakiś hipnotyczny trans: wierzyli, że podczas niego dusze ich wędrują do Krainy Wielkiego Ducha, gdzie przebywają zmarli wielcy przodkowie.

Wezwania Wovoki nie pozostały bez echa. Indianie wykopywali topory wojenne, uzbrajali się i malowali twarze bojowymi barwami. Taniec Ducha podniecał wzburzone umysły, Indianie chwyтали za broń, wypowiadali posłuszeństwo agentom rządowym administrującym rezerwatami. Rozpoczęły się groźne zamieszki. Wzmogły się one, gdy na czele całego ruchu rewolucyjnego stanął Tatanka Yotanka — Siedzący Byk, wódz oraz wielce wpływowy szaman plemienia Teton-Dakota, należącego do grupy językowej Sju. Był to bardzo niebezpieczny człowiek. On to bowiem organizował wojnę w latach tysiąc osiemset siedemdziesiąt pięć i sześć. Po bitwie nad Little Bighorn[10] schronił się do Kanady, skąd jednak powrócił w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym po ogłoszonej przez rząd amnestii i osiadł w rezerwacie Siuksów. Jako nieprzejednany wróg białych podjął wyzwanie Wovoki. Znowu rozpoczął walkę. Początkowo odnosił poważne sukcesy, lecz wkrótce zabrakło mu broni i amunicji...

— Stryjku, co się stało z tym dzielnym wodzem? — zapytała Sally.

Szeryf ściągnął gniewnie brwi, lecz odparł spokojnie:

— Zginął marnie, jak na to zasłużył. Jako przywódca powstania został zastrzelony wraz z jednym ze swych synów przez członków indiańskiej policji: Czerwonego Tomahawka i Głowę Byka. Śmierć buntowniczego wodza położyła kres nierozsądnym walkom Indian.

— Kiedy zginął Siedzący Byk? — zapytał Tomek.

— W grudniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku — wyjaśnił szeryf i zajął się swoim zgasłym cygarem.

— Tak mi się wydawało, zapytałem jednak, ponieważ nie mogę doszukać się związku pomiędzy Tańcem Ducha i jeńcem indiańskim leżącym w więzach przed domem — powiedział Tomek.

— Wyraziłeś głośno moje myśli — zawołała pani Allan. — Cóż ma wspólnego z tym wszystkim ten biedny człowiek?

— Otóż doszliśmy do sedna rzeczy — rzekł szeryf. — Od pewnego czasu zacząłem otrzymywać informacje, iż jakiś tajemniczy czerwonoskóry mąci umysły okolicznych Indian. Na skutek jego wicherzycielskiej akcji w niektórych rezerwach zaczęto jakoby odbywać zakazane obrzędy Tańca Ducha. Po zagadkowym zniknięciu dwóch agentów rządowych musiałem sam zająć się wyświadczeniem sprawy. Złowrogie pogłoski okazały się prawdziwe. Ustaliłem wkrótce, że jakiś emisariusz przyjeżdża co pewien czas z granicy meksykańskiej do naszych rezerwatów i podburza Indian do powstania przeciwko białym. Kilkakrotnie urządziłem na niego zasadzki, lecz ostrzegany przez swoich szpiegów, wymykał mi się dotąd z rąk. W końcu natrafiłem na właściwego człowieka, który pomógł ująć wicherzyciela. Zamożny ranczer, Indianin Wiele Grzyw, zawiadomił mnie wczoraj, iż spodziewa się jego przybycia. Zaczaiłem się więc z policją indiańską w domu informatora i groźny przestępca wpadł w naszą pułapkę.

— Ha, więc to jest zapewne ten gagatek?! — krzyknął bosman, uderzając się dłonią w udo. — Powinszować szeryfowi, powinszować! Jak się zwie ten ancymon?

Tomek zgorszony spojrział na przyjaciela, lecz bosman zachowywał się, jakby go wcale nie dostrzegał. Szeryf skwapliwie wyjaśnił:

— Jest to Apacz zwany Czarną Błyskawicą. Czarny kolor wśród Indian symbolizuje śmierć. Podobno Czarna Błyskawica ma niejedno na swoim sumieniu.

— Wielki sukces, szeryfie — chwalił bosman. — Dlaczego jednak nie powiesiliście go od razu?

— Musimy wydobyć z niego zeznania. Czarna Błyskawica jest prawdopodobnie przywódcą większej grupy czerwonoskórych, ukrywającej się w górach w pobliżu naszej granicy. Poza tym nie mamy zamiaru pozbawiać go życia. Jeżeli zachowa się rozsądnie i zdradzi nam kryjówkę buntowników, to będzie traktowany jak jeńiec wojenny.

— Czy to znaczy, stryжку, że uwolnicie go po złożeniu zeznań? — zapytała Sally.

— Nie, moja droga. Będzie odesłany do Fortu Marion^[11] na Florydzie, gdzie kilkuset opornych Indian przebywa na warunkach jeńców wojennych.

— Więc nic złego mu się nie stanie — ucieszyła się Sally.

— Chyba niezbyt rozsądne, aby buntowników traktować tak łagodnie — odezwał się bosman Nowicki, udając oburzenie. — Zły to przykład dla innych mąciwodów...

— Niech się pan tym nie kłopotczy — uspokoił go szeryf. — Jesteśmy na tyle silni, że nie potrzebujemy uciekać się do zbyt drastycznych... posunięć.

Bosman jednak nie dał za wygraną:

— Gdy wielu takich zuchów zgromadzi się w jednym miejscu, to i chyba nietrudno o zorganizowane uciezki, a wtedy rebelia gotowa.

— Daliśmy sobie radę z lepszymi od Czarnej Błyskawicy — odparł szeryf Allan. — Trzeba panu wiedzieć, że Apacze, nawykli od wieków do rozbojów, długo opierali się zamknięciu w wyznaczonych rezerwatach. Tacy wojownicy jak Cochise, Geronimo, Naches. Juh i Nolgee mocno dali się nam we znaki. Gdy nie pomogły łagodniejsze środki, ogłoszono ich wyjętymi spod prawa i ścigano tak długo, dopóki nie zostali pojmani. Większość z nich przebywa w obozach na Florydzie, ale niewielu powróci w swe rodzinne strony po odbyciu kary.

— A to dlaczego, jeśli można zapytać? — zaciekawiał się bosman.

— Tutejsi Indianie przyzwyczajeni są do suchego stepowego klimatu. Większość Florydy natomiast pokrywa bagnista dżungla. Toteż surowa dyscyplina, odmienna i niezdrowa okolica, a także tęsknota za rodzinnymi stronami robią swoje.

— Ho, ho, ho! Niezły sposób na pozbycie się buntowników — basowo zarechotał bosman Nowicki. — Jak się to mówi, za przeproszeniem pana, wszystko robi się w białych rękawiczkach.

Pani Allan zmarszczyła brwi.

— Ładnie postępujecie z prawowitymi właścicielami tej ziemi. Krótko mówiąc, Indianie muszą pozwolić zamknąć się w rezerwatach lub zginąć w Forcie Marion — powiedziała oschłym tonem.

— Nie wiedziałem, że biednym Indianom dzieje się tyle niesprawiedliwości — smutno rzekł Tomek. — Rosyjscy carowie taki sam los zgotowali Polakom. Prawdziwych patriotów wieszają na szubienicach lub zsyłają na Sybir. Przecież nawet mój ojciec i pan bosman musieli uciekać z kraju, by w ten sposób ratować się przed zesłaniem.

— Proszę, proszę, to ja z narażeniem życia całymi dniami uganiem się po wertepach w oszukiwaniu buntowników, a tu moi najbliżsi zarzucają mi nieprawość — odezwał się szeryf, śmiejąc się wymuszenie. — No, ale skoro tak jest, to przyznam się wam, że czasem żał mi tych czerwonoskórych zuchów. Dopóki jednak jestem szeryfem, muszę spełniać swój ciężki nieraz obowiązek.

— Rozumiem, rozumiem to, szanowny panie. Na statku stosuje się takie samo prawo. Każdy człowiek musi wypełniać swój obowiązek, nawet gdyby go to miało kosztować życie — przytaknął bosman. — Urząd szeryfa to jak urząd kapitana statku. Ale nie rozumiem, dlaczego ci czerwonoskórzy policjanci z takim zapalem pilnują jeńca? Czy nie mogą się z nim pokumać

— Nie ma obawy. Należą do policji indiańskiej, która jest znienawidzona przez większość czerwonoskórych. Niesłuszne to wszakże stanowisko, ponieważ w policji służą Indianie lojalnie ustosunkowani do naszego rządu. Czy rozsądne postępowanie można nazwać zdradą?

— Wydaje mi się, że można, jeżeli sprzeczne jest ono z interesem narodu. Cóż tu jednak mówić o przyjaznych stosunkach pomiędzy czerwonoskórymi i białymi, skoro sami Indianie pałają do siebie nienawiścią — wtrąciła pani Allan, nie przekonana argumentacją szwagra.

Zanim szeryf zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odezwał się Tomek:

— Ludzie prawi i szlachetni zawsze znajdują właściwą drogę postępowania. Słyszałem o białych cieszących się prawdziwą przyjaźnią Indian amerykańskich. Na przykład nasz rodak, odkrywca i podróżnik Paweł Strzelecki, przez długi czas przebywał wśród Indian i zaprzyjaźnił się z Osceolą, bohaterskim wodzem Seminolów.

— Tommy, czy to ten sam podróżnik, który odkrył w Australii Alpy Australijskie i nazwał ich najwyższy szczyt Górą Kościuszki? — nieśmiało zapytała Sally.

— Tak, to on — potwierdził Tomek, uśmiechając się do swej przyjaciółki.

— Nie wiedziałam, że Paweł Strzelecki podróżował po Ameryce — zdziwiła się Sally.

— Strzelecki zwiedził niemal cały świat — wyjaśnił chłopiec. — Przed przybyciem do Australii podróżował po Ameryce Północnej[12] i Południowej, a potem zwiedzał wyspy Pacyfiku i Nową Zelandię.

— Czy w Stanach Zjednoczonych dokonał jakichś ciekawych odkryć? — pytała Sally.

— W Ameryce Strzelecki prowadził przede wszystkim rozległe badania etnograficzne, a ich wyniki opisał w swej książce. W Stanach Zjednoczonych przewędrował szlakiem kościuszkowskim, to znaczy zwiedził Boston, Nowy Jork, Filadelfię, Baltimore, Waszyngton, Richmond i Charleston. Prowadził ciekawe badania w meksykańskiej Sonorze oraz w Kalifornii. Strzelecki był ponadto wielkim filantropem. Zawsze pomagał prześladowanym i pokrzywdzonym. Spotkał się nawet z ówczesnym prezydentem Stanów Zjednoczonych, Jacksonem, by wstawić się za polskimi emigrantami, jak i za byłymi więźniami karnie deportowanymi przedtem z Anglii do Ameryki. Wtedy również próbował wpłynąć na ulżenie niedoli Indian i murzyńskich niewolników. W tej sprawie dotarł nawet przed Kongres amerykański.

— Ho, ho! Śmiały to był człowiek z tego Strzeleckiego — wtrącił bosman.

— Czy on naprawdę nic a nic nie bał się Indian? — dopytywała się Sally.

— Jak już powiedziałem, Strzelecki prowadził badania etnograficzne wśród pierwotnych mieszkańców Ameryki. Przebywał więc jakiś czas u Huronów zamieszkujących Krainę Wielkich Jezior. Niejedną noc spędził w ich wigwamach. Choć był to wtedy okres wojen indiańskich, wędrował samotnie po puszczech i stepach. Często przekraczał wojenne ścieżki Indian płonących uzasadnioną nienawiścią do białych kolonistów, a mimo to nie tylko potrafił uniknąć wszelkich niebezpieczeństw, lecz nawet zaprzyjaźnił się z różnymi szczepami i ich wodzami. najlepszym tego przykładem jest fakt, że w tym właśnie czasie, gdy Seminole osiedli na Florydzie rozpoczęli nierówną, lecz bohaterską walkę ze Stanami Zjednoczonymi, pragnąc zapobiec wyniszczeniu swego szczepu, Strzelecki żył z nimi w wielkiej zgodzie i zadzierzgnął więzy przyjaźni z wodzem Osceolą. Strzelecki pisał później w swoim pamiętniku o tym wielkim indiańskim wodzu.

— Tommy, powiedz jeszcze, co się stało z Osceolą?

— Został wzięty przez Amerykanów do niewoli. W roku tysiąc osiemset trzydziestym ósmym zmarł na anginę w Forcie Moultrie[13] jako jeniec wojenny.

— Ciekawe rzeczy opowiadasz nam, Tommy — odezwała się pani Allan. — Twoi rodacy potrafią więc współżyć z krajowcami amerykańskimi. Nie ma co mówić, smutna jest dola ujarzmionych ludów!

Szeryf Allan wzruszył ramionami i powiedział:

— Problem Indian nie był ani nie jest łatwy do rozwiązania. Gdybyśmy nawet nie zamknęli czerwonoskórych w rezerwach, to koloniści by ich wyrznęli co do jednego. Wystarczy przypomnieć masakrę w Camp Grant.

— Opowiedz pan o tym, jeśli łaska. Chętnie posłuchamy — zagadnął bosman.

— Smutna to raczej historia — odparł szeryf. — Kiedy nie udało się siłą osadzić Apaczów w rezerwacie, bo wojska było mało, a rozległe tereny i klimat dawały czerwonoskórym przewagę, prezydent Grant zmienił taktykę wobec Indian. Wtedy to właśnie banda głodujących Arivaipa Apaczów przybyła do posterunku wojskowego w Camp Grant. Porucznik Whitman, dowódca posterunku, nakarmił ich oraz nakłonił do

sprawodzenia rodzin i przyjaciół. Zgłosiło się wielu Indian z rodzinami. Whitman założył dla nich mały nieoficjalny rezerwat. Zbyt wielka jednak była nienawiść białych i meksykańskich osadników do Apaczów za stałe ich napady — gdy zwiedzieli się o założeniu rezerwatu, postanowili zniszczyć go, nie zważając, że znajdowali się w nim pokojowo nastawieni Indianie. Trzydziestego kwietnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku o świcie osadnicy i Meksykanie napadli na obóz. Zamordowali śpiących Indian, nie oszczędzając kobiet ani dzieci. Ciała czerwono skorych zostały okropnie okaleczone. Zaledwie kilku Indianom udało się zbiec w góry, podczas gdy napastnicy pośpiesznie wycofali się do Tucson^[14] zabierając wiele indiańskich dzieci jako jeńców. Osadnicy chwalili się głośno, iż ani jeden z nich nie został ranny podczas napadu. Wielu obywateli Arizony uważało ten mord za usprawiedliwiony, ponieważ Apacze stale napadali na osady, a ślady band wiodły wprost do Indian obozujących blisko Camp Grant, pozostającego pod oficjalną opieką wojska. Potępiono tylko zabicie kobiet i dzieci. Prezydent Grant kazał aresztować wszystkich uczestników napadu. Zagroził, że cała Arizona zostanie poddana prawu wojennemu. Przywódcy napadu zostali wprowadzili aresztowani, lecz sąd ich uniewinnił. Indianie uzyskali jedynie to, że w ich życie w rezerwach nie mogą się wtrącać biali i że korzystają z materialnej oraz moralnej pomocy rządu.

— Nasz szeryf ma dużo racji, szanowna pani — pojednawczo odezwał się bosman. — Dla pań to wprawdzie widok przykry, ale ja i Tomek pójdziemy rzucić okiem na tego gagatka. Oczywiście, jeżeli pan szeryf zezwoli i nie ma nic przeciw temu.

— Bardzo proszę. Może będzie to dla was pewną rozrywką na tym pustkowiu — zgodził się szeryf. — Macie dość czasu, ponieważ jeńca muszę zatrzymać tutaj aż do przybycia kapitana Mortona z oddziałem kawalerii, który przetransportuje go do Fortu Apache. Przybędzie on nie prędzej jak jutro po południu.

— Chętnie się przyjrzę Czarnej Błyskawicy — naraz odezwał się Tomek tak lekkim tonem, że pani Allan i Sally spojrzały na niego z wyrzutem. — Jeżeli policjanci będą go dobrze pilnowali, to nie mamy się czym kłopotać. Czy jednak można im dowierzać pod każdym względem? Kto ma kluczyk do oków?

— Brawo, brawo, kawalerze! Cenię roztropność i rozsądek — pochwalił szeryf, pewny, że zdołał przekonać młodego Polaka o słuszności swego postępowania. — Możecie się niczego nie obawiać, kluczyk od kajdanek wisi sobie spokojnie na łańcuszku mego zegarka.

Mówiąc to pokazał mały, płaski klucz przymocowany do łańcuszka. Sally przybladła z wrażenia przyglądając się kluczykowi.

— Och, jak to się dobrze składa! — zawołała, lecz zaraz dodała pośpiesznie: — Jak to się dobrze składa, że stryj jest tak ostrożny. Czy mogę pójść z Tommym i panem bosmanem popatrzeć na tego okropnego człowieka?

— Idź wiercipięto, tylko uważaj, żeby ci się w nocy nie przyśnił — śmiał się szeryf.

— Sally, kochanie, nie bądź zbyt długo wieczorem na dworze — przykazała matka, —

Głowa mnie rozboleła: idę do łóżka.

— Dobrze, mamusiu! Chodźmy, Tommy!

Pani Allan pierwsza opuściła jadalnię. Szeryf zatrzymał bosmana na strzemiennego przed snem, więc Tomek i Sally wyszli na werandę. Sally chwyciła Tomka za ramię.

— Tommy, omal się nie zdradziłam! Na szczęście w porę ugryzłam się w język. Czy wiesz, że taki sam kluczyk znajduje się w szufladzie biurka w gabinecie? — szepnęła.

— Czyżby? Co ty pleciesz?!

— Nie udawaj, że nie wiesz, co mam na myśli — oburzyła się Sally. — Dzisiaj rano nudziło mi się trochę, więc zajrzałam do szuflady biurka w gabinecie. W szufladzie leżą stalowe kajdanki z takim samym kluczykiem, jak ten u stryjka na łańcuszku.

— Czy jesteś tego pewna?

— Oczywiście, że tak! Przyjrzałam mu się dobrze, ponieważ bawiłam się tymi “bransoletkami”, jak to nazwał kajdanki bosman Nowicki. Zaraz też poznałam, że kluczyk jest taki sam.

Tomek odczekał chwilę, aby ukryć podniecenie, i odparł obojętnie:

— A niech tam sobie leży. Cóż mnie to może obchodzić? W ogóle nie wiem, po co mi to powiedziałaś.

— Cenię roztropność i ostrożność — rzekła Sally naśladując głos stryjka. — Ach! Ty obłudniku! Przez całą kolację siedzi i rozmyśla, jak by tu uwolnić nieszczęsnego wodza Indian, a teraz udaje niewiniątko.

— Cicho bądź, Sally, na miłość boską! Co ty wygadujesz? Jeszcze nas kto usłyszy.

— Ha, nareszcie się wydało! — triumfowała dziewczynka. — Mnie nigdy nie oszukasz!

— Skąd możesz wiedzieć, o czym rozmyślałem w czasie kolacji?

— Oj, Tommy! Przecież już ci kiedyś powiedziałam, że gdy patrzę na ciebie, to wiem, o czym myślisz. Masz szczęście, że nie jestem szeryfem! Musiałabym zaraz cię zamknąć w piwnicy.

— Sally...!

— Dobrze już, dobrze. Widzisz teraz, że nawet taka niemądra dziewczynka może się na coś przydać.

— Nigdy nie powiedziałem, że jesteś niemądra — gorąco zapewnił Tomek.

Chłopiec zamilkł, gdyż szalony pomysł przyszedł mu dopiero w tej chwili do głowy. Sally nie myliła się, sądząc, iż rozmyślał nad możliwością udzielenia pomocy Czarnej Błyskawicy. Do tej jednak pory zdawało mu się to absolutnie niemożliwe. Teraz natomiast cała sprawa zaczęła wyglądać realniej. Gdyby Indianin pozbył się więzów, na pewno by zdołał umknąć prześladowcom.

Tomek wahał się, czy może całkowicie zaufać młodej przyjaciółce.

Postanowił ostrożnie wybadać grunt.

— No tak, Sally, muszę przyznać, że jesteś sprytna i domyślna. Cóż jednak z tego, że taki sam kluczyczek leży w biurku twego stryjka? Kluczyczek do nas nie przyjdzie, a wydostanie go stamtąd jest ryzykowne. Pomyśl tylko! Aby uwolnić Indianina, należałoby wyjąć kluczyczek z szuflady, otworzyć okowy, którymi skuty jest Czarna Błyskawica, a potem z powrotem umieścić kluczyczek na dawnym miejscu.

— Tommy, jeżeli tylko zgodzisz się dopuścić mnie do spisku, to zobowiązę się wydobyć kluczyczek i schować go z powrotem do szuflady. Możesz być pewny, że włożę go tak samo w dziurkę bransoletki, jak tkwi w niej w tej chwili.

— Hm, pomyślę nad tym. Może będzie można coś pomóc temu nieszczęśnikowi.

— Tommy, ty musisz to zrobić! Czy wiesz, że po raz pierwszy będę brała udział w takim prawdziwym spisku?

— Dobrze, Sally, dobrze! Teraz uspokój się, bo lada chwila bosman tu przyjdzie.

— Tommy, nie oszukuj mnie! Czytałam, że spiskowcy zawsze składają przysięgę na dotrzymanie tajemnicy. Bez przysięgi nie ma mowy o spisku.

Tomek już miał wybuchnąć gniewem, ale w tej chwili z jadalni dobiegł hałas odsuwanych krzeseł. Wymamrotał więc szybko słowa zaimprovizowanej przysięgi na wierność Czarnej Błyskawicy, a uszczęśliwiona Sally ścisłym głosem powtórzyła je uroczyście.

Bosman wszedł na werandę w chwili, gdy dziewczynka wylewnie ścisnęła Tomka po zakończonej przysiędze. Bosman ujął się rękoma pod boki i rzekł:

— No, dość tego gruchania, moje kochane urwipołcie! Chodźmy się przyjrzeć Indiancom.

— Wspaniale, proszę pana! Jeszcze tylko muszę Tommy'ego o coś zapytać — zawołała dziewczynka.

Wspięła się na palce, by jednym tchem szepnąć Tomkowi do ucha:

— Czy pan bosman także będzie należał do spisku?

Tomek uszczypnął ją w łokieć i odparł również szeptem:

— Myślę, że tak.

— To niech on również przysięgnie! — nalegała Sally.

— Cicho bądź! Bosman robi to później.

— Cóż to za konszachty? — zawołał marynarz, bawiąc się doskonale zakłopotaniem chłopca.

— Nic, proszę pana. Naprawdę nic! — zapewniła Sally.

UCIECZKA

Sally i Tomek wraz z bosmanem Nowickim wyszli przed dom. Olbrzymi, jasnożółty księżyc dopiero co wyłonił się z za linii horyzontu. Srebrzysta poświata leniwie wpełzała pomiędzy drzewa i krzewy rozpraszając wieczorny mrok.

Dookoła dużego ogniska na podwórzu ranczo usiedli indiańscy policjanci. W milczeniu wyciągali dłonie ku miskom z pożywieniem, które Betty stawiała przed nimi na ziemi. Odblask płomieni migotał na ich miedziano-brązowych twarzach. Jedli powoli, lecz za to dzbany z piwem krążyły wśród nich bez przerwy. Chciwie opróżniali kubki. Mogło się wydawać, że w tej namiastce “wody ognistej” szukają zapomnienia o swym niecnym czynie. Nawet niezbyt bystry obserwator mógł spostrzec, iż czerwono skorzy stróże prawa umyślnie odwracają głowy, aby nie patrzeć w kierunku dużego, rozłożystego drzewa bawelnianego [15], pod którym leżał skrepowany jeniec.

Bosman z młodymi przyjaciółmi podeszli najpierw do ogniska. Marynarz głośno pochwalił dzielność policjantów, poczęstował ich tytoniem, po czym oznajmił, że jeżeli tylko szeryf Allan nie będzie miał nic przeciwko temu, gotów jest uczcić ich zwycięstwo butelką dobrego rumu.

Przywódca straży indiańskiej gardłowym głosem odparł na to, że sam odpowiada za swoich ludzi, ponieważ obowiązują go tylko rozkazy agenta rządowego zawiadującego rezerwatem. Przypadkowa współpraca z szeryfem nie nakłada na niego dodatkowych obowiązków.

Bosman, zadowolony wielce z takiego przebiegu rozmowy, przyniósł zaraz dużą butelkę jamajki, wręczył ją przywódcy straży, polecając rum podzielić pomiędzy wszystkich policjantów. Indianie pragnęli jak najdłużej delektować się wspaniałym darem, toteż przywódca do każdego kubka piwa dolewał trochę rumu.

— A nie zapomnijcie o tamtych dwóch pilnujących jeńca — upomniał bosman, wskazując w kierunku drzewa bawelnianego.

Przywódca potakująco skinął głową. Z butelką w ręku ruszył zaraz ku strażnikom. Bosman, Tomek i Sally również zbliżyli się do nich. Nim tamci opróżnili swe kubki, trójka przyjaciół bacznie przyjrzała się jeńcowi.

Czarna Błyskawica siedział na ziemi. Skrzyżowane na brzuchu dłonie były kurczowo zaciśnięte. Tuż ponad dłońmi, na samych przegubach, błyszczały stalowe obręcze połączone krótkim, grubym łańcuchem. Nogi miał także skute kajdankami. Poszarpana odzież była wymownym dowodem zaciętej walki, jaką zapewne stoczył z silniejszym przeciwnikiem, zanim go ujęto. Poza niegroźnymi zadrapaniami Czarna Błyskawica nie odniósł ran, ponieważ przywódca straży odebrał swym ludziom noże i tomahawki, aby żywcem pochwyć buntownika.

Na spieczonych wargach Czarnej Błyskawicy widniała zakrzepła krew. Gdy Tomek to zauważył, zaraz zawołał:

— Panie bosmanie, jeniec na pewno jest bardzo spragniony. Proszę tylko spojrzeć na jego usta!

— Niech zdycha z pragnienia, skoro nie chce przyjąć od nas wody — twardo powiedział przywódca. — Ma szczęście, ten parszywy pies, że Wielki Ojciec z Białego Domu chce z nim rozmawiać. Inaczej sam bym go nożem poczęstował za nazywanie nas zdrajcami.

Z pasją kopnął jeńca w bok. Czarna Błyskawica spojrzał na niego spod przymrużonych powiek. Tyle nienawiści i pogardy było w jego wzroku, że policjant machinalnie cofnął się kilka kroków, jakby mimo więzów obawiał się ze strony jeńca jakiejś nieoczekiwanej reakcji.

Tomek oburzony czynem policjanta postąpił ku niemu, lecz czujny na wszystko bosman oparł swą prawą rękę na jego ramieniu. Żyłasta, gruba dłoń zatrzymała chłopca na miejscu, a bosman rzekł spokojnie:

— Nie jesteśmy Amerykanami, więc nie chcemy się mieszać do waszych spraw. Chętnie jednak poznajemy zwyczaje indiańskich wojowników. Jeśli więc kopanie bezbronnego jeńca jest u was dowodem odwagi, to kopnij go jeszcze raz, ale na moją prośbę daj mu łyknąć trochę rumu. Nie lubię patrzeć na spragnionego człowieka. W zamian za to przyślę ci zaraz jeszcze jedną butelkę. No, co? Zgoda?

Przywódca wyczuł drwinę w słowach bosmana. Zmieszał się mocno, lecz po chwili wahania podszedł do jeńca z kubkiem napełnionym rumem. Gdy tylko pochylił się nad Czarną Błyskawicą, ten niespodziewanym ruchem podciągnął nogi i rozprostowując je gwałtownie, uderzył stopami w pierś policjanta, który wywinął kozła. Zawartość kubka oblała mu twarz.

Obydwaj strażnicy poderwali się z ziemi. Jeden z nich grzotnął jeńca kolbą karabinu. Czarna Błyskawica opadł na ziemię bez słowa skargi.

— Ho, ho! A to ci rogata dusza — zawołał bosman. — No, czort z nim, skoro woli cierpieć pragnienie, niż przyjąć nasz poczęstunek. Zaraz wam przyniosę więcej rumu.

Tomek szepnął coś Sally do ucha. Dziewczynka kiwnęła głową i pobiegła do domu. Za chwilę bosman z Tomkiem udali się po przyobiecany rum. Marynarz miał w swoim pokoju kilkanaście butelek ulubionej jamajki. Na każdą wyprawę zabierał spory jej ładunek, utrzymując, że sianowi ona najlepszy środek przeciwko wszelkim dolegliwościom. Gdy znaleźli się sami w pokoju, bosman zamyślony spojrzał na chłopca.

— Jestem ciekaw, co by zrobił twój szanowny tatuś, gdyby był tutaj z nami — odezwał się po chwili.

— To samo, co my zrobimy, kochany bosmanie — odparł Tomek.

— A co my zrobimy?

— Uwolnimy Czarną Błyskawicę!

— Niełatwa sprawa, kochany brachu. Strażnicy pilnują go jak oka w głowie, jeniec skuty bransoletkami, a na dobitkę jesteśmy gośćmi szeryfa.

— Gdyby Czarna Błyskawica nie był skuty okowami, sam dałby sobie radę — powiedział Tomek. — Zagroda z końmi znajduje się zaledwie o kilkadziesiąt kroków. Na pewno by mu się udało uciec.

— Gdyby w stawie rosły grzyby, to by się je łąwiło wędką, a nie zbierało w lesie — rozgniewał się bosman. — Będiesz mi strugał filozofa! Tu trzeba ruszyć głową, aby wymyślić jakiś sposób. Tyle i ja wiem, że wystarczy zdjąć mu bransoletki, a rozwieje się jak wiatr po stepie. Nie możemy jednak zabić szeryfa, aby...

Bosman urwał w pół zdania, ponieważ w tej chwili drzwi cicho się uchylły. Do pokoju weszła Sally stąpając ostrożnie na palcach.

— Skaranie boskie z tobą, dziewczyno! Czego tu jeszcze szukasz? — ofuknął ją bosman. — Taka panienka jak ty dawno już powinna leżeć w łóżku w swoim pokoju.

Sally zachichotała z uciechy i kiwnęła głową w kierunku Tomka.

— Pokaż panu bosmanowi, co przyniosłaś — powiedział chłopiec.

Dziewczynka podbiegła do marynarza. Podsunęła mu pod nos otwartą dłoń, na której spoczywał mały klucz. Błysk zrozumienia i podziwu przemknął po twarzy bosmana.

— Zaraz wydało mi się, że coś knujecie — mruknął. — W jaki sposób wycygałaś kluczyk od stryjka?

— Czy pan bosman już należy do spisku, Tommy? — zapytała dziewczynka.

— Tak, tak Sally. Możesz swobodnie mówić — uspokoił ją Tomek.

— Stryjka kluczyk wisi tak jak przedtem na łańcuszku od zegarka — wyjaśniła Sally. — To jest natomiast drugi, zupełnie taki sam kluczyk, wyjęty z szuflady biurka.

— Nieźleście to wykombinowali — przyznał bosman. — Jeśli Indianiec pryśnie, a strzyjek przypomni sobie o tym drugim kluczyku i go nie znajdzie, wszystko wyda się jak amen w pacierzu. We trójkę powędrujemy do ciupy.

— W tym właśnie cały sęk — zmartwił się Tomek. — Trzeba tak zrobić, aby kluczyk znalazł się z powrotem w biurku.

Bosman zmarszczył czoło, a Tomek podszedł do okna rozważając coś w myśli. Gdy się odwrócił, rzekł:

— Jakoś to będzie, moi drodzy. Sally, co porabia twoja mamusia?

— Nic nam z jej strony nie grozi. Mamę rozboleła głowa, więc zapewne wzięła proszek, bo śpi już w najlepsze.

— To dobrze. Teraz nic tu po tobie, droga przyjaciółko. Wróc do swego pokoju, rozbierz się i połóż do łóżka.

— Phi, a gdzie nasz spisek? — oburzyła się Sally.

— Jeszcze nie skończyłem. — stanowczo odparł Tomek. — Połóż się do łóżka, lecz pamiętaj, że nie wolno ci zasnąć! Jak tylko dostanę kluczyk z powrotem, będziesz musiała

go zanieść na dawne miejsce.

— Wcale mi się to nie podoba! Ja chcę być obecna przy całym spisku.

— Sally, każda rozsądna osoba wie, że spiskowcy mają ściśle przydzielone role. Jeżeli wykonamy je dokładnie według planu, to wszystko powinno się udać. Natomiast inaczej... kłapa! Rozumiesz?

— Czy ty uważasz, że moja rola jest ważna? — niespokojnie zapytała Sally.

— Wykonujesz najważniejsze zadanie, bo gdybyśmy nie mieli kluczyka, to w ogóle nic by się nie udało. Prawda, panie bosmanie?

— Prawda, jak amen w pacierzu — potwierdził bosman.

— Możecie na mnie polegać — zapewniła Sally. — Czekam więc w łóżku na kluczyk.

— Uff...! — ciężko westchnął Tomek, gdy Sally zniknęła za drzwiami. — Ależ ona jest uparta! Na szczęście poszła!

— Jeżeli wszystkie sikorki są takie, to chyba do końca życia zostanę kawalerem — jak echo odezwał się bosman. — No, ale jakoś dałeś sobie z nią radę. Co teraz zrobimy?

— Zaniesiemy Indianom rum, a reszta będzie zależeć od okoliczności. Niech pan postara się odciągnąć na chwilę strażników od jeńca, żebym mógł z nim pomówić.

— Tak jak każdy statek musi mieć kapitana, tak każde przedsięwzięcie wymaga jednego dowódcy. Wykombinowałeś tę całą hecę, więc bądź kapitanem. Dobra nasza, postaram się zabawić tych dwóch strażników i ich koleżków. W jaki sposób poznam, że już wypełniłeś zadanie?

— Gdy obetrę czoło chustką, będzie to znak, że wszystko załatwione.

— Zgoda, teraz rozwińmy żagle!

Bosman wepchnął flaszkę rumu do kieszeni spodni, po czym wymknęli się z domu. Marynarz zadowolony był, iż Tomek wziął na siebie porozumienie się z Czarną Błyskawicą. Poczciwiec nie lubił wyęźać umysłu; wszelkie trudności zazwyczaj pokonywał uderzeniem pięści, co przy jego niezwykłej sile nie sprawiało mu zbyt wielkiego kłopotu. W obecnej jednak sytuacji siła nie na wiele by się przydała. Wobec tego zaufał młodszemu przyjacielowi, którego rozsądek, spryt i przysłowiowe wprost szczęście zawsze podziwiał.

Pojawienie się ich przy ognisku zostało powitane pochwalnym szmerem. Przez cały dzień policjanci nie mieli czasu pomyśleć o posiłku, toteż kolacja obficie zakrapiana piwem zrobiła swoje. Wszyscy byli podnieceni i spragnieni wody ognistej.

Bosman wolnym ruchem wydobyl z kieszeni pełną butelkę. Czerwonoskórzy skwapliwie podsunęli kubki. Bosman już pochylił flaszkę nad pierwszym z brzegu kubkiem, lecz naraz, jakby sobie coś przypomniał, cofnął rękę i odezwał się:

— Słuchaj no, dowódco! Tamci dwaj strażnicy też powinni napić się z nami na dobranoc. Czy nie możesz zawołać ich tu na chwilę?

— Dobra mowa, czas nawet zmienić wartowników. Kto idzie teraz pilnować jeńca? — zapytał dowódca.

Nikt z Indian nie kwapił się do opuszczenia okazji. Butelka była duża. Zawartość jej powinna wystarczyć co najmniej na dwie kolejki.

Bosman, widząc ociąganie Indian, rzucił jakby od niechcienia: — Ha, wszyscy lubicie dobrą wodę ognistą. Mnie też trudno odegnąć od pełnej butelki. Ale mam pewną myśl! Mój młody towarzysz nie pije alkoholu. Bez żalu zastąpi na chwilę tamtych dwóch zuchów.

Dowódca chciał zaproponować, lecz bosman nie dopuścił go do słowa ciągnąc:

— Nie ma się co obawiać, dowódco. Mój kumpel na sto kroków niezawodnie trafi nawet najmniejszego ptaka prosto w łepetynę. Musicie przyjechać tu kiedy w wolnej chwili, aby zobaczyć jego niezwykłą celność. Nie spotkałem dotąd równego mu strzelca, chociaż sam przedziurawiam monetę rzuconą w górę. Słuchaj, zastąp tamtych zuchów, tylko nie spuszczaaj oka z tego gagatka!

Tomek w milczeniu wolnym krokiem ruszył w kierunku drzewa bawełnianego. Obydwaj strażnicy musieli słyszeć głośną rozmowę bosmana, oddalonego od nich zaledwie o kilkanaście kroków, gdyż bez sprzeciwu spieszenie podszli do reszty towarzyszy.

Tomek usiadł na ziemi. Oparł się plecami o pień drzewa. Rozejrzał się wokoło i skoro tylko stwierdził, że nikt niepowołany nie może go usłyszeć, powiedział półszepem po angielsku:

— Nie mamy chwili do stracenia, więc niech Czarna Błyskawica słucha uważnie. Dzisiejszego ranka przypadkiem przeszkodziłem Czerwonemu Orłowi w ostrzeżeniu ciebie przed zasadzką. Chcę teraz naprawić zło wyrządzone niechcący i pomóc memu bratu w ucieczce.

Ani jeden mięsień nie drgnął w kamiennej twarzy Czarnej Błyskawicy. Siedział dalej bez ruchu, lecz gdy Tomek wspomniał Czerwonego Orła, Indianin rzekł cicho:

— Ugh! Myślałem, że Czerwony Orzeł mnie zdradził!

— Nie, on nie jest zdrajcą! Zwichnął nogę walcząc ze mną, a wtedy właśnie Czarna Błyskawica minął samotnie górę. Nim Czerwony Orzeł odzyskał siły, by dosięść konia, było już za późno. Czy mój czerwony brat mógłby otworzyć okowy, gdyby miał kluczyk?

— Czarna Błyskawica mógłby to zrobić.

— Słuchaj uważnie, Czarna Błyskawico, mam już ten kluczyk, lecz cała trudność w tym, że muszę otrzymać go z powrotem, aby nie narazić na przykrość kogoś bardzo ci życziwego.

— O kim mój biały brat mówi? — zapytał Indianin.

— Mój czerwony brat musiał widzieć tę młodą squaw, która była uprzednio tutaj ze

mną. To ona wykradła kluczyk dla ciebie. Więc co zrobimy?

— Mała Biała Róża otrzyma kluczyk z powrotem, zanim stąd ucieknę — oświadczył Czarna Błyskawica po krótkim namyśle. — Czy mój brat mieszka w domu szeryfa?

— Tak, ja i mój przyjaciel jesteśmy gośćmi, Mała Biała Róża zaś jest krewną szeryfa. Czy mój brat widzi górne dwa okna w szczycie domu?

— Widzę, księżyc właśnie je oświetla.

— Pierwsze od nas, to okno mego pokoju, drugie mojej młodej przyjaciółki — wyjaśnił Tomek.

— Niech mój brat opuści z okna sznurek tak, aby dotykał ziemi. Lekkie pociągnięcie będzie oznaczało, że kluczyk jest już do niego przywiązany. Gdy to nastąpi, Czarna Błyskawica ucieknie.

— W jaki sposób przywiążesz kluczyk? — zaniepokoił się chłopiec. — Marnując na to czas, możesz stracić możliwość ucieczki.

— To moja sprawa. Jeżeli nie będę mógł zwrócić klucza, to nie umknę. Czarna Błyskawica nie jest białym człowiekiem, więc ma tylko jeden język. Ugh! Powiedziałem!

Tomek wyciągnął ostrożnie kluczyk z kieszeni. W chwili gdy strażnicy wychylali drugą kolejkę, rzucił go na kolana Indianina. Widział, jak dłonie jeńca schwyciły błyszczący przedmiot i zręcznie wsunęły go za pas na brzuchu.

Tomek odczekał chwilę, dopóki serce nie zaczęło mu bić normalnym rytmem. Dopiero wtedy wyjął chustkę z kieszeni i starannie zaczął wycierać zroszone potem czoło.

Bosman Nowicki natychmiast ujrzał umówiony znak. Rzucił na ziemię opróżnioną butelkę, a następnie z dowódcą straży oraz dwoma policjantami zbliżył się do Tomka.

Biały chłopiec pobladł na moment, gdy dowódca pochylił się nad jeńcem, by sprawdzić okowy na jego rękach i nogach. Znowu dwaj strażnicy usiedli obok jeńca. Swoje długie karabiny położyli na udach nóg skrzyżowanych zwyczajem indiańskim.

Tomek i bosman pospiesznie powrócili do pokoju. Chłopiec zaraz poinformował przyjaciela o przebiegu rozmowy z Czarną Błyskawicą. Marynarz uznał propozycję Indianina za najrozsądniejsze wyjście z kłopotliwej sytuacji, ale nie potrafił odgadnąć, w jaki sposób będzie on mógł wykonać swe zobowiązanie. Obiecał przecież, że kluczyk zostanie przywiązany do sznurka jeszcze przed jego ucieczką. Aby dotrzymać słowa, musiałyby zlecić komuś innemu zwrócenie kluczyka. Co to miało oznaczać?

Oczywiście zanim bosman i Tomek zaczęli się głowić nad rozwiązaniem tej zagadki, opuścili z okna długi sznurek. Następnie zrzucili z siebie część odzienia, by w każdej chwili móc pozorować zerwanie się z łóżek. Potem usiedli na podłodze przy parapecie otwartego okna. Tomek przywiązał do lewej ręki koniec sznurka, aby poczuć natychmiast najlżejsze nawet szarpnięcie. Bosman ćmił swoją fajkę. Od czasu do czasu dyskretnie spoglądał przez okno na podwórze. Drzewo bawełniane, pod którym leżał skępowany więzień, oddalone było od domu o jakieś trzydzieści metrów. Odblask niewidocznego z okna ogniska padał aż

do stóp drzewa, pozwalając widzieć ciemne sylwetki czuwających strażników.

Wolno mijała godzina za godziną. Dopiero po następnej zmianie warty sprawy zaczęły przybierać trochę inny obrót.

Tomek i bosman znużeni wyczekiwaniem przestali rozmawiać. Przez jakiś czas trwali w milczeniu.

Naraz bosman uniósł się na kolanach i wyjrzał przez okno. Srebrzysty księżyc w pełni przesunął się po nieboskłonie i znikł poza zabudowaniami. Rozłożyste drzewo bawełniane osnuło się cieniem nocy. Jednocześnie ognisko na indiańskim biwaku trochę przygasło. Widoczne było, że Indianie śpią już od dawna, zapominając o podsycaniu ognia chrustem. Bosman pochylił się ku chłopcu.

— Nie kimaj, brachu! — szepnął. — Jestem dziurawym pudłem morskim, jeżeli teraz coś się nie stanie.

— Nie śpię, niech pan będzie spokojny — zapewnił Tomek. — Czy dostrzegł pan coś ciekawego?

— Właśnie w tym sęk, że nic nie widać. Spójrz sam!

Tomek podniósł się. Przyłgął do futryny okna. Wyjrzał ostrożnie.

Po stepie pełzał szaromleczny tuman mgły. Pobliskie krzewy, drzewa budynki rozplywały się w białym obłoku, przybierały nierealne kształty. Potężne drzewo bawełniane jakby nagle ożyło. Gałęzie zdawały się poruszać, przybliżać bądź oddalać. Wokół panowała upiorna cisza. Zamilkły nawet świerszcze stepowe.

Naraz czerwony odblask rozblęsnął w mgielnych oparach, ktoś pewnie dorzucił chrustu do ogniska. Tomek drgnął całym ciałem. Chociaż najłżejszy nawet szmer nie wkradł się w ciszę, poczuł dwukrotne szarpnięcie za sznurek. Tomek trącił bosmana, który stanął przy nim. Szybko wciągnęli sznurek. Na jego końcu ujrzeli mały, płaski klucz.

— Ha, więc nie nawalił w parafię! — z ulgą odetchnął marynarz.

Tomek natychmiast odzyskał zimną krew.

— Zaniosę kluczyk; oby tylko Sally nie spała! — szepnął.

— Spiesz się i bądź ostrożny. Kto wie, co się może zdarzyć. Gotowe? — mruknął bosman.

— Już odwiązałem. Niech pan tutaj czeka na mnie...

Tomek drgnął po raz drugi, gdy otwierane przezeń drzwi trochę zaskrzypiały, lecz nie tracił czasu. Boso szybko przebiegł do pokoju zajmowanego przez panie. Nim zdążył chwycić za klamkę, drzwi cicho się otworzyły. Odetchnął z ulgą. Na korytarz wysunęła się postać w długiej białej koszuli.

— Tommy, to trwało całą wieczność — szepnęła. — Czy masz kluczyk?

— Mam, Sally, mam! Wszystko w porządku!

— Więc spisek się udał? — zapytała podniecona. — Och Tommy, ty jesteś genialny!

— Daj spokój, Sally, spiesz się...

Dziewczynka wzięła kluczyk z jego ręki. Jak biała mgła ścieląca się po stepie spłynęła lekko po schodach. Już przystanęła przed drzwiami gabinetu, gdy naraz przed domem rozległo się straszliwe wycie z kilkunastu gardzieli. Huknęły strzały...!

Piekielny wrzask przeplatany słowami komendy i kanonadą dodały Sally odwagi. Uchyliła drzwi, wśliznęła się do ciemnego gabinetu i stanęła przestraszona. Przy biurku ktoś siedział...

Wstrzymała oddech. Ta właśnie strona domu wychodziła na podwórze, gdzie płonęło ognisko; czerwonawy odblask pełzał po pokoju. Ktoś siedział przy biurku oparłszy głowę na dłoniach. W tej chwili strzały huknęły ze wzmożoną siłą. Posiać przy biurku gwałtownie opuściła dłonie i powstała.

Sally zasłoniła usta, aby nie krzyknąć. To był stryjek. Nie spiesząc się podjął z biurka pas z rewolwerami. Wolno założył go na biodra.

Sally ochłonęła. Bezszelestnie wysunęła się z gabinetu i przyłgnęła do ściany. Szeryf przeszedł obok niej. Załedwie kroki jego zadudniły na werandzie, wbiegła do pokoju. Szuflada w biurku była na szczęście otwarta. Dotknęła dłonią zimnej stali. Włożenie kluczyka w zamek było bagatelką. Zamknęła szufladę, lecz o drzwi gabinetu nie potrzebowała się już troszczyć. Wbiegła po schodach. Tomek drżąc z niecierpliwości chwycił ją za ramię.

— No i co, Sally? — zapytał.

— Nic, Tommy, nic!

— A kluczyk?

— Och, włożyłam go do biurka... — szepnęła.

— Na litość boską, co się dzieje w tym domu? — zawołała pani Allan, wybiegając na korytarz ze świecą w ręku.

Ujrzała córkę i Tomka, lecz zanim zdążyła zadać im jakiegokolwiek pytanie, czujny jak żuraw bosman pojawił się w korytarzu. Zaraz też tubalnym głosem zaczął panią Allan uspokajać:

— Niech się szanowna pani nie denerwuje. Nasz przewidujący szeryf miał rację. Indiancom nie wolno zbyt dowierzać. Pokłócili się na pewno o coś, bo hałasują, jakby ich kto ze skóry obdzierał. Nawet nasza młodzież zerwała się ze snu. Chodźmy na dół sprawdzić, co się stało.

W tej właśnie chwili gniewne nawoływania, przeplatane pojedynczymi strzałami, zaczęły się oddalać od domu.

GROŹNY CIEN

Tajemnicze okoliczności, w jakich nastąpiła ucieczka Czarnej Błyskawicy, stały się na wiele dni tematem rozmów na ranczo szeryfa Allana. Nawet trójka konspiratorów była zaskoczona niektórymi wydarzeniami.

Nie ulegało wątpliwości, iż jeniec uciekając z niewoli musiał w jakiś sposób pozbyć się oków. Ku zadowoleniu konspiratorów szeryf niezbyt długo zastanawiał się nad tym faktem. Bardziej niepokoił go dowód, że Czarna Błyskawica musiał mieć sprzymierzeńców wśród indiańskich policjantów. Zostało to ustalone podczas śledztwa po ucieczce jeńca.

Kolejność wypadków przedstawiała się następująco:

Strażnicy pilnujący Czarnej Błyskawicy zmieniali się co trzy godziny. Nad samym ranem dowódca policjantów ocknął się z drzemki. Przemoknięty od wilgotnej mgły opadającej na step postanowił okryć się kocem. Wtedy właśnie zauważył dogasające ognisko. Nie mógł tolerować podobnej nieostrożności strażników, do których obowiązku należało pilnowanie ognia. Ruszył więc w kierunku drzewa bawełnianego, aby udzielić nagany. W tym momencie jeniec porwał się z ziemi. Jak jastrząb rzucił się na drzemiącego obok strażnika, po czym zniknął w pobliskich zaroślach.

Donośny okrzyk przerażenia poderwał na nogi policjantów. Razem z dowódcą chwycili karabiny i rozpoczęli pościg za zbiegiem. Wszelkie jednak poszukiwania były skazane na niepowodzenie. Mgła spowiła gąszcz kaktusowego zagajnika i step. Policjanci dodawali sobie odwagi strzałami na oślep, lecz żaden z nich nie miał pewności, czy nieoczekiwane nie ugodzi go ostrze noża Czarnej Błyskawicy.

Dowódca pierwszy opanował swe wzburzenie spowodowane ucieczką jeńca. Wszystkie ślady pozostawione na ziemi przez zbiega były w tej chwili niewidoczne, toteż nie chcąc dopuścić do ich zatarcia, wstrzymał pościg. Indianie wracali na ranczo jak niepyszni, gdy wyszedł do nich szeryf Allan. Ostroimi słowami skarcił strażników za brak czujności, a następnie poprowadził ich ku korralom[16], w których trzymano konie. Według jego słusznego rozumowania, Czarna Błyskawica nie mógł uciekać pieszo, jeżeli więc istniała jakakolwiek szansa na schwytanie go w nocy, to tylko w pobliżu końskich zagród. Po przybyciu do korralu Indianie niebawem stwierdzili brak dwóch koni: konia Czarnej Błyskawicy oraz konia jednego z policjantów, zapewne współnika więźnia. Teraz szeryf Allan zrezygnował z nocnej pogoni za zbiegiem.

Zaledwie wzeszło słońce, rozpoczęto poszukiwania. Czerwonoskórzy, z wrodzoną Indianom wprawą, odczytywali ślady pozostawione na ziemi. Nie ulegało wątpliwości, że ich towarzysz ułatwił jeńcowi ucieczkę. On to pierwszy oddalił się spod drzewa bawełnianego. Zbliżył się do domu mieszkalnego, by zapewne sprawdzić, czy wszyscy już śpią, po czym pobiegł w kierunku korralu. On to właśnie przygotował konie do ucieczki. Dowódca straży zbudził się w chwili, gdy Czarna Błyskawica miał podążyć w gąszcz w ślad za swym współnikiem. Widząc zbliżającego się dowódcę, jeniec pchnął nożem drzemiącego drugiego strażnika i skoczył w zarośla. Nie tracąc czasu pobiegł do zagrody, gdzie czekano już na niego z osiodłanymi wierzchowcami.

Dalsze odczytane ślady wprawiły szeryfa w niemałe zdumienie. Otóż, zgodnie z jego mniemaniem, Czarna Błyskawica powinien był uciekać na teren Meksyku. Tymczasem, jak wskazywały ślady, obydwaj zbiegowie udali się w przeciwnym kierunku. Co to miało oznaczać? Czy Czarna Błyskawica przybył w tak ważnej misji, iż gotów był dla wypełnienia jej narazić swe życie?

Szeryf razem z policjantami podążyli w tropy za uciekinierami. Przejechali stepem około dwóch kilometrów. Naraz szeryf zaniepokoił się nie na żarty. Ślady zbiegów wiodły wprost w kierunku północno-zachodnim, gdzie znajdowało się rancho Indianina Wiele Grzyw. Czyżby Czarna Błyskawica chciał zemścić się na nim? Zaledwie Allan powziął tę myśl, natychmiast podzielił strażników na dwa oddziały. Jeden z nich, razem z dowódcą straży, miał dalej tropić zbiega, a szeryf na czele drugiego pognął na przełaj ku domostwu Wiele Grzyw.

Złe przeczucia szeryfa sprawdziły się całkowicie. Po przybyciu na rancho zastał żonę Indianina nad stygnącym już trupem męża. Zrozpaczona kobieta odmówiła jakichkolwiek wyjaśnień. Nie dość tego, obrzuciła Allana potokiem wyrzutów, iż to on właśnie namówił męża do zdrady, i kazała mu zaraz opuścić jej dom.

Szeryf ze zdwojoną energią przystąpił do pościgu. Do podejrzenia o podburzanie Indian przeciwko białym dołączyło się teraz oskarżenie o zabójstwo. Czarna Błyskawica musiał być za nie ukarany. Ślady zbiegów doprowadziły do rezerwatu Indian Mescalero, którzy należąc do szczepu Apaczów spokrewnieni byli z Hawajami. Tutaj ślady uciekinierów ginęły na kamienistym gruncie.

Szeryf porozumiał się z agentem rządowym zawiadującym rezerwatem. Razem rozpoczęli poszukiwania; nie dały one pożądanego wyniku. Indianie byli bardzo powściągliwi w czasie rozmów. Większość z nich twierdziła, że w ogóle nie słyszała o Czarnej Błyskawicy. To właśnie dało szeryfowi wiele do myślenia. Apacze byli określan przez białych jako "złe duchy Dzikiego Zachodu". Wśród nich najłatwiej mogło się zatlić zarzewie buntu.

Przez pół dnia szeryf wraz z policjantami myszkowali po rezerwacie. Pod różnymi pretekstami wchodzili do indiańskich mieszkań, wypytywali starych i młodych, lecz mimo to nie zdołali wpaść na trop zbiega. Przed wieczorem szeryf powrócił do domu. Tutaj oczekiwał na niego kapitan Mortona, który przybyłby odstawić buntownika do Fortu Apache.

Nie był to zbyt wesoły wieczór dla Allana. Kapitan Mortona, jako zwolennik polityki silnej ręki wobec Indian, rzucał gromy na cywilną administrację rezerwatów, wręcz oskarżając agentów rządowych o karygodną, jego zdaniem, łagodność. Według niego należało wszystkich czerwono skorych załamać gospodarczo i moralnie. Masowe wyłupienie bizonów uniemożliwiło Indianom raz na zawsze swobodną i niezależną egzystencję. Bizony były ich głównym źródłem utrzymania przez całe wieki. Głód jednak nie pozbawił czerwono skorych wojowników "dzikości". W domach budowanych dla nich przez białych urządzali magazyny żywności, podczas gdy sami mieszkali nadal w nędznych szałasach. Nie chcieli również nosić ubrań dostarczanych im przez rząd. Obcinali nogawki

spodni, robili z nich sztylpy. Kapitan Mortona dowodził, że jedynie — ściśle wykonanie zarządzenia wydanego przez Waszyngton w roku 1896 mogło skutecznie przyczynić się do zapomnienia przez Indian o starych zwyczajach. W myśl tego zarządzenia wszyscy mężczyźni mieli nosić włosy krótko obcięte, uważano bowiem, że one są ostatnim ogniwem wiążącym Indian z dawnymi zwyczajami. Wielu czerwonoskórych sprzeciwiło się wykonaniu zarządzenia, a znaczna część agentów rządowych nie zdołała wprowadzić go przymusem w życie.

— Oto macie skutki waszego pobłażania czerwonoskórym — mówił gniewnie kapitan Mortona. — Indianie tańczą w rezerwatach Taniec Ducha, ukrywają wrogich nam emisariuszy, a wśród niby to lojalnych wobec rządu policjantów indiańskich znajdują się zdrajcy, umożliwiając ucieczkę takim bandytom jak Czarna Błyskawica. Przyjdzie dzień, kiedy władze pożałują, iż odebrały armii zarząd nad rezerwatami.

Bosman i Tomek nie mieszały się do dyskusji, chociaż nie podzielali zdania kapitana Mortona. Ze zrozumiałych względów woleli nie zwracać zbytnio na siebie jego uwagi. Natomiast pani Allan nie tajiła oburzenia. Oświadczyła po prostu, że to nie długie włosy, lecz niesprawiedliwe traktowanie zmuszało Indian do samoobrony. Szeryf Allan podzielał w wielu miejscach jej poglądy, toteż Mortona odjechał z ranczo rozgniewany.

Minęło kilka dni. Czarna Błyskawica przepadł jak kamień w wodę. Życie biegło znowu po dawnemu. Coraz mniej na ranczo Allana interesowano się zbiegiem, a w końcu o nim zapomniano.

Zbliżał się czas cechowania bydła rozproszonego po rozległych pastwiskach. Hodowcy przygotowywali się do spędu stad, aby wypalić swój znak rozpoznawczy na nowym przychówku. Jednocześnie należało wybrać pewną liczbę bydła na sprzedaż. W związku z tym szeryf Allan urządzał wypadki na pastwiska, gdzie wypasały się jego stada.

Po zakończeniu cechowania bydła ranczerzy — starym zwyczajem — urządzali publiczne popisy sprawności kowbojów. Podczas igrzysk odbywały się konne wyścigi. Uroczystość ta, zwana w Ameryce rodeo, zaprzętnęła również umysły takich zapaleńców jak Tomek i bosman Nowicki.

W stadninie szeryfa wyróżniała się szybkonoga młoda klacz, doskonale ułożona do jazdy wierzchem przez ujeżdżacza, starego Indianina. Miała ona jednak pewną wadę — była bardzo nerwowa i płochliwa. Z tego też powodu dosiadać jej mógł tylko ten, kto potrafił stanowczą łagodnością zaskarbić sobie przywiązanie zwierzęcia.

Tomek, tak jak jego ojciec, był szczerym przyjacielem wszystkich stworzeń. Nigdy nie nęciły go bezmyślne, krwawe łowy. Największe zadowolenie dawało mu osvajanie dzikich zwierząt, do czego posiadał niezwykle wprost zdolności. Kiedy szeryf pokazał mu po raz pierwszy swą wspaniałą klacz, Tomek stanął olśniony. Klacz tuliła uszy, rozszerzonymi chrapami węszyła zapach obcego człowieka, nerwowo grzebała kopytami. Tomek, nie zważając na ostrzeżenie szeryfa, odważnie zbliżył się do groźnego rumaka. Łagodnym ruchem nakrył lewą dłonią drżące chrapy mustanga, prawą zaś delikatnie głaskał jego kark. Pod wpływem pieścizot klacz się uspokoiła. Tomek odpiął ostrogi, sprawnie i lekko

wskoczył na wierzchowca. Klacz posłusznie obiegnęła korral, a Tomek, jadąc na oklep, kierował nią jedynie uciskami kolan, jak to zazwyczaj czynią Indianie.

Zdumiony tym widokiem szeryf zaproponował chłopcu, aby na jego klaczy wziął udział w wielkim rodeo. Jako wytrawny hodowca rasowych koni wiedział doskonale, że dobry dżokej w dużej mierze może się przyczynić do zwycięstwa w wyścigu.

Tomek nie ukrywał radości z powodu tego wyróżnienia. Wszyscy hodowcy wyszukiwali najlepszych jeźdźców dla swych faworytów, a przecież klacz była ulubienicą Allana. W poczuciu wielkiej odpowiedzialności zaczął starannie przygotowywać się do zawodów. Dziesięciomilowy wyścig miał się odbyć w szczerym stepie. Wobec tego Tomek codziennie odbywał na klaczy coraz to dłuższe wycieczki.

W dziesięć dni po ucieczce Czarnej Błyskawicy skierował mustanga ku leżącemu na pograniczu samotnemu szczytowi. W skrytości ducha pragnął od dawna spotkać się z Czerwonym Orłem. Nie chciał wypytywać oniego szeryfa, ponieważ to mogłoby nasunąć Allanowi jakieś podejrzenia, choć już teraz nie było pewne, czy szeryf nie domyśla się czegoś. Przecież mógł owej pamiętnej nocy zajrzeć do szuflady w biurku i stwierdzić brak kluczyka w zapasowej parze "bransoletek". Gdyby niczego nie podejrzewał, musiałby się bardziej interesować, w jaki sposób jeniec zdjął okowy. Tymczasem stryj Sally przeszedł nad tą sprawą do porządku dziennego, jakby wiedział, kto spłatał mu figla. Sally stwierdziła z całą pewnością, że stryj udał się do indiańskich policjantów dopiero wtedy, gdy po raz wtóry usłyszał strzały. W tej sytuacji Tomek wolał nie wypytywać szeryfa o Czerwonego Orła. Jeżeli młody Indianin naprawdę pracował jako kowboj u Allana, to wcześniej czy później powinni się spotkać w okolicznościach nie budzących czyichkolwiek podejrzeń.

Klacz z rozwianą przez wiatr białą grzywą biegła miarowymi susami. Z nadzwyczajną lekkością i wdziękiem przeskakiwała wykroty oraz kolczaste kaktusy wyrastające gdzieniegdzie wśród krzewów barwnej szałwi, wyściełającej purpurowym dywanem bezkresny step. Stuliwszy małe, kształtne uszy zdawała się upajać własną szybkością.

Chłopiec zachwycał się jej zwinnością, inteligencją i wytrzymałością. Chociaż sierść wierzchowca zwilgotniała od potu, oddech jego był niemal tak równy, jak w chwili rozpoczęcia biegu. Tomek rozmyślał o długodystansowym wyścigu podczas bliskiego już rodeo. Tak bardzo pragnął, aby klacz Allana zwyciężyła rumaki innych ranczerów.

Jeszcze około dwustu metrów dzieliło Tomka od podnóża wyniosłości, gdy spostrzegł Czerwonego Orła stojącego na głazie. W pobliżu, poniżej, pasł się jego wierzchowiec. Młody Indianin także dojrzał białego chłopca. Kilkakrotnie machnął ręką w jego kierunku, po czym zeskoczył z kamienia i wybiegł mu na spotkanie.

Tomek ściągnął cugle. Klacz strzygąc uszami przystanąła tuż przed Indianinem. Tomek zsunął się z siodła, po czym wyciągnął prawicę ku młodemu druhowi. Uścisnęli sobie dłonie.

— Ugh, jak to dobrze, że mój biały brat przyjechał tutaj. Od kilku dni czekam co rano na mego brata w pobliżu tego szczytu- powiedział Nawaj.

— Ja również chciałem ujrzeć mego brata, lecz musiałem zachować ostrożność, aby nie wzbudzić podejrzeń Allana — odparł Tomek. — Cieszę się, że już nie kulejesz.

— Nie mogę jeszcze chodzić zbyt pewnie, ale to już drobiazg — uśmiechnął się Indianin.

— Porozmawiamy o wielu sprawach, ale najpierw muszę się zająć moim koniem — rzekł Tomek rozpinając popręgi.

Wiechciami trawy starannie wytarł klacz. Tymczasem młody Nawaj okiem znawcy przyglądał się wierzchowcowi.

— Ugh, mój brat ma rączego rumaka — stwierdził po chwili. — Obserwowałem jego bieg po stepie. Naprawdę może iść z wiatrem w zawody.

— To klacz szeryfa Allana. Na najbliższym rodeo wezmę na niej udział w wyścigu długodystansowym — wyjaśnił Tomek. — Tak bardzo chciałbym wygrać!

— Wspaniały i śmigły rumak, ale sprawa nie będzie łatwa. Do wyścigu na rodeo staną najlepsze konie z całej okolicy. Nawet hodowcy meksykańscy zgłosili swój udział, a między innymi i Don Cedro. On ma doskonałe rumaki — powiedział Czerwony Orzeł.

— Wiem, że sprawa nie będzie łatwa, ale tym bardziej pragnąłbym zwyciężyć.

Obaj przyjaciele usiedli na ziemi obok głazów. Przez pewien czas przyglądali się sobie w milczeniu. Znowu pierwszy zagadnął młody Nawaj:

— Mój biały brat zyskał dwóch przyjaciół, na których może liczyć w każdej potrzebie.

— Kogo masz na myśli? — żywo zapytał Tomek.

— Czerwonego Orła, chociaż przypuszczasz zapewne, iż jestem jeszcze niezbyt doświadczonym chłopcem i... Czarną Błyskawicę.

— Wcale tak nie myślę o Czerwonym Orle. Nawet doświadczeni mężczyźni nieraz popełniają omyłki. Bardzo chciałbym się z tobą zaprzyjaźnić — zapewnił Tomek. — Jeżeli jednak chodzi o Czarną Błyskawicę, to sprawa nie jest taka prosta. Oddałem mu drobną przysługę, ponieważ mimo woli przyczyniłem się do schwytania go przez szeryfa. Czy mój czerwony brat czatował wtedy tutaj, aby uprzedzić Czarną Błyskawicę o zasadzce?

— Mój biały brat powiedział prawdę. Czerwony Orzeł miał ostrzec Czarną Błyskawicę.

— Czy widziałeś się z nim później?

— Czerwony Orzeł widział Czarną Błyskawicę. Gdyby mój brat nie wyjaśnił mi, dlaczego nie zdołałem go ostrzec, byłbym zginął jak zdrajca Wiele Grzyw. Czarna Błyskawica spada jak grom na swych wrogów. Mój biały brat ocalił mój honor i... życie.

— Moim obowiązkiem było wyjaśnić to przykre nieporozumienie. Nie jestem jednak pewny, czy dobrze uczyniłem pomagając Czarnej Błyskawicy. Zdaniem szeryfa podburza on Indian do powstania przeciwko białym. Nie wydaje mi się to zbyt rozsądne.

— Gdyby Indianie przybyli do twej ojczyzny i chcieli pozbawić cię wszystkiego, co

Wielki Manitu przeznaczył dla ciebie i twoich ojców, czy nie chwyciłbyś za broń we własnej obronie? — zapytał Nawaj.

— Masz słuszość — przyznał Tomek — lecz biali są liczniejsi od was i posiadają lepszą broń. Nie dacie rady. Rozpoczynając wojnę w tak niekorzystnych warunkach tylko przyspieszycie własną zgubę.

— Jeżeli czerwoni bracia zaprzestaną wzajemnych walk i zjednoczą się dla wspólnej obrony, to będą silniejsi od białych. Pamiętaj, że broń można kupić za... złoto.

— Tak mówią Indianie uprawiający obrzęd zwany Tańcem Ducha, Nie powtarzaj tego przed białymi, jeśli nie chcesz utracić wolności — smutno odparł Tomek. Nie miał już wątpliwości, iż jego młody przyjaciel należy do tajemniczego związku.

— Wielki Ojciec z Waszyngtonu obiecał nam ziemię i wolność, ale inni biali łamią wszelkie układy. Musisz poznać moich czerwonych braci, a wtedy nie będziesz źle o nas sądził.

Ostatnie słowa Indianina szczególnie ucieszyły Tomka. Czerwony Orzeł mógł być bardzo pomocny w nawiązaniu kontaktu z Indianami. Było to przecież konieczne dla wypełnienia misji zleconej przez Hagenbecka.

— Czy Czerwony Orzeł może mi ułatwić zwiedzenie rezerwatu? — zapytał.

— Oczekiwałem tu kilka dni, aby to memu bratu zaproponować — odpowiedział młody Indianin. — Kilku starszych szczepu Apaczów i Nawajów pragnie poznać mego białego brata.

— W jaki sposób starsi twego plemienia mogli się o mnie dowiedzieć? Zapewne rozmawiałeś z nimi na ten temat — dopytywał się Tomek.

— Czerwony Orzeł jest zbyt młody, aby rozmawiać z wojownikami należącymi do rady starszych — wyjaśnił Nawaj. — Ktoś inny polecił im zaprosić mego brata do naszych wigwamów.

Tomek był zaskoczony. Któż to mógł posiadać prawo rozkazywania radzie starszych dwóch najbardziej wojowniczych szczepów indiańskich? Czyżby Allan naprawdę wpadł na trop zorganizowanych rewolucjonistów? Spod oka spojrzął na czerwonoskórego towarzysza. Młody Indianin siedział bez ruchu. Obydwie dłonie oparł na kolanach podwiniętych skrzyżowanych nóg. Wzrok jego zdawał się błądzić po szerokim, purpurowym stepie, lecz jakieś nieokreślone uczucie ostrzegało Tomka, iż jest pilnie obserwowany. Nie chcąc dłużej pozostawać w niepewności zapytał:

— Czy to Czarna Błyskawica polecił zaprosić mnie do rezerwatu?

— Ugh! Pozostawił on również pewną wiadomość dla mego białego brata.

— Cóż to za wiadomość?

— Czerwony Orzeł nie wie, lecz mój brat dowie się wszystkiego od starszych plemienia. Po raz drugi instynkt ostrzegł Tomka, iż czerwonoskóry nie mówi prawdy. Wydało mu

się, że mimo jasnych promieni słońca na purpurowy step padł jakiś groźny cień, do złudzenia przypominający sylwetkę Czarnej Błyskawicy. Purpura szałwi miała czerwień krwi. Chociaż panował upał, dziwny chłód przeniknął białego chłopca. Drgnął, jakby się zbudził z jakiegoś dręczącego snu. Dziwne przywidzenie pierzchno natychmiast. To tylko samotny, wysoki szczyt rzucał nieforemny cień na zalany słoneczną jasnością step, a krzewy purpurowej szałwi, kołysane lekkim podmuchem wiatru, sprawiały wrażenie falującego, czerwonego morza.

Tomek ze zwykłą sobie niefrasobliwością szybko otrząsnął się z przykrego wrażenia. Nie on przecież był sprawcą niedoli Indian. Z całego serca życzył im odzyskania choćby części swej ziemi i wolności. Niech więc Taniec Ducha spędza sen z powiek jankesom, lecz Tomek i jego przyjaciele nie mają powodów do jakichkolwiek obaw. Za kilka tygodni wrócą do Anglii, pozostawiając własnemu losowi kontynent amerykański i jego mieszkańców.

Tak rozmyślając uśmiechnął się do siebie. Wydawało mu się, że zupełnie niepotrzebnie zaprzętał sobie głowę przywidzeniami. Przecież jego osobiste sprawy układały się jak najpomyślniej. Pozna interesujących wojowników indiańskich. Przy pomocy Czerwonego Orła zwerbuj grupę Indian na wyjazd do Europy i wkrótce po rodeo powróci razem z nimi do ojca.

— Kiedy wybierzemy się do rezerwatu? — zapytał.

— Jutro będę czekał na mego brata przy kępie wysokich topoli nad strumykiem w pobliżu ranczo — odparł Indianin.

— W jakiej porze zastanę tam mego brata? — pytał dalej Tomek.

— Będę przy strumieniu w czasie ранego pojenia bydła.

— To znaczy około szóstej rano. Dobrze, przyjadę na pewno!

W REZERWACIE MESCALERO APACZÓW

Czerwony Orzeł dotrzymał słowa. Następnego dnia około ósmej rano obydwaj chłopcy znajdowali się już przy zabudowaniach agencji rezerwatu Mescalero Apaczów. Tutaj przed kilkoma dniami szeryf Allan prowadził bezskuteczne poszukiwania zbiegłego jeńca. Tomek tak był ciekaw przyjrzeć się osławionym Apaczom i Hawajom, że niemal zupełnie zapomniał o Czarnej Błyskawicy.

Czerwony Orzeł zaprowadził Tomka do agenta zawiadującego rezerwatem, ponieważ bez jego zezwolenia nie wolno było białym ludziom wkraczać na indiańskie tereny. Był to akurat czas rozdzielania prowiantów. W myśl umowy, rząd Stanów Zjednoczonych zobowiązany był do udzielania Indianom mieszkającym w rezerwach zasiłków w formie żywności oraz odzieży. Trzeba zaznaczyć, że zapasy przychodziły często nieregularnie bądź w niedostatecznej ilości. Ponadto niektórzy nieuczciwi agenci dopuszczali się nadużyć, pozbawiając Indian należnych im przydziałów.

Agent rządowy zawiadujący rezerwatem Mescalero Apaczów był tego dnia w nie lada kłopotcie. Transport żywności okazał się znów niedostateczny, a tymczasem Mescalero przymierali głodem. Skalisty, nieurodzajny teren rezerwatu uniemożliwiał im uprawę ziemi bądź hodowlę bydła na szerszą skalę. Agent osobiście rozdelał skromne zapasy, pilnie nadzorując indiańską straż, aby nie popełniała nadużyć. Głodni Indianie łatwo zdobywali się na nieprzyjazne odruchy. Było to tym niebezpieczniejsze, że część Mescalero miała jakoby sprzyjać awanturniczemu Czarnej Błyskawicy. Agent akurat wydzielał racje żywnościowe, gdy Tomek zwrócił się do niego o zezwolenie na wejście i zwiedzenie rezerwatu. Tak się szczęśliwie złożyło, że wtedy właśnie w agencji pobierał swój przydział jeden ze starszych plemienia. Dzięki jego zgodzie, po wyjaśnieniach Czerwonego Orła, agent nie stwarzał specjalnych trudności gościowi szeryfa Allana. Za ledwie Tomek wkroczył na właściwy teren rezerwatu, zaraz przekonał się, jak mało dotąd wiedział o zwyczajach i sposobie życia Indian. Wielu bowiem Europejczyków wytworzyło sobie mylne pojęcie o ubiorze i mieszkaniach krajowców północnoamerykańskich. Za powszechnie noszony ubiór Indian uważało się długie, nabijane paciorkami, zakrywające całe nogi i brzuch sztylpy, koszulę, mokasyny i najbardziej rzucające się w oczy, wojenne nakrycie głowy, przybrane orlimi piórami. Tomek mniemał również, że Indianie mieszkają wyłącznie w namiotach, które zwykło się nazywać wigwamami.

Teraz, ujrawszy pierwszy charakterystyczny stożkowaty namiot indiański, natychmiast zatrzymał wierzchowca, by przyjrzeć się barwnym rysunkom na jego pokryciu sporządzonym z bizonich skór. Rysunki te odtwarzały pościg za wapiti^[17].

— Nie wiedziałem, że wigwamy są tak pięknie zdobione — odezwał się Tomek. — Wyobrażałem je sobie jako zwykłe namioty. Tymczasem widzę teraz, że sporządzenie wigwamu wymaga wielu umiejętności.

— Dlaczego mój biały brat nazywa tipi wigwamem? — zdziwił się Czerwony Orzeł i zaraz wyjaśnił: — Wielu białych nie odróżnia wigwamu od tipi. To, co wy nazywacie w swoim języku namiotem, my znamy pod nazwą przyjętą od Indian Dakota jako tipi. Czy

wiesz, że z wynalezieniem tipi wiąże się ciekawa legenda?

— Jaka? Opowiedz!

— Pewien Indianin odpoczywał po łowach w cieniu drzewa bawełnianego. Wiatr strącał nań liście z gałęzi. Indianin podniósł jeden i bawiąc się nim zwinął go mimo woli w stożek. Przyglądając się teraz liściowi wpadł na pomysł zbudowania chatki o podobnym kształcie. Tak oto powstały tipi.

— Co w takim razie nazywacie wigwamem? — zapytał Tomek.

— Wigwamy różnią się od tipi kształtem i materiałem używanym do ich budowy. Wigwam nie jest tak łatwy do przenoszenia z miejsca na miejsce jak tipi, z tego więc powodu tym ostatnim posługują się przeważnie szczepy wędrownie. Indianin wtedy buduje wigwam, gdy ma zamiar przebywać w jednym miejscu przez dłuższy czas. Wznosi go ze słupów i młodych drzewek. Utworzony w ten sposób szkielet, zależnie od możliwości zdobycia odpowiedniego materiału w danej okolicy, pokrywa różnym poszyciem. Na dalekiej północy kryją wigwamy skórami karibu[18], na południu zaś liśćmi palmowymi, korą bądź matami sporządzonymi z szuwarów albo też zaprawą otrzymaną z gliny zmieszanej z mchem; czasem obsypuje się je po prostu ziemią. Niech mój brat spojrzy tam, na prawo! Ten młody Indianin ma zamiar założyć własne ognisko domowe i już rozpoczął budowę wigwamu.

Tomek uważnie przyjrzał się prymitywnej budowli, której nazwę błędnie przypisywał namiotowi tipi, tak charakterystycznemu dla większości wędrownych Indian zamieszkujących rozległe równiny. Ruszyli dalej. Czerwony Orzeł zgodnie z obietnicą chętnie udzielał przyjacielowi wszelkich informacji. Tomek zorientował się, że jego przewodnik musiał już otrzymać pewne szczepowe wtajemniczenie, ponieważ nieobca mu była nawet historia Indian. Roztropny i ciekaw wszystkiego biały chłopiec skwapliwie skorzystał z okazji, by wzbogacić swe pobieżne wiadomości o pierwotnych mieszkańcach Ameryki.

Podczas rozmowy z Czerwonym Orłem dowiedział się więc, że przed przybyciem białych Indianie mieszkali w osadach rozrzuconych we wszystkich częściach Ameryki Północnej i Południowej. Ich sposób życia przystosowany był do charakteru kraju, w którym żyli. Wszyscy Indianie należeli wprawdzie do jednej rasy, znacznie jednak różnili się zwyczajami, językiem oraz stopniem cywilizacji. Niektórzy byli prymitywnymi łowcami, inni rolnikami, podczas gdy w Meksyku, Ameryce Środkowej i Peru kwitły wtedy gęsto zaludnione miasta i państwa z dobrze zorganizowanymi rządami. W państwach Majów, Inków i Azteków indiańska cywilizacja osiągnęła najwyższy rozwój[19].

Tak w Stanach Zjednoczonych, jak i w innych częściach kontynentu amerykańskiego, szczepy indiańskie były zróżnicowane[20]. Mówiły wieloma narzeczami. Często nawet członkowie sąsiednich plemion nie mogli się porozumieć. Aby pokonać wynikające stąd trudności, Indianie zapoczątkowali język znaków, który oceniany jest obecnie jako najdoskonalsza forma języka mimicznego ludzi. Dzięki "mowie znaków" Indianie mogli przekazywać swe myśli bez względu na język danego szczepu. Język znaków ułatwiał

nawet początkowo porozumiewanie się z białymi ludźmi, zanim większość Indian nauczyła się mówić po angielsku.

Czerwonoskóre szczepy różniły się ponadto ubiorem, wyrobami rzemieślniczymi, sposobem budowania chat i zwyczajami. Szczepy żyjące w lasach mieszkały w osadach fortyfikowanych palisadami o zaostrzonych palach. Każda taka osada składała się z pewnej liczby chat-wigwamów o wyglądzie odmiennym od tipi Indian z równin, a także od budowanych przez Irokezów długich domów o spiczastych dachach, jak i zbliżonych kształtem do naszych chat mieszkań plemienia Objibwa.

Poszczególne szczepy miały inne ubrania. Niektórzy Indianie, jak na przykład kalifornijscy, nie nosili wcale bądź prawie wcale odzieży. Pueblosi sporządzali odzienie z tkanin bawełnianych, a Indianie zamieszkujący wyżynę i równiną prerię szyli swe ubrania z miętko wyprawionych skór, przyozdabiając je frędzlami i paciorkami.

Dla większości Europejczyków obrazem Indianina jest mieszkaniec równinnych prerii pomiędzy Górami Skalistymi i rzeką Missisipi. Ci bowiem Indianie ze względu na swą liczebność i bohaterskie czyny wojenne najbardziej wryli się w pamięć białych. Stąd też często mylne uogólnienia dotyczące wszystkich szczepów indiańskich.

Arizone i Nowy Meksyk, gdzie przebywał Tomek, zamieszkiwały trzy grupy Indian: osiadły szczep Pueblosów oraz nomadzi Apacze i Nawajowie. Wszyscy oni obecnie żyją w tych samych okolicach, gdzie po raz pierwszy zastali ich Hiszpanie podczas swych wypraw odkrywczych[21].

W przeciwieństwie do pokojowych Pueblosów, którzy uprawiając rolę zamieszkiwali w kamiennych osadach budowanych na wysoczyznach, Apacze i Nawajowie zdobywali pożywienie polując oraz zbierając dzikie jagody. Ponadto te dwa wojownicze szczepy uzupełniały swe zaopatrzenie dokonując najazdów na pokojowych, pracowitych sąsiadów. Gdy Meksykanie zdobyli południową część Ameryki Północnej, Apacze i Nawajowie rozpoczęli zajadłą walkę z kolonistami meksykańskimi, biorąc na nich cenne łupy. Następnie, po wchłonięciu Arizony i Nowego Meksyku przez Stany Zjednoczone, obydwie szczepy wykopały topór wojenny przeciwko Amerykanom bezwzględnie zagarniającym najlepsze i najbogatsze tereny. Apacze i Nawajowie ze szczególną determinacją opierali się usunięciu do rezerwatów. Walczyli o swą wolność z niezwykłym męstwem. Zdarzało się, że kilku Apaczów potrafiło terroryzować całe osiedla kolonistów. Nie należy się dziwić bezwzględnej walce czerwonoskórych, albowiem wszelkie ograniczenie swobodnej wędrówki po stepach oznaczało dla nich koniec dotychczasowego trybu życia, do którego przywykli przecież od wielu wieków.

Zamknięcie w rezerwatach sprowadzało na Apaczów i Nawajów głód i nieprawdopodobną nędzę, toteż co pewien czas wybuchały wśród nich zamieszki, powstania i rokosze.

Tomek zwiedzając rezerwat zorientował się w ich oplakany położeniu. Apacze, tak jak dawniej, mieszkali przeważnie w kopulastych chatach, a Nawajowie posiadali dość zbliżone wyglądem domki, zwane przez nich hoganami. Budowla taka powstawała przez

ułożone w sześciokąt ścian z poziomo leżących bali, które w górze przykrywano dośrodkowo klocami, pozostawiając mały otwór do ujścia dymu z ogniska. Tak sporządzone krokwie przykrywano poszyciem i grubą warstwą adoby[22], to jest suszonej w słońcu cegły. Niektórzy Nawajowie ograniczali swe letnie mieszkanie do jednej prostej, osłaniającej od wiatru ściany poszytej trawami lub ustawionej z cegły. Tylko nieliczni, należący do starszyny plemienia, posiadali oryginalne tipi, pokryte, jak w dawnych czasach, doskonale wyprawionymi skórami bizonów.

Żywy inwentarz mieszkańców rezerwatu był bardzo ubogi. Trochę bydła rogatego i owiec pasło się na skąpo rosnącej trawie. Lepiej natomiast prezentował się mały tabun mustangów. Konie, jak wyjaśnił; Czerwony Orzeł, stanowiły chlubę plemienia. Od razu było widać, że dawni wojownicy najbardziej troszczyli się o swe rumaki.

Kiedy Tomek napatrzył się do woli na chatynki, a także na mężczyzn wylegujących się beczynnie w cieniu i kobiety wykonujące całą pracę wokół gospodarstwa, Czerwony Orzeł wprowadził go do najokazalszego w rezerwacie tipi. Tomek od razu się domyślił, że to namiot Wodza. Był znacznie obszerniejszy od innych, a na jego szczycie powiewała flaga Stanów Zjednoczonych.

Pośrodku tipi płonęło małe ognisko okolone kamieniami. W zawieszonym nad nim kociołku gotowało się mięsiwo. Pod szczytem namiotu unosiły się szare obłoczki dymu i pary. Na drewnianych kozłach ułożone były nieliczne gliniane naczynia, broń palna, torby z nabojami, łuki obok kołczanów z pierzastymi strzałami, skórzane, okrągłe tarcze i tomahawki. Nie brakło tam również ostro zakończonych dzid różnej długości, uprząży końskiej i wielu innych przedmiotów.

Na rozłożonych na ziemi skórach bizonów i jeleni oraz barwnych kocach siedzieli starsi plemienia. Opodal stał trójnóg, na którym wisiało zawiniątko ze świętymi przedmiotami[23] i fajką, bogato zdobiony orlimi piórami wojenny strój głowy oraz wiązki ludzkich skalpów. Obok trójnoga dostrzegł Tomek naczelnego wodza Długie Oczy, zwanego tak ze względu na posiadaną przez niego lornetę.

Na widok ludzkich skalpów Tomka ogarnął niepokój, lecz w tej chwili wódz Długie Oczy powstał i z powagą wyciągnął ku niemu prawą dłoń. Następnie Tomek przywitał się z pozostałymi Indianami. Byli to: Stary Bizon, Złamany Tomahawk i Chytry Lis. Siedzieli półkolem zwróceniami twarzami ku wejściu do tipi, po prawej stronie wodza. Długie Oczy poprosił Tomka, aby zajął miejsce przy nim z lewej strony, chcąc tym podkreślić, iż jest mile widzianym gościem. Obok Tomka przysiadł skromnie Czerwony Orzeł. Tomek widząc to zdziwił się, pamiętał bowiem słowa młodego przyjaciela, twierdzącego przedtem, iż jest jeszcze za młody do rozmów ze starszymi plemienia.

Po dłuższej chwili milczenia wódz Długie Oczy odezwał się: — Starsi naszego plemienia pragną zawrzeć przyjaźń z młodym białym bratem, który w ciągu jednego dnia dokonał dwóch bohaterskich czynów. Niewielu wojowników potrafiłoby się na to zdobyć.

Tomek chrząknął zażenowany pochwałą starego wodza i odpowiedział:

— Nie wiem, o jakich to czynach mówi wódz Długie Oczy.

— Mój biały brat posiada skromność wojownika, który przywykł do niezwykłych czynów. Wielka to zaleta — odparł poważnie Długie Oczy. — Coraz mniej spotyka się ludzi odważnych i szlachetnych zarazem. Przypomnę więc czyny mego białego brata. Po pierwsze, brat mój został wyzwany przez Czerwonego Orła do walki na śmierć i życie. Biały brat podjął wyzwanie, nie wykorzystał swojej broni, chociaż miał do tego prawo, i gołymi rękoma pokonał przeciwnika. Przynosi mu to większy zaszczyt, niż gdyby zabił wroga. Po drugie, brat mój dopomógł wielkiemu wodzowi i wojownikowi w ucieczce z niewoli, oznaczającej dla niego niesławną śmierć. Wielki Ojciec z Waszyngtonu odznacza swoich żołnierzy za bohaterские czyny świecącymi krążkami, nazywanymi przez białych orderami. Indianie natomiast mają inny zwyczaj wyróżniania zasłużonych wojowników. U nas dowodem zasług jest strój noszony na głowie. Za każdy niezwykły czyn rada starszych ma prawo przyznać coup, czyli tak zwane w języku białych odznaczenie, w postaci orlego pióra. Orzeł jest największym z wszystkich ptaków i wykazuje niezwykłą siłę podczas walki, dlatego też jego piękne pióra są dla Indian tym, czym ordery dla białych ludzi. Mój biały brat zasłużył na zaszczytne wyróżnienie. Za zabicie i oskaldowanie wroga otrzymałby jedno coup, lecz za pokonanie przeciwnika gołą ręką oraz za wykazanie odwagi i szlachetności przysługują mu dwa coup. Czy rada starszych plemienia zatwierdza mój wniosek?

Indianie kolejno wyrażali zgodę, chwając jednocześnie waleczność młodego białego brata. Tylko Czerwony Orzeł nie zabrał głosu, ponieważ występował jako świadek obecny przy dokonaniu przez Tomka niezwykłego czynu.

Gdy wojownicy wypowiedzieli swoje zdanie, wódz Długie Oczy ciągnął dalej:

— Rada starszych plemienia przyznała memu bratu dwa pióra. Pozostał drugi wielki czyn. Za skuteczną i bezinteresowną pomoc udzieloną tak wielkiemu i zasłużonemu wodzowi jak Czarna Błyskawica proponuję przyznać memu białemu bratu dalsze trzy pióra, Niech teraz moi czerwoni bracia powiedzą, co o tym myślą.

Wojownicy znów jednogłośnie przyznali Tomkowi prawo do noszenia dalszych trzech orlich piór, po czym wódz Długie Oczy oznajmił, iż posiadanie pięciu coup stawia Tomka w rzędzie zasłużonych wojowników.

Teraz nastąpił uroczysty obrzęd wypalenia fajki pokoju i przyjaźni. Palenie fajki dla Indian było przeważnie ceremonią religijną, dokonywaną tylko przy uroczystych okazjach. Indianie palili ją, aby przebłagać niszczycielskie siły przyrody bądź uchronić się przed nieprzyjacielem, lub też w celu zjednania sobie sił nadnaturalnych, w które wierzyli, dla wszystkich ważnych poczynań. Najbardziej znane były tak zwane “medicine pipes”, palono je dla odegnania choroby, a także noszono podczas wojny w celu zapewnienia sobie powodzenia.

Inne fajki lub ich cybuchy, według wierzeń Indian, posiadały świętą moc. Zwano je “kalumetami”. Kalumety palono podczas zawierania traktatów pokojowych i stąd powstała nazwa “fajka pokoju”. Przybycie posła z kalumetem w czasie działań wojennych oznaczało chęć zawieszenia broni, a sam kalumet stanowił dla niego glejt zapewniający nietykalność poselską. Palenie kalumetów odgrywało również ważną rolę podczas uroczystości

adopcyjnych, czyli przy przyjmowaniu obcego do własnego plemienia.

Tomek doskonale się orientował w wadze ceremonii palenia fajki pokoju. Sama już taka propozycja uczyniona młodemu chłopcu miała niezwykle znaczenie, więc z największą uwagą i przejęciem obserwował wszystkie czynności wykonywane przez wodza.

Tymczasem Długie Oczy zdjął z trójnoga długi, ozdobiony frędzlami worek. Wydobył z niego kalumet; z tego samego woreczka wyjął garstkę kinnikinnick, to jest mieszanki ze startych liści tytoniu i drobinek kory czerwonej wierzby, przesyconych tłuszczem zwierzęcym ułatwiającym proces spalania. Napełnił nią fajkę, ubił dokładnie i zapalił węgielkiem wyjętym z ogniska.

Długie Oczy pierwszy rozpoczął ceremoniał palenia fajki pokoju. Włożył koniec fajki do ust, wciągnął dym, po czym wydmuchnął go w górę, kierując cybuch ku niebu na znak modlitwy do dobrych duchów i przodków. Potem wydmuchiwał dym kolejno zwracając cybuch ku ziemi i czterem stronom świata — do czterech wiatrów. Dokonawszy tego podał fajkę Indianinowi siedzącemu z prawej strony, który dopełnił takiego samego ceremoniału. Potem podawano fajkę następnemu sąsiadowi, aż doszła do ostatniego wojownika siedzącego po prawej stronie wodza. Wtedy znów powędrowała tą samą drogą do Długich Oczy i ten dopiero podał ją Tomkowi. Biały bohater z namaszczeniem naśladował Indian. Spocił się niezmiernie powstrzymując krztuszenie spowodowane ostrym dymem. Z ulgą podał fajkę Czerwonemu Orłowi. Chociaż młodzi Indianie nie palili tytoniu, aby nie stępieć powonienia, Czerwony Orzeł tym razem nie opuścił kolejki, po czym przekazał z powrotem fajkę Tomkowi, który zwrócił ją wodzowi. Później Tomek dowiedział się, że podczas tego uroczystego ceremoniału fajka nigdy nie mogła być bezpośrednio podana uczestnikowi siedzącemu po drugiej stronie otworu tipi, ponieważ Indianie w ten sposób naśladowali wyimaginowaną przez siebie drogę słońca, a poza tym wierzyli, iż fajka mijając otwór drzwi mogłaby spowodować “ulotnienie się” dopiero co zaprzysięganej przyjaźni.

— Wypaliliśmy fajkę pokoju według dawnego indiańskiego zwyczaju, Jesteś teraz naszym bratem. Nasze tipi i wigwamy stoją dla ciebie otworem, możesz mieszkać z nami, jeżeli tylko tego zapragniesz. Wszystko, co posiadamy, należy tak do ciebie, jak do nas — oświadczył wódz Długie Oczy.

Bez jakiegokolwiek polecenia dwie młode Indianki postawiły przed mężczyznami misę z dymiącym gotowanym mięsem, miseczki ze szpikiem kostnym uchodzącym za specjalny przysmak oraz na talerzu wąskie paski suszonego mięsa. Jedzono w milczeniu posługując się łyżkami zrobionymi z bydlęcych rogów. Tomek bez trudu dostosował się do powściągliwego sposobu jedzenia Indian.

Gdy ukończono posiłek, Indianki podały małe gliniane fajeczki i tytoń. Tomek znów się krztusił, lecz tym razem palenie przychodziło mu już łatwiej.

Rozpoczęto rozmowy. Każdy Indianin opowiadał jakąś interesującą przygodę z polowania lub wojny. Tomek, nie chcąc okazać się gorszym, barwnie opisał łowy na dzikie

zwierzęta, podkreślając przede wszystkim odwagę swych przyjaciół. Zjednało mu to uznanie Indian, którzy nie lubili przechwalania się młodzieży.

Kiedy goście wodza zaczęli dyskretnie wysuwać się z namiotu, Tomek skorzystał z okazji i zapytał:

— Powiedz mi, wodzu, czy naprawdę przysługuje mi teraz prawo noszenia pięciu orlich piór?

— Tak, ponieważ rada starszych plemienia przyznała białemu bratu tyle coup — potwierdził Długie Oczy. — Według dawnych zwyczajów, odznaczony wojownik sam powinien upolować orła w celu zdobycia piór, lecz jeśli mój brat sobie życzy, to mamy w rezerwacie myśliwego trudniącego się hodowlą tych ptaków. On da memu bratu pięć piór.

— Wolałbym sam zastrzelić orła, nie wiem jednak, czy potrafię go odszukać — odparł Tomek.

— Kula uszkodziłaby pióra, a poza tym ptak postrzelony w powietrzu może spaść w niedostępne miejsce. Orły żyją w górach. Jeżeli mój brat pragnie sam zdobyć pióra, to Czerwony Orzeł będzie jego przewodnikiem i nauczy go naszych sposobów chwytania ptaków.

— Czy Czerwony Orzeł zgadza się? — zawołał Tomek.

— Tak, możemy się udać na polowanie, kiedy tylko mój brat zechce — zapewnił młody Nawaj.

— Wobec tego za trzy dni wyruszamy na małą wyprawę — zdecydował Tomek. — Teraz muszę wracać na ranczo, aby nie niepokoić mego opiekuna dłuższą nieobecnością.

— Mój biały brat najlepiej wie, co powinien uczynić — wtrącił Długie Oczy. — Gdzie zostawiliście swoje mustangi?

— Wpuściliśmy je do korralu — pospiesznie odparł Czerwony Orzeł.

— Niech czerwony brat przyprowadzi je tutaj — polecił Długie Oczy.

Czerwony Orzeł szybko wysunął się z tipi, a tymczasem wódz położył swą prawą dłoń na lewym ramieniu Tomka i rzekł przyciszonym głosem:

— Mój biały brat dokonał niezwykłego czynu. Wielu czerwono-skórych wojowników stało się przez to jego braćmi. Największym twoim przyjacielem jest wielki wódz Indian różnych szczepów, Czarna Błyskawica. Mam białemu bratu przekazać od niego kilka słów.

Tomek, mocno zaintrygowany niecodziennością sytuacji, w napięciu spoglądał na wodza Długie Oczy, który ciągnął dalej przyciszonym głosem:

— Gdyby mój brat potrzebował kiedykolwiek pomocy przyjaciół, niech się uda na Górę Znaków i nada sygnał. Wtedy przybędzie tam ktoś, na kogo młody biały brat może liczyć w każdej okoliczności.

— Dziwnie brzmią twoje słowa, wielki wodzu — szepnął wzruszony Tomek. — Nie

wiem, gdzie się znajduje Góra Znaków ani jak się nadaje sygnały. Nie wiem również, kto by tam mógł przybyć na moje wezwanie.

— Mogę mego brata zapewnić, że na takie wezwanie przybędzie przyjaciel, a zarazem potężny sojusznik. Górę Znaków oraz sposób nadawania sygnałów wskaże białemu bratu Czerwony Orzeł. Otrzyma on ode mnie odpowiednie polecenie. Gdy będziesz chciał wezwać pomocy, odszukaj tylko Czerwonego Orła. Biali mają zazwyczaj długie języki, niech więc mój brat zachowa te słowa tylko dla siebie. Ugh!

W tej chwili podprowadzono konie. Długie Oczy wyszedł z Tomkiem przed namiot. Kiedy chłopiec dosiadł wierzchowca, wódz nachylił się ku niemu i szepnął znacząco:

— Niech biały brat dobrze pamięta moje słowa i dochowa tajemnicy. Nikt nie powinien znać treści naszej rozmowy.

— Wódz Długie Oczy może na mnie liczyć — zapewnił Tomek.

POLOWANIE NA ORŁY

Granica między Stanami Zjednoczonymi i Meksykiem przebiega na południowym wschodzie wzdłuż kapryśnej Rio Grande, która wypływa z Gór Skalistych, a uchodzi do Zatoki Meksykańskiej. Rio Grande olbrzymim, naturalnym łukiem oddziela Meksyk od Teksasu leżącego w Stanach Zjednoczonych. Począwszy od miasteczka El Paso w kierunku na zachód obydwie państwa dzieli już tylko granica linearna. W południowo-zachodniej części Nowego Meksyku linia graniczna dwukrotnie załamuje się pod kątem prostym. Tutaj właśnie rozciąga się płaskowyż Sierra Madre, obramowany na wschodzie przełomem Rio Grande, na północnym zachodzie wyżyną Kolorado, a na zachodzie górami Peloncillo i pasmem Guadelupi zbiegającym się z meksykańskimi górami Sierra Madre.

Ranczo szeryfa Allana znajdowało się w południowej części płaskowyżu Sierra Madre, w pobliżu granicy meksykańskiej, toteż Tomek i Czerwony Orzeł postanowili zapolować na orły w górach Guadelupi. Tomek pragnął wybrać się na tę kilkudniową wyprawę jedynie w towarzystwie czerwonoskórego przyjaciela. Wiedział z doświadczenia, że takie wyprawy ułatwiają zbliżenie i pogłębiają więzy przyjaźni, na czym mu szczególnie w tym wypadku zależało. Z tego też powodu uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby zniechęcić bosmana Nowickiego do udziału w łowach. Nie było to łatwe. Wprawdzie olbrzymi marynarz nie lubił górskich wycieczek i twierdził, że człowiek zbyt się przemęcza “wytrząsając brzuszysko po skałach”, lecz gdy chodziło o przeżycie przygody lub ujrzanie czegoś nowego, gotów był do znacznych ustępstw. Tym razem szeryf bezwiednie przyszedł Tomkowi z pomocą. Mianowicie zaproponował bosmanowi urządzenie zasadzki na jaguara niepokojącego bydło pasące się na stepie. Bosman mając do wyboru łowy na “ptaszki”, jak nazywał orły, i polowanie na drapieżnego czworonoga, wybrał oczywiście to ostatnie.

W skrytości ducha był nawet zadowolony, iż Tomek — niezawodny strzelec — nie weźmie udziału w polowaniu na jaguara. Szeryf bowiem, jak sam zapewniał, nie mógł się poszczycić celnością strzału, palma zwycięstwa przypadłaby w takim razie tylko jemu. Nie zdawał sobie sprawy, iż większość gatunków orłów odznacza się niezwykle wielkością, siłą, a także drapieżnością i odwagą się atakować ludzi.

Tomek zaś, zadowolony z takiego obrotu sprawy, nie kwapił się jakoś do wtajemniczenia druha w niebezpieczeństwa tego polowania. Czując jednak potrzebę wygadania się, gdy tylko Sally poprosiła go o pewne wyjaśnienia, zabłysnął przed nią swymi wiadomościami z przyrody, wykutymi w szkole na pamięć, a utrwalonymi lekturą o świecie.

Z jego relacji Sally dowiedziała się, iż rząd ptaków drapieżnych dziennych dzieli się na dwa podrzędy: sępy Nowego Świata i drapieżniki właściwe. Z dalszych wyjaśnień wynikało, że do tych ostatnich zalicza się około trzystu pięćdziesięciu gatunków, zgrupowanych w czterech rodzinach: wężojadów, sępów, sokołów i rybołówów. Najlicniejsza z nich, rodzina sokołów, obejmuje sześć podrodzin. Są to orłosępy, orły, myszołowy, jastrzębie, karakary i sokoły właściwe.

Orły żyją w różnych częściach świata. Na kontynencie amerykańskim spotyka się je począwszy od dalekiej północy aż po Paragwaj. Wygląd tych dużych, często bardzo dużych ptaków jest charakterystyczny. Mają całkowicie upierzoną głowę, wysoki zakrzywiony dziób, niezbyt długi ogon oraz duże, mocne, ostre i silnie zgięte w dół szpony.

Bardzo zróżnicowanym rodzajem są łomignaty, zwane też orłami morskimi. Długość ich dochodzi do dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów przy rozpiętości skrzydeł do dwóch i pół metra. Upierzenie mają brunatne lub brudnoszare.

Poza Europą rodzaj zwany łomignatem bielikiem gnieździ się w całej Syberii i Japonii; w Ameryce Północnej zastępuje go łomignat białogłowy, a w Afryce łomignaty – krzykliwy i akrobata.

Głównym przedstawicielem orłów właściwych jest orzeł przedni, największy po bieliku europejski ptak drapieżny. Odmianą jego dość rzadko już spotykaną w Europie i Afryce, jest orzeł złocisty, ozdoba wszystkich skrzydlatych mieszkańców Ameryki. Jego ulubionym miejscem pobytu są wysokie góry, gdzie gnieździ się w niedostępnych ścianach skalnych. Każda para ma jakby swój obszar łowów i, jeśli tylko wystarcza jej pożywienia, nie opuszcza skalnego gniazda nawet zimą. Ten wspaniały ptak o upierzeniu barwy rdzawo czerwonej jest najniebezpieczniejszym wrogiem wszelkiej zwierzyny.

Na te właśnie orły złociste miał zapolować Tomek. Bardziej jednak niż orły zaciekał Sally młody Indianin, z którym Tomek wybierał się na wyprawę.

W oznaczonym na wycieczkę dniu obydwaj młodzi przyjaciele wczesnym rankiem opuścili ranczo. Oprócz wierzchowców, silnych mustangów, Tomek zabrał luzaka objuczonego sprzętem obozowym i zapasami żywności.

Pustynnym stepem porośłym kaktusami i krzewami meskitowymi[24] posuwali się na południowy zachód ku wyraźnie piętzącemu się łańcuchowi gór. Już około południa wjechali w kanion rozcinający głęboko pasmo górskie.

Na stromych stokach rosły lasy jukowe[25]. Oryginalne, lecz brzydkie zielone drzewka przypominały Tomkowi miotły zatknięte trzonem w ziemię.

Czerwony Orzeł z zadartą w górę głową wypatrywał orłów i bez wahania zagłębiał się w dzikie odnogi kanionu otoczonego strzelistymi skałami. Przed wieczorem wspięli się na nieco łagodniejszy stok górski, by na małej polanie, porośniętej drzewami jukowymi i kaktusami, rozłożyć się na noc obozem.

Mustangi ze spętanymi przednimi nogami puścili na polanę, po czym rozbili namiot i rozpalili ognisko. Przygotowanie posiłku nie zajęło im wiele czasu. Jedli w milczeniu, zmęczeni po całodziennym jeździe.

Tomek niezmiernie był ciekaw indiańskich sposobów polowania na orły. Miał nadzieję, że jego towarzysz opowie mu po kolacji, w jaki sposób ma zamiar urządzić na nie zasadzkę. Nawaj nie był jednak skłonny do wynurzeń. Załedwie uprzątnęli naczynia, owinał się w gruby koc i ułożył do snu przy ognisku.

Tomek przepadał za wieczornymi obozowymi gawędami, toteż niezadowolony z małomówności Indianina odezwał się:

— Może byśmy omówili plan łowów? Jeszcze nie jest zbyt późno, zdążymy wypocząć do świtu.

— Nie można teraz mówić o chwytaniu orłów — półgłosem odparł Nawaj. — Niedaleko stąd jest ich gniazdo. Gdyby przypadkiem podsłuchały naszą rozmowę, nie udałoby się nam zbliżyć do nich. Niech mój brat dobrze wypocznie. Jutro czeka nas bardzo pracowity dzień.

Otrzymaawszy taką odprawę, Tomek wsunął się do namiotu. O ile przyjemniejszymi towarzyszami wędrowek wydali mu się teraz afrykańscy Murzyni. Mogli całą noc spędzić na rozmowach, chociaż byli nie mniej przesądni od Indian. Markotny ułożył się na kocu, lecz nie mógł zasnąć. Zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej było wyruszyć z bosmanem i szeryfem na polowanie na jaguara. Naraz przypomniał sobie o właściwym celu wyprawy. Przyznanie mu prawa do noszenia pięciu orlich piór było nie lada wyróżnieniem. Nawet Czerwony Orzeł do tej pory zdobył tylko trzy pióra. Poza tym czekała go jeszcze uroczysta ceremonia sporządzania zaszczytnego stroju głowy, dla którego zdobycia niemal każdy Indianin gotów był ryzykować życie.

W lepszym już nastroju zaczął rozmyślać o łowach na orły, aż w końcu zasnął.

Zaledwie słońce pierwszymi promieniami musnęło skalne szczyty, chłopcy zerwali się z posłań. Czerwony Orzeł co chwila spoglądał w bezchmurne niebo, czy przypadkiem nie ujrzy w górze szybującego króla ptaków. Kończyli właśnie zwijanie obozu, gdy naraz Indianin zamarł w bezruchu z zadartą do góry głową. Zaintrygowany Tomek natychmiast również spojrział w górę.

Pomiędzy skalnymi ścianami, na jasnym tle nieba wyraźnie rysował się wolno szybujący w przestworzach ciemny kontur.

Przez chwilę Tomek ulegał złudzeniu wzrokowemu. Przemknęło mu przez myśl, że to bracia Wilbur i Orville Wright, którzy w roku 1903 w Północnej Karolinie dokonali pierwszego udanego lotu na aeroplanie zaopatrzonym w silnik, ponownie dokonują próby. Niebawem na tle nieba pojawiła się druga sylwetka wolno płynącego ptaka. Zdawało się, że szeroko rozpięte skrzydła nie wykonują żadnego ruchu.

Chwilami ptaki zawisały w powietrzu, jakby wypatrywały zdobyczy w załomach skał, potem znów wzbijały się wolno i majestatycznie.

— Orły oblatują swój teren łowów — z nabożną czią szepnął Indianin. — Robią to każdego ranka. Nic nie ujdzie ich bystremu wzrokowi...

Nastrój przesądnego Indianina udzielił się Tomkowi. Szybujące w górze olbrzymy naprawdę budziły podziw i lęk. Przecież piękno, siła, a także wspaniały wygląd orła w locie skłoniły wielu władców wojowniczych ludów do obrania go za godło państwowe. Tomek pomyślał o kraju ojczystym, potem przypomniał sobie, iż orzeł złocisty znajduje się również w godle Stanów Zjednoczonych.

Bystrookie, czujne orły musiały zapewne dostrzec chłopców obozujących na polanie i ich konie, gdyż naraz zwinąwszy skrzydła zniżyły się lotem nurkowym ku ziemi. Po chwili zataczały szerokie koła nad polaną, lecz niebawem znów poszybowały wolno ku południowi.

— Wypatrzyły nas, teraz będą bardzo ostrożne — szepnął Czerwony Orzeł.

Tomek otrząsnął się już z nastroju wywołanego zachowaniem Indianina. Spojrzał na niego roziskrzonymi oczami i rzekł:

— Orły są tylko żarłocznymi, niebezpiecznymi ptakami. Nie rozumieją mowy ludzkiej i nie posiadają nadprzyrodzonej siły. Dlatego orzeł, chociaż z powodzeniem atakuje nie tylko ptaki, lecz nawet sarny i wilki, nie odważy się napaść na nasze obozowisko. Poza tym on tylko w locie oraz gdy siedzi wygląda majestatycznie. W chodzeniu po ziemi jest tak nieudolny, że pobudza do śmiechu. Często stawiano orła, tak niebezpiecznego drapieżcę, za wzór siły i szlachetności, piętnując ze wszech miar pożytecznego sępa jako wcielenie wstrętnej żarłoczności. Tymczasem orzeł lubi krew, żywi się schwytaną zdobyczą, a ponadto pożera padlinę. Sęp natomiast nie zabija, lecz z zasady pochłania padlinę, przez co staje się pożyteczny dla człowieka. Ale powiedz teraz, w jaki sposób urządzimy zasadzkę na orły? Zaczyna mi się podobać to polowanie.

— Niech mój brat tak nie mówi — niechętnie odparł Nawaj. — Orły wypatrzyły nas i kto wie, co z tego wyniknie.

— To, że zdobędę moich pięć piór przyznanych mi przez radę starszych waszego plemienia — roześmiał się biały chłopiec. — Możesz mi wierzyć, że miałem ogromną ochotę wygarnąć do tych orłów ze sztucera.

— Wy, biali, nie rozumiecie wielu rzeczy — w zamyśleniu powiedział Indianin. — Powróćmy do naszych łowów. Konie zostawimy tutaj, a sami będziemy musieli piąć się na strome skały.

— Czy nie obawiasz się, że po powrocie możemy koni nie zastać? — zaniepokoił się Tomek.

— Ze spętanymi nogami nie oddalą się zbyt daleko, a poza tym dopóki mają dość paszy, nie będą uciekały.

Zapakowali sprzęt obozowy w dwa tobołki, które zarzucili na plecy. Indianin ponadto niósł duży pęk świeżo naciętych gałęzi jukowych. Tak objuczeni ruszyli na bezdrożne skały.

Czerwony Orzeł dobrze się orientował w terenie. Z łatwością odnajdywał dostępne podejścia pod górę i tylko w kilku miejscach musieli się mozolnie wspinać po olbrzymich gładkach. Poza nimi pozostawały kręte kaniony i zagubione wśród skał dolinki, wyglądające jak oazy zieleni pośród rozległych rumowisk. Gdzie tylko jednak warstwa gleby pokrywała stoki gór, tam bujnie krzewiły się miotlaste juki i kaktusy.

Młodzi łowcy, obarczeni tobołkami, zatrzymywali się co pewien czas na odpoczynek.

Czujny wzrok Indianina błdził wówczas po załomach i rozpadlinach skalnych, Tomek zaś rozkoszował się malowniczymi widokami dzikiej okolicy.

Minęło kilka godzin, zanim dotarli na obszerny taras skalny w jednym z załomów ściany jakiegoś wyniosłego szczytu. Wokół wznosiły się nieco niższe skalne baszty pocięte wąskimi rozpadlinami lub zawieszzone nad przepaściami.

Dopiero teraz mógł Tomek stwierdzić, iż jego przewodnik wybrał najkrótszą, lecz nie najwygodniejszą drogę. Od strony południowej wejście było znacznie łagodniejsze, a wysokogórska roślinność kończyła się dopiero u podnóża platformy, na której się zatrzymali.

Czerwony Orzeł, jakby odgadując myśli Tomka, rzekł spokojnie:

— Mój brat zastanawia się zapewne, dlaczego wybrałem trudniejszą drogę. Kanion, którym przybyliśmy tutaj, jest przecięty nie opodał rwącym głębokim strumieniem. Mielibyśmy dużo trudności z przeprawieniem się na drugą stronę.

— Ach, tak! Czy tutaj urządzimy pułapkę na orły?

— Jesteśmy na miejscu — lakonicznie oznajmił Czerwony Orzeł.

— Wobec tego możemy rozłożyć obóz — ucieszył się Tomek zmęczony wchodzeniem pod górę.

— Obóz rozłożymy za załomem góry — wyjaśnił Indianin. — Tutaj natomiast przygotujemy pułapkę.

Po krótkim odpoczynku wspięli się na wyżej położoną szeroką trawiastą półkę. Na niej rozpięli namiot i rozpalili małe ognisko, wykorzystując gałęzie juki na opał. Wyglądniały Tomek pałaszował posiłek z ogromnym apetytem, za to jego towarzysz jadł bardzo wstrzemięźliwie. Małomówność Indianina niecierpliwiła białego chłopca. Nie rozumiał, dlaczego czerwonoskóry zachowuje się podczas polowania, jakby odprawiał jakiś specjalny ceremoniał, lecz z wrodzonej delikatności powstrzymywał się od zadawania pytań.

Jeszcze przed wieczorem zeszli znowu na taras i według wskazówek Indianina wykopali dość głęboki dół. W nim to właśnie mieli się nazajutrz zacząć na orły. Starannie zamaskowali pułapkę, przykrywając ją gałęziami, ziemią i trawą. Wszelkie ślady kopania dokładnie usunęli.

Dokonawszy tego, powrócili do obozu. Tomek zniechęcony uporczywym milczeniem Indianina postanowił wcześniej udać się na spoczynek. Jakież było więc jego zdziwienie, gdy Czerwony Orzeł oświadczył, iż tej nocy nie powinni się kłaść do snu.

— A co będziemy robili? — zagadnął Tomek.

— Musimy przebłagać duchy ptaków, które mamy zabić — krótko odpowiedział Indianin.

Tomek natychmiast zapomniał o zmęczeniu, opuścił go sen. Wiedział, jak niechętnie Indianie zdradzają przed białymi swe ceremoniały i obrzędy. Oto miał niezwykłą okazję

poznania jednej z ich tajemnic.

Gdy noc zapadła, Indianin usiadł przy tłącym się ognisku. Tomek zajął miejsce naprzeciw niego. Czerwonoskóry wydobyl ze swego zawiniątka woreczek napełniony suszoną trawą. Co pewien czas posypywał nią żarzące się węgle. Nad ogniskiem zaczęły się unosić szarawe obłoczki aromatycznego dymu, przypominającego zapachem kadzidło. Indianin pochylał się nad ogniskiem, aby słodkawy dym spływał po całym jego ciele. Wkrótce Tomek poczuł lekki zawrót głowy. Jak przez sen przenikały do jego świadomości słowa pieśni Indianina.

“Wielki Manitu! Zaostrz mój wzrok wypatrujący wszechwiedzącego orła. Wspomóż siłą dłoń i stopę, by zadały błyskawiczny śmiertelny cios. Niech święty dym spalonej trawy oczyści me ciało z ludzkiego zapachu, ostrzegającego każde zwierzę o zbliżaniu się myśliwego... O, wspaniały, wszechwiedzący, mądry orle! Przebacz mi, że muszę cię zabić. Potrzebuję twoich piór dla męznego wojownika. Duch twój będzie się radował, odnajdując swoje pióra na głowie szlachetnego przyjaciela, posiadającego odwagę grizzly i przebiegłość węża. Jego to właśnie będą twe pióra wyróżniały wśród wojowników...”

Indianin nucił bez przerwy przez całą noc. To błagał Wielkiego Ducha Manitu o pomoc, to znów zwracał się z prośbą do orła, by wybaczył mu śmiertelny cios, którym pozbawi go życia. Tomek długo wsłuchiwał się w monotonną pieśń. Gdzieś z doliny dotarło odległe wycie kojota[26], Indianin znów rozpoczął pieśń orła...

Tomkowi zdawało się, że zaledwie zdążył przymknąć oczy, gdy poczuł potrząśnięcie za ramię. Ze zdziwieniem stwierdził, iż ciemność nocy rozplynęła się wraz z kadzidlanyimi dymami. Obok niego stał Czerwony Orzeł.

— Czas już — powiedział.

Tomek przetarł oczy i poderwał się na nogi. Indianin podjął z ziemi zawiniątko, podczas gdy Tomek uważnie sprawdził zamek sztucera. Z bronią przygotowaną do strzału ochoczo podążył za Czerwonym Orłem, który na znak, iż nie ma zamiaru użyć strzelby podczas łowów, nie zabrał swojej.

Wkrótce łowcy znaleźli się na tarasie przy wykopanym dole-pułapce. Czerwony Orzeł rozwinął swój tobolek. Wyjął z niego kawał surowej bydlecej wątroby, położył ją na rusztowaniu maskującym dół, po czym wydobyl skórę kojota. Z niezwykłą zręcznością powbijał w ziemię paliki i ułożył na nich skórę w ten sposób, że patrząc z góry mogło się wydawać, iż prawdziwy kojot pożera swój łup.

Tomek z wielkim zainteresowaniem przyglądał się wszystkim czynnościom. Ogarnęło go zdumienie, gdy Indianin wyciągnął z tobołka ludzką czaszkę.

— Co ty wyprawiasz, do licha! Dlaczego nie dajesz spokoju ludzkim szczątkom? — oburzył się Tomek.

— To czaszka wielkiego wojownika. Ona uczyni nas niewidocznymi dla orła, tak jak niewidoczny jest dla nas duch wojownika polującego w Krainie Wiecznych Łowów — poważnie wyjaśnił Czerwony Orzeł. — Teraz prędko skryjmy się w dole. Orły mogą zaraz

nadlecieć!

Weszli do jamy i starannie zamaskowali wejście, pozostawiając jednak małe szpary, aby przez nie obserwować niebo. Indianin przez jeden z tych otworów wysunął długą gałąź. Miała ona służyć do odganiania innych nieproszonych pierzastych gości. Teraz już pozostało im jedynie czekać na przylot orłów.

Czerwonoskóry łowca kilkakrotnie płoszył gałęzią ptaki zwabione widokiem przynęty. Właśnie znów zamierzał poruszyć gałęzią, gdy naraz usłyszeli krakanie podobne do krakania jastrzębia. Ptaki krążące nad przynętą uciekły w popłochu.

— Orzeł! — szepnął Indianin.

Patrząc przez otwory ujrzeli kołującego w górze wspaniałego ptaka.

— Zobaczył przynętę i zapewne chce spłoszyć naszego kojota — szepnął Tomek.

— Mój biały brat dobrze mówi — potwierdził Indianin. — Orzeł widzi łup! Teraz musimy działać bardzo sprawnie. Gdy tylko usiądzie na rusztowaniu, spróbuję schwycić go za nogi, a jeśli to mi się uda, pomyślnie zakończymy łowy.

— Nie wiem, czy odważyłbym się na to — mruknął Tomek. — Mógłbym jednak teraz z łatwością zastrzelić orła...

— Nawet trafiony ptak potrafi się skryć w rozpadlinie. Zaraz zdobędziemy twoje pióra.

Orzeł wbrew tym zapowiedziom nie mógł się jakoś zdecydować na porwanie łatwego łupu. Zniżył lot, zataczał coraz mniejsze koła kracząc zawzięcie, aż w końcu zwróciło to uwagę Indianina.

— On się czegoś obawia — szepnął do Tomka. — To zły znak!

— W tej okolicy nie ma chyba groźnych dla niego zwierząt — odparł Tomek półgłosem. — Czyżby tu się zabłąkał...

W tej chwili olbrzymi drapieżnik stulił szerokie skrzydła i jak wypuszczona z łuku pierzasta strzała zaczął opadać ku ziemi. Zaledwie dotknął rusztowania, Indianin błyskawicznym ruchem wysunął dłonie, chwycił go za nogi, wciągnął do dołu i powalonymu na ziemię, złamał stopą kręgosłup.

Stało się to tak szybko, że nim Tomek zorientował się w sytuacji, było już po wszystkim. Pokonany orzeł zatrzepotał nieporadnie skrzydłami, kurczowo zakrzywił szpony, które już niejednemu zwierzęciu zadały śmiertelny cios, po czym znieruchomiał.

Tomek pragnął jak najszybciej przyjrzeć się wielkiemu drapieżnemu ptakowi. Odrzucił więc rusztowanie maskujące dół, lecz zaledwie spojrział na taras, zaraz zrozumiał, dlaczego orzeł tak długo kołował nad przynętą, nie mogąc się zdecydować na jej porwanie. Nie dalej jak dwadzieścia metrów od pułapki stał duży, ciemnobrunatny niedźwiedź. Wyciągnąwszy łeb łowił nosem nie znaną sobie woń. Gdy ujrział głowę chłopca wychylającą się z dołu, wydał głuchy pomruk.

— Niedźwiedź! — zawołał podniecony Tomek.

Czujny na wszystko czerwonoskóry łowca natychmiast porzucił swój cenny łup. Wychylił się szybko z dołu. Jeden rzut oka wystarczył mu, by się zorientować w sytuacji.

— Grizzly! Młody grizzly! Zwróć na siebie jego uwagę, postaram się zająć go od tyłu. Musisz strzelić z karabinu prosto w serce, lecz pociągnij za cyngiel dopiero wtedy, gdy stanie na zadnich łapach.

Indianin jednym tchem wyrzucił z siebie te słowa, potem wyskoczył z dołu trzymając mocne, rzemieńne lasso. Tomek również nie tracił czasu na zbędne rozważania. Wiedział, że niedźwiedź siwy (Niedźwiedź siwy zwany jest przez Amerykanów “grizzly”, co znaczy “siwek”), zwany powszechnie “grizzly”, jest najstraszniejszym drapieżnym zwierzęciem Ameryki Północnej. Nie wypuszczając sztucera z ręki, jednym susem wydostał się z pułapki. Z mocno bijącym sercem stanął naprzeciw niedźwiedzia.

Aby odwrócić jego uwagę od Indianina, który szerokim łukiem starał się zająć go od tyłu, Tomek krzyknął donośnie. Niedźwiedź natychmiast wyciągnął ku niemu swój wielki kudłaty łeb. Mruknął gniewnie i niezgrabnym krokiem ruszył w kierunku Tomka. Szedł coraz szybciej. Chłopiec poczuł już ostry zapach dzikiego zwierzęcia.

Trzymał sztucer przygotowany do strzału, lecz wiedział, że nie wolno w takiej sytuacji pochopnie postępować. Rozdrażniony lub, co gorsza, raniony grizzly wpadał w szal bojowy, a wtedy śmierć groziła śmiałkowi, który zlekceważył ostrożność.

Zaledwie pięć metrów dzieliło Tomka od zwierzęcia. Grizzly przyśpieszył kroku, by jak najprędzej dosięgnąć dziwnej istoty, gdy naraz lasso świsnęło w powietrzu. Rzemienne pętla opadła na kudłaty kark, zacisnęła się mocno i szarpnęła niedźwiedziem. Grizzly ryknął straszliwie, uniósł się na zadnich łapach, przednimi próbując zrzucić zdradziecką pętlę.

Tomek pełen podziwu dla odwagi i sprytu Indianina natychmiast wykorzystał wspaniałą okazję do strzału. Uniósł sztucer, skierował lufę w pierś niedźwiedzia. Okiem wytrawnego strzelca wyszukał odpowiednie miejsce, po czym spokojnie nacisnął spust. Jeszcze nie przebrzmiało echo po pierwszym strzale, gdy Tomek nacisnął spust po raz drugi.

Olbrzymi niedźwiedź chwiał się na nogach. Przekrwionymi ślepiami spoglądał na przeciwnika. Naraz silne szarpnięcie arkanu powaliło go na ziemię. Grizzly osunął się jak ciężka kłoda, lecz zaledwie dotknął ziemi, Czerwony Orzeł podbiegł do niego i wbił swój długi nóż pod jego lewą łopatkę. Ostrożność ta była zupełnie zbyteczna. Jak się później okazało, oba strzały były nadzwyczaj celne. W sercu młodego grizzly tkwiły dwie kule.

Młodzi łowcy spojrzeli na siebie błyszczącymi oczyma. Przypadkowe upolowanie niebezpiecznego grizzly było nie lada wyczynem myśliwskim. Własnoręczne zabicie niedźwiedzia uprawniało ich do noszenia naszyjników sporządzonych z jego kłów i pazurów. Naszyjnik taki był widowym dowodem męstwa wojownika. Czerwony Orzeł pierwszy opanował wzruszenie.

— Ugh, mój biały brat musiał sobie zasłużyć na łaskę Wielkiego Manitu — odezwał się.

— Głowę jego będą zdobiły pióra potężnego ptaka. To orzeł sprowadził na nas niedźwiedzia, aby się zemścić za urządzenie nań pułapki. Wielki czarownik z tego orła! Musimy zaraz okupić sobie jego milczenie. Niech mój biały brat pomoże mi wykroić z zabitego niedźwiedzia najbardziej smakowity kąsek!

Tomek nie orientował się, o co chodziło Nawajowi, lecz pomógł mu wyciąć kawałek mięsa z łapy niedźwiedzia. Indianin ociekające krwią mięso wepchnął do dzioba orła. Dopiero teraz wyjaśnił Tomkowi, dlaczego to uczynił. Otóż Indianie wierzyli, że racząc orła smakowitym kąskiem, okupują sobie jego milczenie. Ułagodzony w ten sposób duch ptaka nie będzie powtarzał innym orłom, w jaki sposób pozbawiono go życia, i tym samym umożliwi schwytanie nie ostrzeżonych drapieżników.

Zabicie grizzly zmusiło chłopców do przedłużenia pobytu w górach. Resztę dnia spędzili nadzwyczaj pracowicie. Zajęli się wyrwaniem piór ze skrzydeł orła i ściąganiem skóry z niedźwiedzia. Wprawdzie skóra grizzly nie przedstawiała zbyt wielkiej wartości handlowej, lecz dla chłopców była cennym trofeum myśliwskim. Łapy, uważane za duży przysmak, odcięli w całości, postanawiając wyjąć z nich pazury po powrocie na ranczo.

Tego wieczoru Tomek po raz pierwszy w życiu spożywał pieczeń niedźwiedzią, i to z upolowanego przez siebie grizzly.

Następnego dnia, już późnym rankiem, odnaleźli w dolinie konie i bez przeszkód odbyli drogę do domu.

RODEO

Sally nie posiadała się z radości, gdy na dwa dni przed rodeo Tomek oznajmił, iż weźmie udział w wyścigu dziesięciomilowym ubrany w oryginalny strój indiański. Bosman, szeryf i pani Allan podśmiewali się trochę z jego pomysłu, ale pełna temperamentu Sally nie dopuściła, aby wpłynęli na zmianę tej decyzji. Pani Allan i szeryf widzieli w tym objaw młodzieńczej fantazji. Sally i bosman — jego zaufani powiernicy — wiedzieli dobrze, że Tomek ma prawo do noszenia indiańskiego stroju.

Należy wyjaśnić, że wkrótce po powrocie z polowania na orły, Tomek został ponownie zaproszony przez młodego Nawaja do rezerwatu. Wtedy właśnie Długie Oczy zwołał naradę, aby zwyczajem indiańskim wspólnie przygotować dla Tomka honorową ozdobę z orlich piór.

A była to sztuka nie lada.

Najbardziej nam znany, typowy strój głowy wojownika sporządzano w ten sposób, iż najpierw robiono czapkę z miękkiej jeleniej skóry i do niej przymocowywano pióra. Do niej też przyszywano długi pas z jeleniej skóry, jeżeli pióropusz miał mieć ogon. Po przygotowaniu “czapki” wręczano wojownikowi pióro, a on musiał opowiedzieć, za co zostało mu przyznane. W zależności od liczby zdobytych coup, pióropusz liczył nieraz czterdzieści lub nawet pięćdziesiąt piór, sporządzanie stroju trwało więc odpowiednio długo, nawet kilka tygodni. Opaskę czoła pokrywano skórą łasicy i naszywano koralami. Wierzano bowiem, że zalety przebiegłego i czujnego zwierzątka, unikającego zręcznie pościgu podczas łowów, przejdą poprzez strój na wojownika. Każde pióro zdobiące głowę upamiętniało zabicie przeciwnika lub jakiś nadzwyczajny czyn. Jeżeli wojownik zdobywał skalp wroga, wtedy do pióra przywiązywano wiązkę końskich włosów. W wyjątkowych wypadkach wojownikowi nadawano przywilej noszenia rogów bizona, umocowanych do stroju głowy. Było to specjalnym symbolem siły i władzy.

Zwyczajem szczepu Omaha i innych Indian równin, Tomkowi przygotowano ozdobę znaną jako “crow”[\[27\]](#), a nazywaną popularnie przez białych “dance bustle”[\[28\]](#).

Była to opaska z jeleniej skóry, podtrzymująca umieszczoną na tyle głowy wiązkę piór. Strój ten mieli prawo nosić zasłużeni wojownicy, z których formowano doborowe oddziały specjalne[\[29\]](#) lub plemienną policję.

Podczas uczyty wódz Długie Oczy oznajmił Tomkowi, iż rada starszych uznała go za honorowego członka plemienia Mescalero Apaczów. Jednocześnie dla upamiętnienia tego faktu wręczył mu oryginalny strój indiański. Składał się on z kamizelki i spodni z jeleniej skóry, bogato zdobionych frędzlami i paciorkami, mokasynów przystrojonych kolcami jeżozwierz, pasa tkanego z materiału oraz tak popularnej na Dalekim Zachodzie jaskrawej chusty na szyję.

Oprócz tych zaszczytnych wyróżnień nowy członek plemienia otrzymał prawdziwe indiańskie imię — Nah'tah ni yezi'zi, co znaczyło — Mały Wódz. Tomek dumny z wyróżnienia postanowił w swym malowniczym stroju wystąpić po raz pierwszy podczas

wyścigów na rodeo. Miało się ono odbyć za kilka dni w Douglas — miasteczku leżącym w Arizonie na pograniczu Meksyku.

Ranczo Allana w linii prostej oddalone było od Douglas prawie o sześćdziesiąt kilometrów. Nie chcąc forsować klaczy, szeryf postanowił wyruszyć wcześniej.

Na doroczne popisy kowbojów zjeżdżali się ranczerzy z Arizony, Nowego Meksyku, Teksasu i Meksyku. Dla zapalonych hodowców koni najbardziej atrakcyjny był wyścig dziesięciomilowy, przynoszący zwycięzcy dziesięć tysięcy dolarów nagrody. Tym razem zgłosiło swe rumaki do wyścigu ponad dwudziestu ranczerów, a wśród nich Meksykanin hiszpańskiego pochodzenia, Don Pedro. Był właścicielem wielkiej hodowli koni wyścigowych oraz rozległego, położonego w pobliżu granicy majątku w Meksyku. Don Pedro zgłaszał swe wierzchowce do wyścigu tylko wtedy, gdy miał duże szansę zwycięstwa.

Szeryf również był zapalonym koniarzem. Zrzędną mu wszakże mina na wieść o tym, że wytrawny hodowca meksykański bierze udział w tegorocznym rodeo. Don Pedra nie wolno było lekceważyć. Zastanawiał się więc, czy słusznie postąpił wybierając młodego Tomka na dżokeja dla swego rumaka. Jeźdźcy Meksykanina rekrutowali się przeważnie spośród Indian, niezrównanych wprost w kierowaniu końmi wyścigowymi. Szeryf nie miał wątpliwości, że Tomek nie dorównuje im w jeździe, lecz obserwując zapał, z jakim chłopiec przygotowywał się do wyścigu, nie chciał zmieniać swej poprzedniej decyzji. Fakt, iż Tomek niemal od pierwszej chwili pozyskał zaufanie nerwowej klaczy, dodawał szeryfowi otuchy.

Mała karawana przybyła do Douglas w przeddzień rozpoczęcia zawodów. Dla Sally i jej matki szeryf wynajął pokój w zajeździe, w którym zatrzymywał się podczas pobytu w mieście. Sam postanowił nie odstępować koni. Zwyczajem wszystkich hodowców biorących udział w wyścigu, rozłożył się obozem w pobliżu miasta. W trójkącie zamkniętym przez długi, kryty brezentem wóz i dużą bryczkę na wysokich kołach służba rozpięła namioty. Oczywiście Tomek i bosman dotrzymywali szeryfowi towarzystwa, aby wspólnie czuwać nad bezpieczeństwem wierzchowca. Zdarzały się wypadki kradzieży koni zapisanych do wyścigu. Nie zawsze było to dziełem koniokradów. Niektórzy hodowcy, chcąc zwiększyć szansę swych faworytów, organizowali bandy porywające konie współzawodniczące o palmę pierwszeństwa.

Oprócz obydwóch przyjaciół i Czerwonego Orła zabranego na specjalną prośbę Tomka, towarzyszyło szeryfowi czterech kowbojów i pięciu Indian. Dla klaczy zbudowano mały korral pomiędzy namiotami, by w ten sposób zabezpieczyć się przed wszelkimi możliwymi niespodziankami.

Nadszedł dzień rodeo. Pani Allan z Sally, szeryf, bosman, Tomek i Czerwony Orzeł udali się bryczką w kierunku dużego placu znajdującego się tuż przy miasteczku, gdzie miały się rozpocząć zawody. Strojny i barwny tłum widzów nadciągał już ze wszystkich stron. Zamożni ranczerzy jechali w błyszczących powozach. Siedzące w nich kobiety szeleściły koronkami sukien i małymi parasolkami osłaniały sobie twarze przed słońcem. U boku wystrojonych kobiet zajmowali miejsce ranczerzy o dumnym, wyniosłym wyrazie twarzy. Ubrania oraz sombrero mężczyzn były bogato zdobione srebrem i frędzlami.

Biodra ich otaczały pasy z zatkniętymi za nie rewolwerami o rękojeściach wysadzanych masą perłową i srebrem. Końmi powozili Murzyni bądź Indianie. Mniej zamożni ranczerzy zdążali na zawody zwykłymi brykami lub wozami krytymi brezentem; kowboje i Indianie jechali konno. Gwar wesołych głosów, trzask biczów, rzenie wierzchowców przeplatały się ze stukotem mknących powozów.

Mrowie wszelkiego rodzaju pojazdów szerokim wieńcem otoczyło plac wyznaczony na rodeo. Woźnice zaprzęgali konie, kłócąc się zawzięcie o lepsze miejsca, a tymczasem barwny i strojny tłum rozlokowywał się wzdłuż barier opasujących dużą arenę.

Ranczerzy i reprezentanci władz lokalnych mieli miejsca zarezerwowane na obszernej drewnianej trybunie. Do tych szczęśliwców należał Allan, toteż wkrótce wraz ze swoimi gośćmi znalazł się na podwyższeniu, skąd widać było całą arenę.

Tomek usiadł na ławce obok Sally. Młodziutka, smagła Australijka, ubrana w białą koronkową sukienkę, wyglądała tak uroczo, iż nie można było oderwać od niej oczu. Ranczerzy z sąsiednich łóż wymieniali ukłony powitalne z ogólnie szanowanym szeryfem, lecz przede wszystkim przyjaźnie uśmiechali się do rezolutnej, ciekawie rozglądającej się panienci.

Nie uszło to oczywiście uwagi bosmana Nowickiego. Pochylił się ku Tomkowi i szepnął:

— Czy zauważyłeś, brachu, jak wszyscy zerkają na naszą srokę? Trzeba przyznać, że wygląda jak załoga statku w pełnej gali!

— Nic dziwnego, stroiła się przecież od samego rana — mruknął Tomek. — Niech pan jednak lepiej patrzy na arenę! Rodeo już się zaczyna...

Uwaga Tomka była zbyt cenna, ponieważ w tej chwili na placu rozległ się gromki okrzyk na powitanie pierwszych zawodników. Na arenę weszli kowboje przytrzymujący na arkanach wierzgającego mustanga. Osiodłanie konia oraz założenie uzdy trwało moment, po czym wysoki kowboj o mocno pałakowatych nogach wskoczył na jego grzbiet. Zaledwie zwolniono mustanga z arkanu, rozpoczął opętańcze harce, by zrzucie jeźdźca. Stawał dęba to na zadnich, to znów na przednich nogach, padał na ziemię zmuszając kowboja do zeskakiwania z siodła, lecz gdy podrywał się na nogi, jeździec już tkwił w siodle z powrotem i krzykiem podniecał rumaka do nowych wyczynów. Rozhukany mustang, nie mogąc się uwolnić od upartego jeźdźca, podbiegał wtedy do barier otaczających arenę, uderzał o nie bokami, lecz kowboj zręcznie przesuwiał się to na jeden, to na drugi bok konia i unikał zmiążdżenia nóg. Po kilku minutach pokryty pianą mustang dał niby za wygraną, gdy jednak kowboj powiał nad głową szerokoskrzydłym kapeluszem na znak zwycięstwa, koń skoczył nagle czterema nogami w górę i jeździec szerokim łukiem wyleciał w powietrze.

Widownia szalała z uciechy. Gwizdy, brawa i krzyki podniecały pojawiających się na arenie zawodników. Popisy sprawności następowały jeden po drugim bez jakiegokolwiek przerwy. Ujeżdżanie dzikich mustangów nie było niewinną rozrywką. Niektóre konie nie zadowolowały się zrzuceniem jeźdźca na ziemię. Kilku kowbojów musiano znieść z areny.

Chwytnie koni na lasso było mniej niebezpieczne, chociaż i ono dostarczało widzom wiele emocji. Tego dnia królem ujeżdźaczy i mistrzem lassa został wysoki, chudy jak szczapa rudy kowboj z Arizony.

Następny dzień rozpoczął się popisami strzeleckimi. Obejmowały one strzelanie z broni krótkiej. Bosman i Tomek, chociaż sami uchodzili w tej dziedzinie za mistrzów, z entuzjazmem oklaskiwali wspaniałych zawodników Dzikiego Zachodu. Jednokrotne trafienie w małą srebrną monetę rzuconą w górę nie było tu uważane za wyczyn godny uwagi. Tomek nieraz z powodzeniem próbował tej sztuczki, znał więc zasadę, którą należało stosować, aby trafić do celu. Otóż moneta rzucona w górę w pewnej chwili osiąga punkt szczytowy i na krótki moment jakby zawisa w powietrzu; wtedy właśnie należało nacisnąć spust broni. Strzał taki dla mistrzów występujących na rodeo był zbyt łatwy — ubiegający się o zwycięstwo strzelali dwu- lub trzykrotnie do monety rzuconej w górę, a za każdym celnym strzałem moneta podskakiwała w powietrzu. Palmę pierwszeństwa zdobył Teksańczyk, który czterokrotnie trafił monetę za jednym podrzuceniem jej w górę. Wiele braw zyskali zawodnicy strzelający do celu umieszczonego za ich plecami, do którego mierzyli za pomocą lusterka. Z kolei popisywano się strzelaniem z koni w pełnym biegu. Indianie wiedli prym w brawurowej jeździe na koniach, chociaż i wielu kowbojów potrafiło, tak jak oni, chować się pod brzuchem cwałującego wierzchowca. Okazało się, że czerwonoskórzy, którzy poznali konie dopiero po przybyciu białych ludzi na kontynent^[30], prześcignęli ich w sztuce jeździeckiej. Nieustraszeni synowie stepów łagodną cierpliwością przeniknęli naturę konia, czyniąc go swym nieodłącznym towarzyszem łowów i walki.

Na zakończenie drugiego dnia rodeo odbyły się popisy siły. Przebieg ich był dość oryginalny. Na arenę wpuszczono byka, za nim ukazał się kowboj na koniu. Zadaniem jeźdźca było dogonić buhaja i, po schwytaniu go za rogi, przeskoczyć na jego grzbiet. Następnie kowboj trzymając nadal zwierzę za rogi powinien był przez skręcenie mu szyi zmusić je do upadku na ziemię.

Z zawodników biorących udział w tej konkurencji dwóch tylko przeszło zwycięsko przez wszystkie próby. Na arenę wpuszczono wielkiego buhaja. Z nisko pochylonym łbem wbiegł na opustoszały plac. Na widok jego szeroko rozstawionych łopatek i potężnego karku rozległ się szmer lęku i uznania. Buhaj przystanął na środku areny. Przekrwionymi ślepiami spojrzał spode łba ku ciżbie ludzkiej cisnącej się za ogrodzeniem. Przednimi kopytami gniewnie uderzył o ziemię wzbijając obłok kurzu.

Zawodnicy niepewnie spojrzeli na mocarne zwierzę. Tak się złożyło, że obydwaj konkurenci pochodzili z Nowego Meksyku. Widząc niezwykle wielkiego buhaja, zaczęli podejrzewać Arizończyków o umyślną złośliwość. Czyżby w ten sposób chciano ich pozbawić możliwości zwycięstwa? Naradzali się chwilę, a tymczasem widownia poczęła okazywać swe niezadowolenie. Rozległy się drwiące głosy, krzyki i gwizdy. Podniecony nimi byk jał wokoło obiegać arenę.

Pod wpływem kpin i krzyków kowboje postanowili mimo wszystko spróbować szczęścia. Jeden z nich wydobył z kieszeni monetę. Widzowie od razu zrozumieli —

zawodnicy będą losować, który z nich ma walczyć pierwszy. Kowboj podrzucił monetę, schwycił ją w locie i przycisnął drugą ręką. Reszka miała oznaczać pierwszeństwo. Odetchnął z ulgą — los wybrał jego przeciwnika.

Niefortunny wybraniec losu wolno zdjął skórzaną kamizelkę, pas z rewolwerami i kapelusz o szerokich kresach. Następnie przystąpił do konia, sprawdził popręgi siodła, pasy strzemion, po czym lekko wskoczył na wierzchowca. Na trybunach rozbrzmiał potężny okrzyk radości. Uchyłono bramy. Jeździec wjechał na arenę.

Buhaj stał na środku placu oszołomiony i wściekle grzebał racicami. Gdy tylko ujrzał jeźdźca, pochylił łeb uzbrojony w wielkie zakrzywione rogi, wyprężył ogon jak strunę, po czym nagłym zrywem ruszył cwałom ku śmiałkowi.

Wprawdzie kowboj bez zapachu przystępował do walki, lecz nie stracił zimnej krwi na widok rozwścieczonego zwierzęcia. Od razu było widać, że jeździec i wierzchowiec mają wprawę w tego rodzaju zapasach. Lekko ukłuty ostrogami koń skoczył na spotkanie buhajowi, ale tuż przed jego pochylonym łbem zwinnym ruchem usunął się na bok, przepuszczając szarżującego byka. Zaledwie się rozminęli, jeździec zawrócił wierzchowca i pognął za buhajem.

Widzowie szaleli z uciechy na widok zręcznych manewrów kowboja. Sytuacja na arenie co chwila ulegała zmianie. To buhaj ścigał jeźdźca, to znów on z kolei napierał konia na zdeorientowane zwierzę, coraz bardziej zbliżając się do niego z boku. Wszyscy doskonale rozumieli cel tej pozornie bezcelowej gonitwy. Otóż kowboj pragnął zmęczyć buhaja, zanim zsunie się z konia na jego grzbiet i po uchwyceniu za rogi zmusi do upadnięcia na ziemię.

Po kilkunastu bezskutecznych szarżach buhaj biegł wolniej. Teraz właśnie jeździec i byk szerokim kołem okrążyli arenę, posuwając się tuż przy okalającym ją ogrodzeniu. Zmęczony czy też zdeorientowany buhaj poniechał ataków. Biegł ciężkimi susami, z ukosa spoglądając nabiegłymi krwią ślepiami na nacierającego coraz śmieiej jeźdźca. Od czasu do czasu wyrzucał w bok swój łeb z zakrzywionymi rogami, by dosięgnąć brzucha wierzchowca, lecz ten uskakiwał niestrudzenie i znów wracał.

Setki widzów w najwyższym napięciu obserwowały kowboja, który zupełnie już widocznie przygotowywał się do ostatecznego rozstrzygnięcia walki.

- Uwaga, uwaga! Zaraz chwyci byka za rogi! Patrzcie, już się pochyła — zawołał szeryf Allan.

— Dobrze sobie radzi z tym potężnym buhajem. Założyłbym się, że ten śmiałek postanowił zakończyć walkę tuż przed trybunami, aby swą zręcznością i siłą zawstydzić Arizończyków. Rozgrzany gonitwą zawodnik w pobliżu trybun coraz bardziej pochyłał się na kark konia. Gdy jeździec i byk znaleźli się tuż przed główną trybuną, widzowie w milczeniu pełnym napięcia powstali z miejsc.

Kowboj nie zawiódł ich oczekiwań. Przynaglony wierzchowiec błyskawicznym skokiem przysunął się tuż do boku buhaja, a wtedy jeździec wyrzucił nogi ze strzemion, pochylił się

nad bykiem i obydwoma rękami uchwycił go za rogi. Zaraz też zsunął się na grzbiet buhaja obejmując go kleszczowym uściskiem nóg. Byk wierzgnął jak oszalały. Wierzchowiec uskoczył w bok, by uniknąć jego ostrych racic. Kowboj szarpnął byka za rogi. Udało mu się nieco skrócić potężny łeb...

Wrzask triumfu rozszalał się nad areną...

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Buhaj, jakby drwiąc sobie z człowieka skręcającego mu kark, zawrócił ku biegnącemu w tyle samopas koniowi, uderzył go rogami w bok, powalił na ziemię, stratował, po czym zdradliwym przechyłem do przodu zrzucił śmiałka ze swego grzbietu. Jedno uderzenie łbem pozbawiło kowboja zmysłów.

Wrzask triumfu przemienił się w jeden okrzyk przerażenia. Rozwścieczone zwierzę odzyskało naraz całą swą siłę. Zakrzywione rogi jak widły zagarnęły kowboja i wyrzuciły w górę. Nieprzytomny zawodnik ciężko runął na ziemię. Byk znowu skoczył ku niemu... Nad areną zapanowała przeraźliwa cisza.

Wtem przez barierę głównej trybuny przeskoczył jasnowłosy mężczyzna. Błyskawicznie zabiegł drogę bykowi i zanim rozszalałe zwierzę zdążyło zanurzyć swe śmiercionośne rogi w ciele nieprzytomnego kowboja, wielkim, żylastym kułakiem grzmotnął je w kudłaty łeb pomiędzy przekrwione ślepia. Rozpędzony buhaj stanął oszołomiony, upadł na przednie nogi, przetoczył się po ziemi, poderwał, lecz w tej chwili olbrzymi bosman po raz drugi zdzielił go pięścią między oczy. Buhaj stęknął głośno, przykleknął, a wtedy marynarz chwycił go za rogi, jednym potężnym szarpnięciem skręcił łeb i powalił na bok na ziemię.

Kilku kowbojów i Indian podbiegło z rzemiennymi lassami w rękach Skrępowali nogi buhaja. Dopiero teraz bosman puścił rogi zwierzęcia. Ciężko oparł się łokciami o jego cielsko, po czym wstał i wolno wyprostował plecy.

Zdumieni i zachwyceni takim dowodem nadludzkiej niemal siły widzowie w dalszym ciągu trwali w osłupieniu, a tymczasem marynarz przemógł osłabienie i najspokojniej w świecie zaczął otrzepywać z kurzu swoje spodnie.

Ten prosty, pospolity ruch przywrócił widzów do rzeczywistości. Rozległ się ogłuszający krzyk. Pod naciskiem tłumu złamały się bariery ogradzające arenę. Rozkrzyczani i rozentuzjasmowani ludzie wprost rzucili się na bosmana. Jedni ściskali jego sękaty łapy, całowali go, inni znów chcieli choćby dotknąć ręką takiego siłacza. Bosman nie wiedział nawet, w jaki sposób znalazł się z powrotem w łożu swych przyjaciół. Zamożni ranczerzy oraz ich płomiennookie senory i seniorita[31] zapomnieli o swej powadze. Każdy chciał się z bliska przyjrzeć niezwykłemu siłaczowi i jakimś podarunkiem upamiętnić bohaterski czyn. Ambitny warszawiak zżymał się początkowo, gdy wpychano mu do rąk najrozmaitsze przedmioty, lecz Allan szepnął mu, że Amerykanie mają zwyczaj obdarowywać swoich bohaterów. Siedział więc nasz olbrzym znad Wisły niby to mocno zażenowany i skwapliwie nadstawiał policzki pięknym senioritom, które nie skąpiły mu pocałunków.

Był to dzień poprzedzający wyścigi konne, lecz bosman z przyjaciółmi nieprędko

powrócili do swego obozowiska. Zaproszeni przez Allana i kilku ranczerów z Nowego Meksyku na przyjęcie na cześć bosmana, bawili się do późnego wieczora, jedynie pani Allan z Sally odeszły nieco wcześniej.

Bohaterem wieczoru był bosman.

Ranczerzy z niespokojnego pogranicza lubowali się w słuchaniu opowieści o niezwykłych czynach. Bosman chętnie opowiadał o swych ciekawych przeżyciach, a Tomek pilnie nadstawiał ucha, by nic nie uronić z nie znanych mu dotąd przygód druha. Całe towarzystwo nie mogło jeszcze ochłonąć po przeżytych wrażeniach. Wychwalano na nowo odwagę i siłę marynarza, który ocalał od niechybnej śmierci niefortunnego kowboja, uchodzącego za najsilniejszego mężczyznę w Nowym Meksyku. W czasie rozmowy jedna z pań zapytała bosmana, czy spotkał już kiedyś godnego siebie przeciwnika.

Bosman zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, w końcu rzekł:

— Prawdę mówiąc, szanowna pani, to w pojedynkę jeszcze mi nikt nie dał rady. Koleżki z braci marynarskiej nie porywali się na mnie inaczej jak po kilku na raz. Za to obcych lubili na mnie napuszczać i robili wtedy zakłady, aby wygrać parę butelek rumu. Raz jednak omal sami nie zapłacili frycowego.

— Niech pan o tym opowie!

— Iiii... nic nadzwyczajnego, szanowna pani! Nie warto nawet mówić — bronił się bosman.

Zewsząd usilnie nalegano, bosman chrząknął więc znacząco i zaczął opowiadać:

— Było to w tawernie w Buenos Aires w Argentynie. Spłukaliśmy się z koleżkami w karciochy i nie mieliśmy już floty na strzemienne przed wypłynięciem w morze, toteż koleżki, starym zwyczajem, dalej wychwalać moją siłę. Na to Argentyńczycy obejrzeli mnie uważnie i orzekli, że chociaż istotnie jestem sękaty, to i tak nie dam rady ich znajomemu Mulatowi, który każdemu potrafi ścisnąć dłoń, że palce popękają i puszcza krew. Moje kumple w śmiech, bo faktycznie dotąd zawsze mi się udawało zapędzić w kozi róg różnych osiłków. Argentyńczycy się zdenerwowali i robią z nami zakład. Zaraz też kilku z nich poleciało na miasto szukać owego Mulata. Po godzinie przyprowadzili go, a wtedy zrzędy nam miny. Chłopisko było wyższe ode mnie co najmniej o pół głowy. Kiedy ten Mulat wchodził do knajpy, to odwracał się bokiem, aby się precyzyjnie przecisnąć przez wąskie drzwi. Najpierw śmiać mi się zachciało, bo kumple porobili już zakłady nie mając złamanego miedziaka przy duszy, ale zaraz żal mi się ich zrobiło — przecież wszyscy byliśmy z jednego statku.

Tymczasem Mulat spojrzął na mnie przez ramię, uśmiechnął się pogardliwie i pyta: "Czy i ty trzymasz zakład?" Podrapałem się w łepetynę, bo w kieszeni miałem tylko płótno, a tymczasem Argentyńczycy gruchnęli śmiechem.

Bosman zamilkł. Pan Allan skwapliwie napełnił stojącą przed nim szklanicę. Bosman zwilżył gardło, po czym mówił dalej:

— Wstyd mnie ogarnął, bo byłem jedynym Polakiem w całym tym towarzystwie. Kumple moje też nietęgą mieli miny. Argentyńczycy połapali się, że straciliśmy pewność siebie, więc nabrali animuszu i wołają: “Stawiamy sto przeciw dziesięciu na naszego Mulata”. Nie chcąc robić kumplom i mojej całej nacji wstydu, przyjąłem zakład. Wzmocniłem się tylko szklaneczką prawdziwej jamajki, a potem uściśnąłem brązowe łąsko. Mulacisko miało miękkie kości. Po najwyżej dwóch minutach klęknął przede mną i zaraz też krew trysnęła mu z paluchów. Wybulił ciepłą rączką całą setkę. Moi kumple napełnili kieszenie papierkami, po czym ucztowaliśmy aż do odpłynięcia statku.

Opowieści ciągnęłyby się znacznie dłużej, gdyby nie zdrowy rozsądek Allana, który przypomniał wszystkim o rodeo.

Zaczęto się więc rozchodzić po kwaterach, a nasi przyjaciele wrócili z szeryfem na spoczynek do obozowiska za miastem.

DZIESIĘCIOMIŁOWY WYŚCIG

Sally niespokojnie spoglądała na pole startowe. Co chwila przybywali nowi jeźdźcy biorący udział w dziesięciomilowym wyścigu, a stryj Allan i Tomek się nie pojawiali. Czyżby klaczy stało się coś złego tuż przed samym wyścigiem?

Arena przybrała w tym dniu nieco odmienny wygląd niż podczas poprzednich zawodów. Na samym jej środku wymalowano na ziemi białą, szeroką linię. Stąd właśnie wierzchowce miały rozpocząć długi wyścig wzdłuż trasy wybiegającej w szczyry step. W odległości pięciu mil od trybun kolorowe chorągiewki, wytyczające trasę wyścigu, zakreślały szeroki półokrąg. Co pół mili rozmieszczone były posterunki kontrolne, notujące numery przebiegających koni.

Bosman, pani Allan i Sally coraz bardziej niecierpliwili się nieobecnością Tomka. Sally była ciekawa, jak też on będzie wyglądał w swym stroju indiańskim. Czy uda mu się wygrać dla stryjka Allana ten emocjonujący wyścig? Niepokój przyjaciół wzrósł znacznie, gdy ujrzeli ranczera Don Pedro wjeżdżającego na plac wyścigowy ze swymi końmi. Bogaty Meksykanin zapisał do wyścigu aż pięć wspaniałych wierzchowców. Jego dżokeje ubrani byli w żółte spodnie i czerwone koszule, a w dłoniach trzymali krótkie pejcze. Byli to niscy, chudzi jak wióry mężczyźni o pałakowatych nogach. Sam ich wygląd świadczył, że większość życia spędzili na koniach.

Cała kawalkada meksykańskich jeźdźców ulokowała się na boisku w pobliżu trybun. Don Pedro wraz z dżokejami zsiadli z wierzchowców. Kilkunastu młodych Indian meksykańskich natychmiast zaopiekowało się końmi, a dżokeje obstąpili kołem hodowcę, pilnie przysłuchując się jego ostatnim przed wyścigiem instrukcjom.

— Niech go wieloryb połknie, to chyba najlepsze szkapy, jakie widziałem w moim życiu—mruknął bosman. — Coś mi się zdaje, że akcje Tomka lecą w dół.

— Nie powinien pan nawet myśleć tak brzydko — skarciła go markotnie Sally. — Wprawdzie stryjka Wiatr nie wygląda tak ogniście, ale za to dzielny Tommy na pewno będzie lepszym dżokejem od tych meksykańskich... chudzielców.

— Nie traćmy ducha! Pięknie by to było, gdyby po wczorajszym wielkim sukcesie pana Nowickiego Tommy dzisiaj zwyciężył — wtrąciła pani Allan. — Nie będziemy jednak mogli go winić, jeżeli przegra przy tak silnej konkurencji. Don Pedro ma naprawdę wspaniałe rumaki. Jak niekorzystnie wyglądają przy nich indiańskie mustangi!

Uwaga pani Allan była bardzo trafna. Kilku indiańskich hodowców zgłosiło swe konie do wyścigu, lecz wierzchowce ich, w porównaniu z rumakami Don Pedra, wyglądały dość marnie.

— Są, już są nasi! — zawołała radośnie Sally klaszcząc w dłonie.

W tej właśnie chwili na boisko wjechała grupa jeźdźców, z szeryfem na czele. Klacz Wiatr, prowadzona przez dwóch Indian, niespokojnie strzygła kształtnymi uszami i szła nerwowo. Szeryf podprowadził swoją grupę w pobliże trybun.

Sally zaniemówiła z wrażenia na widok Tomka. Wysoki, jak na swój wiek dobrze zbudowany chłopiec doskonale się prezentował w indiańskim stroju. Żółte, miękkie, skórzane spodnie, zdobione frędzlami na szwach, ciasno opinały jego długie nogi. Na biodrach miał szeroki, pokryty hawajskimi wzorami pas, za którym tkwił myśliwski nóż o czarnej rękojeści z jeleniego rogu. Krótka, otwarta luźno z przodu skórzana kamizelka była również zdobiona. Na szyi miał przewiązaną nawajską czerwoną chustkę i naszyjnik z pazurów grizzly, podczas gdy czoło zdobiła szeroka barwna opaska, przytrzymująca z tyłu głowy pięć wspaniałych piór. Zgrabne mokasyny przystrojone kolcami jeżozwierza dopełniały całości stroju. W czasie afrykańskiej podróży pod wpływem tropikalnego słońca skóra Tomka przybrała ciemnobrązową barwę, toteż większość widzów zgromadzonych na trybunach wzięła go za młodego Indianina. Skrawek jasnej czupryny widoczny spod szerokiej opaski wyglądał z daleka jak wiązka ptasich piór, tak często używanych przez Indian do zdobienia głowy.

Zaledwie Sally zdążyła ochłonąć z pierwszego wrażenia, natychmiast zawołała:

— Mamusiu, chodźmy szybko do Tommy'ego. Muszę mu coś powiedzieć jeszcze przed rozpoczęciem wyścigu.

Bosman zaraz też poparł ją energicznie:

— Chodźmy, chodźmy, szanowna pani! Naszym obowiązkiem jest dodać chłopakowi animuszu w decydującej chwili. Nic tak nie podnosi na duchu mężczyzny jak widok pięknych kobiet.

Sally zapiszczała z radości słysząc słowa bosmana, a tymczasem pani Allan już schodziła z trybun. Pragnęła zwycięstwa Tomka nie ze względu na dużą nagrodę pieniężną, którą mógł wygrać jej szwagier, lecz po prostu dlatego, iż od chwili ocalenia Sally, zagubionej w australijskim buszu, dzielny chłopiec przypadł jej bardzo do serca.

Po chwili otoczyli Tomka winszując mu efektownego stroju i wspaniałego marsowego wyglądu. Tomek wysłuchiwał pochwał, ale jednocześnie zerkał ku grupie jeźdźców meksykańskich. Don Pedro od razu spostrzegł przybycie szeryfa Allana. Ze złośliwym uśmiechem wskazywał białą klacz swym dżokejom i pochyliwszy się ku nim wydawał, sądząc po gestach, jakieś ważne rozkazy.

Tomek widząc gestykulującego Meksykanina poczuł do niego dziwną niechęć. Bardziej niż kiedykolwiek zapragnął wygrać wyścig. Sally jakby odgadła, co się dzieje w duszy jej przyjaciela.

— Tommy, pochyl się trochę do mnie — szepnęła, wspinając się jednocześnie na palcach, a kiedy ucho Tomka znalazło się na wysokości jej ust, dodała: — Przez cały czas wyścigu będę trzymała kciuki, żeby ci się powiodło. Jak myślisz, czy to ci chociaż trochę pomoże?

— Na pewno pomoże, kochana Sally — odparł Tomek i ku wielkiej radości swej młodej przyjaciółki, uściśnął jej małą dłoń.

Naraz Tomek spostrzegł Czerwonego Orła dającego mu jakieś tajemnicze znaki.

Przeprosił więc przyjaciół i podszedł do Nawaja. Ten upewnił się, czy nikt ich nie słyszy, po czym szepnął:

— Wodzowie naszego plemienia przysłali mnie do mego białego brata z pewną wiadomością.

— Którzy wodzowie przysłali Czerwonego Orła? — zapytał Tomek.

— Złamany Tomahawk i Chytry Lis. Mój brat ich nie zauważył, bo stoją po drugiej stronie boiska wśród naszych.

— Jaką to wiadomość przynosi mi Czerwony Orzeł?

— Powtórzę dokładnie słowa wodza Chytrego Lisa. Przed chwilą wezwał mnie do siebie i rzekł: “Niech Czerwony Orzeł odszuka Nah’tah ni yez’zi i powie mu, że tylko jeden koń Don Pedra będzie brał naprawdę udział w wyścigu. Pozostałe mają jedynie blokować groźniejszych współzawodników.”

— O, do licha! To bardzo zła wiadomość — zafrasował się Tomek.

— Niech mój brat słucha uważnie dalej — przerwał mu Czerwony Orzeł.

— Chytry Lis radzi Nah’tah ni yez’zi nie oddalać się na przestrzeni pięciu mil od grupy indiańskich jeźdźców, biorących udział w wyścigu.

— Dobrze, ale co mam zrobić później? — pospiesznie zapytał Tomek. — Czy ludzie Don Pedra zmienią taktykę?

— Kiedy mój biały brat ujrzy dużą flagę powiewającą na zakręcie, wtedy sam zrozumie, dlaczego Chytry Lis radził mu trzymać się grupy Indian.

— Uczynię tak, jak radzi mi Chytry Lis, lecz nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

— Wódz Chytry Lis dobrze radzi — gorąco zapewnił Czerwony Orzeł.

— Dziękuję za ostrzeżenie i przyjacielską radę — odparł Tomek.

— Teraz muszę już iść do mego wierzchowca, konie ustawiają się na starcie.

Zaniepokojony słowami Czerwonego Orła podbiegł do swych przyjaciół.

— Cóż to za konszachty prowadzisz z tym młodym Indiańcem? — powitał go rubasznie bosman. — Czas już wsiadać na szkapę.

Sally była zbyt bystrą obserwatorką, aby nie dostrzec niepokoju na twarzy przyjaciela.

— Tommy, Czerwony Orzeł musiał ci powiedzieć coś niepomyślnego — szepnęła.

— Zgadłaś — cicho odparł Tomek. — Trzymaj mocno zaciśnięte kciuki, dobrze?

— Będę trzymała, Tommy, będę!

— No, kawalerze, czas już na ciebie — zawołał szeryf. — Konie podchodzą na start!

Po kolei mocno uścisnęli Tomka. Bez dalszej zwłoki chłopiec dosiadł klaczy. Dwaj Indianie poprowadzili ją za lejce krótko przy pysku. Kiedy byli zaledwie kilka metrów od

białej linii startowej, Indianin idący z prawej strony odezwał się:

— Mój biały brat wie, że wychowałem tę klacz od źrebaka. Ujeżdżona jest na indiański sposób. Ona nie znosi bata czy ostróg. Ilekroć mój brat będzie chciał zmusić klacz do większego wysiłku, niech dotknie dłonią jej karku i zawoła po indiańsku: Nil'chi, co oznacza w języku białych "wiatr". Na takie wezwanie Nil'chi stanie się prawdziwym wiatrem stepowym.

— Dziękuję, będę pamiętał. Nawet nie śmiałybym na tak szlachetnego rumaka użyć bata czy ostróg — odparł chłopiec.

Po chwili był już wśród jeźdźców, którzy ustawili się wzdłuż białej linii. Nil'chi tańczyła na zadnich nogach i niespokojnie potrząsała kształtnym łbem.

Niektórzy chłopcy w gronie rodziny tub przyjaciół udają zuchów i nadrabiają miną, lecz gdy tylko się znajdą w obcym bądź też nieprzyjaźnie do nich usposobionym środowisku, natychmiast stają się niezaradni i bojaźliwi. Tomek nie należał do tego typu chłopców. Od najmłodszych lat musiał sam sobie radzić w najrozmaitszych okolicznościach, nabył więc rozwagi, której tak często brak młodym ludziom. Teraz, zaledwie oddalił się od swych przyjaciół, przyjrzał się otaczającym go jeźdźcom. Wódz Chytry Lis radził mu, by na początku wyścigu trzymał się w pobliżu indiańskich zawodników. Tomek nie lekceważył rady doświadczonego wodza, chociaż nie orientował się w jego intencji. Nil'chi denerwowała się widokiem obcych ludzi i koni. Przysiadła na zadzie, próbowała stawać dęba, a Tomek, jakby nie mógł sobie dać z nią rady, rozglądał się niezdecydowanie. Był to tylko udany manewr, albowiem nieznacznie kierował koniem uściskiem nóg. W ten sposób oddalił się od pięciu dżokejów Don Pedra i zbliżył się jednocześnie do mustangów indiańskich.

Gdy znalazł się obok Indian, organizatorzy wyścigu już rozdawali dżokejom numery wymalowane na kawałku płótna. Tomek ściągnął cugle, klacz posłusznie wsunęła się w szereg koni — zatrzymała się przy pierwszym indiańskim mustangu. Tomek otrzymał numer piętnasty, znalazł się więc w środku szeregu dwudziestu ośmiu jeźdźców biorących udział w wyścigu. Dżokeje Don Pedra mieli najniższe numery, to jest od jednego do pięciu. Było to dla nich korzystne, gdyż dzięki temu mieli biec przy wewnętrznym skraju pola wyścigowego.

Przed startem odczytano regulamin wyścigu. Każdy jeździec obowiązany był mijać z prawej strony chorągiewki wytyczające trasę wyścigu. Punkty kontrolne, znajdujące się co pół mili, miały notować numery przejeżdżających dżokejów. W razie nie zanotowania danego numeru na dwóch następujących po sobie posterunkach, jeździec podlegał dyskwalifikacji.

Dżokeje z trudem utrzymywali konie na linii startu. Rasowe wierzchowce były kopytami w ziemię, tańczyły w miejscu i rwały się do biegu. W końcu nadeszła chwila rozpoczęcia wyścigu. Huknął strzał! Konie z miejsca ruszyły galopem.

Rumaki Don Pedra od razu wysunęły się do przodu; biegły szeregiem obok siebie, narzucając mordercze tempo reszcie współzawodników. Rozdrażniona dosyć długim

postojem na starcie Nil'chi mknęła posuwistymi skokami, lecz Tomek, pomny przestrogi Chytrego Lisa, powściągnął ją cugłami, aby nie oddalać się od czerwonoskórych jeźdźców.

Indianie zdawali się w ogóle nie zwracać uwagi na rwące do przodu konie Meksykanina. Pochylili się tylko mocno ku szyjom mustangów i całą gromadą jechali równym tempem. Tymczasem wierzchowce prowadzące wyścig oddaliły się od nich już co najmniej o dwieście metrów. Tuż za pierwszymi rumakami bieгло kilka innych koni; dżokeje nie szczędzili ostróg i biczów, by wyprzedzić czołówkę.

Już po pierwszych dwóch milach zawodnicy rozciągnęli się na trasie w długi łańcuch, którego czoło stanowiły rumaki Don Pedra. Tuż za nimi gnało osiem doskonałych koni innych ranczerów. Środek łańcucha tworzyli Indianie wraz z Tomkiem, a dalej, pojedynczo bądź grupkami, pędziła reszta jeźdźców.

Tomek zdążył już ochłonąć z pierwszego podniecenia. Z podziwem zerkał na Indian. Teraz dopiero zaczynał rozumieć ich taktykę. Podczas gdy dżokeje Meksykanina i depczący im niemal po piętach jeźdźcy wiedli zaciętą walkę o prowadzenie wyścigu, Indianie zupełnie wyraźnie hamowali swe mustangi, by oszczędzić ich siły na ostateczną rozgrywkę. Na odcinku pierwszych dwóch mil czołówka stale się od nich oddalała, lecz na trzeciej mili czerwono skorzy nie dopuścili już do zwiększenia dzielącej ich odległości.

Na przestrzeni czwartej mili czołówka stoczyła zaciętą walkę o przewodnictwo. Co chwila pojedynczy zawodnicy usiłowali wyprzedzić konie Don Pedra. Na próżno! Tomek przekonał się teraz o słuszności ostrzeżeń Chytrego Lisa. Dżokeje Meksykanina tworzyli zwarty szereg, przez który, jak dotąd, nikomu się nie udało przedrzeć. Ośmiu jeźdźców dążących za nimi wkrótce zmęczyło swe konie stałymi zrywami do przodu. Przynaglone bądź też z konieczności hamowane wierzchowce słabły zupełnie widocznie. Niektóre pozostawały nawet w tyle.

Gdy tylko Indianie to spostrzegli, wydali dziki okrzyk i popędzili mustangi. Tomek również nacisnął kolanami boki klaczy. Nil'chi wstrząsnęła białym łbem i przyspieszyła biegu. Tomek znów musiał przyhamować, aby nie wyprzedzić Indian.

Grupa czerwonoskórych razem z Tomkiem szybko doganiała ostatnie konie za czołówką. Niebawem minęli dwa wierzchowce. Kolejno wyprzedzili trzy następne, podczas gdy trzy dalsze biegly kilka metrów przed nimi. Na początku piątej mili Indianie zaczęli ostrzej przynaglać mustangi. Tomek wolno puścił wodze Nil'chi, która samorzutnie utrzymywała równe tempo z mustangami. Do zakrętu było już niecałe pół mili. Wyższy od innych słupek udekorowany flagą Stanów Zjednoczonych stawał się coraz bliższy. Naraz jeden z Indian krzyknął przeciągle wysokim głosem; inni natychmiast powtórzyli okrzyk i trzasnęli w powietrzu biczami. Półdzikie rumaki jak lawina potoczyły się po stepie. Tomek przynaglił klacz równomiernym naciskiem obydwu kolan.

Cała grupa Indian doganiała czołówkę. Dżokeje Don Pedra co chwila oglądali się za siebie. Kiedy się zorientowali, że nie zdołają wszyscy uniknąć przed czerwonoskórymi, zmienili taktykę. Tuż przed zakrętem z grupy pierwszych pięciu koni wyrwał się nagle do przodu kary rumak. Niski, szczupły dżokej przylgnął do jego szyi tak mocno, iż z daleka

wydawało się, że koń biegnie bez jeźdźca. Kary rumak systematycznie oddalał się od pozostałych czterech koni, chociaż Meksykanie bez litości okładali je pejcami.

Przeraźliwy bojowy okrzyk indiański rozniósł się po szerokim stepie. Szyk biegnących dotąd razem mustangów załamał się w jednej chwili. Konie stuliły uszy i jak strzały wypuszczone z łuku, pomknęły ku czołówce. Indianin, który pędził obok Tomka, krzyknął coś do niego gardłowym głosem, lecz widząc, iż biały chłopiec nie rozumie go, uniósł na wysokość piersi dłoń o wyprostowanych do przodu palcach i wykonał nimi trzy urywane ruchy.

“Indianin mówi językiem znaków” — pomyślał Tomek, a gdy czerwonoskóry powtórzył ruch, zrozumiał jego znaczenie.

Indiański język mimiczny był bez wątpienia pierwszym uniwersalnym językiem mieszkańców Ameryki, a niektóre znaki, podane odpowiednimi ruchami rąk, są i dzisiaj zrozumiałe, nawet dla osób nie znających mimicznej mowy czerwonoskórych. Toteż Tomek pojął, co jeździec chciał mu zakomunikować. Ruch jego rąk oznaczał “naprzód”. A więc nadszedł decydujący moment. Tomek nie miał wprawdzie jeszcze pojęcia, w jaki sposób zdoła przedrzeć się przez blokujących drogę dżokejów Don Pedra, lecz bez chwili wahania wykonał polecenie.

Pochylił się mocno ku szyi klaczy, wyciągnął lewą dłoń, dotknął nią ciepłego karku wierzchowca i krzyknął:

— Nil’chi! Nil’chi!

Klacz zadrżała, jakby poczuła kolce ostróg. Wyciągnęła przed siebie długą, białą, szyję i rozpoczęła szaleńczy bieg. W ciągu kilku chwil minęła mustangi, po czym dopadła koni pędzących tuż za czołową grupą. W tym właśnie momencie młody Indianin, znajdujący się przed Tomkiem zaledwie o jedną długość mustanga, zamachnął się szerokim, długim, grubym biczem sporządzonym ze skóry bizona. Bicz z suchym trzaskiem spadł na plecy żółto-czerwonych dżokejów Don Pedra, prześliznął się po końskich zadach. Potężne to musiało być uderzenie, skoro jeden dżokej omal nie wyleciał z siodła. Pod wpływem bólu szarpnął wierzchowca cuglami. Gwałtownie wstrzymany koń uderzył bokiem biegnącego przy nim rumaka, który potknął się i runął na ziemię. Indianin, sprawca całego zamieszania, wyrwał się do przodu przez powstałą lukę.

Atak Indianina omal nie spowodował upadku Nil’chi. W chwili gdy śmignął długim biczem, Tomek znajdował się z lewej strony, tuż przy jego koniu. Wierzchowiec Don Pedra runął na ziemię przed Nil’chi zagrządzając jej drogę. Stało się to tak szybko, że Tomek nie mógł już ominąć przewróconego wierzchowca. Odruchowo ściągnął cugle, a wtedy rozpędzona klacz wspaniałym skokiem przemknęła ponad ruchomą przeszkodą, po czym opadłszy lekko na ziemię, pognęła dalej.

Zaledwie Nil’chi znalazła się na wolnej drodze, Tomek zerknął do tyłu. Z kłębowiska koni i ludzi zaczęli się wysuwać pojedynczy jeźdźcy. Nie mógł dostrzec, co się stało z wierzchowcem Don Pedra, przez którego przed chwilą przeskoczyła Nil’chi. Stwierdziwszy, iż zaporą tworzona przez Meksykańczyków została przerwana, całą uwagę skierował teraz

na własnego konia.

O jakieś trzydzieści metrów wyprzedzał Tomka Indianin, a w odległości około dwustu lub trzystu metrów mknął kary rumak Don Pedra.

Stary Nawaj, ujeżdżacz Nil'chi, nie mylił się, twierdząc, że skoro usłyszy ona swe indiańskie imię, stanie się prawdziwym wiatrem stepowym. Tomek pochylił się do przodu, luźno trzymając w rękach lejce. Klacz wyciągnięta jak struna gnała z niezwykłą lekkością. W ciągu pięciu minut zrównała się z ostatnim już przed nią mustangiem. Na przestrzeni kilkunastu metrów obydwie konie pędziły obok siebie.

— Nil'chi! — krzyknął Tomek dotykając jednocześnie lewą ręką szyi klaczy.

Indiański mustang metr za metrem pozostawał w tyle. Biała sierść Nil'chi zwilgotniała. Klacz nie zwolniła biegu na zakręcie. Przemknęła obok słupa z flagą amerykańską, by znów się znaleźć na prostej drodze wiodącej z powrotem ku boisku.

Dzokej na karoszu obejrzał się, a gdy spostrzegł blisko współzawodnika, smagnął konia pejczem. Przez jakiś czas obydwie wierzchowce biegly w jednakowej odległości.

Tomek spojrział za siebie. Najdalej dwieście metrów za nim gnały trzy konie, podczas gdy inne rozciągnęły się na trasie długim łańcuchem.

— Nil'chi, Nil'chi! — krzyknął Tomek po raz trzeci. — Prędezej, Nil'chi!

Klacz sprężyła się; pochyliwszy kształtny łeb, jeszcze przyspieszyła biegu. Nogi Tomka obejmujące jej boki wyczuwały drzenie mięśni rumaka. Biała, długa grzywa rozwiana w szalonym pędzie muskała twarz chłopca.

Tomek utkwiał wzrok w karoszu. Odległość pomiędzy dwoma końmi zmniejszała się z każdą chwilą. Pot pokrywał sierść Nil'chi. Z pyska jej spadł na purpurowy step płat białej piany.

Dzokej jadący na karoszu co chwila teraz odwracał głowę. Bez przerwy bił swego konia pejczem, lecz Tomek doganiał go zdecydowanie. Na milę od boiska obydwie wierzchowce się zrównały. Nil'chi była zmęczona, ale zaledwie Tomek rzucił okiem na karosza, pojął, że był on już u kresu sił. Teraz nie miał wątpliwości: Nil'chi powinna wygrać wyścig!

Nil'chi z wolna zaczęła się wysuwać na prowadzenie. Meksykanina ogarnęła wściekłość. Chcąc zmusić konia do przyspieszenia biegu, smagnął go pejczem po głowie.

Tomek zatrząsł się z oburzenia. W tej chwili gotów był nawet pozwolić wyprzedzić karoszowi wspaniałą Nil'chi, byle tylko zapobiec barbarzyńskiemu katowaniu rumaka.

Naraz piekący ból oślepił Tomka na krótką chwilę. To rozwścieczony przegraną jeździec Don Pedra zamachnął się pejczem i uderzył go w twarz. Tomek odruchowo osłonił prawym ramieniem głowę, gdy Meksykanin zamierzył się po raz drugi.

— Nil'chi! — krzyknął Tomek niesamowitym głosem.

Pejcz spadł jak wąż na ramię osłaniające głowę, przeciął skórę na dłoni. W tej chwili podniecona głosem jeźdźca klacz skoczyła, jakby brała przeszkodę. Coś szarpnęło Tomka

do tyłu, ale nie spadł, ponieważ lewą ręką mocno trzymał się kulbaki siodła.

Nil'chi nie była już wiatrem stepowym. Teraz, gdy śmigała przez step spowita obłokiem kurzawy, przypominała prawdziwe amerykańskie tornado. Podstępny Meksykanin pozostał daleko za nimi. Dopiero teraz Tomek zrozumiał, dlaczego niemal nie spadł z konia, kiedy otrzymał uderzenie. Oto w prawej, zakrwawionej dłoni kurczowo ścisnął gruby rzemień bata. Zapewne gdy osłonił się ramieniem przed powtórny ciosem, pejcz owinął się wokół jego dłoni, która zacisnęła się na nim odruchowo. Nil'chi wtedy właśnie przyspieszyła biegu, a Tomek bezwiednie wyszarpnął bicz z ręki Meksykanina.

Meta była już tuż, tuż. Krzyk widzów zgromadzonych na trybunach potężniał z każdą chwilą. Nil'chi upuszczając z pyska płaty piany wbiegła na boisko i jako pierwsza minęła białą linię mety.

Tomek ogłuszony olbrzymią wrzawą zsunął się z siodła wprost w ramiona szeryfa Allana. Z kolei ścisnęli go bosman Nowicki, pani Allan, Sally oraz rozentuzjasmowani ranczerzy. Dawno już bowiem nie pamiętano w tych stronach, aby tak młody chłopiec wygrał wyścig dziesięciomilowy. W końcu bosman rozgarnął tłum mocarnymi ramionami i osłonił Tomka. Czujne oko marynarza od razu spostrzegło siną pręgę na twarzy przyjaciela. Gdy jeszcze ujrzał rozciętą skórę na prawej dłoni ścisnącej pejcz, oczy jego błysnęły złowrogo.

Pochylił się nad swym druhem. Ostrożnie przesunął wielkim łapskiem po sinej prędze na twarzy Tomka.

— Kto ci to zrobił? — zapytał chrapliwym głosem.

Tomek spojrzał w poważną twarz przyjaciela i natychmiast zrozumiał, że jeżeli w tej chwili wyzna prawdę, bosman bez najmniejszego wahania zabije Don Pedra. Zastanawiał się, co ma powiedzieć, gdy na boisku znów się rozległy wiwaty. To drugi wierzchowiec przybywał do mety.

- Kto ci to zrobił? — bosman ponowił pytanie.

- Podjechałem zbyt blisko Meksykanina okładającego pejczem swego konia i wtedy niechcący mnie uderzył — szybko odparł Tomek. — Opowiem to później dokładnie... Zobaczmy, kto przybył drugi!

Przez linię mety przebiegł następny uczestnik. Gromada ranczerów otoczyła mustanga. Jedni przytrzymywali spienionego konia, inni pomagali zsiąść Nawajowi, a wszyscy wrzeszczeli jak opętani. Indianin potrząsał prawicę wyciągające się ku niemu. Jego miedzianobrązowa twarz nie wyrażała jakiegokolwiek uczucia, chociaż zapewne cieszył się z uzyskania drugiej nagrody. Pięć tysięcy dolarów wystarczało na zakup stada bydła lub ładnego ranczo.

Kiedy Tomek zbliżył się do niego, Nawaj trochę dłużej przytrzymał dłoń chłopca, potem musnął wzrokiem sinawą pręgę na twarzy i rzekł:

— Brawo, Nah'tah ni yez'zi!

Było to prawdopodobnie jedno z nielicznych znanych mu słów angielskich. Tomek odgadł intuicyjnie, że czerwonoskóry wojownik pochwalił w ten sposób jego zachowanie podczas starcia z Meksykaninem.

Jako trzeci przybiegł koń ranczera z Arizony. Tomek nie mógł pojąć, co się stało z wierzchowcem Don Pedra. Coraz więcej koni przybywało do mety, a tymczasem karosza wciąż jeszcze nie było widać. Tymczasem służba szeryfa troskliwie zaopiekowała się zmęczoną Nil'chi. Po przybyciu na metę zdjęto z niej siodło, wytarto ją wiechciami trawy z potu i nakryto dużym kocem. Nil'chi wyciągała łeb ku wiadrom pełnym wody, lecz Indianie zwilżyli jej tylko pysk mokrym ręcznikiem, a następnie zaczęli ją oprowadzać po boisku. W ten sposób rozgrzana długim, dość szybkim biegiem klacz z wolna przychodziła do siebie. Po półgodzinie, gdy wszystkie niemal konie przybyły już na boisko, Nil'chi uspokoiła się zupełnie.

Szeryfowi Allanowi i Tomkowi przypadł zaszczyt oprowadzenia wokół areny zwycięskiego rumaka. Szyję Nil'chi opasywała wstęga z pamiątkowym napisem. Klacz wstrząsała łbem słysząc huczne brawa oraz okrzyki, boczyła się i wierzgała. Było to najlepszym dowodem, że odpoczęła już po meczącym biegu.

Tuż przed samymi trybunami komitet organizacyjny wyścigu miał wręczać zwycięzcom nagrody. Właśnie szeryf i Nawaj przyjmowali pieniądze, gdy zbliżył się do nich Don Pedro. Meksykanin zatrzymał się jakieś trzy kroki przed grupką naszych przyjaciół, którzy jeszcze raz wieszowali szeryfowi wygranej. Wyniośle zmierzył rozradowanego Allana i zapytał.

— Senor[32] Allan, ile pan chce za tego konia?

Szeryf spojrział przez ramię na napuszonego bogacza.

— Koń nie jest do sprzedania, senor Don Pedro — odparł krótko.

— Wszyscy wiedzą, że posiadam na tym pograniczu najsmiglejsze konie. Rumak, który zajechał na śmierć mego wyścigowca, może znajdować się tylko w mojej stadninie — gniewnie powiedział Don Pedro, — Płacę podwójną cenę, jakiej senor zażąda.

— Gdyby pan proponował nawet dziesięciokrotną, nie sprzedałbym tej klaczy. Po prostu nie należy ona już do mnie, ponieważ ofiarowuję ją tej młodej damie — odpowiedział szeryf wskazując ręką Sally.

Don Pedro pogardliwie spojrział na zaróżowioną ze wzruszenia dziewczynkę.

— Niech i tak będzie, mogę odkupić klacz od tej smarkuli. Na moim ranczo mam służbę do czyszczenia butów, która jest prawdziwą księżniczką indiańską — rzekł niedbale Meksykanin.

Zanim zaskoczeni obrazą mężczyźni zdążyli zareagować, Tomek przystąpił do Don Pedra.

— W mojej ojczyźnie mężczyźni odnoszą się do kobiet z szacunkiem bez względu na ich wiek — odezwał się wzburzonym głosem. — Jest pan nie tylko gburowatym workiem pieniędzy, lecz również podstępny człowiekiem, polecającym dżokejom zachowywać się

na wyścigach nie sportowo. Jaki pan, taki kram! Pana dżokej uderzył mnie dwukrotnie pejczem, a teraz pan obraża moją przyjaciółkę. Oto moja odpowiedź!

Mówiąc to dwukrotnie uderzył biczem w twarz zaczerwienionego z wściekłości Meksykanina, Naznaczony dwoma krwawymi pręgami Don Pedro podskoczył ku chłopcu, lecz w tej chwili łapsko bosmana spadło na jego ramię. Marynarz bez wysiłku odwrócił go ku sobie. Don Pedro natychmiast wydobył z pochwy błyszczący rewolwer, lecz bosman, nie popuszczając jego ramienia, lewą ręką chwycił pięść ściskającą rękojeść broni. Meksykanin zawył z bólu; błyszczący rewolwer wysliznął się z jego dłoni na ziemię.

— A teraz dodam ci słówko od siebie, stary łobuzie — syknął bosman. — Namyśl się dobrze, zanim drugi raz odważysz się w moim towarzystwie obrazić kobietę. Masz szczęście, że mój kumpel pierwszy zapłacił ci za uderzenie pejczem podczas wyścigu i obrazę damy. Ja bym cię po prostu zatłukł! Teraz uciekaj stąd, gdzie pieprz rośnie!

Lewa ręka bosmana zakreśliła krótki łuk i grzmotnęła Don Pedra w podbródek. Meksykanin jak bezwładna kłoda runął na ziemię.

Bosman wydobył z kieszeni dużą kraciatą chustkę i starannie wytarł w nią dłonie. Spojrzał na wystraszoną Sally. Twarz jego zaraz się wypogodziła; uśmiechnął się do dziewczynki, która jak przystało na córkę pioniera australijskiego, szybko opanowała wzburzenie. Przysunęła się do Tomka, wyjęła z jego pokrwawionej dłoni pejcz, po czym owinęła ją swoją koronkową chusteczką. Teraz wspięła się na palce i ostrożnie musnęła ustami siną pręgę przecinającą twarz chłopca.

— Dziękuję ci, Tommy, jesteś prawdziwym dżentelmenem. Oczywiście dzielny pan bosman również — szepnęła i zaraz dodała głośniejszym głosem: — Pierwszy raz tacy wspaniali mężczyźni bili się o mnie!

Podbiegła do bosmana; musiał przykucnąć, aby również i jego mogła pocałować. Pocziwiec był bardzo wzruszony.

Znów wydobył swą kraciatą chustę i wycierając oczy powiedział: — Ha, naprawdę będę musiał mniej jadać. Tyję, a przez to pocę się zbyt często.

PORWANIE

Minęły dwa tygodnie od rodeo. Tomek i bosman zaproszeni przez wodza Długie Oczy wybrali się w kilkudniowe odwiedziny do rezerwatu Mescalero Apaczów. Obydwaj mieli nadzieję, że teraz wreszcie nadarzy się okazja do omówienia misji zleconej przez Hagenbecka. Pobyt wypoczynkowy w Nowym Meksyku dobiegał końca. Najdalej za trzy lub cztery tygodnie zamierzali wyruszyć z panią Allan i Sally w drogę powrotną do Europy. Mając na uwadze koniec wakacji, Tomek postanowił się porozumieć z Indianami w celu zorganizowania grupy objazdowej.

Podczas przydługiej nieobecności Tomka Sally codziennie udawała się po kilka razy na pobliski pagórek, aby wyrzeć na drogę, czy przypadkiem obaj przyjaciele nie powracają na rancho.

Był gorący, słoneczny ranek. Pani Allan i Sally zrywały owoce w odległym zakątku sadu. Tego dnia Sally zaledwie dwukrotnie wybiegła na wzgórze, a tymczasem Tomek i bosman mogli powrócić w każdej chwili, toteż wkrótce zaniechała zrywania owoców.

— Mamusiu, pobiegnę spojrzeć na drogę — zawołała. — Może już wracają.

— Dobrze, dobrze, mój niespokojny duchu, tylko nie siedź zbyt długo i weź ze sobą Dinga — odparła matka z uśmiechem.

Pani Allan powróciła do przerwanej na chwilę pracy, rozmyślając o swym domu w dalekiej Australii. Po raz pierwszy opuściła męża na tak długi czas. Zastanawiała się więc, jak też daje sobie bez niej radę. Niepokoila się czy słońce przypadkiem nie wypaliło pastwisk, co w Australii nie było rzadkością, obliczała, ile to zaległych prac czeka na nią w domu. Z zadowoleniem rozmyślała o zbliżającym się wyjeździe do Anglii. Gdy tylko ulokuje Sally u krewnego, natychmiast będzie mogła ruszyć w powrotną drogę.

Tymczasem Sally ciągnęła Dinga za ucho i beztróska biegła na wzgórze. Przez pewien czas spoglądała na drogę osłaniając dłonią oczy, tęcza niebawem uwagę jej zwróciło zabawne zwierzątko, przypominające budową ciała żabę.

Była to tak zwana rogowa ropucha amerykańska[33]. Jak twierdził Tomek, stanowiła ona swego rodzaju osobliwość fauny północnomeksykańskiej. Tomek wielokrotnie już pokazywał jej te zwierzątka i wyjaśniał, że są one w Ameryce odpowiednikiem australijskich molochów[34].

Zwierzątko, należące do rodziny leguanów, miało płaski, w kształcie tarczy tułów długości około piętnastu centymetrów, pokryty kolczastymi łuskami, szczególnie dużymi na głowie, a mniejszymi na krótkim ogonie. Poruszało się bardzo niezgrabnie, jak na szrudłach, wbrew przysłowiowej zwinności pokrewnych jaszczurek. Szeroki, obwisły tułów przeszkadzał mu zapewne w ściganiu zdobyczy lub łowieniu fruujących w powietrzu much, toteż ropuchy te żywiły się tylko powolnymi i niezgrabnymi owadami, które nieledwie same wpadały im do pyska. Owa wstrzemięźliwość w jedzeniu, wynikająca z powolności ruchów, stała się przyczyną rozpowszechnionego wśród krajowców mniemania, że rogowe ropuchy żywią się powietrzem.

Sally przyglądała się zwierzątku, gdyż nieczęsto można je było dostrzec z powodu piasokowoszarej z brunatnymi plamami ochronnej barwy ciała[35]. Już uprzednio postanowiła zabrać na pamiątkę, dla stryja w Anglii jedną taką ropuchę. Wielu kolonistów wysyłało łatwo oswajające się zwierzątka, opakowane w pudełko między dwoma grubymi warstwami waty, swym krewnym w Europie, aby trwożliwe mieszcuchy przeraziły się na widok niesamowitej “gadzinie”. Teraz Sally zastanawiała się, czy nie warto by od razu schwytać ropuchę. Nie była jednak pewna, jak należy tego dokonać, ponieważ bezbronne zwierzątka w razie niebezpieczeństwa wydzielają z oczu i nosa krople krwi, która rozpryskiwała się nieraz na kilka centymetrów wokoło. Wprawdzie Tomek zapewniał ją, że człowiekowi nic z tego powodu nie grozi, lecz mimo to nie była całkowicie przekonana, czy “jad” ten jest zupełnie nieszkodliwy. Słyszała bowiem od stryjka Allana, iż u salamander i ropuch gromadzą się w gruczołach umiejscowionych bezpośrednio za głową wydzieliny często trujące.

Dingo również z dużym zainteresowaniem obserwował dziwne zwierzątko, lecz Sally przytrzymała go za obrozę.

Nagle Dingo uniósł łeb, zastrzygł uszami, po czym zastygł w bezruchu pilnie nasłuchując. Zachowanie psa zwróciło uwagę Sally, dopiero jednak po długiej chwili usłyszała odległy jeszcze, głuchy tętent koni.

Bez chwili zastanowienia pobiegła na wzgórze; pies dużymi susami podążył za nią. Zaledwie znalazła się na szczycie, ujrzała obłok kurzawy toczący się z północy po stepowej drodze.

— To na pewno Tommy i bosman, nareszcie wracają! — zawołała.

W miarę jak obłok kurzawy się przybliżał, Sally biegła naprzeciw coraz wolniej. Czyżby przyjaciele jej wracali w tak licznym towarzystwie? Coraz wyraźniej w tumanie kurzawy uwidaczniały się liczne końskie łby i ciemne twarze jeźdźców.

Sally wiedziała, iż Tomek zamierzał zabrać z sobą do Europy grupę Indian. Pomyślała, że załatwiwszy pomyślnie sprawę, przyprowadzał zwerbowanych czerwonoskórych.

Przystanąła na drodze.

Na widok samotnej dziewczynki jeźdźcy wstrzymali konie. Po chwili już otaczała ją gromada Indian. Sally przyglądała im się zdumionym wzrokiem. Teraz dopiero spostrzegła swą pomyłkę. Nie było wśród nich Tomka ani bosmana, a dziwni Indianie różnili się wyglądem od Indian zamieszkujących najbliższy rezerwat. Cera niskich, wątko zbudowanych mężczyzn nie była miedzianego koloru, lecz brunatnoszara. Jedyne twarde jak druty, czarne o niemal niebieskawym odcieniu włosy, kwadratowe twarze i małe oczy przypominały Indian amerykańskich. Odzież ich także była odmienna. Nosili koszule i luźne spodnie z cienkiej bawełny, a niektórzy oprócz tego narzucili na siebie pstre zarape, to jest ręcznie tkane wełniane pledy z otworem na głowę, zdobione symetrycznie rozmieszczonymi figurami geometrycznymi na wzór nawajskich koców. Na głowach mieli duże słomiane kapelusze. Wszyscy byli uzbrojeni. W rękach trzymali flinty starego typu bądź nowoczesne karabiny. Niewielu tylko miało pasy z rewolwerami, lecz za to każdy z

nich posiadał długi nóż i lasso.

Dziwni Indianie zagadali do Sally w nieznanym języku. Dziewczynka milczała wylęknięta.

Naraz od strony ranczo rozległy się strzały i donośny wrzask. Teraz Sally przestraszyła się nie na żarty. Cóż to wszystko mogło oznaczać? Na odgłos strzałów jeźdźcy krzyknęli przeraźliwie. Jeden z nich pochylił się z konia ku dziewczynce i szybkim, zręcznym ruchem uniósł ją w górę. Dingo natychmiast rzucił się na niego, lecz inni jeźdźcy zaczęli tłuc psa grubymi pejcami. Oślepienie razami, ogłuszone zwierzę chwyciło ostrymi kłami ludzi i konie, ale dzielna obrona nie zdała się na wiele.

Po krótkiej chwili, otrzymawszy w głowę silne uderzenie kolbą karabinu, wierny Dingo padł na ziemię.

Przerazona, lecz jednocześnie oburzona do głębi Sally biła pięściami i drapała trzymającego ją przed sobą na koniu Indianina. Widząc to, inny jeździec ściągnął z siebie zarape i zarzucił je na szamoczącą się dziewczynkę. Zawinięta wraz z głową w gruby, cuchnący koc, Sally nie mogła już wołać o pomoc. Silne, żyłaste ręce przytrzymały ją na końskim grzbiecie. Jeźdźcy ruszyli galopem. Musieli znajdować się tuż przy ranczo, ponieważ strzały stały się bardzo bliskie. Przez krótką chwilę Sally mniemała, że stryjek Allan odbije ją teraz. Były to złudne nadzieje. Strzały ucichły, a Indianie uwozili ją w nieznaną. Słyszeć było tylko trzaskanie z biczów, kwik oraz rzenie pędzonych koni.

Sally już nie zdawała sobie sprawy z tego, jak długo trwała ta opętana jazda. Koc tłumiał jej krzyki i płacz, spowijał mocno ręce. W końcu na pół uduszona zamilkła, nieczuła na to, co się z nią dzieje.

Sally odzyskiwała przytomność. Otrząsnęła się czując w ustach jakiś wstrętny płyn cuchnący zgniłymi jajami. Uniosła głowę. Z obrzydzeniem wypluła piekący napój.

Teraz dopiero spostrzegła, że nie siedzi już na koniu, lecz leży pod drzewem na rozciągniętym na ziemi zarape. Kilka niskich postaci pochyliło się nad nią, a jedna z nich z manierki wlewała właśnie w jej usta piekący, cuchnący napój.

Sally odwróciła głowę w bok.

— Dajcie mi trochę wody — szepnęła.

Ciemne postacie porozumiewały się między sobą, po czym ktoś podał jej kubek wody. Sally chciwie go opróżniła.

“A więc ten straszny dzień już minął, jest noc” — pomyślała.

Na granatowym niebie migotały roje gwiazd. Znajdowali się w jakimś głębokim jarze. Rosnące tu olbrzymie kaktusy przybierały w mroku nocy niesamowite kształty. Obok słyszeć było nikły szmer płynącego strumyka.

Indianie szwargotali teraz raźniej. Ich szare twarze nie miały już tak bezwzględного, okrutnego wyrazu. Sally usiadła, a wtedy podano jej pożywienie.

— Señorita, tortilla — odezwał się jeden z Indian, kładąc przed nią kawałek placka i pasek suszonego mięsa.

Na migi pokazywał jej, żeby jadła, ale Sally nie była pewna, czy wypada przyjąć pokarm od wrogów. Teraz nie miała już wątpliwości, że porwali ją Indianie meksykańscy, którzy napadli na rancho stryjka Allana. Musieli to być Meksykańczycy, gdyż różnili się od Indian północnoamerykańskich rysami twarzy, ubiorem i mową. Podczas kilkunastotygodniowego pobytu na pograniczu zdążyła się już nauczyć paru hiszpańskich słów i wiedziała, że Meksykanie przeważnie mówią po hiszpańsku.

Inne dziewczynki w wieku Sally może by mdlały po dojściu do takiego wniosku. Należy jednak pamiętać, że mała Australijka była córką pioniera wychowaną w dzikim i surowym kraju; przeżyła już niejedno w swych rodzinnych stronach, toteż teraz potrafiła opanować strach i myśleć jak osoba nawykła do niebezpieczeństw.

Najbardziej dręczyła ją nieświadomość co do losów matki i stryjka. W chwili napadu matka znajdowała się w odległym zakątku sadu, zajęta zbieraniem owoców. Indianie jak nawałnica przetoczyli się przez rancho. Sally miała nadzieję, że zanim matka zwabiona krzykiem i strzałami nadbiegła, mogło już być po wszystkim. Stryj Allan nie rozstawał się ze swymi rewolwerami; tak rozsądny, opanowany człowiek nie wdałby się w beznadziejną walkę z przeważającymi liczebnie napastnikami. Może więc szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa, skoro Indianie pospiesznie opuścili rancho natrafiwszy na zdecydowany opór. Jeżeli tak było, to przecież stryjek wezwie na pomoc Tomka i bosmana, a może nawet i wojsko, by razem z nimi ruszyć w pościg.

Sally pokrzepiona na duchu takim rozumowaniem martwiła się już tylko o wiernego Dinga. Widziała na własne oczy, jak bezlitośni Meksykanie porzucili go skatowanego na drodze.

Właśnie jeden z tych okrutników podsuwał jej niemal pod nos kawałek placka.

- Señorita, tortilla — zachęcał mlaskając językiem.

Sally spojrzała na niego jakby wyrwana z głębokiego snu. Indianin wykrzywił kwadratową twarz w uśmiechu, by zachęcić ją do jedzenia.

Tortilla pachniała przyjemnie. Sally była głodna, poza tym doszła do wniosku, że chcąc doczekać odsieczy, nie może odmawiać przyjmowania pokarmu. Wzięła więc z rąk Indianina zachwalaną mlaskaniem tortille i ugryzła kawałek. Tortilla okazała się zwykłym plackiem kukurydzianym pieczonym na węglach. Smakował jej nawet, gdy strząsnęła z niego czerwony, piekący pieprz, którym był posypany. Sally zjadła tortillę, po czym zabrała się do cienkiego, długiego paska suszonego mięsa.

Po tym skromnym posiłku ułożyła się na zarape do snu. Bolały ją wszystkie kości, oczy zamykały się ze zmęczenia. Z niespokojnej drzemki zerwała się na jękliwe wycie kojota. Przypomniało ono Sally biednego Dinga, więc zapłakała cicho, tuląc głowę do grubego koca.

Zaledwie zdążyła trochę pospać, zbudziło ją lekkie szarpnięcie za ramię. Otworzyła

oczy. Na niebie wciąż jeszcze błyszczały gwiazdy. Tymczasem Meksykanie byli już przygotowani do dalszej drogi. Niski Indianin wziął znów Sally przed siebie na konia, lecz tym razem pozostawiono jej pewną swobodę ruchów. Noc była chłodna, więc Sally samorzutnie owinęła się grubym zarape, wysuwając głowę przez wycięty w środku otwór.

Indianie stale popędzali wierzchowce. Sally domyśliła się, że pragną się jak najszybciej oddalić od ranczo, by uniknąć pościgu. Mimo przynaglania nie wypoczęte należycie konie wlokły się dość wolno.

Gwiazdy blakły. Z mroku nocy wyłaniał się słoneczny dzień. Strome dotąd zbocza długiego, krętego parowu zaczęły się obniżać, aż w końcu wyjechali na rozległy step. Teraz dopiero Sally zorientowała się w liczebności bandy — było ich dwudziestu dwóch. Poprzedniego dnia, gdy oddalali się od ranczo, Sally wyraźnie słyszała świst batów, którymi kowboje popędzają stado bydła lub tabun koni. Obecnie nigdzie jednak nie mogła dostrzec luźno idących rumaków. Rozmyślenia nad tym niezrozumiałym faktem przerwał jej głos Indianina jadącego na czele kawalkady. Jeźdźcy natychmiast się zatrzymali. Wyciągnęli szyje i niespokojnie patrzyli w kierunku północnym. Sally z trudem stłumiła okrzyk radości. Ukosem przez step zbliżał się do nich szybko znaczny oddział jeźdźców. Niepewność na twarzach Indian wskazywała, iż mógłby to być nadciągający pościg.

Serce w piersi Sally tłukło się niespokojnie. Indianie wyjmowali broń, lecz z twarzy ich niczego nie można było wyczytać.

“Ho, ho, stryjek i Tommy zapędzą w kozi róg tych chuderlaków” — gorączkowo myślała Sally.

Przywódca opuścił nagle dłoń, którą osłaniał oczy przed blaskiem słonecznym, spokojnie powiesił karabin na łęku siodła i zawołał coś do swych towarzyszy. Ruszyli znowu.

Sally omal się nie rozplakała, widząc już z bliska kawalkadę jeźdźców. Byli to Indianie meksykańscy, wiedli na lassach najlepsze wierzchowce stryja Allana. Na samym przedzie znajdowała się wspaniała klacz Nil’chi. Z największą obawą Sally wypatrywała, czy przypadkiem w nadciągającej grupie Indian nie ujrzy swych najbliższych jako jeńców. Na szczęście nowa banda składała się tylko z czerwonoskórych. Obydwie połączone grupy liczyły teraz około pięćdziesięciu ludzi. Powoli Sally zaczynała rozumieć ich taktykę. Otóż napadli na ranczo z dwóch stron jednocześnie — z północy i południa. Sally została pochwycona przez jeźdźców przybyłych z północy, podczas gdy grupa południowa splądrowała ranczo. Manewr ten zastosowali Meksykanie dla wprowadzenia w błąd osadników amerykańskich. Któż mógłby posądzać Meksykanów o urządzenie napadu, skoro pozornie przybyli z głębi terytorium Stanów Zjednoczonych? Również po napadzie powrócili na stronę meksykańską dwoma oddzielnymi grupami, aby utrudnić pościg. Sally doszła do wniosku, iż rozumowanie jej jest trafne.

Tymczasem kawalkada dotarła niebawem w górzystą okolicę. Kopyta koni głucho dudniły po kamienistym gruncie. Przez jakiś czas Indianie pospiesznie kluczyli po skalistych kanionach, ale było już zupełnie widoczne, że coraz mniej obawiają się pościgu

— kamieniste podłoże uniemożliwiało tropienie.

Późnym wieczorem zatrzymali się w mrocznym kanionie na nocny postój. Zdenerwowana Sally nie mogła zasnąć. Czy przyjaciele zdołają ją odnaleźć i oswobodzić? Któż potrafi odszukać ślady w skalistych górach?

Na długo przed świtem Meksykanie znów ruszyli w drogę. Około południa znaleźli się na skraju gór. Ku zachodowi ciągnęła się preria upstrzona kaktusami. Kilku Indian odłączyło się od bandy i popędziło ku widocznym na horyzoncie smużkom dymów. Sally domyśliła się, że muszą się tam znajdować jakieś domostwa. Dlaczego jednak odjeżdżający zabrali klacz Nil'chi i pięć innych koni?

Pozostali Indianie rozłożyli się biwakiem. Palili tytoń w glinianych fajeczkach, popijali swą ulubioną pulque, produkowaną ze sfermentowanych owoców agawy, której wstrętny smak Sally poznała na pierwszym postoju, i rozkoszowali się odpoczynkiem. Dziewczynka z trudem przełknęła kawałek tortilli; rozmyślała o swym smutnym położeniu. Indianie zachowywali się zupełnie swobodnie i nawet nie zwracali na nią uwagi.

Po kilku godzinach grupka Indian powróciła z tajemniczej wyprawy. Przywiedli mocno objuczone konie, ale nie było wśród nich Nil'chi. Indianie zaraz zebrali się na uboczu. Po krótkiej naradzie zwinęli obozowisko i ruszyli na południe. Jedyłą roślinność stanowiły tutaj kaktusy o tysięcznych kształtach, agawy, burzany oraz miotlaste juki. W górze kołowały sępy łakomie wypatrujące żeru. W świetle owadów nieurodzajnej krainy przede wszystkim królowały koniki polne. W zadziwiający sposób przypominały suche gałązki krzewu podobnego do mirtu, którym się żywiły. Pełno tu było również dużej, zielonej szarańczy o pstrych skrzydłach, dziwnych chrząszczy, rozmaitych mrówek i wielkich żółtych motyli. Na tym suchym stepie rozłożyli się na noc. Sally ogarnęła niezmierna tęsknota za matką i najbliższymi. Popłakiwała cicho, nim chóralne ćwierkanie świerszczy nie ukołysało jej do snu.

Minęło kilka godzin. Naraz Sally zbudziła się. Usiadła na posłaniu. Ogniska niemal już wygasły, a Indianie nie zważając na chłód nocy spali głośno chrapiąc. Sally owinęła się w zarape, po czym skulona próbowała zasnąć z powrotem. W pobliżu rozległ się kwik koni. Sally zaczęła się zastanawiać, czy nie warto by skorzystać ze sprzyjających warunków i spróbować ucieczki. Zaraz jednak pojęła bezsensowność pomysłu. Dokąd miała uciekać? Nie orientowała się w okolicy, a przecież w tej chwili nie mogła liczyć na niczyją pomoc. Jeżeli nawet ucieknie teraz, to Indianie i tak ją odnajdą. Wtedy już będą pilnowali lepiej, a może nawet zwiążą? Nie, nie, nie chciała do tego dopuścić. Później na pewno dowie się w jakiś sposób, w którym kierunku znajduje się rancho stryjka Allana i, dzięki swobodzie ruchów, skorzysta z najlepszej okazji do ucieczki.

Z ciężkim westchnieniem przymknęła oczy. Przypomniła sobie, jak to przyjemnie było na rancho stryjka. Co też on teraz porabia? Czy bardzo rozpacza matka? Dlaczego Tommy i bosman tak długo nie przychodzą z pomocą? Czy zdołają odnaleźć ślady napastników w tych skalistych kanionach? Tyle miała wątpliwości, więc dla pociechy myślała, ilu to niezwykłych czynów dokonali jej przyjaciele. Potrafili przecież tropić nieznanne, dzikie zwierzęta w mrocznych dżunglach i ujarzmiali je z łatwością, na pewno

więc nie zrażą się trudnościami pościgu za porywaczami. Ach, gdyby Dingo, ten wierny i kochany Dingo żył, na pewno by przyprowadził przyjaciół nawet przez skaliste kaniony!

W tej chwili gdzieś na stepie ozwało się wycie kojotów, a potem... Sally zaczęła bacznie nasłuchiwać. Zdawało się jej bowiem, iż usłyszała chrapliwe szczeknięcie Dinga. Czyżby się myliła? Na stepie znów się rozległ dziwnie znajomy głos. Niskie, początkowo chrapliwe tony stawały się coraz wyższe, aż w końcu zmieniły się w przeraźliwe skowyczenie. Nie, to nie był kojot! Sally dobrze знаła jego grobowe, przeciągłe wycie. To natomiast, co przed chwilą usłyszała, było głosem australijskiego psa.

Podniecona zerwała się na równe nogi. Indianie spali kamiennym snem. Minęła długa chwila. Już Sally zaczęła przypuszczać, iż uległa złudzeniu, aż naraz ciche, chrapliwe szczeknięcie powtórzyło się w pobliskich kaktusach.

Sally rozejrzała się po obozowisku. Wokół rozbrzmiewało regularne chrapanie Indian. Wysunęła się z zarape, po czym, stąpając ostrożnie, zbliżyła się ku zaroślom. Zaledwie w nie wkroczyła, przypadł do niej włochaty cień. Dziewczynka opadła na kolana i drżącymi rękoma objęła kark swego ulubieńca. Zapłakała, gdy szorstki jeżor dotknął jej twarzy.

— Mój kochany, mój najdroższy Dingo! Och, jak się cieszę, że cię nie zabito... — szeptała ściskając psa.

Było zbyt ciemno, aby mogła mu się przyjrzeć, więc tylko rękoma zaczęła przesuwając po jego ciele, szukając śladów po razach indiańskich pejców. Dotykaniem wyczuwała strupy zakrzepłej krwi na jego sierści.

Ciemność nocy oszczędziła Sally przykrego widoku. Dingo wyglądał okropnie. Skóra poprzecinana biczami pokryta była dopiero co zakrzepłą krwią. Od lewego oka aż do karku widniała na jego głowie szeroka rana. Płowe boki psa głęboko się zapadły, pewnie od chwili napadu jeszcze nic nie jadł. Banda Indian szybko umykała, toteż Dingo nie miał czasu na poszukiwanie pożywienia. Zaledwie zdążył pochleptać trochę wody w napotykanym strumykach. Teraz utrudzone stworzenie położyło się na ziemi obok klęczącej dziewczynki.

Sally pomyślała, że Dingo musi być bardzo wygłodzony. Podeszła do obozowiska. Obok wygasłych ognisk nie brak było pozostałości po kolacji Indian. Z łatwością znalazła kilka kawałków tortilli i suszonego mięsa. Podała to wszystko czworonożnemu przyjacielowi, by zaspokoił przynajmniej pierwszy głód.

Sally rozmyślała przez cały czas, co Indianie powiedzą ujrzawszy psa. Nie, nie, do tego nie wolno dopuścić. Przecież jeżeli Dingo potrafił odnaleźć jej ślad, to i pościg mógł się znajdować w pobliżu. Widok Dinga zmusiłby Indian do zwiększenia czujności, a może by go zabili, obawiając się, że sprowadzi im pogoń na kark.

Tak rozumując Sally zaczęła szeptać i nakazywać psu, że musi powrócić w step, aby Indianie go nie spostrzegli. Dingo przekrzywił łeb, od czasu do czasu dotykał ozorem twarzy dziewczynki. Naraz któryś z Indian poruszył się. Sally czym prędzej wróciła do ogniska. Jakież było jej zdziwienie i radość zarazem, gdy Dingo powłókł się za nią parę

kroków, lecz nie przekroczył linii krzewów. Wychylił tylko płowy łeb zza kaktusa, czujnym wzrokiem przyjrzał się pogrążonym jeszcze we śnie Indianom, po czym znikł z powrotem w zaroślach.

Sally odetchnęła z ulgą.

POGOŃ I NARADA

Przed dwoma zaledwie godzinami Murzyn zatrudniony u szeryfa Allana przybył na spienionym wierzchowcu do rezerwatu Mescalero Apaczów z wiadomością, że nieznani Indianie dokonali napadu na ranczo.

Zaskoczeni tą okropną wieścią Tomek i bosman niewiele mogli wydobyć z przestraszonego posłańca. Według jego relacji szeryf Allan został zabity. Sally zniknęła, a tylko dziwnym zbiegiem okoliczności ocalała jej matka. Nieznani Indianie zabrali z korralu wiele koni, po czym odjechali tak nagle, jak się przedtem pojawili. Murzyn mówił jeszcze o strzelaninie i walce. Gdy napastnicy odjechali, pani Allan poleciła mu najpierw powiadomić Tomka i bosmana, a potem również prosić o pomoc kapitana Mortona.

Obydwaj przyjaciele nie tracili czasu. Razem z Czerwonym Orłem natychmiast dosiedli koni; nie szczędząc ich gnali na złamanie karku na ranczo — miejsce tragicznych wydarzeń.

Po czterech godzinach wpadli w obejście domostwa. Zatrzymali się tuż przed werandą, gdzie stało kilka osiodłanych koni. Tomek i bosman zeskoczyli z wierzchowców, po czym wbiegli na werandę.

Przy stole siedziała pani Allan w towarzystwie kilku okolicznych ranczerów. Na widok dwóch przyjaciół zerwała się z fotela i wyciągnęła do nich dłonie.

— Sally porwali Indianie — wyrzuciła jednym tchem.

— Kiedy to się stało? — zapytał bosman. — Murzyn przysłany przez szanowną panią niewiele mógł nam powiedzieć. Czy to prawda, że pan szeryf...?

— Nie, nie. Opatrzność czuwała nad nim — zaprzeczyła pani Allan. — Walcząc z napastnikami został dwukrotnie trafiony kulami, lecz na szczęście doktor ręczy za jego życie. W tej właśnie chwili zakłada mu nowe opatrunki.

— Ha, kamień spadł mi z serca — odetchnął bosman. — Murzyn mówił, że nasz szeryf nie żyje.

— W pierwszej chwili tak to wyglądało, lecz po odjeździe posłańca szwagier odzyskał przytomność.

— Może łaskawa pani opowie nam wszystko, bo trzeba natychmiast ruszać w pogoń — pośpiesznie rzekł bosman.

— Właśnie czekaliśmy na was, aby się naradzić... Powiem wam dokładnie, jak się to stało. Otóż wczesnym rankiem zbierałyśmy z Sally owoce w sadzie. Moje biedactwo nie mogło się już na was doczekać. Od dwóch dni stale wybiegała na wzgórze przed domem, aby zobaczyć, czy przypadkiem nie wracacie. Tego ranka również nie usiedziała zbyt długo na jednym miejscu. Powiedziała, że pójdzie wyjrzeć na wzgórze. I już jej więcej nie widziałam.

Bosman głośno wytarł nos w chustkę, a przy okazji długo manipulował nią koło oczu.

Pani Allan spostrzegła jego wzruszenie i umilkła. Za chwilę mówiła dalej drżącym głosem:

— Zostałam sama w sady. Byłam widocznie zamyślona, gdyż wcale nie słyszałam tętentu koni. Nagle przy domu gruchnęły strzały i rozległo się piekielne wycie czerwonoskórych. Oczywiście pierwszą moją myślą było ratowanie Sally. Pobiełam więc w kierunku wzgórza, aż tu naraz, niemal obok mnie, przemknęła wataha jeźdźców. Pognali na ranczo, podczas gdy ja podążałam na wzgórze, na którym spodziewałam się zastać córkę. Zamiast niej znalazłam na drodze nieżywego Dinga. Zapewne banda porwała Sally i zabiła wierne psisko stojące w jej obronie. Oczywiście wróciłam zaraz na ranczo, lecz banda Indian umykała już ku korralom. Chciałam biec za napastnikami, jednak zdałam sobie sprawę, że niewiele wskóram.

— A gdzie był wtedy nasz szeryf? — wtrącił bosman.

— Mój szwagier leżał na ziemi przed werandą z dwoma dymiącymi jeszcze rewolwerami w rękach. Przypadłam do niego. Wydawało mi się, że już nie żyje. Z okien domu gęsto padały strzały, którymi nasza służba razila napastników. Gorący opór, z jakim się spotkali, skłonił ich prawdopodobnie do ucieczki i zapobiegł splądrowaniu domu. Zabrali tylko z korralu kilkanaście najlepszych koni, a wśród nich i klacz Wiatr, po czym umknęli. Wkrótce dwaj nasi kowboje ruszyli ich tropem, lecz gdy się przekonali, że Indianie podzielili się na dwie grupy, powrócili do domu, aby zorganizować pościg. Zaraz też sprowadziłam doktora i wysłałam Murzyna po panów oraz po kapitana Mortona. Ci oto nasi sąsiedzi oczekują na wspólną naradę.

— Do góry głowa, łaskawa pani, pojedziemy za Sally nawet do piekła — gorąco zapewnił bosman. — Zapłacimy za to Indianom. Aż mnie w dołku żal ścisnął, gdy usłyszałem, że nasza Sally porwana, a Dingo zabity. Ha, ale zapłacimy im z procentem, może pani być zupełnie spokojna.

— Kto z panów gotów jest wyruszyć z nami w pościg? — krótko zapytał Tomek.

Ranczerzy z uznaniem spojrzeli na nie tracącego głowy młodzieńca i wszyscy wyrazili gotowość wzięcia udziału w pościgu wraz ze swymi ludźmi. Był to schyłek dnia, postanowiono więc czekać do świtu i wtedy dopiero wyruszyć śladami uciekinierów.

Tomek palił się do czynu, ale równocześnie rozumiał, że pochopne działanie może przynieść więcej szkody niż pożytku. Z relacji dwóch kowbojów wynikało, że napastnicy zdążali ku granicy meksykańskiej.

Gdyby pościg musiał się zagłębić na obce terytorium, to lepiej byłoby wyruszyć w asyście kapitana Mortona. Ranczerzy spodziewali się, że energiczny wojak zdąży przybyć jeszcze przed świtem.

Z zapadnięciem wieczoru coraz więcej uzbrojonych mężczyzn zjeżdżało na ranczo. Nad samym rankiem przygalopował kapitan Morton na czele dwudziestu kawalerzystów.

Jeszcze raz odbyto wspólną naradę. Kapitan po wysłuchaniu relacji rzekł stanowczo:

— Nie. ulega żadnej wątpliwości, że jest to sprawka tego łotra Czarnej Błyskawicy. W

ten nikczemny, podstępny sposób zemścił się na szeryfie za schwytanie go wówczas.

— Skąd ta pewność, szanowny panie? — zagadnął bosman niedowierzająco.

— Gdyby to była zwykła banda rabunkowa, w pierwszym rzędzie splądrowałaby dom — odparł pewnie kapitan Morton. — Proszę tylko kolejno przeanalizować wydarzenia, a prawda wypłynie na wierzch jak oliwa. Banda Indian urządza najazd na ranczo odległe co najmniej o piętnaście kilometrów od granicy, omijając inne posiadłości znajdujące się po drodze. Napad udaje się. Indianie ciężko ranią właściciela ranczo, porywają jego bratanicę i... zabierają tylko kilkanaście koni. Krótko mówiąc, wyrządzili oni szeryfowi większą krzywdę moralną niż materialną, ponieważ zabrali jedynie to, co przedstawiało dla niego osobiście największą wartość. Kilku ludzi nie było w stanie obronić się przed liczną bandą napastników. Ręczę, że gdyby to był zwykły napad, to by zabili wszystkich przypadkowych obrońców i splądrowali dom. Jasno z tego wynika, iż przybyli jedynie w celu dokonania zemsty na szeryfie. A któż, jak nie Czarna Błyskawica, mógł żywić nienawiść do powszechnie lubianego i szanowanego szeryfa Allana?

— Do stu zdechłych wielorybów, trudno odmówić słuszności temu rozumowaniu — przyznał bosman,

— Co jednak jest winna moja biedna Sally? — zawołała pani Allan tłumiąc rozpacz.

— W ten sposób buntownik chciał się zemścić na szeryfie — ponuro rzekł kapitan Morton. — Czerwonoskórzy nie znają litości.

— W całym rozumowaniu jest mimo wszystko pewna nieścisłość — naraz odezwał się Tomek. — Uprowadzone wierzchowce przedstawiały dużą wartość nie tylko dla pana szeryfa. Za samą klacz Nil'chi Don Pedro ofiarowywał kilkakrotną wartość szacunkową.

— Ha, brachu! — ożywił się bosman. — Może Indiancy porwali naszą Sally dla okupu? Co myślisz pan o tym, kapitanie?

— Uwaga młodzieńca dowodzi bystrości jego umysłu — poważnie odparł zapytany. — Konie naprawdę można dobrze sprzedać w Meksyku, lecz właśnie porwanie bratanicy szeryfa wyklucza chęć pobrania okupu. Gdyby im chodziło wyłącznie o korzyści materialne, to, jak już zaznaczyłem, przede wszystkim splądrowaliby dostatnio zaopatrzone dom. Po co się targować o okup, jeżeli od razu można się dobrze obłowić? Czarna Błyskawica wiedział, że szeryf kocha małą Sally i jest bardzo przywiązany do swych koni wyścigowych.

— Boże! Przeraza mnie to — zawołała pani Allan. — Nie pozwólcie, aby okrutni Indianie, mścili się na niewinnym dziecku!

— Nie traćmy czasu, niech nam szanowny pan kapitan przewodzi — porywczo powiedział bosman.

Ranczerzy jednogłośnie oddali się pod komendę energicznego kawalerzysty. Za ledwie zaświtał dzień, pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych ludzi rozpoczęło pościg. Ślady uciekających były dość wyraźne. Dzięki temu pogoń szybko dotarła do miejsca, gdzie tropy

rozchodziły się w dwóch kierunkach. Morton również podzielił swych ludzi na dwa oddziały i każdy z nich bez zwłoki ruszył w drogę.

Po kilku godzinach obydwie oddziały dotarły do skalistego stepu; tutaj nie można już było odszukać dalszych śladów napastników. Gdy wieczorem po całodziennych bezskutecznych poszukiwaniach oddziały złączyły się znów w jednym ze skalistych kanionów, uczestnicy pościgu w ponurym nastroju obsiedli ogniska.

— W piętkę gonimy, szanowni panowie — mruknął bosman. — Przekłęci Indiańcy naumyślnie zjechali w skaliste góry, aby zatrzeć ślady.

— Według wszelkich informacji, jakie zdołaliśmy zebrać o Czarnej Błyskawicy, ukrywa się on w górach w pobliżu pogranicza — powiedział kapitan Morton. — Gdybyśmy mogli przetrząsnąć wszystkie łańcuchy górskie, na pewno byśmy trafili na jego kryjówkę.

Po tych słowach Tomek posmutniał. Ilu bowiem trzeba było mieć ludzi i ile poświęcić czasu, aby przeszukać liczne niedostępne i rozległe pasma górskie? W tych warunkach jedynie przypadek naprowadzić mógł pogoń na trop napastników.

— Gdyby mądry Dingo żył, na pewno by potrafił odnaleźć ślad Sally — odezwał się Tomek.

— Nie mieliśmy nawet czasu odszukać go, by mu oddać ostatnią posługę — z powagą przytaknął bosman.

Zaczęli wspominać, jak to dzięki Dingowi Tomek odnalazł zaginioną w buszu Sally, i różne inne przygody, z których wyszli cało dzięki jego mądrości.

Nikt nie kładł się tej nocy do snu. Załedwie nastał świt, rozpoczęto dalsze poszukiwania. Małe oddziały przemierzały kręte kaniony i wąwozy, obserwatorzy lustrowali okolicę ze szczytów górskich, lecz nie natrafiono na najmniejszy nawet ślad porywaczy.

W ten sposób upłynęło kilka dni na bezskutecznych poszukiwaniach. W końcu Morton i ranczerzy zgodnie doszli do wniosku, że dalszy pościg nie da lepszego rezultatu. W niewesołym nastroju wracali do domu.

Tomek i bosman starali się pocieszyć panią Allan. Kapitan Morton zapewniał, że wkrótce zorganizuje dużą wyprawę przeciwko Czarnej Błyskawicy. Ranczerzy powoli porozjeżdżali się do swych farm.

Wieczorem tego dnia Tomek, bosman i pani Allan zgromadzili się u łoża rannego szeryfa. Lekarz twierdził, że nadmierna troska o Sally utrudnia mu przyście do zdrowia. Z tego też względu niewiele przy nim rozmawiano, bo i cóż wesołego można było mówić w tak przykrew sytuacji?

Tomek siedział głęboko zamyślony. Kapitan Morton uznał dalsze poszukiwania za bezcelowe. Tomek zżymał się na tę decyzję. Gdyby ojciec i Smuga byli z nimi, na pewno by nie dali tak łatwo za wygraną.

Zdawało mu się, że Morton i ranczerzy wyruszyli w pościg “na otarcie łez” zrozpaczonej

matki, z góry nie wierząc w skuteczność poszukiwań. Za wiele rozprawiali na temat brańców indiańskich, których niekiedy tylko odnajdowano, i to przypadkowo. Czyżby mieli pozostawić Sally własnemu losowi? Kapitan Morton obwiniał Czarną Błyskawicę o ten nikczemny czyn. Tomek intuicyjnie wyczuwał, że krewki i źle usposobiony do Indian kawalerzysta szedł po linii najmniejszego oporu. Trudno było uwierzyć, aby dzielny wojownik indiański w ten sposób odplacił się Sally za pomoc udzieloną mu w krytycznej chwili. Przecież to właśnie Czarna Błyskawica nazwał ją Białą Różą i powiedział, że nawet za cenę własnej wolności nie narazi jej na przykrość.

Tomek poruszył się niespokojnie. W tej chwili przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez wodza Długie Oczy podczas jego pierwszej bytności w rezerwacie indiańskim: “Gdyby mój biały brat potrzebował kiedykolwiek pomocy przyjaciół, niech się uda na Górę Znaków i nada sygnał. Wtedy przybędzie tam ktoś, na kogo młody brat może liczyć w każdej okoliczności.”

Tomka ogarnęło niezwykle podniecenie. Czyż nie potrzebował teraz pomocy przyjaciół? Wódz Długie Oczy nie wyglądał na człowieka rzucającego słowa na wiatr! Przecież to on go uprzedził podczas rodeo o podstępie Don Pedra. Tomek doszedł do wniosku, że powinien natychmiast odszukać Czerwonego Orła, aby wskazał mu drogę do Góry Znaków. Co się działo z Czerwonym Orłem? Tomek zapomniał o nim wyruszając w ten bezsensowny pościg.

Bosman spod oka obserwował swego młodego przyjaciela. Zbyt dobrze znał chłopca, aby nie dostrzec, że dzieje się z nim coś niezwykłego.

— Proszę pani, czy po ucieczce napastników widziała pani jeszcze zabitego Dinga? — zapytał Tomek przerywając milczenie.

— Ach, mój drogi, zapomniałam powiedzieć, że gdy tylko udzieliłam pierwszej pomocy szwagrowi, natychmiast wróciłam na drogę przy wzgórzu, aby zająć się pogrzebaniem wiernego psa. Wzięłam nawet Murzyna, Boba, do pomocy, ale już nie znalazłam Dinga. Zapewne kojoty powlokły go gdzieś w step.

— Kojoty nie kręcą się za dnia w pobliżu domostw. Co się mogło stać? Co pan o tym myśli, bosmanie? — odezwał się Tomek.

— Indianie napadli na rancho wczesnym rankiem. A kiedy szanowna pani powróciła jeszcze raz na wzgórze? — zagadnął marynarz.

— Było to w każdym razie przed południem, najdalej w cztery godziny po napadzie. Nie znalazłszy psa na drodze, przeszukaliśmy z Bobem spory kawałek stepu, ponieważ przyszło mi na myśl, że w ostatniej chwili mógł zwlec się z drogi. Niestety, nie znaleźliśmy go nigdzie.

Tomek podniecony wstał, przeszedł kilka razy wzdłuż pokoju, a potem zatrzymał się przed bosmanem.

— Czy pan pamięta, co pan opowiadał mi o Dingu, gdy w Ugandzie odzyskałem przytomność po stratowaniu przez nosorożca? — zapytał.

— Mógłbym być jedynie ciurą okrętowym, a nie bosmanem, gdybym miał kurzą pamięć — odparł marynarz nieco urażonym tonem, lecz zaintrygowany pytaniem przyjaciela zaraz dodał: — Czy naprawdę chcesz wiedzieć, co mówiłem wtedy o Dingu?

— O to mi właśnie chodzi.

— Myśleliśmy w pierwszej chwili, że poczciwe psisko wyzionęło już ostatnią parę... Ejże, brachu, już wiem do czego zmierzasz! Dingo leżał wtedy na ziemi jak truposz, lecz wkrótce uniósł łepetynę i powłókł się o własnych siłach za nami. Czy przypuszczasz, że i tym razem tak się mogło stać?

— Pani Allan widziała Dinga leżącego na drodze — mówił Tomek jakby do siebie. — W kilka godzin później już go tam nie było. Nawet gdyby jakiś kojot błąkał się wtedy w pobliżu ranczo, to by z pewnością uciekł słysząc wrzask Indian i strzały. Jeżeli więc wykluczemy kojoty, to co się stało z martwym psem?

Pani Allan i szeryf poruszyli się niespokojnie. Bosman nabrał rumieńców. Pospiesznie wychylił całą szklankę jamajki i rzekł podniecony.

— Ha, ile to razy powtarzałem szanownemu państwu, że Tomek ma głowę nie od parady? Przypomniałeś mi, brachu, kubek w kubek podobne zdarzenie. Parę lat temu nasz statek miał się udać z Hamburga do Rio de Janeiro po ładunek kawy. Tuż przed wypłynięciem w morze jednemu kumplowi z nacji niemieckiej zmarła żona. Biedak nie mógł być nawet na pogrzebie, bo stało się to akurat na godzinę przed wyruszeniem w drogę. Pożegnał więc zwłoki ślubnej małżonki i, zleciwszy pogrzeb rodzinie, zmartwiony okrutnie przydrałował na statek. Całą drogę martwił się, a przez to nadużywał nieco trunków. Kiedy więc dobiliśmy do Rio, kapitan mówi mu: “Klin klinem, chłopie! Ożeń się jeszcze raz, a może lepiej ci się teraz poszczęści.” Zdyscyplinowane Niemczysko w trzy dni po wylądowaniu w Rio ożeniło się z jedną Brazylijką. Kapitan dobrze mu poradził, bo całą żalność jakby mu kto ręką odjął. W kilka tygodni później przybijamy znów do Hamburga, a tu niby zmarła żona czeka na mego kumpla. Okazało się, że ona wcale nie umarła, a tylko zapadła w letarg, czyli w tak zwaną śmierć pozorną.

— Panie bosmanie, ależ ta historia nie ma nic wspólnego z Dingiem — zaproponował Tomek.

— Ma, brachu kochany, bo wypływa z niej wniosek, że dopóki nie byłeś na pogrzebie, to nikogo nie oplakuj — sentencjonalnie zakończył bosman. — Teraz ponowię Tomka pytanie: co się stało z martwym psem?

— Czy panowie uważacie, że gdyby Dingo nie był zabity, to by pobiegł za Sally? — zawołała pani Allan.

— Jak amen w pacierzu, szanowna pani — zapewnił bosman, — Taki obrót rzeczy rzuca zupełnie nowe światło na całą sprawę. Dingo był specjalnie szkolony do różnych sztuczek.

— Co by z tego wynikało, gdyby nawet naprawdę Dingo mógł podążyć za Sally? — zapytała pani Allan z nieśmiałą nadzieją w głosie.

— Otóż, proszę pani, jeżeli Dingo żyje, to istnieje duża szansa, że wróci na ranczo, by poprowadzić nas na ratunek — wyjaśnił Tomek, — Dingo jest bardzo inteligentnym stworzeniem.

— O Boże, gdyby tak było! Czy jednak Indianie nią zabiliby go, widząc, że podąża za nimi? — niespokojnie mówiła pani Allan. — Jeżeli Czarna Błyskawica zdobył się na tak okrutną zemstę, to nie zawaha się zastrzelić psa.

— Nie mamy przecież pewności, że Sally porwał Czarna Błyskawica — stanowczo oświadczył Tomek. — Takie jest zdanie kapitana Mortona, lecz ja mam wątpliwości.

W tej chwili szeryf Allan wykonał ruch ręką. Pani Allan, bosman i Tomek zbliżyli się do jego posłania, a on, jeszcze bardzo osłabiony mówił cicho:

— Wiele cennego czasu straciliście przez tego zapaleńca Mortona. Teraz, przysłuchując się wywodom Tomka, uzmysłowiłem sobie, że Indianie, którzy brali udział w napadzie, należeli do szczepu meksykańskich Pueblosów. Tymczasem banda Czarnej Błyskawicy, więcej niż pewne, składa się z Indian amerykańskich zbiegłych na teren Meksyku.

Tomek słuchał w wielkim napięciu. Teraz nie miał już wątpliwości. Jeżeli Czarna Błyskawica naprawdę nie był zamieszany w napad na ranczo, to należało się jak najszybciej udać na Górę Znaków, by wezwać pomocy. Przecież według zapewnień wodza Długie Oczy, mógł się spodziewać przybycia potężnego sojusznika. Teraz więc okaże się, co jest warte przyrzeczenie Indianina.

— Proszę państwa, wprowadźcie rozumowanie nasze oparte jest na przypuszczeniach, lecz nawet kapitan Morton był zdania, że tylko przypadek może przyczynić się do odnalezienia Sally — odezwał się Tomek. — Nie wolno nam spocząć, dopóki jej nie uwolnimy. Mam pewien pomysł, ale nie chcę go teraz z wielu względów wyjawić. Jutro o świcie wyruszę na małą wyprawę i... zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Idę z tobą, brachu — wtrącił bosman.

— Nie możemy wyruszyć razem, panie bosmanie — zaproponował Tomek. — Po pierwsze, obecność pana mogłaby zniweczyć moje plany, a po drugie, jeden z nas musi pozostać na ranczo na wypadek, gdyby Dingo wrócił.

— Ha, mam siedzieć za piecem, podczas gdy ty będziesz nadstawiał karku? Nic z tego, brachu!

— Panie bosmanie, sam miałbym wątpliwości, czy postępuję słusznie, gdyby tu nie chodziło o Sally — poważnie odparł Tomek. — Nie kryję, że wyprawa moja będzie dość ryzykowna, lecz czy pan by się zawahał, gdyby od powodzenia przedsięwzięcia zależało życie Sally?

— Trafiłeś mnie rzeczywiście w samo serce, lecz co pocniemy, jeśli i ty przepadniesz? — zatroskał się marynarz.

— Drogi panie bosmanie, to samo powiedziałbym będąc w pana położeniu. Wiem, że nie wolno mi postępować lekkomyślnie. Dlatego też ubezpieczę się na wszelki wypadek.

Pozostawię panu szeryfowi list w zapieczętowanej kopercie, którą otworzycie, jeżeli nie wrócę w ciągu siedmiu dni. W liście tym podam, z kim i dokąd wyruszam. Chyba to powinno pana uspokoić?

— Kochany Tommy, czy nie możesz powiedzieć nam tego od razu? Może udzielimy ci jakiejś rady? — cicho zapytał szeryf.

— Dałem komuś słowo honoru, że nie zdradzę jego tajemnicy. Na pewno pan i pan bosman również nie nadużyliby niczyjego zaufania.

— Co pan na to, szeryfie? — niepewnie zagadnął bosman.

— Ja bym zawierzył Tomkowi.

— Nie zaznam spokoju przez te siedem dni, ale przecież sam bym włożył łepetynę w paszczę wieloryba, byle tylko uwolnić Sally. Smaruj list, brachu! Co mam począć, jeżeli Dingo przybiegnie w tym czasie?

— Pomyślałem i o tym — odparł Tomek. — Jeżeli Dingo wróci na ranczo, podąży pan z nim tropem bandy. Po ustaleniu, gdzie Sally przebywa, powróci pan tutaj po mnie, a wtedy razem wyruszemy, zgoda?

— Niech i tak będzie — odrzekł bosman ciężko wzdychając. — Czyż mogę się sprzeciwić, gdy chodzi o dobro tej kochanej sikorki? Ha, nie potrafię nawet wypowiedzieć, jak mi jej bardzo żal.

— Czym ja się zdołam panom odwdzińczyć? — zawołała pani Allan.

— Nie ma co mówić o wdzięczności, skoro jeszcze niczego nie zdołaliśmy dokonać — skromnie powiedział bosman. — Ta mała sikorka przypadła mi do serca jak własna córka. A nasz Tomek to hmmm...

— Proszę pani, nie ruszę się stąd, dopóki nie odnajdę Sally — gorąco zapewnił chłopiec. — Teraz napiszę list, a potem przygotuję się do drogi. Wyruszam o świcie.

GÓRA ZNAKÓW

Następnego dnia Tomek opuścił ranczo jeszcze przed wschodem słońca. Oprócz wierzchowca zabrał luzaka objuczonego sprzętem obozowym i małym zapasem żywności. Po kilku godzinach poszukiwań odnalazł Czerwonego Orła na pastwisku przy stadzie bydła. Zeskoczył z konia tuż przy Indianinie.

— Właśnie szukam Czerwonego Orła — odezwał się, wyciągając rękę do Nawaja. — Musimy pomówić na osobności.

— Możemy rozmawiać tutaj, nikt nam nie przeszkodzi — odparł Nawaj powściągliwie.

Uwaga była słuszna. Trzej kowboje, strzegący razem z nim dużego stada, siedzieli w pewnej odległości przed szałasem, spożywając poranny posiłek. Tomek szybko przywiązał konie do krzewu.

— Ostatnim razem nie miałem nawet okazji pożegnać się z Czerwonym Orłem. Po tym okropnym porwaniu młodej squaw wszyscy straciliśmy głowy — usprawiedliwił się Tomek. — Dlaczego mój czerwony brat unika ranczo? Mówiono mi, że od tego straszego dnia nie pokazałeś się tam ani razu.

Indianin spod oka obserwował białego chłopca. Nie dostrzegł w jego twarzy wyrazu nieufności, której spodziewał się, słuchając relacji kowbojów na temat porwania bratanicy szeryfa.

— Czerwony Orzeł wolał nie przebywać w pobliżu ranczo, ponieważ biali ludzie gniewali się na Indian za porwanie młodej squaw — odparł po chwili wahania. — Czy mój brat również jest przekonany, że Czarna Błyskawica dokonał napadu?

— Kapitan Morton narzucił wszystkim takie zdanie, chociaż ja nie mogłem jakoś w to uwierzyć. Zdawało mi się, że po przysłudze, jaką wyświadczyłem wraz z moimi przyjaciółmi Czarnej Błyskawicy, nie mógł nam wyrządzić takiej krzywdy — odparł Tomek.

— Mój biały brat nie pomylił się, jestem również tego pewny. Słyszałem jednak, jak ranczerzy obwiniali tylko Czarną Błyskawicę.

— Czy mój brat już wie, że pogoń była bezskuteczna?

Nawaj skinął głową na znak potwierdzenia, więc Tomek ciągnął dalej:

— Postanowiłem ponownie rozpocząć poszukiwania, tym razem już na własną rękę. Kiedy po raz pierwszy byłem w rezerwacie Apaczów Mescalero, wódz Długie Oczy powiedział mi coś przy pożegnaniu.

Tomek zamilkł przyglądając się uważnie młodemu Nawajowi, lecz Indianin nie przerywał kłopotliwego milczenia. Wobec tego znów odezwał się po chwili:

— Niech mi Czerwony Orzeł powie, czy wodzowie dotrzymują słowa?

— Obietnice dane przyjacielowi po wypaleniu z nim fajki pokoju pozostają na zawsze w uchu wojownika — zapewnił Czerwony Orzeł.

— Wódz Długie Oczy powiedział mi, że jeżeli kiedykolwiek będę się znajdował w potrzebie, to mogę się udać na Górę Znaków i zawezwać potężnych przyjaciół na pomoc. Czy Czerwony Orzeł doprowadzi mnie na tę górę i wskaże, w jaki sposób mam nadać wezwanie?

— Czerwony Orzeł wykona wszystkie polecenia wodza Długie Oczy. Kiedy mój brat chce wyruszyć na Górę Znaków?

— Natychmiast!

— Ugh! Niech tak będzie, ale musisz uprzedzić o moim odjeździe przodownika kowbojów.

— Załatwię to zaraz, a ty natychmiast przygotuj się do drogi — powiedział Tomek, po czym udał się ku szałasowi pastuchów. Przodownik znał dobrze gościa szeryfa Allana, nie czynił więc jakichkolwiek trudności. Już kilkanaście minut później obydwaj chłopcy podążali na południe.

Tomek jechał parę metrów za Nawajem. wiodąc na arkanie jucznego konia. Gdy oddalili się znacznie od pastwiska, przynaglił mustangi i wkrótce zrównał się z towarzyszem.

— Czy Czerwony Orzeł może mi powiedzieć, kiedy przybędziemy na miejsce? — zagadnął.

— Nim słońce skryje się za prerię, znajdziemy się na Górze Znaków — odpowiedział Indianin.

— W jaki sposób nadamy sygnał oznaczający wezwanie na pomoc? Czy ciemność nocy nie będzie dla nas przeszkodą?

— Uczynimy to za pomocą ognia, w dzień natomiast posługivalibyśmy się znakami dymnymi — wyjaśnił Czerwony Orzeł?

— Czy długo będziemy musieli czekać na przybycie przyjaciela od chwili nadania sygnału? — pytał dalej Tomek.

Czerwony Orzeł przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Sprytny Tomek domyślił się bowiem, że wódz Długie Oczy, mówiąc o przyjacielu, miał na myśli Czarną Błyskawicę. Gdyby Czerwony Orzeł poinformował Tomka, ile czasu potrzebuje Czarna Błyskawica na przybycie na Górę Znaków od chwili nadania sygnałów, to ustalenie, w jakiej odległości znajduje się jego kryjówka, nie przedstawiałoby już większych trudności. Młody Nawaj dał jednak dowód swej wyjątkowej przezorności, odpowiadając:

— Jeżeli ów przyjaciel nie przybędzie po sygnale ogniowym, to ponowimy wezwanie za dnia znakami dymnymi. Wszystko zależy od tego, gdzie będzie w chwili spostrzeżenia sygnałów.

— Nie wiem, czy jest to pewny sposób porozumiewania się — znów zagadnął Tomek. — Przecież tak sygnały ogniowe, jak i dymne są widoczne na znaczną odległość. Nie można zapobiec, aby nie ujrzeli ich niepowołani ludzie.

— Niech Nah'tah ni yez'zi niczego się nie obawia. Nawet jeśli ktokolwiek inny dostrzeże sygnały, to i tak nie zrozumie ich znaczenia — uspokoił go Indianin.

Powściągliwość Nawaja w udzielaniu wyjaśnień zaostrzyła ciekawość Tomka. Przypomniały mu się afrykańskie tam-tamy spełniające na Czarnym Łądzie rolę telegrafu dźwiękowego. Za pomocą tam-tamów Murzyni potrafili z niezwykłą szybkością przekazywać wszelkie wiadomości nawet do najbardziej niedostępnych zakątków dżungli. Ileż to niepokoju przeżył Tomek podczas łowieckiej wyprawy w Afryce, wsłuchując się w tajemniczą mowę tam-tamów! Teraz znów miał poznać inny sposób porozumiewania się na odległość — sposób krajowców kontynentu amerykańskiego.

Naraz Tomek odczuł cały ciężar odpowiedzialności spoczywający na jego młodych barkach. Czy słusznie czyni wzywając Czarną Błyskawicę na pomoc? Nie może przecież przewidzieć, co z tego wszystkiego wyniknie. Tajemniczość i niezwykłość sytuacji budziła w nim niepokój. Tym mocniej więc zatęsknił nagle za ojcem i Smugą. Ojciec z rozwagą przewodził każdej wyprawie. Smuga znów posiadał olbrzymią wiedzę o świecie i jego mieszkańcach. Przemierzył chyba wszystkie kontynenty, poznał wiele dziwnych ludów; nawet najniezwyklejsze sytuacje nie wywierały na nim większego wrażenia.

W tej chwili Smuga byłby najwłaściwszym doradcą. Tomek zaczął więc rozmyślać, co by uczynił ten wytrawny podróżnik znalazłszy się w jego położeniu. Przypomniał sobie wskazówki udzielane przez doświadczonego przyjaciela.

“Tylko prymitywny i słaby moralnie człowiek ucieka się od razu do użycia siły — mawiał Smuga. — Najcenniejszą cechą mężczyzny jest rozwaga. Zastanów się najpierw, a zawsze znajdziesz najwłaściwsze wyjście z każdej sytuacji.”

Czy teraz postępował rozważnie? Przecież od dłuższego czasu wcale nie zwracał uwagi na okolicę. Rozejrzył się więc zaraz wokoło.

O kilka kilometrów od nich, na zachodzie, piętrzyła się owa pamiętna, samotna góra. Uwzględniając jej położenie, uzmysłowił sobie, że lada chwila przekroczą granicę i znajdą się na terytorium meksykańskim.

Gęstwa kolczastych kaktusów znacznie się przerzedziła. W pobliżu musiały się znajdować małe stepowe jeziora, ponieważ coraz to podrywały się stada rozmaitego ptactwa. Wspaniały miękki kobierzec trawy, sięgającej koniom do kolan, a lśniącej blaskiem błękitnostalowego koloru, przeplatały przepyszne preriowe burzany. Piołun wyrastał tu na wysokość człowieka, a jego łodygi, twarde jak drzewo, miały grubość ludzkiego ramienia. Małe dzikie słoneczniki, kwitnące właśnie, oraz opuncje[36] tworzyły urocze gaje.

Głośne gdaknięcie zatrzymało jeźdźców na miejscu. Tuż przed nimi uciekało spłoszone stadko kur preriowych. Były to śliczne, okazałe ptaki wielkości cietrzewia, o ładnym upierzeniu przypominającym częściowo jarząbka, a częściowo kuropatwę. Mięso ich było znanym przysmakiem. Tomek natychmiast sięgnął po sztucer, lecz Czerwony Orzeł powstrzymał go ruchem ręki i szybko wydobyl z plecionki zawieszanej na łuku siodła nieduży łuk i pierzastą strzałę. Mimo że Tomek niecierpliwił się powolnością towarzysza,

Czerwony Orzeł spokojnie przyłożył strzałę do cięciwy i nie spiesząc się napiął łuk. Okazało się, że Indianin doskonale znał zwyczaje dzikich kur preriowych. Wszelki pośpiech był naprawdę zbyteczny. Dość ciężkie ptaki nie zrywały się do lotu, jak nasze kuropatwy, całym stadem jednocześnie, lecz uciekały kolejno jeden po drugim. Czerwony Orzeł czekał z łukiem gotowym do strzału. Kiedy duże ptaszysko w pobliżu poderwało się do lotu, błyskawicznie naciągnął cięciwę. Pierzasta strzala bzyknęła w powietrzu. Kura trzepocząc skrzydłami spadła w trawę. Indianin zeskoczył z wierzchowca, podbiegł do ptaka i stwierdziwszy, że już nie żyje, przytroczył go do uprzęży jucznego konia.

— Szkoda kuli na te powolne ptaki, a poza tym strzał słychać daleko w stepie — wyjaśnił dosiadając mustanga.

Znów kłusowali na południe. Indianin coraz częściej spoglądał w niebo i przynaglał wierzchowce do szybszego biegu. Konie i jeźdźcy byli już zmęczeni całodzienną wędrówką w skwarze, lecz Czerwony Orzeł nie dawał hasła do odpoczynku. Pasma, ku któremu zdążali, stawało się coraz bliższe. Pod wieczór byli u jego podnóża. Wjechali w rozległy kanion, ogarnął ich ożywczy chłód. Kopyta koni głucho uderzały o skaliste podłoże.

Czerwony Orzeł z nadzwyczajną pewnością prowadził przez rozgałęzienia kanionu, aż znaleźli się u stóp wysokiego szczytu górującego ponad całym pasmem. Miotlaste juki gdzieś tylko porastały skrawki gruntu pomiędzy skałami. Tutaj Indianin postanowił zostawić mustangi. Szybko rozsiedlali konie, przywiązali je na arkanach do drzewek, po czym zabrawszy broń, najniezbędniejszy sprzęt obozowy oraz zabita kure ruszyli w górę.

Szli skalistą ścieżką wiodącą na szczyt. Chwilami przemieniała się ona w wyrąbane w skale stopnie, wobec czego wejście na stromą ścianę nie było zbyt nużące. Po przeszło godzinnej dość szybkiej wspinaczce chłopcy osiągnęli szczyt. Tomek rozejrzał się wokoło.

Wysoki, półkolisty zrąb skalny obramowywał od północy i wschodu szczyt, tworząc zawieszony nad przepaścią ganek. Ku południowi i zachodowi pasmo się zniżało i otwierało szeroki, niczym nie zmacony widok. W dali, aż do linii horyzontu poszarpanej konturami nowego łańcucha gór, ciągnęła się kaktusowo-meskitowa pustynia. Słońce zachodziło w pełnym blasku złota i purpury jak na morzu. Zmrok wieczorny z wolna osnuwał step delikatną, szafirową mgiełką.

Podczas gdy Tomek zachwycał się malowniczym widokiem, Czerwony Orzeł wynosił spomiędzy głązów zalegających szczyt góry całe naręcza przygotowanych tam równo pociętych gałęzi i suchego chrustu, układając paliwo na trzy równo oddalone od siebie stosy. Po ukończeniu tej pracy znikł wśród głązów.

Minęło sporo czasu, zanim Tomek zaczął się rozglądać za swym towarzyszem. Znalazł go w niszy skalnej przy małym, ledwo żarzącym się ognisku. Czerwony Orzeł kończył właśnie skubanie upolowanej kury. Sprawnie wypatroszył ptaka, pokrajał na kawałki, dwa z nich natknął na długie patyki, po czym zaczął opiekować mięso nad żarem ognia.

— Niech Nah'tah ni yez'zi uczyni to samo, będziemy mieli dobrą kolację — zachęcił Tomka.

Oczywiście Tomek nie dał sobie tego powtarzać dwa razy. Szybko nadział kawałki kury na patyki i naśladując Indianina, trzymał je nad żarem tak długo, aż skurczyły się w twarde jak drzazgi czarne kęsy. Upieczona w ten sposób kura nie była zbyt smaczna, lecz mimo to chłopcy zjedli ją z wielkim apetytem. Potem uzupełnili posiłek zapasami przywiezionymi z ranczo, popijając wodą z manierek. W pewnej chwili Czerwony Orzeł spojrział w niebo i rzekł:

— Jeszcze za wcześnie na nadawanie sygnałów. Niech Nah'tah ni yez'zi odpocznie nieco. Połóż się i prześpij trochę, a ja tymczasem będę czuwał; obudzę cię o odpowiedniej porze.

— Czy Czerwony Orzeł nie jest zmęczony? Możemy odpoczywać na zmianę — zaproponował Tomek.

— Nah'tah ni yez'zi nie zna właściwej pory nadawania sygnałów. Ja będę czuwał, a mój biały brat może teraz odpocząć — odparł Indianin.

— Dobrze, chętnie się prześpię — zgodził się Tomek.

Zaraz też powrócił na platformę skalną, gdzie pozostawili koce. Tutaj przygotował sobie wygodne legowisko tuż pod półkolistym zrębem i ułożył się do snu. Za chwilę wyszedł zza głazów Czerwony Orzeł. Usiadł na ziemi nie opodal Tomka, opierając się plecami o duży głaz.

Purpurowy odbłask zachodzącego słońca rozpląnął się już na linii horyzontu. Gwiazdy zaczęły się ukazywać na ciemnym niebie. Tomek przymknął oczy, lecz nie mógł zasnąć. Myśl o nieznanym losie nieszczęsnej Sally spędzała mu sen z powiek. Gdzie jest i co porabia? Tomek był pewny, że oczekuje od niego pomocy. Rozmyślając o tym drżał z niecierpliwości. Z kolei zaczął się zastanawiać, czy Czarna Błyskawica przybędzie na jego wezwanie; a jeśli się zjawi, czy zechce pomóc w poszukiwaniach? Przecież wszyscy twierdzili, że czerwono-skóry wódz jest organizatorem powstania przeciwko białym. Już sam ten fakt był dostatecznym dowodem jego nienawiści do osadników. Czy wobec tego można na niego liczyć?

Tak rozmyślając, mimo woli spojrział spod przymrużonych powiek na Czerwonego Orła. Zaledwie wzrok jego spoczął na Indianinie, natychmiast zapomniał o zmęczeniu. Udawał nadal, że śpi w najlepsze, lecz teraz co chwila zerkał nieznacznie na swego towarzysza. Po krótkiej chwili nie miał już wątpliwości — Indianin przez cały czas nie spuszczał zeń oczu. W jakim celu to czynił?

Tomek, niby we śnie, odwrócił się na lewy bok. W tej pozycji miał większą swobodę obserwowania Czerwonego Orła.

Młody Nawaj wciąż siedział bez ruchu, oparłszy ręce na kolanach skrzyżowanych nóg, lecz równocześnie nie odrywał czujnego wzroku od pogrążonego we śnie towarzysza. Po pewnym czasie pochylił się ku Tomkowi; wsłuchiwał się w jego oddech. Nabrawszy przekonania, że biały chłopiec już śpi od dawna, podniósł się. Sylwetka Nawaja wyraźnie odcięła się na tle nieba. Stąpając bezszelestnie podszedł do ułożonych trzech stosów

suchego paliwa.

Szybko przerzucił część drewna z obydwóch bocznych stosów na środkowy, po czym za pomocą krzesiwa zapalił suchy chrust. Słup jasnego ognia wystrzelił w górę.

Czerwony Orzeł z niepokojem spojrział na skalną ścianę, u której stóp spoczywał Tomek pogrążony w głębokim śnie. Jego przymknięte powieki drgały pod wpływem blasku gorejącego ogniska.

Nawaj uśmiechnął się zadowolony. Więc jednak udało mu się nie zdradzić białemu przyjacielowi sposobu nadawania sygnałów wzywających sojuszników na pomoc. Teraz pewny był pochwały wodza Długie Oczy, który zawsze twierdził, że tylko umarli nie zdradzają tajemnic.

Czerwony Orzeł stał przez chwilę nieruchomo. W myśli powtarzał umowne znaczenie poszczególnych sygnałów:

— Jeden obłok dymu w dzień lub jedno ognisko w nocy oznacza: “Uwaga! Zaraz nadamy sygnał!” Trzy kolejno wypuszczone obłoki dymu w dzień lub jednocześnie zapalone trzy ogniska w nocy to wezwanie na pomoc w obliczu niebezpieczeństwa!

Ognisko płonęło już kilka minut. Pierwszy znak został nadany. Teraz Indianin wyjął z ognia żagwie i rzucił je na pozostałe stosy. Trzy ogniska rozgorzały czerwono-żółtym płomieniem. Czerwony Orzeł wypełnił zadanie. Powrócił na swe miejsce pod skalny blok. Przyjaźnie spojrział na śpiącego Tomka. Zauważył, że koc zsunął się z jego ramion. Noc w górach była dość chłodna, więc pochylił się nad białym chłopcem, ostrożnie okrył go kocem, po czym usiadł obok na ziemi. Silny odbłask płonących ognisk pełzał po jego miedzianobrazowej twarzy, w zadumie zwróconej ku niebu usianemu gwiazdami. Jasny sierp księżyca wychylił się zza szczytów górskich.

Ogniska z wolna zaczęły przygasać.

Smutny uśmiech przewiął się po twarzy Tomka. Więc jednak Czerwony Orzeł nie dowierzał mu, skoro chciał ukryć przed nim sposób nadawania sygnałów. Zaraz wszakże pomyślał, że tę nieufność spowodowały niezmierne krzywdy wyrządzone Indianom przez białych ludzi. Sprzeczne uczucia napełniły Tomka niepokojem.

Czy może się spodziewać od Czarnej Błyskawicy pomocy dla Sally, której stryjek tropił go jak dzikiego zwierza? Długo jeszcze nie mógł pozbyć się dręczącej myśli i zasnął dopiero wtedy, gdy ogniska przygasły.

Czas wolno płynął...

Tomek przebudził się pod przemożnym wrażeniem, że dzieje się coś niezwykłego. Nawykły do niebezpieczeństw nie otworzył zaraz oczu. Leżał w dalszym ciągu bez ruchu, jakby jeszcze był pogrążony we śnie, lecz czujnie nadśluchiwał. Wokół panowała cisza.

Nagle odbłask ognia musnął jego przymknięte powieki. Czyżby Czerwony Orzeł znów nadawał sygnały? Nieznacznie uchylił jedno oko.

Była jeszcze noc. Nie opodał paliło się ognisko. Wokół niego siedziało półkolem

kilkunastu Indian. W milczeniu spoglądali na Tomka, jakby czekali na jego przebudzenie. Tomek raptownie odrzucił koc, podniósł się, zbliżył do grupy Indian i powiódł wzrokiem po ich twarzach. W samym środku półkola siedział Czarna Błyskawica.

Jakże inaczej teraz wyglądał. Jedyne surowy, poważny wyraz twarzy i dumny wzrok przypominały dawnego jeńca szeryfa Allana. Głowę jego zdobił wielki pióropusz z orlich piór, opadający dwoma długimi ogonami aż na ziemię. Na szyi zawieszony miał naszyjnik z pazurów i kłów dzikich zwierząt oraz święte zawiniątko. Nagie plecy i piersi okryte były przerzuconą przez lewe ramię miękko wyprawioną skórą bizona. Długie nogawice zdobione frędzlami, pas okalający biodra i mokasyny dopełniały całości. Za pasem widniały tomahawk i rękojeść noża. Na udach skrzyżowanych nóg leżał nowoczesny karabin.

Inni Indianie ubrani byli podobnie jak wódz, lecz żaden z nich nie nosił tak wspaniałego pióropusza. Oprócz karabinów, noży i tomahawków niektórzy mieli jeszcze długie lance i tarcze sporządzone ze skór zwierzęcych. Ich twarze i ciała pokrywały wzorzyste pasy wymalowane czerwoną farbą. Jedyne twarz wodza miała czarne skośne pasy od oczu do szyi. Był to znak śmierci, którą Czarna Błyskawica zaprzysiągł wszystkim białym najeźdźcom.

Indianie w milczeniu z założonymi na piersiach rękoma spoglądali na chłopca. Tomek odważnie patrzył na dzikich synów amerykańskiej pustyni. Więc ci groźni wojownicy przybyli na jego wezwanie! Czy naprawdę zechcą mu pomóc, mimo że należy do zniechęconej przez nich białej rasy? Twarze Indian nie wyrażały jakichkolwiek uczuć. Wyglądali jak wykute z kamienia posągi dawnych wojowniczych mieszkańców Ameryki.

Tomek zrozumiał, że czeka go chwila ciężkiej próby. Jak ma przemówić, aby uzyskać ich pomoc? Jeszcze raz powiódł oczyma po surowych twarzach. W końcu wzrok jego spoczął na Czarnej Błyskawicy. Instynkt podszeptował mu, że nie powinien pierwszy rozpoczynać rozmowy. Stał więc w milczeniu, patrząc na groźnego wodza.

Po dłuższej chwili Czarna Błyskawica wykonał ręką zapraszający ruch. Tomek podszedł do ogniska i usiadł w kręgu milczących Indian. Upłynęło kilka minut, zanim Czarna Błyskawica wolno zdjął z szyi święte zawiniątko. Wydobył z niego kalumet, nabił go tytoniem, zapalił węgielkiem z ogniska. Nie spiesząc się wydmuchiwał dym ku niebu, ziemi i czterem stronom świata. Kalumet wędrował z rąk do rąk. Indianie z największą powagą dokonywali ceremoniału palenia fajki pokoju i przyjaźni. Gdy z kolei Tomkowi podano fajkę, ujął ją pewnie w dłonie i wydmuchnął dym sześciokrotnie, tak jak wszyscy jego poprzednicy, następnie podał ją swemu sąsiadowi. W końcu kalumet dotarł z powrotem do Czarnej Błyskawicy. Wódz schował fajkę do woreczka, zawiesił go znów na szyi i dopiero teraz się odezwał:

— Nasz młody brat Nah'tah ni yez'zi zapalił na Górze Znaków trzy ogniska. Nah'tah ni yez'zi wie, że sygnał ten oznacza wezwanie na pomoc w niebezpieczeństwie. Czarna Błyskawica przybył na wezwanie. Czego mój brat żąda?

— Dziękuję ci, wodzu, za dotrzymanie słowa — odparł poważnie Tomek. — Ośmieliłem

się prosić Czerwonego Orła o doprowadzenie mnie na Górę Znaków i nadanie sygnałów, ponieważ wódz Długie Oczy powiedział mi, że mogę to uczynić, gdy będę potrzebował pomocy przyjaciół.

— Wódz Długie Oczy wykonał rozkaz Czarnej Błyskawicy — wtrącił Indianin. — Niech mój brat powie, czego ode mnie żąda.

— Wodzu, chciałem cię prosić o pomoc w odnalezieniu i uwolnieniu mojej młodej przyjaciółki, nazwanej przez ciebie Białą Różą.

— Ugh! Dlaczego mój brat mówi o uwolnieniu Białej Róży? Czyżby groziło jej coś ze strony szeryfa? — zdziwił się Czarna Błyskawica.

Tomek patrząc w oczy Indianina wyjaśnił:

— Nieznani Indianie napadli na rancho szeryfa Allana, porwali Białą Różę i uprowadzili kilkanaście najlepszych koni, a wśród nich klacz Nil'chi, na której wygrałem dziesięćmiłowy wyścig na rodeo.

— Ugh! Kiedy to się stało?

— Osiem dni temu.

— Osiem wieczorów[37] temu — powtórzył Czarna Błyskawica, jakby chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał. — Dlaczego Nah'tah ni yez'zi zawiadamia mnie o tym dopiero teraz?

— Byliśmy wtedy z moim przyjacielem w rezerwacie Apaczów Mescalero w gościnie u wodza Długie Oczy. Matka Białej Róży powiadomiła nas natychmiast o napadzie. Powróciliśmy zaraz na rancho wraz z Czerwonym Orłem. Zastaliśmy szeryfa ciężko rannego i nieprzytomnego. Następnego ranka wyruszyliśmy w pościg razem z gromadą ranczerów i kapitanem Mortonem, który przybył z oddziałem wojska, ale ślady zniknęły niebawem na skalistym gruncie. Toteż wczoraj, po bezskutecznych poszukiwaniach, wróciliśmy do domu.

— Czy Czerwony Orzeł brał udział w tych poszukiwaniach? — zapytał Czarna Błyskawica.

Tomek namyślał się, co ma odpowiedzieć, gdy odezwał się Czerwony Orzeł:

— Czerwony Orzeł nie wyruszył na wyprawę, ponieważ dowódca długich noży[38] obwinił wodza Czarną Błyskawicę o dokonanie napadu. Obecność moja nie była pożądana przez białych.

— Ugh! Więc ten przeklęty biały pies powiedział, że ja porwałem Białą Różę — zdumiał się Indianin. — Nie spocznę, dopóki jego skalp nie będzie wisiał u mego pasa!

Ponura groźba nie przstraszyła w tej chwili Tomka, przeciwnie, uradowała go nawet. Oburzenie Czarnej Błyskawicy było najlepszym dowodem, że nie on dokonał niecnego napadu.

— Dlaczego Czerwony Orzeł nie zawiadomił mnie natychmiast o porwaniu młodej

białej squaw? — zapytał karcącym tonem wódz.

Młody Nawaj odparł cicho:

— Długie noże i ranczerzy wyruszyli, by szukać kryjówki Czarnej Błyskawicy, gdyż jego właśnie obwiniali o dokonanie napadu. Razem z nimi znajdowali się nasi dwaj biali przyjaciele. Gdyby wódz Czarna Błyskawica natychmiast udał się na poszukiwania białej squaw, nietrudno byłoby o spotkanie obydwóch oddziałów. Wtedy...

— Ugh! Manitu nie poskąpił roztropności mojemu młodemu bratu — wtrącił Czarna Błyskawica. — Straciliśmy jednak dużo czasu.

Nadzieja zaczęła się wkradać do serca Tomka.

— Proszę cię, wodzu, powiedz, czy mogę liczyć na twoją pomoc? — zapytał wzruszonym głosem.

Wódz spojrział na Tomka zadumanym wzrokiem i rzekł:

— Przed przybyciem białych cała ziemia amerykańska należała do Indian. Niezliczone stada bizonów pasły się na szerokich stepach, w lasach było pełno różnej zwierzyny i ptactwa. Czerwonoskórzy żyli tak, jak ich ojcowie i ojcowie ich ojców. Nie cierpieli głodu. Wędrowali za bizonami, polowali bądź uprawiali ziemię według swej woli. Dla przyjaciół zawsze mieli otwarte serca, dla wrogów topór wojenny. Potem przyszli biali ludzie. Indianie nie bronili im swej ziemi, zaprosili nawet białych do swych wigwamów. Biali palili z nami fajki pokoju, poili wodą ognistą, podpisywali traktaty. Chcieli coraz więcej ziemi. Kupowali ją bądź zabierali siłą. Wielki Biały Ojciec z Waszyngtonu przyrzekał pokój. Indianie ustępowali coraz dalej na zachód. Potem zbudowali żelazną drogę[39], która połączyła wielką wodę leżącą na wschodzie z wybrzeżem na zachodzie. Biali bezlitośnie wytepiłi bizony, by nas zagłodzić i zmusić do posłuszeństwa. Pieniędźmi płacili za skalpy czerwono skorych wojowników, ich kobiet i dzieci. Indianie ulegli przemocy, a wtedy Biały Ojciec z Waszyngtonu wyznaczył im rezerwaty na skalistych, pustynnych terenach. Mój biały brat był w rezerwacie Mescalero Apaczów i widział, jak nędzny wiodą tam żywot. Czarna Błyskawica nie dał się zamknąć w rezerwacie. Zaprzysiągł śmierć wszystkim białym i żyje tak, jak Indianie żyli przed przybyciem białych. Czarna Błyskawica umrze z tomahawkim w dłoni walcząc z wrogiem, by w Krainie Wiecznych Łowów żyć, jak przystoi prawdziwemu wojownikowi. Czarna Błyskawica nosi na twarzy znak śmierci, a w wigwamie jego wiszą liczne skalpy białych, lecz serce moje, jak serce każdego Indianina, jest zawsze otwarte dla przyjaciół. Czarna Błyskawica nigdy nie złamał słowa danego przyjacielowi. Nah'tah ni yez'zi jest szlachetnym wojownikiem. Wyświadczył przysługę czerwonoskóremu nie żądając nic w zamian. Rada starszych naszego plemienia przyjęła cię do naszego grona. Jesteś więc naszym bratem i twoja krzywda jest naszą krzywdą. Biała Róża musi odzyskać wolność, by móc wrócić z tobą za wielką wodę do swej ojczyzny. Ugh, powiedziałem!

— Ugh, Uhg! — jak echo powtórzyli Indianie.

— Czas zatarł ślady napastników, niech więc Nah'tah ni yez'zi opowie przebieg

wypadków — odezwał się znów Czarna Błyskawica. — Musimy się zastanowić nad sytuacją.

Tomek szczegółowo powtórzył wszystko, co wiedział o napadzie, bezskutecznym pościgu, nie pomijając narady odbytej z bosmanem, panią Allan i szeryfem. Zaledwie skończył, Czerwony Orzeł odezwał się:

— Wprawdzie nie podążyłem z wami za napastnikami, lecz mimo to przez dwa dni pilnie badałem pozostawione ślady. Biała squaw myli się, duży pies Białej Róży nie został zabity. Czerwony Orzeł widział jego ślady krzyżujące się ze śladami uciekających.

— Dlaczego mówisz o tym dopiero teraz? — zawołał uradowany Tomek — Jeżeli wierny i mądry Dingo żyje, to wcześniej czy później przybiegnie do nas po pomoc dla Sally.

— Dobra wiadomość jest zawsze pożądana — filozoficznie odparł młody Nawaj.

ZAGUBIONY KANION

Czarna Błyskawica zamyślił się po relacji Tomka i dopiero po długiej chwili rzekł; — Szeryf przypuszcza, że napadu dokonali Indianie Pueblosi. To jest zupełnie możliwe. Tropiciele nasi widzieli kiedyś u stóp gór Sierra Madre małe pueblo Indian Zuni. Wprawdzie plemię to uprawia ziemię i nie słyszałem, aby kiedykolwiek niepokoilo sąsiadów, lecz deszcz nie padał w tych okolicach już od wielu księżyców i pola ich mogły nie dać zbiorów... Gdyby jednak wyruszyli na wyprawę w celu zdobycia łupów, to by nie zabrali jedynie kilkunastu koni i młodej squaw.

— Konie te przedstawiały dużą wartość dla każdego hodowcy. Za samą klacz Nil'chi Don Pedro ofiarowywał szeryfowi po wyścigu na rodeo poważną sumę — zauważył Tomek.

— Ugh! Meksykanin Don Pedro chciał kupić od szeryfa klacz Nil'chi? — zdziwił się Czarna Błyskawica. — Niech Nah'tah ni yez'zi opowie, jak to było.

Gdy Tomek odtworzył zajście z Meksykaninem, Indianin rzekł:

— Pueblo znajduje się o dwa wieczory drogi od rancza Don Pedra. On mógł namówić Zuni do porwania Nil'chi i jej właścicielki. Dumny i mściwy Meksykanin na pewno nie zapomniał doznanej od was zniewagi.

— Mnie również podobna myśl już się plątała po głowie — odparł Tomek. — W napadzie brali udział sami czerwonoskórzy.

— Ranczo Don Pedra roi się od Indian. Jego ojciec był Metyselem. Ugh! Musimy odwiedzić tego Meksykanina. Teraz udamy się do naszego obozu na naradę wojenną — postanowił Czarna Błyskawica. — Musimy wspólnie ułożyć plan działania.

— Chciałbym, aby mój przyjaciel wyruszył z nami na tę wyprawę — zauważył Tomek, przypominając sobie oczekującego na ranczo na jego powrót bosmana oraz list pozostawiony szeryfowi.

— Czy mój brat mówi o tym białym, który wtedy dał wodę ognistą strażnikom?

— Tak, to jest właśnie mój przyjaciel i opiekun, bosman Nowicki — potwierdził Tomek.

— Nah'tah ni yez'zi pośle przyjacielowi wiadomość po naradzie wojennej. Czerwony Orzeł zawiezie mówiący papier — odpowiedział Czarna Błyskawica. — Teraz ruszajmy jak najprędzej w drogę.

Wygasili ognisko, zatarli wszelkie ślady swej bytności, po czym wódz dał hasło do zejścia ze szczytu.

Czerwonoskórzy, mimo ciemności nocy, szybko posuwali się w dół stromego zbocza. Tomek z trudem nadążał za nimi, ponieważ wąska ścieżka, wijąca się nad skrajem przepaści, ledwo była widoczna. Odetchnął z ulgą dopiero na dnie głębokiego parowu.

Odszukanie koni pozostawionych u stóp góry nie zajęło im wiele czasu.

W krętych wąwozach i kanionach Indianie jechali stępa, lecz gdy niebawem wychynęli

na szeroki step, ostro przynagli mustangi.

Gwiazdy bladły na niebie. Szary świt z wolna ustępował dziennej jasności. Wkrótce palące słońce weszło zza linii horyzontu. Teraz dopiero Tomek mógł się zorientować w kierunku jazdy. Pasma górskie, nad którym dominowała Góra Znaków, pozostawało za nimi. Ku południowi rozciągała się szeroka równina stepowa. W dali, osnuty jeszcze poranną mgłą, widniał nie znany mu łańcuch gór.

Na stepie, po którym teraz jechali, wśród kolczastych kęp kaktusów i agaw, falowała pod lekkim podmuchem wiatru krótka, kędzierzawa trawa, rosnąca zazwyczaj na wysoko położonych równinach. Co pewien czas mijali licznie rozsiane małe kopczyki ziemi. Jak się wkrótce Tomek przekonał, były to mieszkania amerykańskich piesków stepowych spokrewnionych ze świstakami. Zmyślne żółtobrunatne, a od spodu brunatno białe zwierzątka wysiadywały na swych kopcach na zadnich łapach jak wiewiórki. Machając zadartymi do góry ogonkami nawoływały się głosami przypominającymi szczekanie psów. Z tego też powodu pierwsi traperzy nazwali je "psami stepowymi".

Tomek miał wielką ochotę uważniej przyjrzeć się zwierzątkom, ale czworonożni wartownicy, czatujący na wierzchu kopców, szczekaniem ostrzegali rozbawionych towarzyszy przed niebezpieczeństwem i gromady piesków stepowych szybko zniknęły z powierzchni ziemi. Potem już tylko gdzieś widać było łebki zwierzątek pilnie przepatrujących okolice, i jedynie przygłuszone szczekanie wydobywające się spod ziemi zdradzało obecność gwarnej, pełnej życia osady.

Tomek musiał się zadowolić wyjaśnieniami Czerwonego Orła, który dobrze znał zwyczaje psich mieszkańców amerykańskich stepów. Pieski stepowe żywiły się kędzierzawą trawką i korzonkami roślin. Na bezwodnych, stepowych, suchych płaskowyżach Nowego Meksyku wystarczała im do zaspokojenia pragnienia obfita rosa. Nie gromadziły zapasów żywności na okres zimy; gdy tylko wyczuwały jej nadejście, co przeważnie następowało w ostatnich dniach października, chroniły się do swych nor, zatykały wszystkie otwory, by zabezpieczyć się przed zimnem, po czym zapadały w sen i nie ukazywały się na stepie, aż wiosenne słońce zbudziło je do beztróskiego życia. Czerwony Orzeł twierdził, że czasem pieski stepowe otwierały nory jeszcze w zimie, co według Indian było nieomylną oznaką rychłego nadejścia ciepła.

Tomek słuchając opowiadań Czerwonego Orła, jak to pieski stepowe żyją w przyjaźni z małymi sówkami ziemnymi, gnieźdzącymi się w opuszczonych psich norach, a także o wielkiej zażyłości piesków ze stepowymi grzechotnikami, ani się spostrzegł, kiedy dotarli do na pół wyschniętego koryta rzeki. Indianie ugasili pragnienie, napoili mustangi, po czym zaraz przeprawili się na przeciwny brzeg. Nie uszło uwagi Tomka, że nikły nurt wody kierował się ku wschodowi.

Poszarpane pasmo gór, spostrzeżone uprzednio przez Tomka, teraz wyraźnie rysowało się na tle gorejącego słonecznym blaskiem nieba. Całą roślinność tego podgórskiego pasa stanowiły karłowate krzewy meskitowe, juki, agawy i kaktusy.

Kolczaste kaktusy tworzyły na bezdrożnym stepie małe zagajniki, Równy dotąd teren

zaczął się stopniowo wznosić w górę. Krajobraz podgórza urzekał dzikością. Czerwony Orzeł zwrócił na to uwagę Tomka. Przecież zaledwie kilkanaście lat temu, gdy był dzieckiem, w tych właśnie stronach zamieszkiwali czerwonoskórzy Komańcze. Wtedy krwawe łuny nad stepem często zwiastowały białym osadnikom zbliżanie się nieznających litości wojowników. Wprawdzie obecnie Komańcze znajdowali się już w rezerwatach na południu Stanów Zjednoczonych, lecz otaczające Tomka groźnie wyglądające postacie Indian żywo przypominały mu niedawne jeszcze dzieje meksykańskiego pogranicza.

Tomek mimo rozmowy z Czerwonym Orłem bacznie rozglądał się wokoło. Ustawicznie wracał do myśli, gdzie też Czarną Błyskawicę zastały sygnały z Góry Znaków, że tak szybko, zebrawszy wojowników, mógł się zjawić.

Tymczasem czerwonoskórzy ani nie przynaglali swych mustangów, ani też nie zatrzymywali się na odpoczynek. Wreszcie koło południa wjechali w kamienisty wąwóz. Tomek zgubił orientację. Kręte, głębokie, pozbawione roślinności kaniony były tak do siebie podobne, iż Tomkowi zdawało się, że po raz któryś już przebywał tę samą przełęcz czy przejście. A może Indianie naumyślnie kluczyli po górach?

Późnym popołudniem, gdy wjechali z kolei w jakiś bardzo wąski kanion, Czarna Błyskawica osadził swego konia i zeskoczył zeń na ziemię. Pozostali Indianie również zsiadli z mustangów.

— Dalej pójdziemy pieszo — oznajmił Czarna Błyskawica, zwracając się do Tomka. — O konie mój brat nie potrzebuje się troszczyć. Wojownicy zaopiekują się nimi.

Dwóch Indian podzieliło między siebie bagaż Tomka; chłopiec domyślił się, że teraz zapewne czeka ich niełatwa droga. Czarna Błyskawica ruszył pierwszy w zwężającą się gardziel kanionu.

Po pewnym czasie wkroczyli w inny kanion, którego kamieniste ściany lejowato rozszerzały się ku górze. Ku swemu zdziwieniu Tomek ujrzał stromą ścianę zamykającą dalszą drogę. Jeszcze około dwustu metrów dzieliło ich od końca ślepego kanionu, gdy Czarna Błyskawica wsunął się w wąską szczelinę widniejącą w zboczu. Tomek bez wahania wszedł za nim.

Szczelina to zwężała się, to rozszerzała, wiodąc nieznacznie w górę.

Po półgodzinnej mozolnej wędrówce znaleźli się na ścieżce szerokiej zaledwie na kilkadziesiąt centymetrów. Pięła się ona po skalnym gzymsie wewnątrz komina.

Przystanęli, by odpocząć na małej, zawieszanej nad przepaścią platformie. Indianie przysiedli na ziemi, po czym wydobyli z juków paski suszonego mięsa. Posilano się w milczeniu, wszyscy byli zmęczeni i zgłodniali po całodziennej konnej jeździe oraz wspinacze po górskich manowcach.

Okolice była całkiem dzika. Kamienną otchłań u ich stóp obramowywały potężne zęby przypominające warowne zamki czy kościoły. Promienie zachodzącego słońca zaledwie muskały nagie szczyty gór, nie sięgając mrocznej głębi kanionu. Ponad szczytami kołowało

kilka czarnych sępów, jakby wypatrujących zera. Czyżby wskazywały bliskość sadyb ludzkich?

Tomek był niemal pewny, że są w pobliżu kryjówki Czarnej Błyskawicy. W zamyśleniu wodził wzrokiem po nagich szczytach skał.

“Więc to gdzieś tutaj znajduje schronienie wyjęta spod prawa grupa buntowniczego wodza Indian! — rozmyślał. — Nic dziwnego, że kapitan Morton nie zdołał wpaść na jej ślad; przecież według niego Czarna Błyskawica miał przebywać w okolicy gór Sierra Madre.”

Tomek uśmiechnął się nieznacznie, spoglądając na otaczających go Indian. Ci odważni i groźni, lecz zarazem dziecinni wojownicy przypuszczali, że klucząc po dzikich wertepach uniemożliwią mu zapamiętanie drogi wiodącej do ich kryjówki. Dla Tomka nie była to nowina. Od wczesnych lat życia interesował się geografią i bacznie śledził wszelkie ciekawsze wydarzenia w świecie. Właśnie ostatnio uwagę jego przyciągnęła Ameryka Środkowa[40] ze względu na rozpoczętą w roku 1903 budowę Kanału Panamskiego[41], mającego skrócić przejazd z Oceanu Atlantyckiego na Ocean Spokojny, z wybrzeży wschodnich Ameryki na zachodnie, tudzież drogę z Europy na wyspy Oceanii i do Australii. Dokładna znajomość topografii krajów Ameryki Środkowej ułatwiała mu teraz ustalenie położenia pasma górskiego, w którym się krył wódz Indian.

Ranczo szeryfa Allana znajdowało się w pobliżu granicy, kilka kilometrów na wschód od północnego krańca łańcucha gór Sierra Madre, biegnącego ku południowi wzdłuż zachodniego wybrzeża Meksyku. Wschodnią granicę Wyżyny Meksykańskiej, na której się zatrzymali, stanowiła Rio Grande del Norte. Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy północnym krańcem gór Sierra Madre a Rio Grande leżały w pobliżu siebie dwa jeziora: Guzman z wpadającą do niego Rio de Casas i jezioro Santa Maria, do którego wpływała rzeka o tej samej nazwie. Według obliczeń Tomka byli w paśmie górskim leżącym w widłach Rio de Casas i Santa Maria. W prostej linii na południe, za rzeką Conchos, dopływem Rio Grande, rozciągała się odludna, bezodpływowa, skalista i pustynna kotlina Bolson de Mapimi, gdzie Hiszpanie jeszcze w roku 1598 odkryli pokłady złota i srebra i rozpoczęli ich wydobywanie.

Tomek poczuł się znacznie raźniej, gdy ustalił te szczegóły. Zdawał sobie jednak sprawę, że w naturalnym labiryncie kanionów i wąwozów niełatwo byłoby samodzielnie odnaleźć drogę do stromej, wykutej w skałach ścieżki.

Indianie nie spieszyli się z wyruszeniem w dalszą drogę. Odpoczywali ćmiąc krótkie, gliniane fajeczki. Dopiero po zachodzie słońca Czarna Błyskawica dał hasło do wymarszu. Wędrówka po górskich bezdrożach przy mdłym blasku pierwszych gwiazd była dość uciążliwa. Tomek podążał tuż za szybko krocącym wodzem, nie kłopotując się o niemożliwe w tych warunkach zapamiętanie kierunku drogi.

Po niemal dwóch godzinach męczącego marszu dotarli do ostro spadającej w dół krawędzi górskiej. Na dnie głębokiego, szerokiego kanionu znajdowało się obozowisko Czarnej Błyskawicy. Błyszczało teraz światłami ognisk. Skóry pokrywające namioty,

prażone słońcem i zmywane deszczem, stały się niemal przejrzyste i w wieczornym mroku wyglądały jak barwne lampiony, żarzące się ogniem płonącym w ich wnętrzu. Jednocześnie można było się zorientować w rozmiarach i rozłożeniu obozu. Tipi tworzyły wielki, trzy- lub czterorzędowy krąg. W samym środku obozu stał, obszerniejszy od pozostałych, namiot rady szczepu, który, jak się Tomek później przekonał, stanowił jednocześnie mieszkanie Czarnej Błyskawicy.

Schodzili na dno kanionu ku obozowi wąską ścieżką wykutą w skalnej ścianie. Można było nią iść pojedynczo, co w razie koniecznej obrony przed napastnikami, stwarzało korzystne warunki dla mieszkańców kanionu. Za ledwie Czarna Błyskawica znalazł się w obozie, zaraz poprowadził Tomka do namiotu umieszczonego w środku koliska.

Tomek wszedł do tipi narad. Czarna Błyskawica wskazał mu wygodne miejsce na skórkach niedźwiedzi rozłożonych na ziemi. Chłopiec usiadł w pobliżu ogniska płonącego pośrodku namiotu; rozejrzał się wokoło. Pobladł z wrażenia ujrawszy wśród skalpów wiszących na trójnogu kilka pęków długich, jasnych włosów. Kobięce skalpy były przykrym dowodem, że wojownicy Czarnej Błyskawicy dokonywali napadów na osiedla białych osadników. Różnorodna broń porozwieszana w jednym z kątów tipi zapewne również była łupem wojennym.

Rozmyślenia Tomka przerwały ostre dźwięki świstawek. Były to prawdopodobnie sygnały wzywające starszych plemienia na naradę. Niebawem zaczęli przybywać do namiotu półnaczy Indianie, strojni w orle pióra i naszyjniki z kłów dzikich zwierząt.

Tomek pociemniałymi z wrażenia oczyma wodził po miedzianoskórych Indianach. Do namiotu narad wchodzili sami młodzi i w średnim wieku mężczyźni. Jedynym starcem był szaman noszący na głowie strój z orlich piór i rogów bizona. Większość przybywających na naradę wojowników miała laski i kościane gwizdki — odznaki małych wodzów[42]. Twarze i ciała Indian pomalowane były jaskrawoczerwoną farbą.

Z łatwością dostrzegało się różnicę pomiędzy wojownikami Czarnej Błyskawicy a Indianami zamkniętymi w rezerwatach. O ile tamci wiedli nędzny żywot, o tyle buntowniczy szczep zachował wszystkie cechy dawnych wojowników, budzących w młodym białym człowieku dreszcz grozy. W twarzach ich oraz zachowaniu nie było cienia zgubnego piętna upokarzającej niewoli.

Tomek poważnie spoglądał na pełne godności, dzikie twarze wojowników, którzy nawet najmniejszym ruchem czy gestem nie zdradzili zdziwienia na widok białego chłopca w tipi narad. Indianie siadali na ziemi wokół żarzącego się ogniska; Tomek liczył wchodzących. Gdy jedenasty Indianin wszedł do tipi. Czarna Błyskawica zajął miejsce z prawej strony białego gościa.

Pełnym dostojeństwa ruchem wódz zdjął z trójnoga zawiniątko ze świętymi przedmiotami i kalumetem. Nabił fajkę tytoniem, włożył w nią węgielek z ogniska, dopełnił ceremoniału palenia, po czym podał ją Tomkowi, który wydmuchnąwszy przepisowo dym, dalej przekazał kalumet. Po długiej chwili fajka powróciła do rąk Czarnej Błyskawicy. Tomek, drżąc wprost z niecierpliwości, w milczeniu oczekiwał na dalszy

rozwój wypadków. Czarna Błyskawica schował kalumet do zawiniątka i powiesił je z powrotem na trójnogu.

Dopiero teraz odezwał się:

— Moi bracia zapewne są zdziwieni, że w naszym obozie znajduje się blada twarz, a mimo to jej skalp nie zdobi jeszcze mego tipi.

— Prawo nasze mówi: każdy biały pies, który by dotarł do naszego kanionu, musi zginąć przy palu męczarni — z naciskiem i stanowczo rzekł młody Indianin, dzierżący w dłoni kościaną laskę.

— Słusznie powiedział Pałacy Promień — przytaknął Czarna Błyskawica. — To jest jednak mój brat Nah'tah ni yez'zi, któremu zaprzysiągłem wieczystą przyjaźń. Dzięki niemu bowiem niecny czyn zdrajcy Wiele Grzyw został udaremniiony.

— Ugh! Pod białą skórą Nah'tah ni yez'zi kryje się czerwone serce, przyjazne czerwonoskórym wojownikom — zabrał głos szaman, zwany Pogromcą Grizzly. — Indianin płaci przyjaźnią za przyjaźń, śmiercią za śmierć! Tak mówi nasze odwieczne prawo. Ugh!

— Nah'tah ni yez'zi palił fajkę pokoju ze starszymi szczepów Apaczów i Nawajów — wyjaśnił Czarna Błyskawica. — Młody brat oddał mi wielką przysługę, za co otrzymał prawo do noszenia pięciu orlich piór. Nah'tah ni yez'zi wkroczył na wojenną ścieżkę; prosi Czarną Błyskawicę o pomoc przeciwko swym nieprzyjaciołom. Wrogowie przyjaciół są naszymi wrogami. Czarna Błyskawica przyprowadził Nah'tah ni yez'zi, aby wspólnie wykopać topór wojenny i odbyć naradę.

— Ugh! Zły duch przysłonił wzrok Czarnej Błyskawicy — zawołał Pałacy Promień. — Mój brat źle uczynił, przyprowadzając tutaj bladą twarz.

— Rada starszych naszego plemienia przyznała Nah'tah ni yez'zi prawo do noszenia pięciu piór, podczas gdy Pałacy Promień zdobył tylko cztery — spokojnie odparł Czarna Błyskawica.— Niech moi bracia decydują, czy mamy wykopać topór wojenny, aby dotrzymać przyrzeczenia danego naszemu bratu Nah'tah ni yez'zi.

Szaman Pogromca Grizzly wyszarpnął z za pasa swój tomahawk. Krótkim, lecz silnym ruchem rzucił go w kierunku głównego pala podtrzymującego pokrycie namiotu. Ostrze z głuchym odgłosem zagłębiło się w drewno. Za nim inni Indianie kolejno rzucali swe topory, tylko jeden Pałacy Promień siedział nieruchomo, wpatrując się w płonące ognisko.

— Czy Pałacy Promień pragnie zostać w wigwamie, podczas gdy jego bracia wyruszą na wojenną ścieżkę? — zapytał Czarna Błyskawica.

Mały wódz spojrział Czarnej Błyskawicy prosto w oczy. Wolnym ruchem wydobył swój tomahawk i rzucił go z takim rozmachem, że niemal połowa ostrza wbiła się w suche drewno.

Teraz Czarna Błyskawica śmignął swym ciężkim tomahawkiem i wymownie spojrzął na Tomka, który zmieszał się mocno, ponieważ nie posiadał toporka i nie potrafił nim

rzucać do celu tak, jak Indianie. Przytomny w każdej sytuacji chłopiec przypomniał sobie, że bosman nauczył go miotania nożem. Czyżby nóż nie mógł teraz zastąpić tomahawka?

Nie namyślając się wiele wy dobył z pochwy swój ciężki nóż myśliwski. Błyszcząca stal przeszła powietrze; ostrze noża utkwilo w słupie przy tomahawku Pałacego Promienia.

— Ugh! Ugh! Ugh! — zawołali Indianie.

— Szczepy Apaczów i Nawajów wykopały topór wojenny przeciwko wszystkim wrogom naszego brata Nah'tah ni yez'zi — oznajmił donośnym głosem Czarna Błyskawica. — Skalpy zdradzieckich psów, które porwały Białą Różę, przyjaciółkę Nah'tah ni yez'zi, przyozdobią nasze wigwamy.

— Ugh! Ugh! — zawołali Indianie.

Zgodnie z prawem czerwonoskórych, od chwili wykopania topom wojennego naczelnny wódz sprawował niepodzielną władzę, a wszyscy członkowie plemienia zobowiązani byli pod karą śmierci wypełniać każdy jego rozkaz. Czarna Błyskawica zwrócił się zaraz do Pałacego Promienia:

— Mały wódz uda się natychmiast z kilkoma wojownikami na Górę Znaków i zawiadomi naszych sojuszników, iż wkroczyliśmy na wojenną ścieżkę. Pałacy Promień zażąda również, by dostarczono nam jak najszybciej odpowiedniej liczby mustangów.

Pałacy Promień powstał, zbliżył się do głównego pala podtrzymującego tipi, wy dobył swój tomahawk, bez słowa obrzucił Czarną Błyskawicę wzrokiem pełnym wyrzutu i w milczeniu opuścił namiot, aby wykonać rozkaz.

Czarna Błyskawica zadumał się: oto wyprawil z namiotu narad młodego małego wodza, widząc jego nieprzychylnosc dla białego człowieka, któremu winien był wdzięczność. Jednak w głębi serca przyznawał całkowitą słusznosc Pałacemu Promieniowi. Czyż obowiązywała go lojalność i obietnica udzielenia pomocy przedstawicielowi rasy, która pozbawiła Indian ich ziemi i wolności? Przecież razem z całym plemieniem zaprzysięgł śmierć wszystkim białym najeźdźcom. Długi łańcuch krzywd i zdrad dokonanych przez białych ludzi wobec Indian przewinął się w pamięci Czarnej Błyskawicy. To właśnie biali ludzie bezlitośnie tępiłi krajowców, spychali ich na najbardziej jałowe tereny, łamali wszelkie traktaty i przyrzeczenia. Pałacy Promień miał słusznosc; Czarna Błyskawica nawoływał do bezkompromisowego buntu przeciwko ciemiezcom, a teraz sam uczynił pierwszy wyłom w prawie narzuconym przez siebie Indianom.

Pod wpływem tych myśli dłoń wodza odruchowo spoczęła na chłodnej rękojeści noża. Czyż miał stać się zdrajcą własnego szczepu, który całkowicie zawierzył mu swój los? Przenikliwy, zimny wzrok zwrócił ku białemu chłopcu.

Tomek musiał wyczuć, co się dzieje w duszy wodza. Mimo to ufnie spoglądał w twarz Czarnej Błyskawicy, choć wiedział, że w tej właśnie chwili ważą się jego dalsze losy. Wymowny ruch ręki Indianina — dotknięcie rękojeści noża, którym zdarł niejeden skalp z głowy białego wroga, nie uszedł uwagi Tomka.

Czarna Błyskawica długo patrzył w poważne, wyrażające ufność oczy białego chłopca. Czyż to nie on podał mu pomocną dłoń wtedy, gdy inni chcieli zaszczuć go na śmierć? Czy biały chłopiec zawahał się zdradzić swoją rasę, aby ułatwić mu ucieczkę? Czy nie postąpił szlachetnie wobec Czerwonego Orła? Ten młody biały człowiek był nie tylko przyjacielem buntowniczego wodza; on był prawdziwym przyjacielem wszystkich Indian, wszystkich prawych ludzi. Przecież wśród czerwonoskórych również zdarzali się zaprzańcy. Czarna Błyskawica przypomniawszy sobie udającego przyjaźń zdrajcę Wiele Grzyw i zniechęconą policję indiańską. Szlachetny, odważny wódz zrozumiał, że nie wolno dzielić ludzi na dobrych i złych zależnie od koloru skóry. Wśród ludzi wszystkich ras znajdowali się dobrzy i źli...

Nie tylko Tomek domyślał się burzy mieszanych uczuć w sercu Czarnej Błyskawicy. Stary szaman również nie spuszczał wzroku z twarzy wodza plemienia, a reszta Indian milczała znacząco.

Odważne słowa Palącego Promienia zbyt wymownie przypomniawszy wszystkim sprzeczność w postępowaniu Czarnej Błyskawicy.

Nagle groźna dotąd twarz wodza przybrała łagodniejszy wyraz. Przyjaźnie spojrzawszy na Tomka.

Równocześnie odezwał się stary szaman, jakby mówiąc do siebie:

— Palący Promień jest prawym i odważnym wojownikiem. Z czasem zajmie należne mu stanowisko wśród członków swego szczepu, lecz obecnie jest jeszcze zbyt młody, aby zrozumieć wartość prawdziwej przyjaźni. Wiele bladych twarzy zginęło z mej ręki, lecz pamiętam również białych, którzy walczyli razem z nami w naszej obronie przeciwko ludziom swojej rasy.

— Ugh! Otwieram naradę wojenną. Nasz brat Nah'tah ni yez'zi opowie teraz dokładnie przebieg wypadków, abyśmy mogli ułożyć wspólnie plan działania — powiedział głośno wódz Czarna Błyskawica.

Tomek rozpoczął opowieść trochę drżącym głosem, lecz w miarę jak mówił, napięcie jego nerwów ulegało rozładowaniu. Niewątpliwie przyczyniło się do tego zachowanie Indian, którzy zaczęli się ożywiać słuchając uważnie relacji. Wojownicy prosili Tomka o wyjaśnienia, wykazywali szczere zainteresowanie.

Gdy tylko chłopiec skończył mówić, rozpoczęła się długa dyskusja. W wyniku narady postanowiono wysłać wywiadowców w kierunku ranczo Don Pedra. Większość była zdania, iż to jego ludzie bądź namówieni przez niego Indianie porwali nieszczęsną Sally. Wywiadowcy powinni najwyżej w ciągu trzech dni zasięgnąć języka, a w tym czasie reszta Indian miała się przygotować do wyprawy.

NIEFORTUNNA WYPRAWA BOSMANA

Dwa dni już upłynęły od chwili wyruszenia Tomka z ranczo szeryfa Allana na tajemniczą wyprawę. Bosman snuł się po domu jak posępny cień. Trawił go niepokój o Sally i Tomka. O własne bezpieczeństwo nigdy się zbytnio nie troszczył, lecz gdy chodziło o młodego druha, była to zupełnie inna sprawa. Tymczasem Tomek przepadł jak kamień w wodę. Bosman gubił się w domysłach. Już kilkakrotnie napomykał Allanowi, czy nie lepiej byłoby dla bezpieczeństwa chłopca zerknąć do pozostawionego przez niego listu, lecz za każdym razem spotykał się z niezmienną odpowiedzią:

— Jeżeli Tommy nie wróci w ciągu siedmiu dni, wówczas otworzymy list...

Bosman złościł się na flegmatycznego szeryfa, kłopotał o Tomka, martwił o Sally, a jednocześnie nie mógł patrzeć z założonymi rękami na niemy ból zrozpaczonej pani Allan. Dzielna kobieta czuwała przy łożu rannego szwagra, lecz z jej bezmiernego smutku można było się domyślać, że straciła chęć do życia.

Trzeciego dnia wczesnym rankiem bosman nagle postanowił urządzić mały wypad na własną rękę. Zaraz też kazał sobie przyprowadzić mustanga. Z karabinem pod pachą wyszedł przed dom. Wkrótce galopował w kierunku pastwisk.

Nie minęły nawet cztery godziny, a stary wyga wiedział już, że Tomek razem z Czerwonym Orłem udali się ku granicy meksykańskiej. Nie tracąc czasu podążył również w tym kierunku.

Około południa minął widoczną z dala samotną górę, nie zdając sobie nawet sprawy, że przekroczył granicę. Mustang obarczony olbrzymim jeźdźcem potykał się ze zmęczenia. Bosman zgłodniał. Zatrzymał konia w nikłym cieniu kaktusów. Zeskoczył z siodła, rozkulbaczył wierzchowca i uwiązał go na arkanie. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma grzechotników stepowych, usiadł na ziemi, szybko spożył drugie śniadanie przygotowane przez zapobiegliwą panią Allan, łyknął nieco jamajki, a następnie zaczął rozmyślać, co by uczynił ojciec Tomka w podobnym położeniu. Niebawem doszedł do wniosku, że poszukiwanie chłopca w stepie nie miało zbyt wielkiego sensu. Teraz czynił sobie wyrzuty, iż zezwolił mu na tę tajemniczą wyprawę.

“Ha, nie ma rady! Wkopałem się w niezwykłą kabałę — mruknął. — Powinienem był od razu podążyć jego śladem, a teraz szukaj wiatru w polu! Co będzie, jeżeli podstępni Indianie, którzy uprowadzili Sally, schwycą również Tomka?”

Wzdrygnął się na samą myśl o takiej ewentualności.

“Na wszelki frasunek najlepszy trunek” — pomyślał i jeszcze raz dobył butelczynę z jamajką.

Pociągnął spory łyk. Poczul się trochę raźniej. Sytuacja wprawdzie była okropna, ale czy nie znajdowali się już nieraz w ciężkich tarapatach? Któż, jak nie Tomek, sypał wtedy doskonałymi pomysłami? Czy to nie jego właśnie spryt ratował ich zazwyczaj z ciężkich opresji?

“Chwat chłopak! — rozczulił się bosman. — Kompan z niego pierwsza klasa. Nawet i tu, w Ameryce, wystawił do wiatru bogacza Don Pedra! Ha, a jak szybko potrafi się pokumać z różnymi ludźmi!”

Bosman zaczął nabierać otuchy. Przecież podczas wyprawy w Australii Tomek przełamał nieufność krajowców; w Afryce znów zaprzyjaźnił się z młodym królem Bugandy, tu zaś został przyjęty do szczepów Apaczów i Nawajów. Jeżeli wyruszył z Czerwonym Orłem, to może właśnie po to, by prosić Indian o pomoc?

“Taki zuch nie może zginąć jak pierwszy lepszy — myślał bosman. — Przeczekam w cieniu ten piekielny upał i wrócę na ranczo. Jeżeli Tomek wykombinował plan, to na pewno coś z niego wyjdzie.”

Tak uspokojony zapadł w drzemkę. Niebawem ocknął się z niej. Słońce przesunęło się już ku zachodowi. Spiesznie osiodłał mustanga. Po chwili kłusował z powrotem ku samotnej górze.

Ujechał około trzystu metrów, gdy naraz mustang głośno parsknął. Bosman uderzył go lekko arkanem, lecz wierzchowiec zastrzygł tylko uszami i zarżał ponownie.

— Co za Ucho cię ugryzło? — mruknął marynarz.

Zanim w zachowaniu mustanga dostrzegł ostrzeżenie, zza kaktusów i miotlastych juk wyskoczyły miedzianoskóre postacie. Było już za późno na odwrót.

Indianie o ciałach pomalowanych w białe pasy wydali cichy okrzyk, po czym rzucili się na samotnego jeźdźca. Jeden z nich skierował w pierś marynarza napięty łuk. Bosman instynktownie zdarł wierzchowca cugłami. Koń stanął dęba na zadnich nogach i tym uratował mu życie. Bo oto pierzasta strzała bzyknęła w powietrzu, wbijając się aż po bełt w pierś mustanga. Nieszczęsne zwierzę jeszcze raz poderwało się do skoku i upadło na ziemię. Bosman zeskoczył z siodła w ostatniej chwili. Potknął się, upadł na jedno kolano, upuścił karabin. Żyłaste dłonie chwyciły go za ramiona.

Indianie chcieli wziąć bosmana żywcem do niewoli, lecz przekonali się rychło, że nie było to takie łatwe. Marynarz szybko dźwignął się na nogi. Jednym ruchem strząsnął z siebie napastników. Indianie znów się na niego rzucili, więc pięściami zaczął zadawać celne ciosy. Od razu zrobiło się wokoło niego przestronniej. Czerwonoskórzy, zdumieni i rozgniewani tak zdecydowanym i skutecznym oporem, dobyli zza pasów noże i tomahawki. Jeden z nich zawołał coś gardłowym głosem i cała gromada jednocześnie rzuciła się na marynarza. Bosman czuł, że to nie przelewki. Wyszarpnął z kieszeni rewolwer. Tylko jeden raz zdążył pociągnąć za spust mierząc prosto w pierś najbliższego Indianina, gdyż zaraz otrzymał potężne uderzenie w głowę. Zachwiał się, jeszcze jak przez mgłę widział czeredę napastników wznoszących noże i tomahawki, po czym stracił przytomność.

— Ugh! Zwiążcie go rzemieniami — rozkazał Pałacy Promień. — Czy nasz brat Przedrzeźniasz został poważnie zraniony?

Dwóch Indian pochyliło się nad postrzelonym.

— Przekłeta biała twarz ugodziła naszego brata prosto w serce — oświadczył jeden z nich.

— Giń, biały psie! — zawołał drugi, wznosząc nóż do śmiertelnego ciosu.

— Stój! Nasz brat Przedrzeźniacz zasłużył na pełne pomszczenie. Temu białemu zadamy śmierć przy palu męczarni — rozkazał Pałacy Promień. — Niech ból wdowy i jego dzieci choć trochę ukoją okrzyki trwogi mordercy.

— Pięść tego białego jest twarda jak kamień — z uznaniem wtrącił któryś z Indian. — Ugh! Zobaczmy, czy jest równie odważny jak silny.

— Zakneblujcie mu usta i przywiążcie go do grzbietu mustanga — polecił Pałacy Promień. — Zaraz ruszamy w powrotną drogę.

Czerwonoskórzy wyprowadzili konie ukryte w gąszczu kaktusów. Pięciu wojowników przymocowało wciąż nieprzytomnego marynarza do mustanga. Nogi jeńca skrępowano grubym rzemieniem przeciągniętym pod brzuchem konia, podczas gdy ręce przywiązane zostały do kulbaki siodła. Ponadto zarzucono bosmanowi na szyję arkan, którego drugi koniec przywiązał sobie do pasa jeden z czerwonoskórych podtrzymujących brańca. Dokonawszy tego, Indianie ruszyli w kierunku kryjówki.

Po dłuższej chwili bosman odzyskał przytomność. Zaraz ujrzał miedzianobrunatne postacie Indian. Bezskutecznie próbował poruszyć rękami, nogi również miał skrępowane.

“A to ci heca! Indianie wzięli mnie do niewoli — pomyślał i zaraz ogarnęła go ogromna wściekłość. — Ha, dranie, pokażę wam, gdzie pieprz rośnie!”

Potęźnie ścisnął kolanami boki konia, aż ten stęknął boleśnie i przysiadł na zadzie. Indianin szarpnął arkanem zarzuconym na szyję jeńca. Zdradziecka pętla mocno się zacisnęła, bosman zrozumiał — był bezsilny.

Olbrzymia siła białego wykazana w czasie walki wprowadziła Indian w podziw. Tym bardziej radowali się teraz zwycięstwem i widowiskiem, które ich czekało. Tak silny mężczyzna powinien wytrzymać długie męczarnie przy palu. Zaczęli obchodzić się z nim łagodniej, aby zachować jego siły na decydującą chwilę.

Po kilkugodzinnej jeździe bez wytchnienia Indianie musieli zmienić mustanga dźwigającego ciężkiego bosmana. Przy tej operacji krewki marynarz dał im się mocno we znaki. Gdyby nie miał związanych rąk, prawdopodobnie nie zdołaliby go ujarzmić, nie zadawszy mu śmiertelnego ciosu tomahawkiem bądź nożem. Na szczęście te objawy niewątpliwego męstwa budziły u Indian szacunek nawet dla pokonanego wroga, nie szczydził więc trudu, by jeńca dowieźć żywego do obozu.

Bosman zdziwił się niepomiarownie, gdy przed powtórny wyruszeniem w drogę założyli mu na oczy opaskę.

Znów rozpoczęła się męcząca jazda.

Tomek niecierpliwie obserwował przygotowania Indian do wyruszenia na wojenną wyprawę. Lada chwila spodziewali się powrotu Pałacego Promienia, który z polecenia

Czarnej Błyskawicy miał sprowadzić odpowiednią liczbę koni. Jak Tomek zdążył już zauważyć, czerwonoskórzy trzymali w kanionie zaledwie kilkanaście mustangów. Niezbyt rozległy teren ukrytego w dziczy kaktusowej kanionu nie stwarzał odpowiednich warunków do hodowli. W pierwszym więc rzędzie Indianie zaopatrzyli się w spore stado bydła rogatego, aby zapewnić sobie dostateczne wyżywienie. Według wyjaśnień Czarnej Błyskawicy, w razie potrzeby dostarczali im koni Indianie z pobliskich rezerwatów. Jak z tego wynikało, wpływy buntowniczego wodza sięgały daleko na teren Stanów Zjednoczonych.

Oczywiście Tomek był zbyt rozsądny, aby wypytywać swych czerwonoskórych przyjaciół o sprawy stanowiące ich tajemnicę. Rozumiał, że byłoby to nawet bardzo niebezpieczne.

Za zgodą wodza Czerwony Orzeł miał zawieźć bosmanowi Nowickiemu list od Tomka, a następnie razem z marynarzem przybyć na umówione miejsce, gdzie cały oddział powinien już na nich czekać. Tomek właśnie wyrwał z notesu kartkę i ołówkiem zaczął pisać do swych stroskanych przyjaciół:

Kochany Panie Bosmanie!

Gdy tylko otrzyma Pan ten list z rąk mego przyjaciela, Czerwonego Orła, niech Pan natychmiast poprosi Pana Szeryfa o zniszczenie zapieczętowanej koperty wręczonej Mu przeze mnie. Niech Pan pocieszy Panią Allan. Dzięki pewnej (znanej już Panu) Osobie wyruszymy w licznym towarzystwie na poszukiwanie nieszczęsnej Sally. Miejmy nadzieję, że tym razem nie spotka nas zawód. Oczekuję Pana z przyjaciółmi w miejscu, do którego doprowadzi Pana przekazujący niniejszy list. Proszę mu całkowicie zaufać. Resztę opowiem osobiście...

Umieszczenie podpisu przerwała mu jakaś piekielna wrzawa. Wycie czerwonoskórych mieszało się z krzykami i lamentem kobiet. Tomek zaniepokojony chciał wybiec na majdan, gdy naraz Czerwony Orzeł wpadł do namiotu. Wzburzony zatrzymał się przed swym białym przyjacielem.

— Nah'tah ni yez'zi — zawołał — przygotowujesz mówiący papier?

— Kończę go właśnie... Co się stało?

— Nie będzie już potrzebny — zagadkowo odrzekł Nawaj. — Zły duch pokrzyżował nasze plany. Niech mój brat szybko idzie ze mną!

Obydwaj pospiesznie wybiegli. Na środku obozowiska, obok tipi rady, ujrzał Tomek zbiegowisko mężczyzn, kobiet i dzieci. Stamtąd właśnie rozlegały się okrzyki gniewu i żalostny lament. Tomka ogarnęło złe przeczucie. Dlaczego Czerwony Orzeł powiedział, że list już nie będzie potrzebny? Szybko zbliżył się do grupy Indian otaczających kilku jeźdźców. Przepisnął się ku nim. Zaledwie rzucił na nich okiem, zamarł z przerażenia.

Obok Palącego Promienia siedzącego na mustangu ujrzał Tomek skępowanego i przywiązanego do wierzchowca bosmana Nowickiego. Zawrzał oburzeniem, gdy spostrzegł w rękach Palącego Promienia arkan, którego pętla zaciskała się na szyi przyjaciela. Co to

miało oznaczać? Zanim zdołał cokolwiek nierozważnego uczynić, uwagę jego zwróciła grupka kobiet pochyłona nad leżącym na ziemi Indianinem. Tomek był zbyt domyślny, a by nie odgadnąć prawdy. W jaki sposób Pałacy Promień zetknął się z bosmanem? Przecież marynarz miał na ranczo czekać na wiadomość! Lecz oto Indianie rozstąpili się, Czarna Błyskawica przystanął nad grupką jeźdźców. Wódz musiał poznać bosmana, bo wyraz zaskoczenia przemknął po jego twarzy, zaraz jednak przybrał obojętną minę.

— Co za wiadomość przywozi Pałacy Promień? — zapytał gardłowym głosem.

— Przeklęty biały pies zabił naszego brata Przedrzeźniacza — odparł Pałacy Promień wskazując ręką na bosmana.

Czarna Błyskawica nawet nie spojrzał na jeńca.

— Czy to możliwe, aby jedna blada twarz odważyła się napaść na ośmiu moich wojowników? — zdziwił się. — Gdzie to się stało?

Pałacy Promień zmieszał się, nie mógł bowiem zataić przed wodzem, że po nadaniu sygnałów zbliżył się bez rozkazu do granicy. Musiał się również przyznać do urzędzenia zasadzki na samotnego białego jeźdźca. Czarna Błyskawica, nie chcąc zdradzić miejsca położenia swej osady, nie pozwalał mieszkańcom kanionu oddalać się poza pasmo górskie. Od czasu do czasu zabierał po kilkunastu wojowników na małe wyprawy, lecz gdy ktokolwiek wysyłany był samodzielnie poza kanion, musiał ściśle stosować się do rozkazu wodza. Tymczasem Pałacy Promień, po nadaniu sygnałów na Górze Znaków, samowolnie urządził wypad w pobliże granicy.

— Po wykonaniu polecenia udaliśmy się na północ — odparł niechętnie. — Ujrzeliśmy na stepie samotnego białego jeźdźca. Chcieliśmy przyprowadzić jeńca do obozu, aby wziąć go na spytki. Urządziliśmy więc zasadzkę. W czasie walki blada twarz zabiła naszego brata Przedrzeźniacza.

— Ugh! Wiec zabił go w nierównej walce, gdyż was było ośmiu na jednego — stwierdził Czarna Błyskawica.

Porywczy Pałacy Promień gniewnie zmarszczył brwi. Czyżby wódz chciał bronić tego białego?

— Oko za oko, ząb za ząb, mówi nasze prawo — rzekł ponuro Pałacy Promień. — Ten biały musi zginąć przy palu męczarni!

— Mój brat ma dziwną pamięć. Jedne prawa pamięta dobrze, a drugie źle — poważnie odpowiedział Czarna Błyskawica. — Lecz mimo to śmierć naszego brata Przedrzeźniacza pomścimy. Osierocił przecież squaw i czworo dzieci. Rada starszych zadecyduje o losie jeńca. Niech Pałacy Promień umieści go w oddzielnym tipi pod strażą.

Indianie rozwiązali bosmanowi nogi, ściągnęli go z konia i odkneblowali usta. Marynarz odetchnął głęboko.

Kilka kobiet podbiegło do jeńca. Wymyślały mu krzykliwymi głosami, to znów rzucały weń garściami żwiru. Wojownicy otoczyli bosmana i poprowadzili ku najbliższemu

namiotowi. Po chwili, popychany przez Indian, zniknął w tipi. Tomek, widząc, że przed namiotem ustawiono uzbrojoną straż, zbliżył się do Czarnej Błyskawicy.

— Wodzu, chciałbym natychmiast pomówić z tobą w pilnej sprawie — odezwał się cicho.

— Niech mój brat zaraz przyjdzie do tipi rady ze starszymi plemienia. Tam odbędzie się sąd nad jeńcem — odpowiedział Czarna Błyskawica.

Tomek nachmurzył się, lecz instynkt ostrzegł go przed pochopnym czynem. Wprawdzie Czarna Błyskawica był wodzem plemienia, nie ulegało jednak wątpliwości, że liczyć się musiał ze zdaniem rady starszych. Wódz na pewno poznał bosmana i, jak wynikało z wymiany słów z Pałącym Promieniem, nie był do niego źle usposobiony. Czy zdoła go obronić? Jak już Tomek zdążył zauważyć, Indianie z odludnego kanionu z niezwykłą surowością przestrzegali swych praw i prastarych obyczajów.

Coraz większy niepokój ogarniał zdenerwowanego chłopca. Nie rozumiał, dlaczego bosman opuścił, wbrew umowie, ranczo i czego szukał na stepie. Ten nierozważny czyn mógł zniweczyć cały misternie ułożony plan uwolnienia Sally. Bo cóż się stanie, jeżeli Indianie zażądają śmierci bosmana? Przecież Tomek nie będzie mógł opuścić przyjaciela w tak tragicznej chwili.

“Ha, nie ma rady! Jeżeli dojdzie do ostateczności, stanę u boku bosmana i zginiemy razem — pomyślał zdesperowany. — Cóż za okropny los czeka wtedy Sally! Biedna pani Allan!”

Przygnębiony wszedł do tipi rady, gdzie zastał już kilkunastu starszych rodu. Wódz wskazał mu miejsce obok siebie. Niebawem rozpoczął się sąd nad bosmanem. Pierwszy zabrał głos Czarna Błyskawica:

— Mamy osądzić bladą twarz, która walcząc z wywiadowcami zabiła naszego brata Przedrzeźniacza. Pałący Promień, jako uczestnik tej walki, będzie oskarżał jeńca. Niech moi bracia wysłuchają go uważnie i wydadzą sprawiedliwy wyrok zgodnie ze zwyczajem i prawem naszych ojców.

Pałący Promień szczegółowo podał przebieg wypadków. Mimo odrazy do wszystkich białych, relacja jego była wierna, ani na jotę nie odbiegała od prawdy. Wszyscy Indianie w skupieniu słuchali oskarżenia małego wodza, a Tomek w napięciu śledził twarze sędziów; na szczęście nie dostrzegł w nich nienawiści. Sprawa bosmana nie zdawała się wyglądać tragicznie. Indianie napadli na niego, a on zabił jednego z nich we własnej obronie.

Tomek z wdzięcznością utkwiał oczy w Czarnej Błyskawicy, gdy ten ponownie zabrał głos i wyjaśnił radzie plemienia, kim był wzięty do niewoli jeńiec. Przypomniał, że to właśnie bosman razem z Tomkiem ułatwili mu ucieczkę z niewoli, podkreślił jego odwagę i siłę, których dowody złożył podczas rodeo, powalając uderzeniem pięści rozjuszonego buhaja. Zaznaczył również, iż bosman został pierwszy zaatakowany przez wywiadowców i dzielnie walczył przeciwko ośmiu wojownikom.

Członkowie rady zgodnie uznali zasługę jeńca w ułatwieniu ich wodzowi ucieczki z

ranczo szeryfa Allana. Szaman Pogromca Grizzly zauważył, że zgodnie ze starym indiańskim zwyczajem, można by jeńcowi darować życie, gdyby podjął się naprawić krzywdę wyrządzoną rodzinie zabitego wojownika.

Tomek niezbyt dobrze zrozumiał, o co chodziło Pogromcy Grizzly, gdy Czarna Błyskawica już polecił przyprowadzić jeńca oraz wdowę z dziećmi do tipi rady.

Bosman wkroczył do namiotu w asyście czterech Indian. Nawet ze związanymi do tyłu rękoma wyglądał imponująco. Wzrostem przewyższał strażników co najmniej o pół głowy. Poprzez strzepy koszuli widać było potężne, prężne mięśnie. Indianie spoglądali na jego obnażoną pierś, na której widniał wielki tatuaż przedstawiający syrenę trzymającą w jednej ręce tarczę, a w drugiej podniesiony do góry miecz.

Bosman odważnie patrzył w twarze miedzianoskórych wojowników: do Tomka mrugnął nieznacznie okiem. Znowu pierwszy odezwał się Czarna Błyskawica:

— Błada twarz zabiła naszego brata Przedrzeźniacza. Rada starszych wypowiedziała się w tej sprawie. Zabicie wojownika w otwartej walce przynosi zaszczyt każdemu mężczyźnie. Rada starszych zna szlachetne czyny bladej twarzy, zna jego odwagę i siłę oraz wie, że blade twarz sprzyja Indianom jako prawowitym właścicielom ziemi amerykańskiej. Dlatego też moi bracia nie żądają krwawej zemsty za zabicie w uczciwej walce naszego wojownika, lecz nasz brat Przedrzeźniacz pozostawił squaw i czworo dzieci. Nie możemy dopuścić, aby cierpieli niedostatek i głód. Rada starszych mówi tak: “Niech blade twarz weźmie za żonę squaw zasmuconą śmiercią męża, niech troszczy się o nią i jej dzieci, a wtedy przyjmiemy bladą twarz do naszego plemienia i zapomnimy, że z ręki jego zginął mąż Przedrzeźniacz.” Ugh, powiedziałem!

Tomek usłyszawszy ten dziwny wyrok z niepokojem spojrzał na przyjaciela. Według bosmana żona miała być dla marynarza tym, czym kotwica dla statku, bo jak kotwica przytrzymuje statek na jednym miejscu, tak żona uniemożliwia marynarzowi swobodną wólcę po świecie. A przecież bosman przepadał za wielką przygodą i czuł się najszcześniejszy podczas niebezpiecznych wypraw w świat.

Chłopiec pobladł widząc na twarzy serdecznego druha najpierw wyraz zdziwienia, a potem gniewu. Na domiar złego w tejże chwili do namiotu wsunęła się brzydka Indianka z czworgiem dzieci. Marynarz zerknął na nich z ukosa i siląc się na spokój rzekł:

— Dziękuję ci, Czarna Błyskawico, za swaty. Faktycznie, niejeden może by się ucieszył, gdyby mu ofiarowano żonę od razu z całą rodziną. Ale nie dla mnie ten rarytas. Co bym robił z liczną rodziną na statku? Żaden kapitan nie przyjąłby mnie do załogi. Tak jak wy wolicie zginąć z bronią w ręku, niż dać się zamknąć w rezerwacie, tak i ja wolę umrzeć, niż za cenę nędznego żywota wziąć babę z dziećmi. Nic z tego, czerwonoskóry brachu!

— Więc blade twarz odmawia? — zapytał Czarna Błyskawica.

— Jak amen w pacierzu, nic z tego nie będzie — zapewnił go bosman. — Może teraz powiedziałbyś mi nareszcie, czego wy właściwie ode mnie chcecie? Napadacie spokojnego człeka na stepie, a kiedy broni swego życia, to zaraz wtykacie mu squaw z dziećmi lub

grozicie stryczkiem.

— Postępujemy według naszych zwyczajów — odparł Czarna Błyskawica. — Mimo że poprzysięgliśmy śmierć wszystkim białym, chcieliśmy przyjąć odważną bladą twarz do naszego plemienia. Skoro jednak odrzucasz tę propozycję, zginiesz przy palu męczarni. Czerwonoskórzy mężowie pamiętają wspaniałe czyny bladej twarzy, dlatego pozwolą mu umrzeć jak wielkiemu wojownikowi przystało. Powolna śmierć umożliwi ci jeszcze raz złożyć dowód wielkiego męstwa. Gdy już będziesz polował w Krainie Wiecznych Łowów, my specjalną pieśnią rozsławimy twoją niezwykłą odwagę. Ugh, powiedziałem!

— Dajmy bladej twarzy czas do namysłu do wschodu słońca — odezwał się Pogromca Grizzly.

— Może nasz brat Nah'tah ni yez'zi zechce jeszcze porozmawiać ze swoim przyjacielem.

— Dobrze, niech Nah'tah ni yez'zi porozumie się z jeńcem — zgodził się wódz. — Jutro przed wschodem słońca dowiemy się, co blada twarz wybrała: życie czy śmierć! Ugh!

— Czekajcie sobie, dokąd chcecie — mruknął marynarz. — Mnie tam już wszystko jedno. Nie słyszałem, żeby nieboszczyk kiedykolwiek spóźnił się na swój pogrzeb!

Straż wyprowadziła bosmana z namiotu narad.

PRZY PALU MĘCZARNI

Po dłuższej rozmowie z Czarną Błyskawicą Tomek udał się do tipi, w którym trzymano więźnia. Strażnicy uprzedzeni przez wodza nie robili mu trudności, wszedł więc do namiotu i z rozpaczą spojrzął na związanego rzemieniami przyjaciela.

— Co też pan uczynił najlepszego, bosmanie? — odezwał się z wyrzutem. — Czy nie prosiłem, aby pan czekał na mnie na ranczo?

— Ano, masz rację! Palnąłem głupstwo, ale wierz mi, brachu, że nie szukałem zwady z tymi Indiancami — odparł bosman spokojnie, patrząc na zdesperowanego druha.

— Wiem o tym, ale sytuacja jest bez wyjścia, a co najgorsze, sam pośrednio przyczyniłem się do naszej zguby.

Tomek opowiedział przyjacielowi o spotkaniu z Czarną Błyskawicą na Górze Znaków, o naradzie odbytej w tajemniczym kanionie i o obietnicy pomocy w odszukaniu Sally.

— Po wykopaniu topora wojennego na naradzie Pałacy Promień udał się z kilkoma Indianami na Górę Znaków, by powiadomić zaprzyjaźnione plemiona o wkroczeniu na wojenną ścieżkę. Jednocześnie miał się postarać o odpowiednią liczbę koni — mówił Tomek. — Podczas tej wyprawy Indianie przypadkowo napotkali pana, a co z tego wynikło, to już pan sam wie najlepiej.

— Faktycznie narobiłem niezłego bigosu — przyznał bosman. — Ale górą nasi, skoro Indiance podjęli się odszukać Sally.

Tomek bacznie spojrzął na bosmana. Czyżby nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji? Marynarz wyglądał trochę markotnie, ale nie było po nim widać strachu. Po krótkim namyśle Tomek doszedł do wniosku, że nie wolno mu pozostawiać przyjaciela w nieświadomości, odezwał się więc zdecydowanym, choć smutnym głosem:

— Niestety, panie bosmanie, nic już nie będziemy mogli pomóc biednej Sally.

— Jak to, brachu? Czyżby Indiance odmówili teraz swego udziału w poszukiwaniach? Ha, nie spodziewałem się tego po nich! Wyglądają przecież na honorowych chłopaków.

— Indianie nie cofnęły przyrzeczenia, ale gdy obydwaj zginiemy przy palu męczarni, to sami nie wyruszą na wyprawę — wyjaśnił Tomek zniecierpliwiony słowami przyjaciela.

— Do stu zdechłych wielorybów! Chyba słuch mój szwankuje — zawołał, teraz już przerażony i wściekły zarazem, bosman. — A czego oni znów chcą od ciebie? Byłem przekonany, że to tylko ja mam być zabity!

Tomek na chwilę zaniemówił. A więc bosman doskonale znał swe położenie, czyż więc absolutnie nie przejmował się perspektywą mąk i śmierci? Zbierało mu się na płacz.

— Więc pan przypuszczał, że pozostawię pana własnemu losowi? Jeżeli naprawdę przyjdzie panu zginąć, to zginiemy razem ramię przy ramieniu, jak przystało przyjaciołom.

Bosman gwałtownie szarpnął związanymi do tyłu rękami, aż zatrzeszczały suche

rzemienie. Wyprostował się, nie zważając na to, że więzy wrzynają mu się w ciało, i krzyknął ostro:

— Nie pleć głupstw! Zakazuję ci w imieniu twego ojca, a ja go tutaj zastępuję! Przez własną głupotę wpakowałem się w tę kabałę i sam zapłacę głową! Ty masz święty obowiązek ratować nieszczęsną Sally. Pamiętaj, że zaparłbym się naszej przyjaźni, gdybyś postąpił inaczej! Każę ci jako twój przyjaciel i zastępca ojca, rozumiesz?!

Tomek cofnął się o krok przed groźnym spojrzeniem łagodnego zazwyczaj bosmana.

— Co by powiedzieli ojciec i pan Smuga, gdybym z założonymi rękami przyglądał się, jak Indianie pana torturują?! — szepnął przejęty grozą. — Czy mógłbym potem spojrzeć im w oczy? Nie, nie panie bosmanie, pan na pewno by tak nie postąpił na moim miejscu i niech pan tego ode mnie nie wymaga.

Marynarz nachmurzony milczał.

— Prawdziwych przyjaciół poznaje się w potrzebie. Nie opuszczę pana, chociaż tak bardzo mi żal biednej Sally... Poza tym musi pan wiedzieć jeszcze jedno. Czarna Błyskawica doskonale się orientuje, co nas łączy. Przed przyjściem tutaj oznajmiłem mu to i jednocześnie oświadczyłem, że zginę razem z panem.

— A co ten piekielnik na to? — ponuro zapytał bosman.

— Powiedział, że tak powinien postąpić szlachetny wojownik, którego szczepy Apaczów i Nawajów nazwały swoim bratem.

— Ha, więc tacy to oni twoi przyjaciele!

— Niech pan nie potępia Czarnej Błyskawicy — zaoponował Tomek. — Indianie mają wysoko rozwinięte poczucie honoru i przyjaźni. Oni by stracili dla mnie cały szacunek, gdybym teraz pana opuścił.

— Masz babo placek, ale żebyś miał zginąć razem ze mną... — zafrasował się bosman. — Spokoju nie zaznam w grobie... Co się stanie z tą naszą nieszczęsną sikorką?!

— Rozpacz mnie ogarnia, gdy myślę o Sally i pani Allan... — cicho powiedział Tomek. — Sally na pewno oczekuje od nas pomocy.

— Nie mów tak, brachu, bo wątroba przewróci się we mnie z żalości. Teraz widzisz sam, że musisz jej pospieszyć na ratunek. Człowiek w moim wieku nie przywiązuje wielkiej wagi do marnego żywota. Przecież z niejednego pieca już się jadło chleb. Raz się było pod wozem, raz na wozie. Trudno! Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Nie bój się, brachu, twój kumpel ani mrugnie okiem przy tym ich paliku. Tymczasem ty zbieraj się do kupy i odszukaj Sally.

— Nie, panie bosmanie! Albo ocalimy się obydwaj, albo razem zginiemy — stanowczo odparł Tomek. — Inaczej być nie może!

— Zastanów się tylko, ilu osobom sprawi ból twoja śmierć. Pomyśl o ojcu, panu Smudze, pani Allan, szeryfie, nie mówiąc już o małej Sally i twojej rodzinie w Warszawie.

Tymczasem po mnie nikt nie będzie płakał.

— Widzę, że zapomniał pan o swoich rodzicach. Poza tym wszyscy, których pan wymienił, jednakowo będą oplakiwali tak mnie, jak i pana.

— Hmm, tak sądzisz? Miło to wiedzieć... Nie ma rady, wobec tego ty myśl o Sally. To twój obowiązek.

Tomek w milczeniu spoglądał na przyjaciela. Rozważał wszelkie możliwości uwolnienia bosmana, lecz trudno mu było wymyślić coś rozsądnego. Oswobodzenie przyjaciela z więzów nie przedstawiało większych trudności. Na nic to by się wszakże zdało. Indianie licząc się z taką ewentualnością obstawili strażą namiot i obóz, chociaż już samo położenie kanionu uniemożliwiłoby próbę ucieczki. Tomek doszedł do wniosku, że w obecnym położeniu było tylko jedno, jedyne wyjście. Czy jednak zdoła przełamać opór przyjaciela?

— Panie bosmanie — odezwał się po długiej chwili milczenia — czy pan naprawdę chciałby dopomóc Sally w odzyskaniu wolności?

— Czy chciałbym dopomóc? — zdumiał się marynarz. — Przecież tylko z tego powodu wpakowałem się w tę kabałę! Jak możesz o to pytać?

— Bo jest pewien sposób zażegnania zła, ale, niestety, wymaga on osobistego poświęcenia z pana strony...

— O czym ty znów mówisz?

— Niech pan się ożeni z tą Indianką, jak proponował Czarna Błyskawica — wyrzucił z siebie Tomek jednym tchem.

Wbrew przewidywaniom bosman nie wybuchnął gniewem. Siedział z opuszczoną na piersi głową i rozmyślał. W końcu odezwał się spokojnym, stanowczym głosem:

— Dla ciebie i Sally ożeniłbym się nawet z tą szpetną Indianką. Ale jest zasadniczy powód, dla którego nie mogę tego uczynić; przecież zabiłem jej męża. Może u czerwonoskórych taka rzecz uchodzi, ale ja nie jestem Indiańcem i tego nie zrobię. Jeżeli nie ma innego wyjścia, wybieram pal męczeński. Ty natomiast musisz wypełnić moją ostatnią wolę, a więc wyruszysz z Indiańcami na poszukiwanie Sally. Ha, żebym to chociaż miał jeden łyk jamajki!

— Ja mam! Na wszelki wypadek zabrałem na wyprawę małą butelkę. Teraz przyniosłem ją tutaj z myślą o panu — pospiesznie odparł Tomek, rad, że bosman zmienił temat.

Wydobył z kieszeni płaską buteleczkę i przyłożył jej otwór do ust przyjaciela. Bosman pociągnął spory łyk, mlasnął językiem, po czym wyciągnął się na skórach legowiska.

— Teraz, kochany brachu, idź i pomyśl spokojnie o wszystkim — rzekł. — Złym okazałem się opiekunem, więc nie będę udzielał ci rad. Sam wiesz najlepiej, co robić, aby odzyskać Sally. Sen mnie morzy. Prześpię się nieco przed tą indiańską zabawą. Pozdrów ode mnie panią Allan, ucałuj Sally, pokłoń się twemu szanownemu tatusiowi i panu

Smudze. Dobranoc, kochany brachu, i... nie miej do mnieżalu...

Tomka dławily łzy. Chciał coś jeszcze odpowiedzieć, ale bosman naprawdę przymknął oczy. Po chwili zachrapał w najlepsze. Gdy marynarz odwrócił się na bok, Tomek cicho wyszedł z namiotu.

Zmrok już zapadł. Obozowisko jakby opustoszało, tylko strażę czuwały. Tomek zapragnął jeszcze raz pomówić z wodzem. Wszedł do namiotu rady. Na skórach przy ognisku siedziała samotnie młoda indiańska dziewczyna. Poznał ją. Była to Skalny Kwiat, córka naczelnego wodza.

— Gdzie jest wódz Czarna Błyskawica? — zapytał Tomek.

Indianka podniosła się i nieśmiało podeszła do niego.

— Czarna Błyskawica rozmawia z duchami wielkich przodków — odpowiedziała poprawną angielszczyzną.

— Czy długo tam będzie? — pytał Tomek, uśmiechając się smutno do Indianki.

— Tego Skalny Kwiat nie wie. Nah'tah ni yez'zi zapewne chciał się z nim zobaczyć?

— Tak, mam bardzo pilną sprawę do omówienia.

— Gdy Indianin rozmawia z duchami przodków, lepiej mu nie przeszkadzać. Wódz błaga duchy o pomoc w odnalezieniu młodej białej squaw. Czarna Błyskawica jest wielkim przyjacielem Nah'tah ni yez'zi.

Tomek uważnie spojrział na młodą dziewczynę. Była piękna i pełna wdzięku. Wiedział, że Indianki na ogół nie wdają się w rozmowy z obcymi mężczyznami. Czyżby więc Skalny Kwiat chciała powiedzieć mu coś niezwykle ważnego?

Po chwili wahania rzekł:

— Wielki wódz niepotrzebnie błaga duchy przodków o pomoc, ponieważ nie będziemy mogli wyruszyć na wyprawę.

— Dlaczego? Czy może z powodu tego białego, który zabił Przedrzeźniacza? — szepnęła Indianka współczująco.

Tomek potwierdził skinieniem głowy, a wtedy Skalny Kwiat pochyliła się ku niemu i powiedziała.

— Nah'tah ni yez'zi oddał wielką przysługę nie tylko Czarnej Błyskawicy, lecz całemu szczepowi. Nah'tah ni yez'zi zyskał wielu przyjaciół. Niech Nah'tah ni yez'zi zaufa Czarnej Błyskawicy...

W słowach Indianki było tyle życzliwości, że Tomkowi błysnęła cień nadziei,

— Nie wątpię w szlachetność wielkiego wodza, lecz przecież jutro mój przyjaciel ma stanąć przy palu męczarni — powiedział żywo.

— Niech Nah'tah ni yez'zi nie pyta więcej — odparła Skalny Kwiat. — Dobre duchy zazwyczaj udzielają wielkim wojownikom rad podczas snu. Niech więc mój biały brat uda

się na spoczynek i nie niepokoi teraz Czarnej Błyskawicy.

Tomek podziękował dziewczynie przyjaznym skinieniem, po czym wyszedł z tipi. Nie ulegało wątpliwości, że Skalny Kwiat chciała mu dodać otuchy. Czyżby знаła jakieś tajne zamiary ojca?

Tomek zamyślony wolno minął rzędy namiotów, szedł chwilę w głąb kanionu poza obozowisko, gdzie był cmentarz, tak zwany "krąg przodków". Poświata księżycowa srebrzyła nagie skały. Tomek przystanął, szukał wzrokiem...

Groźny, dumny wódz Apaczów i Nawajów siedział na ziemi opierając dłonie na kolanach skrzyżowanych nóg. Otaczało go szerokie koło utworzone z ułożonych na ziemi czaszek ludzkich. Dwie żerdzie obwieszane ludzkimi skalpami sterczały na dwóch kopcach usypanych na obwodzie niesamowitego koliska.

Co pewien czas Czarna Błyskawica zwracał się ku innej czaszce, przemawiał do niej, a potem milkł, jakby słuchał odpowiedzi. Tomek bezszelestnie przesunął się za pękaty kaktus. Wiedział, że Indianie prerii chowali swych zmarłych na platformach budowanych na drzewach bądź też wzniesionych na specjalnych rusztowaniach z grubych drągów. Dopiero po całkowitym rozpadzie ciała rodzina zmarłego zabierała z prowizorycznego grobu jego kości. Czaszki wodzów i zasłużonych wojowników układano w krąg na wybranym miejscu, resztę kości grzebano w kopcach. Co pewien czas lub gdy należało podjąć jakąś ważną decyzję, Indianie przychodzili na cmentarzysko zasięgać rady swych wielkich przodków. Wtedy właśnie zwierzali się czaszkom zmarłych ze swych kłopotów, prosili o wskazówki. Oczywiście ludzkie szczątki były tylko niemymi świadkami tych zwierzeń i próśb; przesądni Indianie odczytywali więc ich rady z lotu bądź krzyku ptaków, układu chmur na niebie czy też po prostu ze snów.

Tomek słyszał również o innym zwyczaju Indian leśnych, którzy co pewien czas przychodzili na mogiły swych krewnych, by oddać im cześć przez zapalenie na grobie małego ogniska. Jeżeli dym unosił się prosto ku niebu, było to widomym znakiem, że zmarły "przeżywa" szczęśliwe dni w Krainie Wiecznych Łowów.

Teraz Tomek był świadkiem długich narad Czarnej Błyskawicy z duchami jego przodków. Tarcza księżycy przesunęła się daleko ku zachodowi i skryła się za strzelistą ścianą kanionu, gdy Indianin powstał z ziemi. Tomek przypomniał sobie słowa Skalnego Kwiatu, iż nie powinien przerywać wodzowi obrzędu. Szybko więc wycofał się do obozu i powrócił do swego tipi. Był tak znękany przeżyciami minionego dnia, że gdy tylko ułożył się obok Czerwonego Orła na posłaniu ze skór, zaraz zasnął.

Nastał słoneczny, gorący, duszny ranek. Zaledwie Tomek wyszedł z namiotu, zaraz dostrzegł ogólne podniecenie mieszkańców obozu. Na placu narad wbito już w ziemię duży, gruby pal, wokół którego gromada wyrostków gromadziła naręcza chrustu. Wojownicy malowali swe ciała barwami wojennymi i sposobili broń.

Na ten widok niepokój Tomka odżył na nowo. Wczoraj po rozmowie ze Skalnym Kwiatem miał nadzieję, że Indianie zaniechają torturowania bosmana, a tymczasem dzisiejsza okrutna rzeczywistość przekreślała ją.

Złe przeczucia znów się wkraady w serce Tomka, gdy tym razem nie wpuszczono go do jeńca, Zdenerwowany i zalękniony udał się zaraz do tipi narad, gdzie zastał wodza otoczonego w pełni uzbrojonymi wojownikami. Nie udało mu się pomówić na osobności z Czarną Błyskawicą, a oficjalne wyjaśnienie brzmiało:

“Prawu szczepowemu musi stać się zadość! Jeniec odrzucił propozycję rady starszych, wobec czego zginie przy palu męczarni.”

Tomek zrozpaczony powrócił do swego namiotu. Oto zbliżała się decydująca, tragiczna chwila. Zginą obydwaj i nikt nawet nie będzie mógł powiadomić ukochanego ojca, że ta okropna rzecz stała się nie z powodu jego lekkomyślności. Łzy cisnęły mu się do oczu, gdy myślał o rozpaczach ojca i Smugi; dziwny ból wkraadł się do serca na wspomnienie tragicznego losu Sally. A jednak mimo wszystko nie mógł teraz opuścić takiego przyjaciela jak bosman. Cóż mu wobec tego pozostało?

W ponurym milczeniu, zdeterminowany, nałożył pas z rewolwerami, sprawdził, czy broń lekko daje się wydobywać z pochew, wreszcie starannie nabił swój niezawodny sztucer.

Tak uzbrojony i przygotowany na najgorsze wyszedł z namiotu. Wmieszał się w tłum Indian. Czerwonoskórzy nie kryli zaciekawienia na widok Tomka, lecz nie spotkał się z jakimkolwiek nieprzyjaznym odruchem z ich strony.

Przed południem mieszkańcy zaginionego kanionu wylegli na plac narad. Niebawem pojawił się tam również wielki wódz Czarna Błyskawica otoczony małymi wodzami. Rozejrzał się wokoło, a wypatrzywszy Tomka w cizbie, posłał po niego jednego z małych wodzów.

Tomek podszedł do Czarnej Błyskawicy, a ten odezwał się:

— Niech mój brat Nah'tah ni yez'zi pozostanie przy mnie. Stąd najlepiej wszystko widać. Zaraz rozpocznie się torturowanie jeńca.

Tomek nie odpowiedział, Stał po lewej stronie wodza. Z chwilą gdy wojownicy wyprowadzili z tipi bosmana Nowickiego, na placu rozległ się lament kobiet i krzyk dzieciarni. Indianki wraz z dziećmi obrzucały przechodzącego żwirem, usiłowały bić różgami, lecz wojownicy otoczyli jeńca zwartym kołem i tak przywiedli go do pala męczarni.

Marynarz, ubrany tylko w spodnie i koszulę, szedł pewnym krokiem nie zwracając uwagi na groźby i drwiny. Obojętnie spoglądał na wojowników przywiązujących go do słupa.

Zgodnie ze starym zwyczajem pierwszeństwo zemsty przysługiwało wdowie po Przedrzeźniaczu i jego dzieciom. Z krzykiem przyskoczyli do bosmana; bili go różgami, obrzucali kamieniami, lecz trwało to tylko krótką chwilę. Na znak Czarnej Błyskawicy Indianie usunęli kobiety i dzieci ze środka majdanu. Teraz uzbrojeni wojownicy w takt rytmu wybijanego na bębnach rozpoczęli wojenny taniec. Przebiegając obok więźnia strzelali do niego z łuków, rzucali tomahawkami i nożami, lecz nie wyrządzali mu na razie

najmniejszej krzywdy. Pierzaste strzały, tomahawki i noże uderzały w pal tuż przy nim, ale do tej pory nie drasnęły go nawet, ponieważ były to tylko próby odwagi skazańca.

Dumna postawa bosmana oraz obojętność, z jaką poddawał się wszystkiemu, wzbudzały za każdym rzutem szmer uznania Indian. Ci nieustraszeni wojownicy przede wszystkim cenili męstwo i odwagę. Tomahawki coraz bliżej jeńca zagłębiały się w pal, a ten spokojnie czekał na śmierć.

Próby dobiegały końca. Oto na znak Czarnej Błyskawicy wojownicy przysunęli stosy gałęzi bliżej pala. Jeden z małych wodzów podbiegł z płonąca żagwią, zapalił suchy chrust. Zgodnie ze zwyczajem, Pałacy Promień, jako ten, który pojmał bosmana, miał prawo zadać mu śmiertelny cios. Powinno to nastąpić wtedy, gdy ciało jeńca osmali ogień.

Pałacy Promień starannie wybierał pierzastą strzałę zakończoną ostrym, metalowym grotem. Próbował siłę cięciwy, by jednym strzałem śmiertelnie ugodzić jeńca. W razie niepowodzenia wykpieno by go z pogardą. Strzała musiała utkwąć w sercu. Mijały chwile oczekiwania. W końcu Pałacy Promień przyłożył strzałę do cięciwy i, gotów do strzału, zwrócił się do Czarnej Błyskawicy, wypatrując skinienia — rozkazu.

Dym z płonącego ogniska dosięgał twarzy bosmana. Nieustraszony marynarz z Powiśla zrozumiał, że nadchodzi jego ostatnia chwila. Z cichym westchnieniem spojrzął w niebo, pobiegł myślą do swych starych rodziców w Warszawie, wspomniął przyjaciół, żal mu się zrobiło nieszczęsnej Sally, lecz aby odegnąć smutne myśli, zaśpiewał gromkim głosem:

*Choć burza huczy wkoło nas,
Do góry wnieśmy skroń...
Niestraszny dla nas burzy czas.
Bo silną przecież mamy dłoń,
Weselmy bracia się,
Choć wicher w żagle dmie...*

Ze wszech stron rozległy się słowa podziwu — biały człowiek śpiewał podczas tortur, tuż przed śmiercią. Na takie bohaterstwo zdobywali się w dawnych czasach tylko niektórzy sławni Indianie. Nawet Pałacy Promień opuścił napięty już łuk.

Nagle stało się coś nieprzewidzianego. Przyjęty do plemienia biały brat Nah'tah ni yez'zi nagłym ruchem rzucił swój sztucer pod nogi otoczonego starszyzną Czarnej Błyskawicy i nim wódz zdążył go powstrzymać, pobiegł ku palowi męczarni. Przeskoczył przez płonąca ogień, po czym własnym ciałem zasłonił bosmana.

— Nie mogę walczyć z moimi czerwonymi braćmi, ponieważ palilem z nimi fajkę pokoju i przyjaźni, wolno mi jednak umrzeć z waszych rąk. Powiedziałem, że zginę razem z moim przyjacielem, i dotrzymuję słowa — zawołał Tomek. — Dalej, Pałacy Promieniu! A mierz celnie!

Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, gdy wiotka dziewczęca postać wysunęła się z

kręgu oniemiałych ze zdumienia Indian, podbiegła szybko do pala i zdjętą z własnej szyi chustkę zarzuciła na głowę bosmana.

Indianie zamarli w bezruchu. Według odwiecznego zwyczaju indiańska dziewczyna zarzucając swą chustkę na głowę torturowanego jeńca oznajmiała, iż wybiera go sobie na męża i prosi o darowanie mu życia. Wszyscy zwrócili się ku Czarnej Błyskawicy — ostateczna decyzja należała do wodza plemienia. Nieme, pełne napięcia oczekiwanie malowało się w ich oczach, bo tym razem o łaskę dla jeńca prosiła córka wodza, Skalny Kwiat.

Czarna Błyskawica zbliżył się wolno do pala męczarni. Bosman, nie znający indiańskich zwyczajów, oczekiwał na śmiertelny cios. Postępek Tomka wzburzył go do głębi. O własne życie odważny zawalidroga nie troszczył się zupełnie, lecz świadomość, że Tomek ma zginąć razem z nim, sprawiała mu nieznośną udrękę. Któż wtedy przyjdzie Sally z pomocą?

Bosman przypuszczał, że indiańska dziewczyna z litości narzuciła mu na głowę chustkę, aby nie widział, jak Pałacy Promień wymierzy weń śmiertelną strzałę. Jakież więc było zdziwienie marynarza, gdy naraz odkryto mu głowę. Teraz z łatwością domyślił się, że stało się coś nadzwyczajnego. Przy nim stali: Tomek, Indianka i Czarna Błyskawica i odgradzali go od Pałacego Promienia, trzymającego napięty łuk.

Wódz Czarna Błyskawica patrzył na jeńca surowym wzrokiem. Na jego to rozkaz piękna Skalny Kwiat ocaliła białemu życie, mimo że od dawna kochała Pałacy Promień. Czarna Błyskawica domyślał się, co musiało się dziać w sercu jego córki i młodego czerwonoskórego wojownika. Wódz świadomy był tego, lecz już się nie wahał. Przecież niemal całą noc spędził na cmentarzysku wśród wielkich przodków, których odwaga i prawość zyskały im nieśmiertelną sławę. Gdy w pożegnalnym pokłonie pochylił się przed ich szczątkami, nóż wysunął mu się zza pasa i upadł na ziemię, a wtedy Czarna Błyskawica, chcąc go pochwycić, mimo woli dotknął ręką wiszącego na szyi woreczka ze świętymi przedmiotami i fajką pokoju. Czyż to nie był widomy znak, że powinien zaprzestać walki i dochować zaprzysiężonej dwom białym przyjaźni? Przesądny Indianin przypadkowe zdarzenie poczytał za wskazówkę udzieloną mu przez niebiańskie moce. Wobec tego poświęcił córkę, chociaż pragnął jej szczęścia.

— Skalny Kwiat zarzuciła ci na głowę chustkę — odezwał się. — Oznacza to, że pragnie zostać twoją żoną i prosi o darowanie życia. Czy blada twarz chce się ożenić z Indianką i przystać do naszego plemienia?

— Do stu zdechłych wielorybów, że też nawet nie dacie spokojnie umrzeć człowiekowi! — krzyknął rozgniewany bosman. — Co was napadło z tymi swatami?

W tej chwili Tomek przystąpił do bosmana i powiedział po polsku:

— Czy pan naprawdę jest takim wielkim egoistą, że pragnie zguby swojej, mojej i nieszczęsnej Sally? Czy pan nie zdaje sobie sprawy, że szlachetny wódz pragnie za wszelką cenę ocalić nas od śmierci? On ofiarowuje panu własną córkę!

— Hm, nie spodziewałem się po nim, że ma taką ładną córkę! — mruknął bosman zmieszany tą wiadomością. — Zrozum, brachu, ja nie chcę się żenić! Żona dla marynarza to jak kotwica...

— Niech pan przestanie! — ostro przerwał wzburzony Tomek. — Nie ma pan prawa gubić Sally przez swój... upór. Do ślubu jeszcze daleko, najpierw wyprawa wojenna. Kto wie, co w tym czasie może się wydarzyć?

— Czy jesteś pewny, że nie każą mi się zaraz żenić? — upewnił się ściszym głosem marynarz.

— Na pewno nie! Niech pan tylko spojrzy na Pałacy Promień, a pojmie pan sam, że potem znajdziemy jakieś rozsądne wyjście z tej sytuacji — cicho dodał Tomek.

— Ha, jakbyś mi dał połknąć balsamu! — odsapnął bosman, — Faktycznie, wygląda na to, że jakoś się z tego wykaraskamy.

— Niech więc pan teraz przyjmie propozycję wodza i podziękuj mu!

Bosman westchnął jak miech kowalski i rzekł:

— Przyjmuję, Czarna Błyskawico, twoją propozycję. Dziękuję też temu Skalnemu Kwiatuskowi za dobre serce! Widocznie nie było mi jeszcze pisane przenieść się do waszej Krainy Wiecznych Łowów.

Wódz poważnie skinął głową i polecił córce przeciąć rzemienie krępujące jeńca. Skalny Kwiat wydobyla zza pasa mały nóż. Po chwili bosman rozcierał już zdrętwiałe ręce.

— Teraz udamy się do tipi narad w celu wypalenia fajki przyjaźni, a następnie natychmiast wyruszamy na wyprawę? — oświadczył Czarna Błyskawica.

Naraz przed bosmanem stanął Pałacy Promień dzierżąc w dłoni krótką dzidę. Groźnym wzrokiem obrzucił białego olbrzyma, po czym odezwał się:

— Jeżeli obydwaj szczęśliwie powrócimy z wojennej wyprawy, stoczmy walkę na śmierć i życie!

Jednocześnie, jako wyzwanie na pojedynek, rzucił przed stopy bosmana dzidę. Bosman, jak przystało na człowieka honoru, podniósł dzidę i odrzucił ją w ten sam sposób Indianinowi.

— Niech będzie tak, jak sobie życzysz. Pałacy Promieniu — odpowiedział. — Chociaż myślę, że nie będziemy się kłócili. Morus chłop jesteś, brachu!

— Ugh! Moi bracia mogą stoczyć walkę po wyprawie — przyzwolił Czarna Błyskawica. — Wojownicy mają prawo postępować według swej woli.

Tomek odetchnął z ulgą.

TANIEC DUCHA

Bosman napuszony jak paw opuścił tipi narad. Po wypaleniu fajki pokoju i przyjaźni Indianie przyjęli go do swego plemienia. Jednocześnie jako dzielnemu wojownikowi nadali mu szacowne imię. Ono to właśnie stało się powodem niezwykłej dumy bosmana. Gdy zastanawiano się nad wyborem imienia, Czarna Błyskawica przypomniał radzie starszych, jak to bosman na rodeo uderzeniem pięści powalił buhaja. Czarownik, Pogromca Grizzly, zaproponował, aby nazwać marynarza "Grzmiącą Pięścią". Rada starszych jednogłośnie wyraziła zgodę. Grzmiąca Pięść stał się członkiem plemienia Apaczów.

Na wyprawę miano wyruszyć zaraz po wieczornej uroczystości, do której wszyscy czynili gorączkowe przygotowania. Tomek za zgodą Czarnej Błyskawicy wysłał na rancho Czerwonego Orła, zlecając mu zawiadomić szeryfa i panią Allan o nowych poszukiwaniach Sally i poprosić o zniszczenie wręzonego listu.

Tego dnia jeszcze przed wieczorem zapłonęły w obozie ogniska. Wkrótce miały się rozpocząć obrzędy. Czerwony Orzeł, traktujący Tomka niemal jak własnego brata, zdradził mu w zaufaniu, że tego wieczoru ujrzy tajemniczy Taniec Ducha, rytualny taniec wyznawców idei wyzwolenia Indian z niewoli.

Obydwaj przyjaciele niezmiernie byli ciekawi widowiska, usadowili się więc już wcześniej tak, by wszystko móc widzieć.

Taniec rozpoczął się wkrótce. Najpierw weszła na plac gromada Indian z podłużnymi jak beczułki bębnami. Przysiedli na uboczu i zaraz rozległo się jednostajne dudnienie. Na to hasło z namiotów zaczęli się wysuwać tancerze okryci kocami bądź ubrani w białe bawełniane koszule ozdobione świętymi symbolami i siadali w pierwszym szeregu widzów. Bębny zagrały gwałtowniej — kilku tancerzy podniosło się; ujęli się za ręce i zaczęli wolno krążyć wokół. Stopniowo inni się do nich przyłączali. Powstał wielki krąg, w którego środek wbiegło czterech czarowników, powiewając krótkimi różdżkami zdobnymi w ptasie pióra. Bębny zawarczały jeszcze mocniej. Tancerze natychmiast usiedli kołem na ziemi w miejscu, w którym stali, a czarownicy tańczyli dalej. Tempo tej swoistej muzyki wzrastało z każdą chwilą: czarownicy poruszali się coraz szybciej... Gdy bębny przycichły, usiedli na ziemi.

Bębny ozwały się znowu. Tancerze poderwali się z miejsca; znów tańczyli w koło i znów coraz to szybciej wirowali. Czarownicy po jednym włączali się w krąg tańczących. Tempo jego wzrastało z każdą chwilą; niektórzy z tańczących słabli, wtedy czarownicy podbiegali do nich i, powiewając im przed twarzą różdżkami, jakąś tajemniczą siłą wciągali ich do środka koła.

Tomek i bosman zaciekawieni powstali z ziemi, by lepiej widzieć. W roztańczonym kolisku działo się coś niezwykłego. Czarownik, Pogromca Grizzly, powiewał różdżką przed twarzą jednego z tancerzy, który zdradzał coraz większą niemoc — słał się na nogach, aż w końcu, wprowadzony przez czarownika w stan hipnotyczny, runął twarzą na ziemię. Czarownicy przyprowadzili przed Pogromcę Grizzly następnych zmęczonych tancerzy,

którzy pod działaniem różdżki niebawem padali nieprzytomni.

Niektórzy z tańczących zrywali z siebie koce i powiewali nimi, aby odegnać obce duchy. Szybkie, pełne groźnej wymowy ruchy, przeraźliwe krzyki mieszające się ze słowami dzikiej pieśni upodabniały ich do prawdziwych demonów. W końcu wszyscy już tańczyli na pół przytomni, w ekstatycznym transie.

Według mniemania Indian, dusze tańczących oddzielały się od ich ciał, unosiły w Krainę Ducha i tam obcowały ze zmarłymi przodkami. Odrodzenie siły Indian miało nastąpić przez nawrót do dawnych zwyczajów. Ekstatyczny taniec towarzyszący obrzędowi miał łączyć rewolucjonistów z duchami zmarłych Indian, przebywającymi w Krainie Wiecznych Łowów i patronującymi dążeniom wolnościowym swego ludu. Z tego powodu obrzęd ten przybrał nazwę Tańca Ducha.

Koło tańczących znacznie się przerzedziło. Najwytrwalsi tancerze byli już u kresu sił, gdy naraz umilkły bębny. Wirujące koło znieruchomiało. Uśpieni przez Pogromcę Grizzly tancerze zaczęli się budzić.

Czarna Błyskawica, ciężko jeszcze oddychając, zatrzymał się przed Tomkiem i bosmanem. Nie zdążył nawet zrzucić obrzędowego stroju — koszuli obramowanej frędzlami z ludzkich włosów. Wielki czarny ptak namalowany na jego piersiach rozpiął skrzydła do lotu.

Wódz przez chwilę spoglądał w twarze swych nowych przyjaciół, nim rzekł:

— Taniec Ducha oznacza śmierć dla wszystkich białych twarzy. Tym razem przyniesie on zgubę tylko waszym wrogom. Szlachetna Biała Róża odzyska wolność lub, gdyby było na to za późno, będzie krwawo pomszczona. Ugh! Niech moi bracia przygotowują się do drogi.

Tomek wzburzony tym, co przed chwilą widział, nie mógł wyrzec słowa, skinął jedynie głową na znak zgody, lecz zawsze praktyczny i nie przejmujący się niczym bosman, odparł swobodnie:

— Słuchaj, Czarna Błyskawico, cenię ludzi honorowych, którzy dotrzymują przyrzeczeń danych przyjaciołom. Od dzisiejszego dnia możesz na mnie liczyć w każdej okoliczności.

Mówiąc to nachylił się do wodza i szepnął znacząco:

— Bądź spokojny. Skalnemu Kwiatuskowi nie stanie się z mej strony jakakolwiek krzywda.

Czarna Błyskawica długo patrzył w jasne, budzące zaufanie oczy marynarza. Trudno odgadnąć, co się działo w tej chwili w jego sercu.

— Ugh! Nie wyglądasz na człowieka, który miałby dwa języki — powiedział jakby do siebie, po czym dodał głośno: — Zaraz wyruszamy w drogę.

— Czy mógłbyś, wodzu, pożyczyć mi jaką szkapę? — zagadnął bosman. — Mój pocziwina został martwy na stepie...

— Biały brat nie musi się o to kłopotać. Będzie miał mustanga. Teraz właśnie udamy się po konie.

Była już głucha noc, gdy Czarna Błyskawica dał hasło do wymarszu. Dwudziestu uzbrojonych wojowników powiódł skalną ścieżką wykuta w stromej ścianie kanionu. Wspięli się na szczyt okalający z tej strony kanion. Bosman korzystając z chwili odpoczynku szepnął do Tomka:

— Słuchaj, brachu. Indianie znają jeszcze inną, wygodniejszą drogę do swego obozowiska. Gdy wieźli mnie związanego jak barana, przez cały czas jechaliśmy na szkapach, a przecież nie czułem, abyśmy pieli się po górach.

— To bardzo prawdopodobne — odparł szeptem Tomek. — Tędy nie wprowadziliby ani bydła, ani koni do swego kanionu. Po prostu nie chcą zdradzić przed nami położenia kryjówki. Tą zaś drogą niełatwo trafić do obozu. Sam się pan o tym przekona.

— Czort z nimi! I tak byśmy nikomu nie zdradzili ich tajemnicy. Brr nie lubię łażenia po górskich rozpadlinach! Czy masz jeszcze łyżek jamajki?

— Mam, panie bosmanie.

— To daj, brachu, bo całkiem zaschło mi w gardle.

Bosman opróżnił do reszty butelczynę.

— Ha, różniej mi teraz na duszy i ciele — mruknął. — Morus chłop z Czarnej Błyskawicy. No, no, musieli ci Amerykańcy dopiec mu do żywego, skoro zaprzysiągł im krwawą zemstę. Podoba mi się ten mój przyszły teść! Słuchaj, brachu! Tyś mnie zmusił do zaręczyn z tą wdzięczną dziewczuszką, twoja więc głowa, żeby z małżeństwa były nici. Kapujesz?

Po pomyślnym wywikłaniu bosmana z opresji Tomek nabrał humoru. Z ukosa spojrzał na przyjaciela i odparł z udaną obojętnością:

— Nie wiadomo, czy Skalny Kwiat zgodzi się na unieważnienie zaręczyn. Musi pan wiedzieć, że Indianie poważnie traktują te sprawy. A może pan zakocha się w niej naprawdę?

— Ejże, brachu! Nie próbuj wystawić mnie do wiatru! Sam mówiłeś, że ona i Pałacy Promień mają się ku sobie.

— Mogłem się przecież pomylić...

— Coś mi to pachnie zdradą — podejrzliwie powiedział bosman. — Córka wodza to za wielki dla mnie rarytas. Co bym zrobił z taką damą? Już ty mnie lepiej nie doprowadzaj do ostateczności...

— Niech się pan uspokoi — roześmiał się Tomek. — Żartowałem tylko. Jeżeli nie popełni pan jakiegoś nowego głupstwa, to wszystko na pewno ułoży się jak najlepiej. Czy pan już zapomniał o wyzwaniu Pałacego Promienia?

— Iiii, tam! Nie mógłbym mu zrobić krzywdy przez wzgląd na tę szlachetną

dziewczynę.

— Teraz pan mówi do rzeczy.

— Możesz być pewny, że tak myślę naprawdę — gorąco dodał bosman. — Jestem jej winien wdzięczność i nie zawiedzie się na mnie. Uspokoilem co do tego Czarną Błyskawicę, a u mnie słowo to święta rzecz.

Rozmowę przyjaciół przerwało hasło do dalszej drogi. Po kilkunastogodzinnym uciążliwym marszu w jednej z kotlin śródgórskich zastali dwóch Indian czekających na nich z odpowiednią liczbą mustangów.

Przez resztę nocy jechali przez rozległe skłony pasma górskiego. O świcie znaleźli się już w stepie. Swoim zwyczajem Indianie ruszyli gęsiego, aby pozostawić jak najmniej śladów na ziemi. Truchtem posuwali się na północny wschód. Po jakimś czasie dogonili dwudziestu pieszych wojowników, którzy zapewne inną drogą i wcześniej opuścili zagubiony wśród dzikich gór kanion. Teraz cała grupa liczyła około czterdziestu ludzi. Każdy jeździec zabrał na swego konia jednego pieszego wojownika. Konie obarczone podwójnym ciężarem szły wolniej. Dopiero około południa stracili z oczu widniejące w dali na zachodzie pasmo gór z charakterystyczną, znaną Tomkowi Górą Znaków. Wokoło rozciągał się, jak okiem sięgnąć, tylko step. W pewnej chwili wódz zatrzymał pochód.

Indianie zeskoczyli z mustangów; uwiązali je na arkanach i puścili, by się popasały. Dwudziestu pieszych wojowników oddaliło się nieco od jeźdźców i usiadło na ziemi szerokim kołem.

Tomek i bosman sądzili, że odbędzie się jeszcze jakaś narada. Wkrótce jednak Czarna Błyskawica wyjaśnił im powód postoju:

— W kanionie nie możemy trzymać zbyt wielu koni, tam przede wszystkim musimy dbać o wyżywienie stada bydła. Gdy potrzebujemy mustangów, korzystamy ze starego zwyczaju plemion Saksów i Lisów^[43], które na wyprawy wojenne wzajemnie ofiarowywały sobie mustangi.

— Czyżby Saksowie i Lisy przenieśli się teraz do Nowego Meksyku? — zapytał Tomek. — Jak słyszałem, mieszkali oni w okolicy jeziora Michigan.

— Nah'tah ni yez'zi nie myli się. Saksowie i Lisy nie przenieśli się w te strony — wyjaśnił Czarna Błyskawica. — Jednakże wzorując się na ich zwyczaju, zwróciliśmy się z prośbą do naszych przyjaciół w rezerwacie o ofiarowanie nam mustangów na wyprawę. Sposób, w jaki wojownik otrzymuje konia, zwalnia go z jakiegokolwiek zapłaty ofiarodawcy.

— Jak to się odbywa?

— Surowy i, jak by powiedzieli biali, dziki to zwyczaj, lecz godny naśladowania przez prawdziwych synów tej ziemi. Zaraz moi bracia zaspokoją swoją ciekawość, gdyż oto już nadjeżdżają ofiarodawcy mustangów.

Podeszli do koliska siedzących na ziemi Indian, którzy palili krótkie fajki, nie zwracając uwagi na zbliżających się jeźdźców.

Indianie nadjeżdżający na mustangach ujrzeli usadowionych na ziemi wojowników, krzykiem przynaglili swe wierzchowce. Po chwili dwudziestu jeźdźców, jadąc jeden za drugim, zaczęło w pełnym galopie okręzać odwróconych do nich plecami, palących fajki wojowników. Jeźdźcy coraz bardziej zwięźali koło, aż w końcu mknęli tuż przy siedzących na ziemi. Gdy jakiś jeździec upatrzył już sobie tego, któremu chciał ofiarować swego mustanga, wtedy grubym, długim batem uderzał wybrańca w plecy lub przez ramię, mknąc dalej, by za następnym okrążeniem znów smagnąć go biczem, i powtarzał to, dopóki krew nie spłynęła z ran po uderzeniu. Wtedy natychmiast zatrzymywał konia, wręczał wojownikowi arkan zastępujący cugle i mówił:

— Ofiaruję ci konia, lecz będziesz za to nosił mój znak na plecach.

Od tej chwili Indianin proszący o konia stawał się jego właścicielem, a rana po razach otrzymanych biczem, jako zapłata za mustanga, nie przynosiła mu ujmy. Ofiarodawca natomiast miał tę satysfakcję, iż inny wojownik nosił jego “znak”, i mógł wychwalać swą wspaniałomyślność przy różnych uroczystych okazjach.

Zwyczaj ten nazywany był przez Indian “wypalaniem koni”, ponieważ proszący o wierzchowca powinien spokojnie palić fajkę w czasie, gdy bicz spadał na jego plecy. W ten sposób wykazywał zupełną obojętność na zadawany mu ból.

Niebawem wszyscy wojownicy Czarnej Błyskawicy otrzymali mustangi. Wkrótce też przybyło jeszcze dwóch jeźdźców, w których Tomek i bosman rozpoznali swych starych znajomych: wodza Długie Oczy i Chytrego Lisa.

Ku radości Tomka obydwaj wodzowie mieli razem z nimi wyruszyć na wyprawę.

Pożegnanie ofiarodawców koni nie obyło się bez wypalenia tradycyjnej fajki pokoju. Z tego powodu upłynęło sporo czasu, zanim wojownicy dosiedli mustangów i ruszyli z kopyta w kierunku południowo-zachodnim.

Jechali gęsiego: na samym czele Czarna Błyskawica, Długie Oczy, Chytry Lis, Tomek i bosman. Doświadczony wódz Czarna Błyskawica nie zaniedbywał środków ostrożności tak koniecznych na wojennej ścieżce. O kilkaset metrów przed oddział wysunęli się dwaj zwiadowcy, których zadaniem było uważne penetrowanie terenu i ostrzeganie głównych sił przed ewentualnym niebezpieczeństwem..

Posuwali się na razie bez jakichkolwiek przeszkód. Dopiero tuż przed wieczorem przednia straż przywiodła przed wodza trzech wojowników, których zaraz po pierwszej naradzie wojennej w zagubionym kanionie wysłano na przeszpiegi w okolicę rancho Don Pedra. Wszyscy radzi byli dowiedzieć się, jakie przynoszą wiadomości.

Tomek i bosman stanęli u boku Czarnej Błyskawicy.

— Skąd powracają moi bracia? — zagadnął wódz.

— Zgodnie z twoim rozkazem udaliśmy się na rancho Meksykanina Don Pedra — odpowiedział jeden ze zwiadowców, zwany z powodu blizny na policzku Przeciętą Twarzą.

— Cóż wiec za wiadomości przynoszą moi bracia? — indagował Czarna Błyskawica.

— Nie zdołaliśmy ustalić, czy Don Pedro dokonał napadu na szeryfa Allana. Jego ludzie zapewnili nas, że nie opuszczał swego ranczo od rodeo w Douglas — odparł Przecięta Twarz. — Nie wiemy również, czy w jego domu znajduje się Biała Róża. Jesteśmy natomiast pewni, że klacz Nil'chi ukrywana jest w specjalnym korralu, który biali ludzie nazywają stajnią.

— Ugh! Skąd moi bracia dowiedzieli się o tym? Czy może widzieli klacz Nil'chi?

— Nie mogliśmy jej widzieć, ponieważ dwaj Metysi pilnie strzegą korralu. Zapewnił mnie jednak o tym pewien znajomy peon^[44], który widział, jak klacz Nil'chi zrzuciła z siodła Don Pedra. Od tej pory nie wyprowadzają konia z korralu, chcą go głodem nakłonić do posłuszeństwa.

— To podobne do tego draba — zawołał bosman Nowicki. — Więc maczał w tym wszystkim swoje brudne paluchy!

— Byłem tego pewny, gdy Nah'tah ni yez'zi wspomniał, że Meksykanin chciał kupić konia po rodeo — dorzucił Czarna Błyskawica, a zwracając się do zwiadowcy, zapytał; — Czy ten znajomy peon nic nie słyszał o Białej Róży?

— Nic o niej nie wie. Peoni nie mają wstępu na ranczo.

— Czy dom jest strzeżony? — dalej pytał wódz.

— Tak, służba Don Pedra składa się z samych Pueblosów, którzy nikogo nie wpuszczają.

Czarna Błyskawica spojrzał znacząco na Tomka i bosmana.

— Czyż szeryf Allan nie przypuszczał, że napadu dokonali Indianie Pueblosi?

— Warto by wziąć Meksykanina na spytki — doradził bosman. — Musi niejedno wiedzieć.

— Odwiedzimy Don Pedra na jego ranczo — postanowił Czarna Błyskawica.

— Na pewno dobrowolnie nic nie powie. Wygląda na podłego i mściwego człowieka — zauważył Tomek.

NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

Głucha noc rozpościerała się jeszcze nad stepem. Długi łańcuch jeźdźców, jak korowód duchów, bezszelestnie przemykał po najeżonym kaktusami bezdrożu. Nie było słycać stapania koni, nie ozwał się głos ludzki ani nie krzyknął nocny ptak. Wokół panowała martwa cisza.

Tomek puścił wolno cugle wierzchowca, który szedł równo w szeregu nawykły do takich pochodów. Oparł dłonie na lęku siodła. Zdawało mu się, że wszyscy muszą słyszeć bicie jego serca. Podniecenie chłopca było całkowicie zrozumiałe. Czyż ta niezwykła cisza nie była zapowiedzią rychłej okrutnej walki? Z lękiem rozmyślał o najeździe na rancho Don Pedra. Tymczasem decydująca chwila zbliżała się wielkimi krokami.

Przynajmniej od godziny znajdowali się zapewne w pobliżu sadyb ludzkich, bo Czarna Błyskawica nakazał wszystkim bezwzględne milczenie, a ponadto polecił obwiązać szmatami kopyta mustangów, aby stłumić tętent.

Myśli Tomka nurtowała rozprawa z Don Pedrem. Oczywiście nie chodziło mu o podstępnego, mściwego Meksykanina, który przecież zasłużył na surową karę. Jeżeli klacz Nil'chi znajdowała się obecnie na jego rancho, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że przyczynił się on także do porwania Sally. Trudno również było przypuszczać, aby na wieść o napadzie okoliczni Meksykanie nie pospieszyli mu na pomoc. Taka właśnie ewentualność mogła spowodować starcie z niewinnymi ludźmi, czego Tomek obawiał się najbardziej.

Tomkowi powierzono danie hasła całemu oddziałowi Indian do rozpoczęcia ataku. Zgodnie z planem ustalonym na wojennej naradzie, Tomek z trzema wojownikami mieli najpierw podkraść się do stajni, w której według relacji zwiadowców, Don Pedro ukrywał klacz, aby to sprawdzić. W razie potwierdzenia się tej wiadomości, grupa Tomka powinna uprowadzić Nil'chi w bezpieczne miejsce. O wykonaniu zadania Tomek miał powiadomić główne siły strzałem z rewolweru. Na ten dopiero znak wolno było wszystkim Indianom uderzyć na rancho.

Bosman bardzo niechętnie zgodził się na powierzenie Tomkowi niebezpiecznej misji. Klacz była przecież przyczyną zatargu, przeto można było się spodziewać, iż jest pilnie strzeżona i że pierwsza walka rozegra się właśnie o nią. A tymczasem, w myśl zaleceń Czarnej Błyskawicy, straż pilnującą konia należało unieszkodliwić bez przedwczesnego zwrócenia uwagi innych mieszkańców. Nie było to więc ani bezpieczne, ani łatwe zadanie. Czarna Błyskawica zdołał jednak przekonać bosmana, iż jedynie Tomek, którego klacz znała najlepiej, mógł pokusić się o spokojne wyprowadzenie płochliwego rumaka ze stajni.

Na dane przez Tomka hasło bosman z inną grupą Indian mieli zdobyć dom Don Pedra i uwolnić Sally, jeśli się tam znajdowała. Im również powierzono ujęcie samego Don Pedra. Osobny oddział wyznaczono do zaatakowania służby ranczera. Było bowiem pewne, że się będzie bronić.

Wódz liczył się również i z tą ewentualnością, iż mogą nie znaleźć Sally na rancho

Meksykanina. W takim wypadku wzięty do niewoli Don Pedro musiałby zdradzić miejsce jej ukrycia.

Rozmyślania Tomka przerwało ciche parsknięcie mustanga Czarnej Błyskawicy. Jeźdźcy natychmiast wstrzymali wierzchowce. Czarna Błyskawica skinął na Chytrego Lisa, Tomka, Palącego Promienia i Przeciętą Twarz. Tej właśnie grupie zlecał wykonanie niebezpiecznego zadania wstępnego.

— Niech moi bracia zsiądą z mustangów — polecił zeskakując z wierzchowca.

Poprowadził ich przez kaktusowy gąszcz w pobliżu pagórka, na którym widniały zabudowania.

— Oto ranczo Don Pedra — odezwał się szeptem. — Wódz Chytry Lis powie, co Nah'tah ni yez'zi ma dalej czynić. Jeżeli nie usłyszymy strzału, będziemy tutaj czekać na wiadomość od was. Niech moi bracia mają szeroko otwarte oczy i uszy. Spieszcie się, niebawem zacznie świtać.

Pierwszy ruszył Chytry Lis z Przeciętą Twarzą, który znając już teren działania, był im przewodnikiem. Tomek i Palący Promień szli gęsiego. Wykorzystując kaktusy oraz krzewy jako osłonę, szybko skradali się ku ranczo. Zdwoili ostrożność, wśród poletek kukurydzy zaczerwieniły się małe indiańskie domki zbudowane z adoby.

Przy jednym z domostw rozległo się szczekanie psa. Przecięta Twarz uspokoił go, pobrękując z cicha naszyjnikami z koralu i kłów zwierzęcych. Zatrzymali się pod osłoną krzewów. Ostrożnie rozchylili gałęzie. Tomek ujrzał sporą drewnianą stajnię o płaskim dachu, a w pewnej odległości od niej kontury rozległego budynku, zapewne siedziby Don Pedra.

— Tutaj znajduje się korral, w którym, jak zapewnili peoni, Meksykanin trzyma Nil'chi — szepnął Przecięta Twarz.

Chytry Lis wysunął głowę z gąszczu. Uważnie rozejrzał się po okolicy, po czym cicho rzekł:

— Niech moi bracia poczekają tu na mnie...

Opadł na ziemię, wysliznął się z krzewów. Stracili go z oczu. Tomek nasłuchiwał czujnie. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Niebo zaróżowiło się lekko na wschodzie. W porannej mgle wyraźniej zaczerwieniły się kontury zabudowań. Chociaż Tomek cały zamienił się w słuch, nie zdołał złowić nikłego szmeru kocich kroków Chytrego Lisa. Zauważył go też dopiero wtedy, gdy stanął przed nim.

— W korralu Don Pedra jest jakiś obcy koń — szepnął Indianin, — Słysząc jak ociera się o deski i bije kopytami. Może to Nil'chi. Drzwi są zamknięte od wewnątrz. Ciekawe, ilu strażników pilnuje konia?

— Co teraz zrobimy? — cicho zapytał Tomek.

— Chytry Lis zamieni się w głodnego kojota i będzie niepokoił konia. Wtedy któryś ze strażników wyjdzie, aby przepłoszyć dzikie zwierzę. Moi bracia ukryją się tuż za ścianą

korralu i postarają się szybko unieszkodliwić strażnika — wyjaśnił Chytry Lis.

— Ugh! Ugh! — szepnęli Pałacy Promień i Przecięta Twarz.

Indianie nie zabrali na wypad długich karabinów. Teraz mieli przy sobie tylko noże i tomahawki, a Przecięta Twarz niósł ponadto kołczan ze strzałami oraz łuk. Tomek natomiast, prócz noża, uzbrojony był w rewolwer i sztucer, z którymi zazwyczaj nie rozstawał się podczas wypraw. Dwaj Indianie i biały chłopiec podkradli się do stajni; przycupnęli przy narożniku. Kilka kroków od nich, tuż za załomem ściany, znajdowały się jednoskrzydłowe drzwi.

Zaledwie znaleźli się przy budynku, wewnątrz rozległo się ciche rżenie. Jakiś mustang zaczął się niespokojnie kręcić; uderzał kopytami w ogrodzenie, ocierał się o drewnianą ścianę.

Tomek nie mógł się opanować. Był niemal pewny, że to Nil'chi zwietrzyła jego obecność. Nie zwracając uwagi na ostrożność, przyłożył usta do szczeliny pomiędzy deskami i wyszeptał:

— Nil'chi, Nil'chi!

Głośnie rżenie konia nie pozostało bez następstw.

— Caramba! — zaklął ktoś po hiszpańsku wewnątrz stajni. — To przekłete bydlę ma jeszcze się awanturować się po nocy!

Trzask bicia i kwik konia ozwały się niemal jednocześnie. Na całe szczęście w tej chwili zawył przeraźliwie kojot.

— Hej, Leone, wygarnij no ze strzelby do tego kojota — rozległ się inny głos.

— Caramba, nawet wyspać się nie można przez tego konia...

Tomek nerwowo zacisnął dłonie na sztucerze; usłyszał szuranie nóg i stukot otwieranej zasuw. Pałacy Promień obejrzał się na Przeciętą Twarz. Błyskawicznie porozumieli się wzrokiem, po czym obydwaj bezszelestnie podskoczyli ku drzwiom stajni. Tomek ostrożnie wychylił głowę zza węgła. W pobliskich krzewach znów ozwało się przeciągłe wycie kojota. Pałacy Promień i Przecięta Twarz przyłgnęli do ściany tuż przy drzwiach, które otwierając się zasłoniły ich przed wzrokiem uzbrojonego w strzelbę Metysa.

Krępy strażnik ziewnął głośno i zaklął. Przystanął wypatrując kojota. Pałacy Promień jak cień wysunął się z za rozchylnych drzwi. Dwoma skokami stanął za strażnikiem. Lewą dłonią chwycił go za gardło, podczas gdy prawą uderzył w głowę tomahawką obróconym na płask. Niemal jednocześnie Przecięta Twarz skulony zniknął w stajni.

Wydarzenia potoczyły się z niezwykłą szybkością. Chytry Lis wynurzył się z krzewów i biegł pomóc Przeciętej Twarzy. Tomek podążył za nim, lecz Przecięta Twarz już wycierał zakrwawiony nóż w koc okrywający szczelnie drugiego strażnika.

Nil'chi jak szalona miotła się po małej zagrodzie. Tomek bez chwili namysłu odsunął

rygiel i stanął przed rozhukanym koniem. Klacz przysiadła na zadzie, po czym stanęła dęba. Tomek odważnie zbliżył się do parszającego rumaka, oparł dłoń na jego karku i szepnął:

— Nil'chi, kochana moja Nil'chi!

Klacz lekko opadła na przednie nogi. Szeroko rozwarte chrapy dotknęły twarzy Tomka, który przygarnął do siebie głowę klaczy.

— Nah'tah ni yez'zi! Wyprowadź szybko konia! — przynaglił Chytry Lis.

Pozostali dwaj Indianie otworzyli zagrodę. Tomek opanował wzruszenie. Należało przecież zachować zimną krew i działać szybko. Ujął konia za grzywę.

— Chodź, Nil'chi — powiedział cicho.

Klacz posłusznie wyszła z zagrody. Boczyła się nieco mijając leżącego strażnika, lecz po chwili byli już przed stajnią.

Naraz gdzieś za ranczo rozległ się donośny krzyk przedrzeźniacza[45]. Tomek nie zwrócił na to uwagi, ponieważ wiedział, że ten czarny ptak wielkości naszego drozda, z dłuższym nieco od sroki ogonem, głosem dźwięcznym jak dźwięk fletu od świtu do nocy doskonale naśladuje zasłyszane głosy.

Chytry Lis bacznie nadstawił ucha. Przedrzeźniacz znów się odezwał, lecz tym razem z przeciwnej strony rancza.

— Ugh! Nasi bracia są już gotowi — powiedział. — Niech Nah'tah ni yez'zi siada na mustanga i mknie do nich. Gdy będziesz mijał dom Don Pedra, trzykrotnie wystrzel w górę. Ale nie zapomnij! To jest hasło do ataku!

— Czy moi czerwoni bracia zostaną tutaj? — zapytał Tomek.

— Ugh! Musimy wywołać popłoch, aby ułatwić zdobycie ranczo — odparł Chytry Lis.

Tomek obejrzał się. Przecięta Twarz zapalał w tej chwili w stajni kupkę siana, a Palący Promień przytknął do ognia koniec pierzastej strzały nałożonej na cięciwę łuku.

Tomek chwycił Nil'chi za grzywę. Lekko wskoczył na grzbiet konia, po czym ruszył ku głównemu oddziałowi. Gdy dojeżdżał do domu Don Pedra, płonąca strzała już tkwiła w dachu sadyby. Tomek dobył rewolweru. Mijając budynek mieszkalny trzykrotnie wypalił w górę.

Piekielne wycie rozdarło ciszę ranka. Dwudziestu półnagich Indian wskoczyło zza kaktusów, krzewów i drzew. Tomek dostrzegł bosmana wbiegającego na czele czerwonoskórych na stopnie werandy. Naraz na tyłach domostwa rozbrzmiał nowy okrzyk bojowy. Tętent koni drugiej grupy Indian, atakujących ranczo z przeciwnej strony, mieszał się z wyciem i strzałami broni palnej.

Tomek zdenerwowany i podniecony zatrzymał się w kolczastej gęstwinie, gdzie pięciu Indian pilnowało koni. Zaraz też chciał wracać na ranczo, lecz Nil'chi szalala na widok obcych ludzi. Bojowy wrzask Indian potężniał z każdą chwilą. Gęsto padały strzały.

Przerażone krzyki napadniętych stawały się coraz rzadsze. Nad posiadłością Don Pedra już wznosiły się ciemne słupy dymu. To płonęły zabudowania.

Bosman pierwszy był na werandzie domu mieszkalnego. Pod naporem jego wielkiego cielska drzwi wiodące w głąb domostwa otwarły się z trzaskiem. Bosman upadł, lecz zaraz porwał się na nogi. Nie zważając na własne bezpieczeństwo, zaczął szukać Sally. Indianie z przeraźliwym wrzaskiem wbiegli za nim. Wewnątrz domu rozgorzała walka.

Bosman przebiegał z pokoju do pokoju, przetrząsnął różne zakamarki, ale nigdzie nie znalazł Sally. Nagle ujrzał Don Pedra. Jednym susem przypadł do niego. Meksykanin w obydwóch rękach trzymał rewolwery. Łuna pożaru wdzierająca się przez szerokie okno rzuciła upiorny odblask na jego nalaną twarz. Od razu poznał bosmana.

— Dzień dobry, Don Pedro! Nie spodziewałeś się naszych odwiedzin? — krzyknął wzburzony bosman.

— Miałem szeryfa Allana za przyzwoitego człowieka, lecz teraz widzę, że to właśnie u niego kryją się zbroje napadający spokojnych ludzi — zimno odparł Meksykanin.

— Nie tobie mówić o przyzwoitości, porywaczu dzieci! — groźnie syknął bosman. — Gadaj zaraz, gdzie jest Sally!

— Szukaj, lecz prędzej znajdziesz kulę niż dziewczynę!

Mówiąc to wypalił z obydwóch rewolwerów prosto w twarz marynarza. Bosman niechybnie byłby przyplacił swą nierozwagę życiem, gdyby w tym momencie Czarna Błyskawica nie pchnął go gwałtownie w bok. Wprawdzie pierwsza kula drasnęła marynarza w lewe ramię, lecz oto błysnął w powietrzu topór Czarnej Błyskawicy. Uderzony w pierś Don Pedro zachwiał się i opuścił na chwilę broń. Czarna Błyskawica runął na niego; potoczyli się na podłogę. Zwinny jak wąż Meksykanin wyśliznął się z rąk Indianina, zdołał schwycić z biurka potężny przycisk. Zamachnął się szeroko nad głową powstającego wodza; naraz rozległ się świst. Pierzasta strzała utkwiała prosto w sercu Don Pedra. To Pałacy Promień ujrzał niebezpieczeństwo grożące Czarnej Błyskawicy i położył kres rozpaczliwej walce Meksykanina, Don Pedro ciężko upadł.

— Niech cię wieloryb połknie, Pałacy Promieniu — ryknął bosman. — Cóżeś zrobił najlepszego?

Pałacy Promień zdziwiony spojrzał na bosmana. Czego znów ten biały chce od niego? Gniewnie zmarszczył brwi.

— Zabiłeś Don Pedra, kto nam teraz powie, gdzie przebywa nasza Sally? — srożył się bosman.

Błysk zrozumienia przeniknął w oczach Pałacego Promienia, a tymczasem Czarna Błyskawica zawołał:

— On nie znał ranczera! Umarły nie zdradzi nam tajemnicy, ale za to inni jeńcy wyznają prawdę. Szukaliśmy wszędzie i nie znaleźliśmy Białej Róży. Jej tu nie ma! Ugh!

— Skoro tak, to wart był śmierci — mruknął bosman.

— Chodźmy stąd czym prędzej — odezwał się Czarna Błyskawica. — Dach może runąć w każdej chwili.

Długie jęzory ognia lizały już ściany pokoju. Górna część domu rozpadła się z trzaskiem wśród płomieni.

Wyskoczył oknem. Za jego przykładem uczynili to samo bosman i Pałacy Promień. Przed budynkiem zastali już kilkunastu wojowników wynoszących łupy. Inni prowadzili ludzi ranczera związanych rzemieniami i konie. Nad całą posiadłością unosiły się czarne słupy dymu.

Rozległy się ostre tony świstawek małych wodzów, zwołujących wojowników do odwrotu.

Dzięki zaskoczeniu mieszkańców ranczo we śnie, tylko dwóch ludzi Czarnej Błyskawicy odniosło rany. Mimo to o własnych siłach wycofali się do koni.

Cały oddział tak szybko opuścił ranczo, jak nagle przed chwilą się na nim pojawił. Niebawem Indianie znów byli przy swych mustangach ukrytych wśród kaktusów u stóp pagórka.

Tomek niecierpliwie wypatrywał Sally, lecz nie dostrzegł jej nigdzie pomiędzy powracającymi wojownikami. Zamiast niej ujrzał bosmana, który nadbiegł z Czarną Błyskawicą i Pałacym Promieniem.

— Ha, przynajmniej tobie poszczęściło się dzisiaj — zawołał bosman ujrawszy Tomka przy kłaczy szeryfa Allana. — Dobrze i to, że chociaż odzyskaliśmy konia. Ciężką mieliście robotę ze strażnikami?

— Moi towarzysze sami... wszystkiego dokonali. Ja zabrałem tylko Nil'chi, gdy było już po walce. A gdzie jest Sally? Nie znaleźliście jej? — zapytał Tomek z niepokojem.

— Ani widu, ani słyhu, brachu. Przepadła jak kamień w wodę — odpowiedział zafrasowany bosman.

— A gdzie Don Pedro? — indagował Tomek.

— Chyba w piekle, bo do nieba to pewno go nie wpuszczą — mruknął bosman.

— Więc zabił go pan?! — zawołał Tomek z wyrzutem.

— Iii, gdzie tam! Dlaczego zaraz ja?

— Więc kto?

— Uspokój się. To Pałacy Promień ugodził Meksykanina strzałą. On nie znał Don Pedra, a kiedy ujrzał nagle, że zagraża Czarnej Błyskawicy, zaraz było po wszystkim.

— Więc cały napad i spustoszenie na nic! I tak nie dowiedzieliśmy się, gdzie jest nieszczęsna Sally.

— Nie desperuj od razu — pocieszył go bosman. — Czarna Błyskawica mówi, że dowiemy się czegoś od innych jeńców.

— Czy Indianie uprowadzili ludzi z ranczo?

— A czy ludzie Don Pedra nie porwali naszej Sally? Ejże, brachu, za miękkie masz serce. Jak wojna, to wojna, rozumiesz? Zbierz się do kupy!

Czarna Błyskawica i Pałacy Promień okiem znawców oglądali Nil'chi.

— Próbowali złamać ją głodem — odezwał się Czarna Błyskawica. — Niech Nah'tah ni yez'zi weźmie klacz na arkan i poprowadzi ją przy swoim koniu. Ruszamy w drogę!

— Dokąd pojedziemy? Przecież nie zdołaliśmy się dowiedzieć, gdzie jest ukryta Biała Róża — odpowiedział Tomek.

— Przede wszystkim musimy się stąd jak najszybciej oddalić — wyjaśnił Czarna Błyskawica. — Zatrzymamy się dalej w stepie i wydobędziemy z jeńców zeznania. Dopiero wtedy ułożymy dalszy plan działania.

— Komu w drogę, temu czas! Na koń! — zawołał bosman.

PIERWSZY ŚLAD

Indianie uprowadzili z ranczo Don Pedra stado doskonałych koni. Obładowali je bogatymi łupami, po czym ośmiu wojowników szybko oddaliło się z nimi na wschód, zabierając także dwóch rannych towarzyszy. Jak wyjaśnił Czarna Błyskawica, w pobliżu Góry Znaków biwakował oddział Indian z rezerwatów, którzy mieli się zająć końmi oraz inną zdobyczą, a także zaopiekować się rannymi.

Kilkunastu Indian zarzuciło jeńcom arkany na szyję, by w ten sposób prowadzić ich przy swoich wierzchowcach. Wkrótce cała wataha oddalała się pospiesznie od pogorzelniska ranczo. Trzej ostatni Indianie zwinęli w rolki swe koce i uwiązawszy je na arkanach, wlekli za sobą po ziemi. Był to stary sposób zacierania śladów, a w każdym razie znacznie utrudniający ewentualny pościg.

Dopiero późno po południu zatrzymano się na odpoczynek. Czarna Błyskawica, jakby obawiał się pogoni, rozstawił szeroko strażę. Gdy wszyscy zaspokoili głód, polecił przyprowadzić do siebie jeńców. Byli to dwaj Metysi i czterej Indianie ze szczepu Pueblosów. Rozpoczęło się przesłuchanie. Pueblosi milczeli uparcie, lecz Metysi, gdy zagrożono im torturami, wyznali wszystko, co wiedzieli. Słowa ich potwierdzały przypuszczenia szeryfa Allana.

Otóż jeden Metys był świadkiem, jak kilku nieznanym Pueblosów przywiodło na ranczo Nil'chi. Don Pedro kupił od nich konia, płacąc bardzo wysoką cenę w złocie i różnych towarach. Po dokonaniu transakcji Pueblosi szybko się oddalili. Obydwaj Metysi wciąż zapewniali, że na ranczo nigdy nie przebywała biała dziewczyna ani że nic o niej nie słyszeli od Don Pedra. Jednogłośnie wyrazili przypuszczenie, iż Pueblosi mogli uprowadzić ją do swego osiedla.

Na polecenie Czarnej Błyskawicy wojownicy znów zabrali jeńców na ubocze. Wodzowie indiańscy rozpoczęli z białymi przyjaciółmi krótką naradę.

— Przeklęte puebloskie psy na pewno wiedzą, które plemię porwało Białą Różę i kłacz Nil'chi, lecz nie chcą nam tego zdradzić — odezwał się Czarna Błyskawica. — Zobaczmy, czy również tak uparcie będą milczeli przy palu męczarni.

— Wodzu, mam do ciebie wielką prośbę — odezwał się Tomek.

— Uszy moje zawsze są szeroko otwarte dla przyjaciół — odparł Czarna Błyskawica. — Niech mój brat powie, czego żąda.

— Daruj życie jeńcom!

Czarna Błyskawica spojrział na niego zdumiony.

— Jeńcy muszą zginąć — oświadczył stanowczo. — Zabiłbym ich nawet wtedy, gdyby powiedzieli, kto uprowadził Białą Różę. Tylko umarli nie zdradzą nikomu, że to my właśnie napadliśmy na ranczo Don Pedra. Psy puebloskie na pewno mnie znają. Czy Nah'tah ni yez'zi wie, że gubernator Nowego Meksyku obiecał wysoką nagrodę za dostarczenie mojej głowy? Dla tych pieniędzy Wiele Grzyw stał się zdrajcą. Jeńcy muszą

zginąć, ponieważ widzieli Czarną Błyskawicę, a co gorsze, wodza Długie Oczy i Chytrego Lisa, którzy po wyprawie wrócą do rezerwatu. Niech więc Nah'tah ni yez'zi nie prosi o łaskę dla jeńców.

— Wodzu, bardzo mi zależy na bezpieczeństwie twoim oraz wodzów Chytrego Lisa i Długie Oczy. Czy nie przypuszczasz, że i ja, i mój przyjaciel także możemy być pociągnięci do odpowiedzialności za napad?

— Ugh! Mój brat dobrze mówi, jeńcy mogą znać i was.

— Nie mylisz się! Jeden z tych Metysów był dżokejem Don Pedra na rodeo. Poznałem go i jestem pewny, że on również mnie poznał. A jednak mimo to proszę: daruj życie jeńcom!

Szmer niezadowolenia rozległ się wśród Indian. Wodzowie Długie Oczy, Chytry Lis, a także Pałacy Promień i inni obrzucali Tomka niemal wrogim spojrzeniem. Czarna Błyskawica był nie mniej od nich rozgniewany, lecz jeszcze raz opanował się i tylko rzekł szorstko:

— Nah'tah ni yez'zi jest złym doradcą. Nie godzi się wojownikowi na ścieżce wojennej narażać innych na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Gdyby taką propozycję uczynił Indianin, roztrzaskałbym mu łeb moim toporem.

Zaniepokojony bosman spojrział na Tomka, widząc jednak niezwykle upór w jego twarzy, zrozumiał, że chłopiec nie przestraszył się groźby i nie ma zamiaru łatwo ustąpić.

Tomek zaś w pełnym napięcia milczeniu spokojnie wpatrywał się w Czarną Błyskawicę. Młody biały chłopiec i groźny wódz Apaczów długo mierzyli się wzrokiem. W końcu Tomek odezwał się pełnym powagi głosem:

— Dziwnie brzmią twoje słowa, wodzu. Przede wszystkim nie prosiłbym o łaskę dla jeńców, gdybym na równi z wami nie był przez to narażony na niebezpieczeństwo. Powiedziałeś, że gdyby taką propozycję uczynił ci Indianin, to roztrzaskałbyś mu łeb toporem. Szczepy Apaczów i Nawajów przyjęły mnie do swego grona, tym samym podlegam teraz twoim rozkazom. Pomyśl dobrze, czy zasłużyłem na to, a potem zabij mnie!

Pochylił się ku Czarnej Błyskawicy, ten zaś zdumiony cofnął się nieco. Wzburzonym głosem zawołał:

— Ugh! Chyba jakiś zły duch wstąpił w ciebie! Czego ty chcesz ode mnie?

Tomek podniósł się pełnym godności zrywem.

— Słuchaj, wodzu, i wy wszyscy moi czerwonoskórzy bracia — odezwał się. — Wytłumaczę wam, dlaczego proszę o darowanie życia naszym jeńcom. Wbrew zdaniu niektórych białych, iż Indianie są okrutni i dzicy, uważam was za szlachetnych ludzi. Dałem tego dowód wkładając na rodeo ubiór podarowany mi przez radę starszych szczepu Apaczów i Nawajów. Zwróciłem się też do was, jako do przyjaciół, o pomoc w odnalezieniu Białej Róży. Czy przypuszczacie, że uczyniłbym to, gdybym nie wierzył w waszą prawość?

Uczciwy człowiek nie pozbawia życia swego bliźniego tylko dlatego, że chwilowo ma nad nim przewagę. Zabicie jeńca jest pospolitym morderstwem i dlatego wstawiam się za brańcami. Wierzę, że jako nieustraszeni i dzielni wojownicy spełnicie moją prośbę.

— Nah'tah ni yez'zi ma chyba dwa języki. Najpierw namówił nas do wykopania topora wojennego, a teraz nie chce zabijać wrogów — porywczo zawołał Pałacy Promień.

— Źle tłumaczysz moje słowa, Pałacy Promieniu. Powiedziałem, że zabicie człowieka może być usprawiedliwione jedynie najwyższą koniecznością, na przykład w obronie własnego życia. Tymczasem jeńcy nie są teraz dla nas groźni. Zabicie ich tylko dlatego, że mogą oskarżyć nas o napad na ranczo, byłoby zwykłym tchórzostwem.

— Wobec tego wszyscy biali postępują jak tchórze, bo mordują Indian bez koniecznej potrzeby — sucho wtrącił wódz Długie Oczy.

— Gdybym rozumował jak mój czerwony brat, to mógłbym powiedzieć, że wszyscy Indianie są zdrajcami, ponieważ Wiele Grzyw wydał białym wodza Czarną Błyskawicę — odparował Tomek.

Pałacy Promień wyszarpnął zza pasa tomahawk.

— Kłamiesz, biały psie! — krzyknął rozwścieczony. — Znieważyleś nas wszystkich.

— Wcale nie miałem tego zamiaru — zaprzeczył Tomek spokojnie. — Powiedziałem tylko, że tak pomiędzy białymi, jak i Indianami są ludzie szlachetni, dobrzy i... źli. Nerozsądnie postępuje ten, kto na podstawie najgorszych i głupich jednostek ocenia tak samo wszystkich innych.

— Ugh! Nah'tah ni yez'zi powiedział prawdę — wtrącił Chytry Lis. — Jednak nasze prawo mówi, że umarli nie zdradzają tajemnic. Dlatego musimy zabić jeńców.

— Takie jest nasze prawo wojenne, a kto je łamie, podlega karze śmierci — dodał Czarna Błyskawica tłumiąc wzburzenie.

— Wszystkie prawa stworzyli ludzie, więc też i ludzie mogą je zmienić — odpowiedział Tomek.

— Nah'tah ni yez'zi oznacza w języku białych: Mały Wódz — znów odezwał się Chytry Lis. — Wodzowi nie przystoi łamać prawa wojennego, a tym bardziej wstawiać się za jeńcami.

— Wszystko przystoi człowiekowi, który występuje w obronie innych ludzi — stwierdził Tomek. — Czynili to wielcy wodzowie, którym nikt nie może zarzucić nieprawości!

— Czy byli to biali? — ironicznie zapytał Chytry Lis.

— Tak, byli to biali, wielcy i szlachetni wodzowie nie tylko poszczególnych szczepów, lecz całych narodów. Przecież nie kto inny, jak Wielki Biały Ojciec z Waszyngtonu, Abraham Lincoln^[46], wyjednał wolność Murzynom i prowadził nawet o to zaciekle i zdecydowaną wojnę z białymi plantatorami z Południa.

— Ugh! Wielki Biały Ojciec chciał dobrze, ale inni biali go nie słuchali — z uporem

rzekł Chytry Lis.

— Myli się mój czerwony brat — zaproponował Tomek. — Wielu białych chciało pomóc nie tylko Murzynom, lecz i Indianom. Na przykład mój rodak, Paweł Strzelecki, wstawiał się za Indianami i niewolnikami u Wielkiego Białego Ojca, Jacksona, jeszcze przed Abrahamem Lincolnem. W obronie krajowców australijskich napisał książkę, którą moi czerwoni bracia nazywają mówiącym papierem.

— Może to i prawda — przyznał Długie Oczy. — Żaden jednak wielki wódz nie wstawia się wbrew prawu wojennemu za jeńcami.

— Tak sądzisz? Wobec tego opowiem ci ciekawą historię. Otóż zanim Amerykanie uzyskali niepodległość, krajem tym rządili Anglicy. Były to rządy bardzo niesprawiedliwe, toteż osadnicy pragnąc uzyskać niepodległość rozpoczęli nierówną walkę. Na pomoc Amerykanom przybywali szlachetni ludzie z Europy, a między nimi Polak, Tadeusz Kościuszko, Jako pułkownik armii amerykańskiej walczył dzielnie przeciw Anglikom, za co otrzymał wysokie zaszczyty i odznaczenia. Ponieważ dowodził częścią armii, był prawdziwym wielkim wodzem. Otóż podczas zdobywania twierdzy Augusta i Ninety Six w Południowej Karolinie głównodowodzący, generał Greene, zakazał pod karą śmierci oszczędzać nieprzyjaciół. Kościuszko widząc straszliwą rzeź, uratował czterdziestu Anglików zasłaniając ich własną pierś. Nie tylko nie poniósł za to kary, lecz zyskał uznanie Waszyngtona, naczelnego wodza.

— Dziwne rzeczy opowiada Nah'tah ni yez'zi — zdumiał się Pałący Promień.

— Dodam jeszcze, że ten właśnie Kościuszko został mianowany przez rząd Stanów Zjednoczonych generałem, a potem wrócił do ojczyzny, gdzie stanął na czele swego narodu do walki o wolność przeciwko najeźdźcom. Czy można wobec tego powiedzieć, że taki wielki wódz postąpił niegodnie broniąc jeńców?

— Ugh! Nikt by nie mianował tchórze naczelnym wodzem! — przyznał Czarna Błyskawica.

— Trzeba odróżnić tchórzostwo od szlachetności — odpowiedział Tomek. — Prosiłem moich czerwonych braci o pomoc, ponieważ wierzę, że Indianie są szlachetnymi wojownikami. Inaczej ani ja, ani mój przyjaciel nie wyruszylibyśmy z wami na wojenną wyprawę.

Po tych słowach Tomka zaległa długa cisza. Tomek i bosman niespokojnie spoglądali na swych groźnych sojuszników. Czarna Błyskawica powiódł wzrokiem po twarzach czerwonoskórych wojowników, a w końcu odezwał się:

— Ugh! Nah'tah ni yez'zi jest bladą twarzą, lecz mimo to należy do naszego szczepu. Nikt nie ma prawa nazwać cię wrogiem Indian, choć mówisz dziwne słowa i myślisz inaczej niż my. Ugh, masz rację. Odważny i szlachetny wojownik nie jest tchórzem ani zdrajcą nawet wtedy, gdy wstawia się za jeńcami. Dowiodłeś tego występując przeciwko nam wszystkim. Dla ciebie i twego przyjaciela już dwukrotnie złamałem prawo, które sam narzuciłem moim wojownikom. Chociaż więc nie mogę zrozumieć wszystkiego, co

mówisz, spełnię twą prośbę: daruję brańcom życie i wolność. Ugh! Powiedziałem!

— Dziękuję ci, Czarna Błyskawico. Teraz jestem dumny, że wy i my jesteśmy z jednej krwi — odparł wzruszony Tomek.

— Jakbyś mi to z ust wyjął, brachu — gorąco dorzucił bosman spoglądając na chłopca z uznaniem. — Honorowe i porządne z was chłopcy! Mogę cię zapewnić, Czarna Błyskawico, że z pyszna będzie się miał kapitan Morton, jeżeli jeszcze raz w mojej obecności nazwie cię bandytą! Ha, powiem tylko tyle: możecie wszyscy na mnie liczyć.

Większość wojowników zaskoczona była darowaniem życia jeńcom. Mimo to, nawykli do posłuszeństwa wobec wodza, w milczeniu przyjęli jego decyzję. Spod oka obserwowali młodego białego brata. Potężny musiał to być wojownik, skoro stanowczy i nieustępliwy zazwyczaj wódz ulegał jego prośbom. Nawet Pałacy Promień nie okazywał gniewu. Był raczej zasmucony i zamyślony. Coraz większą spostrzegał różnicę pomiędzy sobą i białymi przyjaciółmi wodza.

Czarna Błyskawica nie dał swym wojownikom wiele czasu na rozmyślanie; kontynuowano naradę wojenną. Wódz przedstawił plan działania. Zgodnie z nim cały oddział powinien posunąć się dalej na południe i skryć w górach Sierra Madre. Stamtąd dopiero należało wysłać zwiadowców w kierunku puebla Indian Zuni, by stwierdzić, czy to oni dokonali napadu na ranczo Allana. Jeżeli bowiem Zuni byli sprawcami całego nieszczęścia, to Sally powinna znajdować się u nich.

Plan Czarnej Błyskawicy przyjęto jednomyślnie. W tej okolicy Zuni byli jedynymi przedstawicielami Indian Pueblosów, a przecież doświadczony w takich sprawach szeryf nie mógł się pomylić w rozpoznaniu napastników.

Dosiedli koni i ruszyli w drogę, pozostawiając lekko skrepowanych jeńców na miejscu.

Cały oddział szybko posuwał się ku południowemu zachodowi w kierunku widniejącego na horyzoncie sinawego pasma gór Sierra Madre. W drodze dołączył do nich Czerwony Orzeł wysłany dzień wcześniej do szeryfa i pani Allan. Jak opowiedział, zrozzaczona matka Sally zasypała go wprost lawiną pytań. Z trudem udało mu się ją nieco uspokoić zapewnieniem, że bosman i Tomek razem z gromadą przyjaciół już wyruszyli na poszukiwanie zaginionej córki.

Kawalkada jeźdźców szybko osiągnęła faliste pogórze. Zwiadowcy pilnie przepatrywali okolicę. Naraz jeden z nich na spienionym mustangu przygalopował do Czarnej Błyskawicy.

— Ugh! Ugh! Wśród pagórków na stepie ujrzeliśmy wielkiego bizona! — zawołał niezwykle podniecony.

Czarna Błyskawica osadził na miejscu swego mustanga.

— Czy mój brat jest tego pewny? — niedowierzająco zapytał.

— Ugh! Widziałem bizona na własne oczy. Pozostali dwaj zwiadowcy obserwują go zza pagórka!

Wiadomość o napotkaniu bizona, podawana z ust do ust. obiegała lotem błyskawicy wszystkich wojowników. Wodzowie Chytry Lis i Długie Oczy zaraz pojawili się u boku Czarnej Błyskawicy.

— Ugh! Jeżeli zwiadowcy mówią prawdę, byłby to niechybny znak, że Wielki Manitu sprzyja naszej wyprawie i zsyła nam zwierzę, które umożliwiło naszym ojcom i ojcom naszych ojców niezależne życie na szerokiej prerii. Wodzowie Chytry Lis, Długie Oczy i moi biali bracia pójdą ze mną, aby sprawdzić, czy zwiadowcy nie ulegli jakiemuś złudzeniu — powiedział Czarna Błyskawica zeskakując z konia.

Wymienieni przez wodza szybko zsiadli z wierzchowców. Chytry Lis zabrał łuk, strzały i skórę kojota — nieodzowną w indiańskich polowaniach na bizona. Pobiegli w kierunku wskazanego wzgórza, niezwykle podnieceni.

Olbrzymie stada bizonów wypasające się dawniej na trawiastych preriach należały do przeszłości. Jeszcze w latach 1872 do 1874 bizona spotykało się na preriach od Kanady aż do wybrzeża nad Zatoką Meksykańską, i na zachód od rzeki Missouri^[47] po Góry Skaliste. Jesienią wielotysięczne ich stada wędrowały na południe w poszukiwaniu łagodniejszego klimatu, a wiosną powracały na północ. Początek zagłady bizonów, których olbrzymie stada stanowiły dawniej niezwykle urozmaicenie bezkresnych prerii amerykańskich, zaczął się po otwarciu linii Wielkiej Drogi Żelaznej Pacyfiku dzielącej obszary zwane “szlakiem bizonim” na dwie części: północną i południową. Sztuczny podział obszaru pastwisk gwałtownie wyrwał nieporadne, łagodne zwierzęta ze zwykłego trybu życia. Ostatecznie jednak wytepiły je masowe polowania urządzone przez białych i Indian dla zdobycia skór.

Na początku XX wieku, to jest w czasie, kiedy Tomek i bosman przebywali w Ameryce, bizona na pograniczu Stanów Zjednoczonych i Meksyku były już wielką rzadkością. Nic więc dziwnego, że i oni uznali spotkanie bizona za niezwykłość.

Łowcy szli nader ostrożnie, osłonięci wysokimi trawami. Na wzgórze wchodzili na czworakach. Jak urzeczeni wpatrywali się w samotnego bizona spokojnie skubiącego trawę.

Był to olbrzymi okaz, długości około trzech metrów, wysoki prawie na dwa. Tomek od razu przypomniał sobie warszawskie lekcje zoologii: “amerykański bizon różni się od polskiego żubra znacznie krótszymi nogami, stosunkowo większą przewagą przedniej części ciała nad zadnią, gęstsza sierścią i szerszą głową.” Teraz sprawdzał to bezpośrednio.

Wielki stary byk spokojnie skubał trawę, z daleka wydawało się, że zamiata ziemię swoją długą brodą.

Indianie z nabożną niemal czcią spoglądali na bizona. W końcu zagrała w nich krew prawdziwie myśliwska. Pierwszy Czarna Błyskawica szepnął:

— Ugh! Zwiadowcy powiedzieli prawdę! Duchy naszych ojców sprzyjają wyprawie. Gdyby było inaczej, czyż bizon by się pojawił dzisiaj na naszej drodze?

— Ugh! To prawda. Zapewne Wielki Manitu zesłał nam bizona, abyśmy nabrali odwagi

przed walką z Zuni — cicho przyznał Długie Oczy.

Tomek i bosman nie wierzyli oczywiście w nadprzyrodzone pojawienie się bizona na ich drodze. Przypuszczali, że kilka sztuk tych rzadkich już obecnie zwierząt musiało przebywać w górskich wąwozach. Byk odłączył się zapewne od stadka w poszukiwaniu pożywienia. Mógł to być również jakiś samotnik pędzący życie na pustkowiu. Tak czy inaczej bizon był realnym zjawiskiem. Bosman zaczął się obawiać, aby przypadkiem spłoszone zwierzę nie umknęło; uniósł się więc na łokciach i przygotował karabin.

— Z tej odległości strzał nie jest pewny. Raniony bizon umknie i skryje się w górach — szepnął Tomek, mierzący oczyma odległość.

— Nah'tah ni yez'zi dobrze mówi — przytaknął Czarna Błyskawica. — Niech Grzmiąca Pięść pozostawi bizona Chytrymu Lisowi.

Bosman zawahał się, widząc, jak Chytry Lis wydobyl z kołczana trzy pierzaste strzały i łuk. Czarna Błyskawica dostrzegł niedowierzanie bosmana, gdyż znów się odezwał:

— Indianie od wieków polowali na bizona. Zanim biali przywieźli karabiny, my swoimi sposobami zabijaliśmy setki sztuk na jednym polowaniu. Nawet samotny Indianin potrafił niepostrzeżenie zbliżyć się do stada i ustrzelić kilka zwierząt. Moi bracia zobaczą, jak Chytry Lis sobie poradzi...

Chytry Lis rzeczywiście nie tracił czasu. Całe ciało razem z głową nakrył skórą kojota, ujął w dłoń łuk i strzały, po czym na czworakach zaczął schodzić ze wzgórza w kierunku bizona. Pełzł po ziemi zygzakiem trzymając w ręce swój oręż.

— Jak amen w pacierzu spłoszy grzywacza — mruknął bosman.

— Słyszałem już, że Indianie tak polowali dawniej na bizona, a nawet na bardziej płochliwe antylopy widłorogie[48] — szeptem odparł Tomek. — Chytry Lis podkłada się pod wiatr, może więc uda mu się...

Chytry Lis znajdował się już w połowie drogi. Naraz potężny zwierz uniósł nieco swój wielki łeb; wstrząsnął nim, aby odrzucić długą, gęstą grzywę zasłaniającą oczy. Mimo to nie pozwalała mu ona na zbyt dokładne rozpoznawanie przedmiotów. Stojąc z wiatrem nie mógł zwęszyć zapachu człowieka, widział jedynie ostrożnie skradającego się tchórzliwego i dobrze mu znanego kojota. Uspokojony tym, dalej skubał trawę.

Chytry Lis bez obawy zbliżał się do zwierzęcia. Jako mieszkaniec prerii, znał dobrze zwyczaje bizonów. Jedynie złowróżbny zapach człowieka mógł ostrzec zwierzę przed niebezpieczeństwem. Tymczasem wiatr był pomyślny dla myśliwego, a bizon, nie lękający się nawet huku broni palnej, tym bardziej nie zwracał uwagi na kojota. Prawdą więc było, że dobrze ukryty lub zamaskowany strzelec mógł dać kilka strzałów do wybranych sztuk w spokojnie pasącym się stadzie. Przecież, zdaniem starych myśliwych, nawet przedśmiertne chrapanie ugodzonego strzałą czy kulą zwierzęcia nie wywoływało w stadzie popłochu. Zazwyczaj tylko bizona znajdujące się najbliżej zdychającego towarzysza unosiły swe grzywiaste łby, przez krótką chwilę spoglądały dokoła i zaraz powracały do skubania trawy.

Indianin podsunął się już do bizona na odległość kilkunastu kroków nie budząc jego podejrzeń. Dobierał sobie najdogodniejsze stanowisko do strzału. Pełznąąc na czworakach zaszedł zwierzę z lewej strony. Tomek poprosił wodza Długie Oczy o lornetkę; uważnie obserwował niecodzienne polowanie. Widział wyraźnie, jak Chytry Lis zatrzymał się nie opodal bizona. Czerwonoskóry oparłszy się na łokciach przyłożył strzałę do cięciwy, po czym uniósł się na kolanach, napiął łuk i strzelił. Strzała aż po bełt utkwiała w boku zwierzęcia. Bizon podskoczył, przysiadł na zadzie, a w tej chwili Chytry Lis ugodził go drugą strzałą. Bizon opadł na przednie nogi, przyklęknął; pod wpływem bólu jeszcze raz się poderwał. Myśliwy napiął łuk. Nowa pierzasta strzała utkwiała w boku zwierzęcia, trochę poniżej pierwszej. Bizon zwałił się na ziemię, a niebawem zupełnie znieruchomiał. Na triumfalny okrzyk Czarnej Błyskawicy jeźdźcy ruszyli z kopyta ku zwycięskiemu łowcy i łupowi. Od razu zabrano się do ćwiartowania zdobyczy.

Tomek i bosman zobaczyli, że umiejętne poćwiartowanie zabitego bizona wymaga wielkiej uwagi i zręczności. Podobnie jak oni obaj, mniej doświadczeni młodzi Indianie pilnie śledzili czynności wykonywane przez starszych szczepu.

Położono zabitego bizona na brzuchu, robiąc podporę dla jego ciała z czterech szeroko rozstawionych nóg. Następnie Chytry Lis poprzecznym cięciem noża przez kark odsłonił garb, a wtedy dwaj inni Indianie, ująwszy rękoma za kudły grzywy, oddzielili skórę od łopatek. Potem Chytry Lis przeciął aż do ogona skórę wzdłuż grzbietu. Pomocnicy zaraz zdarli ją z boków; trzymała się tylko przy kości mostkowej. Odciętą w ten sposób skórę rozesłali starannie na ziemi. Na niej składali oddzielane, pojedyncze płyty mięsa — najpierw z łopatek, potem wykrojoną wzdłuż grzbietu polędwicę. Obrosłe tłustym mięsem żebra odrabiali toporami. Po wyjęciu jelit z brzucha i odcięciu ozora, uchodzącego za przysmak, zawinęli część mięsa w skórę. Kilkunastu Indian sporządziło z długich dzid mocne nosze, na które załadowali resztę poćwiartowanego bizona. Niebawem cała kawalkada ruszyła w kierunku gór. Zanim zapadł zmierzch, byli już w głębi cienistego, dobrze ukrytego kanionu. Cały oddział miał tutaj oczekiwać na zwiadowców wysłanych przez Czarną Błyskawicę w okolice puebla Zuni. Podczas gdy jedni pilnowali koni na pastwisku, inni rozpalali ogniska i przygotowywali posiłek.

Tomek i bosman z przyjemnością włączyli się do pracy czerwonoskórych przyjaciół. Kamienna niemal powaga i powściągliwość, z jaką Indianie zazwyczaj zachowywali się w towarzystwie białych, znikła. Teraz nie krępowali się już zupełnie. Radowali się zwycięstwem odniesionym nad Don Pedrem, a szczególnie zabiciem bizona “zesłanego im przez moce niebiańskie dla dodania sił przed następną walką”. Było to tak niezwykle wydarzenie, że postanowiono je, jak każe zwyczaj, uświetnić w czasie wieczornej uczytą tańcem bizona.

Tym razem miał go odtńczyć Chytry Lis. Nieustraszony i słynący z przebiegłości wojownik wystąpił w specjalnym stroju. Na głowę założył maskę naprędcę sporządzoną z grzywy bizona, rogów i piór. Spod szerokiego pasa otaczającego jego biodra opuszczała się krótka spódniczka. W prawej dłoni trzymał grzechotkę, w lewej dzierżył łuk i strzały. Według zwyczaju Indian wybrzeża północno-zachodniego, Indian leśnych oraz Indian

południowego zachodu, tancerze przy tego rodzaju ceremoniach występowali w maskach, aby wyobrażać uświęcone moce, które w ich mniemaniu miały swój udział w obrzędzie. Tańce były przyjęte w życiu Indian. Odbywały się z różnych okazji, a w wielu wypadkach były niemal rytuałem. Szczególnie takie tańce, jak: kalumetu, ducha, węża, słońca, bizona i inne, miały ściśle ustalone formy niezienne od pokoleń. Każda pieśń, modlitwa i taniec związany z ceremonią musiał być wykonany prawidłowo, ponieważ wierzono, że w przeciwnym razie spowodzi nieszczęście.

Tanec bizona był odtworzeniem dawnych łowów. Indiańscy tancerze doskonale wczuwali się w swe role, wiernie odtwarzające zdarzenia prawdziwe. Widzowie rozumieli znaczenie każdego ruchu i cały przebieg wyimaginowanych łowów na bizona z czasów, zanim Hiszpanie przywieźli do Ameryki konie.

Czerwonoskórzy wyszukiwali na stepie ostro ścięte urwisko i u jego stóp przygotowywali specjalną pułapkę. Za ułożoną w kształcie piątki rzymskiej zaporą z kamieni, dotykającą ostrym, lecz nie zamkniętym końcem urwiska, kryły się gromady mężczyzn, kobiet i dzieci. O oznaczonej porze Indianin — wywoływacz bizonów, ubrany w skórę i rogi zwierzęce, po nocy spędzonej na śpiewaniu pieśni i modlitwach do przodków o pomoc w łowach, wyruszał o świcie w step, aby zwabić stado grzywaczy do pułapki. Gdy udało mu się doprowadzić bizona do kamiennej zapory, chował się, a wtedy wszyscy czatujący Indianie wypadali z ukrycia, by krzykiem, grzechotaniem i biciem w bębny pognać stado ku stromej krawędzi. Oszalałe z trwogi zwierzęta zwały się z urwiska. Potem Indianie dobijali ranne sztuki. Po łowach zdejmowali skóry z bizonów, krajali mięso na paski, suszyli je i przynosili do obozu, gdzie znów urządzali dziękczynną uroczystość. Chytry Lis — główny aktor — i towarzyszący mu tancerze nadzwyczaj plastycznie odtworzyli przebieg wspomnianych łowów. Obydwu białym przyjaciołom zdawało się, że słyszą jeszcze tupot racic i ryk oszalałego z trwogi stada. Brzęczały grzechotki, dudniły bębny i wzbijał się pod niebo wrzask nagonki[49].

Zmęczeni, lecz zarazem jakby upojeni tancerze zasiedli do sutego posiłku. Długo gawędzono przy ogniskach. Indianie chętnie opowiadali ciekawsze przeżycia i przygody. Przed oczyma zasłuchanych białych przyjaciół zmartwychwstał dawny Dziki Zachód.

PUEBLO ZUNI

Następnego ranka o świcie Czarna Błyskawica wysłał na zwiady dwóch wytrawnych tropicieli. Reszta wojowników miała w kanionie oczekiwać na ich powrót. Z wyjątkiem strażników, na zmianę czuwających na skalnych cyplach, wszyscy wypoczywali.

Ruchliwy zazwyczaj bosman niecierpliwił się bezczynnością, toteż choć zawsze zżymał się na łażenie po górskich wertepach, sam teraz zaproponował Tomkowi, aby się rozejrzeli w najbliższej okolicy.

Podczas tych wypadów rozmawiali bardzo wiele. Tym razem wspięli się na urwisko tuż nad wąwozem. Bosman, korzystając z okazji, że byli z Tomkiem sam na sam, odezwał się:

— Ho, ho, mój brachu! Widać, że pieniądze łożone przez twego szanownego ojca na twoją naukę nie idą na marne. Gadasz płynnie, a sypiesz różnymi faktami niczym biegły muzyk wygrywający z nut ładne kawałki. Pewno też dlatego przyłgnąłem do ciebie jak guzik do dziurki od koszuli. Moim zdaniem powinienes się kształcić na adwokata. Uczone słowa działają na takich prostaków jak ja, a nawet i na tych dzikich Indiańców.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Ha, przypomniało mi się, jakieś to zręcznie wymyślał ciekawe historyjki, aby ocalić jeńców porwanych z ranczo Meksykańca. Ani mi przez głowę nie przeszło, że uda ci się taka sztuczka! Zuch jesteś i chwat!

— Pan przypuszcza, że to wszystko zmyśliłem? — zdziwił się Tomek.

— Może nie wszystko, ale z tym Kościuszką i jeńcami toś chyba wystawił Indiańców do wiatru.

Tomek wesoło spojrział na przyjaciela.

— Bosmanie, czy pan na pewno wie, kim był Kościuszko? — zapytał.

— Nie kpij ze mnie! — zaproponował nieco urażony marynarz. — U moich staruszków na Powiślu na głównym miejscu w kuchni wisi wielki obraz przedstawiający Naczelnika składającego przysięgę na krakowskim rynku. Jakże więc mógłbym nie wiedzieć, kim on był? Nie słyszałem jednak, żeby takie rzeczy wyprawiał w Ameryce.

— Kościuszko był niezwykłym człowiekiem. Najlepiej o tym świadczy sposób, w jaki wówczas zaofiarował swe usługi Kongresowi Stanów Zjednoczonych.

— A cóż on takiego zrobił? — zagadnął bosman rozsiadając się wygodnie.

— W czasie, gdy Stany Zjednoczone rozpoczęły walkę o wyzwolenie się spod uciążliwej opieki Anglii, do Paryża przybyli dwaj pełnomocnicy amerykańscy, aby uzyskać pomoc dla swej armii. Byli to Sileas Deane i Arthur Lee. Oni to właśnie wręczali listy polecające ochotnikom, którzy później w Ameryce na tej podstawie byli zaciągani do wojska. Nasz Kościuszko nie wziął żadnych listów. Po prostu wsiadł na statek razem z pięcioma Polakami i wyruszył do Stanów.

— Ho, ho, taki był pewny siebie?

Tomek skinął głową i mówił dalej:

— Statek rozbił się u wybrzeży Wysp Świętego Dominika. Kościuszko razem z towarzyszami uchwycili się masztu i w ten sposób przybili do brzegu. Wsiedli na inny statek płynący do Filadelfii. Kościuszko natychmiast stanął przed stawnym uczonym, a zarazem członkiem Kongresu, Beniaminem Franklinem. Poprosił go o przyjęcie do wojska. Kiedy Franklin zapytał o listy polecające, Kościuszko odparł, że pragnie przedstawić się zdolnościami i wiedzą wojskową, a nie rekomendacjami. Kongres polecił Franklinowi przeegzaminować ambitnego Polaka. Po tym niezwłocznie nadano mu stopień pułkownika.

— No, jak widać była to nie byle figura!

— Przede wszystkim Kościuszko posiadał odwagę, dużą wiedzę i zdolności. Dlatego w bitwach pod Trenton i Princeton odznaczył się zimną krwią, a śmiałym natarciem na wroga zwrócił na siebie uwagę Jerzego Waszyngtona, naczelnego wodza. Odtąd też przydzielano go jako doradcę generałom, którym powierzano specjalnie trudne zadania. Czytałem, że podczas oblężenia Yorktown, Waszyngton, objeżdżając szeregi, przybył do lasku, gdzie Kościuszko stał ze strzelcami mającymi rozpocząć atak następnego dnia. Na przemówienie wodza Kościuszko odparł: “Jutro albo szaniec zdobędę, albo zginę” I chociaż został ciężko ranny, zmusił wroga do opuszczenia reduty. Nasz Kościuszko był nie tylko odważnym i dobrym dowódcą. Wielkie również zasługi położył przy fortyfikowaniu Filadelfii oraz obozów armii amerykańskiej. A kto, jak nie on, przyczynił się do zwycięstwa pod Saratoga? Za bohaterską walkę otrzymał stopień generała brygady i order Cyncynata! Czy pan wie, że gdy Kościuszko, wracając z niewoli petersburskiej, po raz drugi stanął na ziemi amerykańskiej, to ludność przyjęła go tu z wielkim uniesieniem? Obywatele amerykańscy zaprzęgli się do jego powozu i ciągnęli jak triumfatora.

— Nic dziwnego, skoro tyle dla nich zdziałał — odparł bosman. — Ha, masz rację, to nie tylko nasz wielki bohater. Ten pomnik Kościuszki, który widzieliśmy w Waszyngtonie, to nawet niczego sobie.

— A czy nie widział pan jego pomnika w Chicago i innych miastach? — zapytał Tomek.

— Prawda, prawda, widziałem.

— Nie on jeden walczył o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Czy zapomniał pan, że Kazimierz Pułaski jako generał brygady poległ tu w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym w bitwie pod Savannah?

— Czy to ten, co pierwszy zorganizował własny legion?

— Więc pan zapamiętał!

— A jakże, zapamiętałem. Powiedz mi teraz, brachu, czy oprócz Strzeleckiego, o którym już mówiłeś, jeszcze inni Polacy podróżowali po Ameryce?

Tomek pomyślał chwilę, wesoło spojrzął na bosmana i zapytał:

– Czy pan wie, kto odkrył Amerykę?

– Nie mów tylko, brachu, że to był Polak – roześmiał się marynarz.

– Wiem, że dokonał tego Kolumb.

– Nie myli się pan, lecz słyszałem również, że w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym Polak, Jan z Kolna, jakoby żeglarz gdański, z ramienia króla duńskiego miał wyruszyć na czele wyprawy w celu ratowania resztek kolonizacji normandzkiej w Grenlandii. Wprawdzie nie dotarł tam, lecz odkrył po drugiej stronie oceanu ziemię, którą przypuszczalnie mógł być Labrador. Gdyby to było prawdą, podróż naszego rodaka wyprzedzałaby o szesnaście lat podróże odkrywcy Kolumba.

– Nie wierzę w to, brachu[50], ale daj już spokój tym tak miłym dla ucha Polaka legendom, bo w końcu przekonasz mnie, że i ja mam tu niemałe zasługi – śmiał się bosman.

– Kto wie, może i pan czegoś dokona w Ameryce? Gdy Fernando Cortez wylądował w Meksyku, Indianie ofiarowali mu niewolnicę. Ta Indianka, później już jako Donna Mariana, oddała Cortezowi wielkie usługi. Teraz znów wódz Czarna Błyskawica ofiarował panu swoją córkę. Może Skalny Kwiat odegra podobną rolę, a pan stanie się sławny...

– A żeby połknął cię wieloryb! Już mi to musiałeś przypomnieć?! Powiedziałem, że nie dla mnie ten rarytas. Pamiętaj, co przyrzekłeś...

– Niech się pan nie denerwuje, żartowałem tylko.

– Coś mi za wiele żartujesz z tymi ożenkami. Nie wyprowadzaj mnie z równowagi... Gadaj, co wiesz jeszcze o Polakach?! Mów o podróżnikach, a nie o ślubach i Indiankach.

– Wiem, że lubi pan takie historie. Gdy wrócimy na ranczo, pożyczę panu ciekawą książkę Emila Dunikowskiego. Przy końcu ubiegłego wieku podróżował on po Ameryce. Zwiedził olbrzymi amerykański Park Narodowy nad rzeką Yellowstone[51]. Potem wraz z Witoldem Szyszłą przebywał na Florydzie. Przekona się pan, że to ciekawa książka. Inny nasz rodak, Henryk Polakowski, badał Amerykę Środkową; jako pierwszy napisał dzieło naukowe o roślinach Kostaryki, drukowane w językach hiszpańskim i niemieckim. Natomiast Józef Burkart, podróżując po Meksyku, poczynił nadzwyczaj ciekawe spostrzeżenia, które stanowiły później podstawę do dalszych badań takich uczonych, jak Dollfus i Ratzel...

Tomek przekomarzając się z przyjacielem spoglądał w głąb kanionu. Naraz przerwał rozmowę. Pochylił się nad krawędzią. Po chwili zerwał się z ziemi, wołając:

– Bosmanie, zwiadowcy już wrócili! Pałacy Promień daje nam znaki, abyśmy zeszli do obozu!

Bosman wepchnął szybko fajkę do kieszeni i już zsuwał się po stoku góry. Tomek bez zwłoki podążył za nim. Po kilkunastu minutach byli w obozie. Czarna Błyskawica otoczony wojownikami czekał na nich.

– Ugh! Niech moi bracia posłuchają, co za wiadomość przynieśli zwiadowcy –

odezwał się wódz. — W pobliżu puebla napotkali wielkiego kojota, który zaczął za nimi iść. Usiłowali go odegnąć, obawiając się, aby nie zdradził przed Zuni ich obecności, lecz kojot szczerzył kły i szczekał przeraźliwie. Przecięta Twarz zamierzał rzucić w niego tomahawkiem, lecz przypomniał sobie psa naszego brata Nah'tah ni yez'zi.

— Dingo — zawołał Tomek.

— Dingo! — jak echo powtórzył bosman.

— Może to jest właśnie pies mego brata. Zwiadowcy zaraz powrócili, aby powiadomić nas o tym spostrzeżeniu. Jeżeli pies włóczy się w pobliżu puebla, to mamy niezbity dowód, że Biała Róża znajduje się u Zuni.

— Musimy natychmiast sprawdzić, czy ten rzekomy kojot jest moim Dingiem — porywczo rzekł Tomek.

— Idę z moimi białymi braćmi. Poprowadzi nas Przecięta Twarz — oświadczył Czarna Błyskawica. — Przy okazji przyjrzymy się pueblu i na miejscu ułożymy plan działania.

Na czas swej nieobecności zlecił komendę wodzowi Długie Oczy. Wyprawa wywiadowcza mogła potrwać dwa lub trzy dni, wobec czego zabrali zapas żywności i w pełnym uzbrojeniu opuścili kanion.

Przecięta Twarz poprowadził ich skrajem łańcucha górskiego. Z powodu bliskości Indian Zuni wybierał jak najbardziej skalisty teren, aby nie pozostawić śladów. Dopiero po przeszło dwugodzinnej wędrówce zaczęły się właściwe podchody. Teraz jako osłonę wykorzystywali głązy, drzewa, krzewy i wszelkie nierówności gruntu, a w zupełnie odkrytych miejscach czołgali się po ziemi. Byli już w pobliżu puebla.

W ślad za Przeciętą Twarzą wczołgali się na mały pagórek, gdzie przywarli wśród krzewów.

Ostrożnie rozgarnęli rękoma gałęzie, a wtedy oczom ich ukazało się pueblo jakby przyklepione do podnóża stromej skały.

Tomek, przez lornetę pożyczoną od wodza Długie Oczy, dokładnie przyglądał się sadybie Zuni. Z miejsca, w którym się znajdowali, widoczne było całe osiedle. Pueblo przylegało do załomu górskiej ściany z dwóch stron: ze wschodu i z południa. Na płaskich dachach najniższych domów, pozbawionych drzwi i okien, wznosiła się tarasowato cała piramida budowli. Na wyższych piętrach domki były coraz mniej obszerne, jeszcze bardziej przyklepione do skalnej ściany. Część płaskich dachów każdego piętra stanowiła dla następnego, wyższego, taras, na którym w dzień koncentrowało się życie mieszkańców puebla.

Spoglądając z pewnej perspektywy odnosiło się wrażenie, że to wielkie kamienne schody przylegają do górskiej ściany.

Kwadratowe otwory w płaskich dachach zastępowały w skalnych domkach drzwi, okna i kominy. Z piętra na piętro wiodły luźno przystawione drabiny. Na noc bądź też w razie napadu Zuni wciągali je za sobą na dach. W ten sposób pueblo tworzyło prawdziwą

fortecę, w której można się było wycofywać z piętra na piętro.

Była to pora przedpołudniowa. Przez lornetkę dokładnie było widać kobiety gotujące posiłek na tarasach oraz bawiące się dzieci. Tomek uważnie przepatrywał wszystkie poziomy, szukając wśród Pueblosek tak dobrze wrytej w pamięć sylwetki Sally. Niestety, nigdzie nie mógł jej dojrzeć. Zawiedziony i przygnębiony podał lornetkę bosmanowi.

Z kolei Czarna Błyskawica przyjrzał się pueblu, a po nim uczynił to samo Przecięta Twarz.

— Ugh! Zuni zachowują najdalej posuniętą ostrożność — odezwał się cicho Czarna Błyskawica, gdy Tomek schował lornetkę. — Tylko jedna drabina opuszczona jest na ziemię i uzbrojeni mężczyźni strzegą kobiet pracujących w polu.

Zgnębieni Tomek i bosman dopiero teraz zwrócili na to uwagę.

— Czyżby to miało potwierdzać przypuszczenie, że to oni porwali Sally — zawołał Tomek. — Nie spostrzegłem jej nigdzie wśród Indianek na tarasach.

— Różnie może być, w każdym razie Zuni zachowują ostrożność, jakby się obawiali napadu — odparł Czarna Błyskawica, a zwracając się do zwiadowcy zagadnął: — Gdzie mój brat Przecięta Twarz spostrzegł kojota?

— Niedaleko stąd, w tamtych zaroślach — wyjaśnił Przecięta Twarz wskazując pas krzewów nieco dalej na południu.

Ostrożnie wycofali się z pagórka. Przez kilka godzin buszowali wokół puebla, lecz nigdzie nie dostrzegli tajemniczego kojota. Olbrzymi bosman, zmęczony kluczeniem po wertepach, ocierał czoło z potu, a w końcu przystanął i odezwał się:

— Odsapnijmy nieco, bo osłabłem z upału. Coś mi się wydaje, że to jednak był tylko kojot.

— Skąd taki wniosek, skoro sami do tej pory nie przekonaliśmy się o tym? — niespokojnie zapytał Tomek.

— Ha, gdyby to był nasz Dingo, to nie musielibyśmy szukać go jak szpilki w stogu siana. Czy on by sam nie przybiegł, gdyby tylko nas zwietrzył?

— Nie pomyślałem o tym — westchnął Tomek.

— Nah'tah ni yez'zi mówił, że napastnicy omal nie zabili jego psa. Jeżeli więc przeżył i podążył za Pueblosami, to na pewno dobrze się ich wystrzega. Za dnia tak jak kojot może się kryć w stepie, a wieczorem przychodzi pod pueblo — zauważył Czarna Błyskawica.

— Ha, i to prawda — mruknął bosman.

— Czarna Błyskawica dobrze mówi — przytaknął Przecięta Twarz. — Spotkaliśmy to zwierzę zaraz po świcie.

— Teraz odpocznijmy tutaj, a gdy słońce schowa się za stepem, znów będziemy krążyli wokół puebla — zaproponował wódz.

— Nie ma innej rady — chętnie zgodził się bosman.

Tomek przysiadł przy nim, lecz Czarna Błyskawica i Przecięta Twarz niezmordowanie przeszukiwali chaszczę. W końcu i oni zmęczeni powrócili do białych przyjaciół.

Upływała godzina za godziną. Słońce z wolna przesunęło się po niebie ku zachodowi. Zaledwie zabłyśły gwiazdy, czterej wywiadowcy znów wyruszyli na poszukiwania. W ciągu nocy kilkakrotnie okrążali pueblo, przybliżali się i oddalali od niego. Czasem krzyknęła sowa, to znów nietoperz zatrzepotał skrzydłami, usłyszeli nawet wycie prawdziwych kojotów, lecz nie przypominało ono szczekania Dinga.

— Coś mi się wydaje, że zwiadowcy wzięli kojota za naszego psiaka — szepnął bosman do Tomka.

Tomek ostrzegawczo zamknął mu dłonią usta. Znajdowali się obecnie bardzo blisko murów puebla, a na tarasie pierwszego pietra dwóch strażników siedziało przy żarzącym się ognisku. Naraz Czarna Błyskawica zatrzymał się. Wyciągnął głowę jak żuraw ku spowitemu poświatą księżycową pueblu, po czym w milczeniu wskazał ręką na taras.

Na tarasie pojawiły się dwie postacie. Na krótką chwilę przystanąły przy strażnikach, a potem zaczęły się wolno przechadzać.

Tomek zerwał się i wykonał ruch, jakby chciał biec ku pueblu. Na szczęście w tym momencie twarda dłoń Czarnej Błyskawicy spoczęła na jego ramieniu. Tomek opanował niepotrzebny odruch wywołany nadmiernym wzruszeniem, lecz nie mógł powstrzymać łez napływających mu do oczu. Nie miał nawet cienia wątpliwości, że tam, na tarasie znajdowała się Sally. Wolnym krokiem spacerowała w towarzystwie starszej i wyższej od niej Indianki. Ciemne sylwetki kobiet wyraźnie rysowały się na tle białych murów puebla skąpanego w świetle księżyca.

Bosman również poznał dziewczynkę i był nie mniej wzruszony od swego młodego przyjaciela. Świadczył o tym jego przyśpieszony oddech; przysunął się do Czarnej Błyskawicy — zajrzał mu prosto w twarz. Wódz nie zdejmując lewej dłoni z ramienia Tomka prawą wymownie dotknął swych ust. Stali więc teraz wszyscy czterej jak kamienne posągi zapatrzeni w sylwetkę na tarasie.

Nieoczekiwanie gdzieś z boku za nimi rozległo się chrapliwe szczekanie. Niskie początkowo tony stawały się coraz wyższe, aż w końcu przemieniły się w dziki, tęskny skowyt, Tomek i bosman drgnęli jednocześnie, a tymczasem na tarasie puebla dziewczęca postać podbiegła na sam skraj muru i przechyliwszy się przez niskie ogrodzenie wpatrywała się w ciemny step. Jej towarzyszka pospieszyła za nią. Odciągnęła ją w głąb tarasu, gdzie obie zniknęły.

Przeciągłe wycie zamarło.

Czarna Błyskawica natychmiast przystąpił do działania. Na migi polecił bosmanowi i Przeciętej Twarzy, aby okrążyli wzgórze, sam zaś z Tomkiem żywo poskoczył ku niemu na wprost. W ciągu kilku minut byli już na szczycie. Rozejrzeli się wokoło. Psa nie było.

— Spóźniliśmy się! — cicho odezwał się Tomek.

— Ugh! Pies nie mógł zbyt daleko odejść. Szukajmy w krzakach! Biegli między zaroślami.

— Dingo! Dingo! — ściszym głosem powtarzał chłopiec.

Tak nawołując, szybko przedzierał się przez krzewy. Gałęzie uderzały go po twarzy, kolce czepiały się ubrania, lecz on na nic nie zważał. Nagle jakiś ciężar zwałił się na niego. Stracił równowagę, upadł na ziemię. Odruchowo schwycił rękoma nieoczekiwanego napastnika i palce jego zagłębiły się w zmierzwioną sierść. Ze wzruszenia nie mógł wymówić słowa. W milczeniu przygarnął kosmate cielsko, a tymczasem Dingo ocierał swój łeb o jego głowę. Tomek, uszczęśliwiony odnalezieniem swego wiernego czworonożnego przyjaciela, nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Nie słyszał nawet szelestu krzewów. Czujny Dingo warknął ostrzegawczo i sprężył się do skoku, gdy obok pojawił się Indianin.

Tomek natychmiast się opanował: przytrzymał psa.

— Spokój, Dingo, spokój, to przecież przyjaciel! — odezwał się.

Pies trząśł się jak w febrze i prężył do skoku, Czarna Błyskawica jak zwykle szybko zorientował się w sytuacji. Cofnął się więc nieco i rzekł:

— Niech Nah'tah ni yez'zi poprowadzi psa na wzgórze. Idę pierwszy!

Tomek podążył za Indianinem przytrzymując psa za kark. Dingo zmienił się niemal nie do poznania. Całe jego ciało pokrywała zmierzwiona sierść. Czujnym, dzikim wzrokiem spoglądał to na swego pana, to na Indianina; można było poznać, że nienawidzi czerwonoskórych, gdyż kurczące się gniewnie wargi mimo woli obnażały wielkie kły, gdy Czarna Błyskawica pochylał się ku niemu.

— On zapamiętał razy Pueblosów. Dobry pies! Nie opuścił Białej Róży — pochwalił Czarna Błyskawica.

— Dingo jest naprawdę mądry i wierny — rzekł Tomek. — Ileż to razy ratował nas z różnych niebezpieczeństw podczas wypraw.

— Ugh! Niech mój brat przytrzyma go mocniej. Dam znak naszym przyjaciołom.

Tomek mocno objął Dinga za szyję. Czarna Błyskawica przytknął złożone dłonie do ust i w ciszy rozległo się skowyczenie kojota.

Dingo zastrzygł uszami i potężnie machnął puszystym ogonem, po czym najpierw spojrzał w kierunku puebla, a potem w krzewy ciągnące się o stóp wzgórza. Bosman sapiąc jak miech kowalski wypadł z zarośli. Po chwili był już razem z Przeciętą Twarzą obok przyjaciół. Olbrzymi marynarz usiadł na ziemi. Tulił i pieścił Dinga, który zawzięcie machał ogonem i lizał go szorstkim jęzorem po twarzy.

— Górą nasi, piesku, górą — mówił bosman. — Zuch kompan z ciebie! Nie dałeś się Pueblosom, drałowałeś za naszą Sally...

Dingo usłyszawszy imię dziewczynki wyrwał się z rąk bosmana i zawył przeciągle w kierunku puebla.

— Ugh! — szepnął z uznaniem Czarna Błyskawica.

— Ugh! — powtórzył Przecięta Twarz.

— Wiemy, już wiemy, że tam jest Sally — uspokajał psa Tomek.

— Dobra nasza, Dingo! Zuch jesteś, ani słowa! — wtórował bosman.

— Wydostaniemy stamtąd naszą biedulę, żebym miał własnymi łapami rozebrać tę fortecę.

Dingo kręcił się niespokojnie. Odwracał się ku mężczyznom, spoglądał na pueblo, jakby zachęcał ich do pójścia za sobą.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Tomek.

— Musimy przyjrzeć się pueblu, aby ułożyć plan działania — odparł Czarna Błyskawica.

— Gdyby udało nam się wejść na szczyt góry, przy której Zuni zbudowali swoje wigwamy...

— Wtedy widzielibyśmy wszystko jak na dłoni — przerwał mu Tomek.

— Ugh! Nah'tah ni yez'zi dobrze mówi.

Bosman zadarł głowę i markotnie spojrział na zaróżowione przez wschodzące słońce szczyty skał. Nie lubił wspinania się po górach! Tym razem jednak nie zaproponował.

Westchnął ciężko, a potem mruknął:

— Czarci ich na pewno będą w piekle smażyli za takie budowanie chałup, ale co tu się teraz zastanawiać. Mówicie, że trzeba wleźć na górę? No to w drogę!

WOJENNY FORTEL

Około południa czterej zwiadowcy zdołali się wspiąć na zupełnie nagi i płaski wierzchołek. Stanowiła go skalna platforma, z trudem mogąca pomieścić zaledwie parę osób. Od strony puebla ściana była niedostępna i przewieszona, z innych stron można było osiągnąć jej szczyt po trudnej wspinaczce. Położenie osiedla było więc z tego powodu nieco niekorzystne dla jego mieszkańców: paru drobnych strzelców, ukrytych na platformie, mogło z powodzeniem szachować Pueblosów, mimo że przewieszona ściana osłaniała część zabudowań. Należy wziąć pod uwagę, że pueblo wykuto w skale jeszcze przed przybyciem w te strony Hiszpanów z bronią palną.

Zwiadowcy legli na brzuchach na szczycie. Nieznacznie wychyliwszy głowy poza krawędź, mogli wygodnie obserwować położone u ich stóp pueblo. Dzielny Dingo pozostał na rozkaz swego pana u stóp skały. Było to konieczne ze względu na pomyślne przeprowadzenie obserwacji. Posłuszny pies przywarował w zaroślach, a zwiadowcy tymczasem podpatrywali wroga.

Lorneta wodza Długie Oczy wędrowała z rąk do rąk. Sami niewidoczni, penetrowali życie mieszkańców puebla przez wiele godzin. Obserwacje te miały podwójny cel. Należało przede wszystkim ustalić miejsce, w którym Zuni ukrywali Sally, po drugie, znając rozkład dnia Pueblosów, łatwiej można było ułożyć odpowiedni plan działania.

Zachowanie Zuni nie mogło wzbudzać podejrzeń, iż prowadzi wojownicze, łupieżcze życie. Kobiety i dziewczęta bez przerwy krzątały się po tarasach. Jedne wyplatały kosze o różnych kształtach, inne lepiły z gliny pięknie modelowane, później zdobione dzbany i czary, które, jak wyjaśniał Czarna Błyskawica, sprzedawały za mięso lub garbowane skóry innym szczepom, a nawet białym osadnikom.

Jeszcze inna grupa Pueblosek przygotowywała pożywienie. Na dużych kamieniach tarły ziarna kukurydzy i żołądź na mąkę, a potem w specjalnie na ten cel zbudowanych niskich, kopulastych piecach piekły chleb, zwany piki.

Z pobliskich poletek znoszono do puebla w koszach kukurydzę, dynie, melony i fasolę. Mężczyźni zakrzywionymi kijami w rodzaju australijskiego bumerangu polowali w najbliższej okolicy na króliki. Czarna Błyskawica— rdzenny mieszkaniec tych okolic — uzupełniał obserwacje przyjaciół różnymi wiadomościami o życiu mieszkańców skalnych osiedli.

Pueblosi doskonale potrafili korzystać z wszystkich plonów nieurodzajnej, suchej, stepowej ziemi. Konserwowali nawet owoce niektórych kaktusów lub wyrabiali z nich syrop, a z tartych nasion zmieszanych z wodą przyrządzali smaczną papkę — pinole. Z wielkich agaw, które w wiadomym czasie w odpowiednim miejscu nacinali, zbierali słodki sok, po czym, poddając go fermentacji, otrzymywali orzeźwiający i tak wesoło usposabiający napój pulque oraz wódkę zwaną tequila. Z tejsze agawy wyrabiali również włókna henequen, z których sporządzali powrozy i grubsze płótna. Byli najlepszymi tkaczami i garncarzami tego kraju. W podziemnych obrzędowych salach puebla, zwanych kivas, mężczyźni przędli bawełnę w nić i tkali materiały. Od nich to Nawajowie, po

zdobyciu owiec na Hiszpanach, nauczyli się tkactwa i produkcji tak bardzo dziś znanych nawajskich wzorzystych dywanów i koców. Obrzędowe i religijne życie Pueblosów było wysoko rozwinięte. Każdy szczep dzielił się na klany i tajemne stowarzyszenia. Zebrania ich odbywały się na głównych dziedzińcach. Najczęstszym z obrzędów był taniec węża, czyli modlitwa o deszcz, tak konieczny, by uzyskać plody z nieurodzajnej ziemi. W czasie tego tańca czarownicy — kapłani węża — posługiwali się żywymi gadami różnego gatunku, z grzechotnikami włącznie. Podczas tańca trzymali węże w zębach, a po zakończeniu obrzędu odnosili je na skraj osady i puszczali na wolność jako posłańców bóstw deszczu. Kapłani przez umiejętne trzymanie niebezpiecznych gadów nie byli narażeni na pokąsanie.

Tomek i bosman przyglądali się również zabawom młodzieży. Szczególnie ulubioną grą małych Indian była “rzuć i łap”, która wyrabiała u graczy zręczność i szybką orientację. Polegała ona na podrzucaniu w górę kwadratowego kawałka drewna, w którym było pięć otworów. Gracz podrzucał uwiązaną na sznurku podziurawioną deseczkę, aby ją złapać na zaostrzony odpowiednio patyk trafiając w jeden z otworów.

Bosman zdumiony i pełen pochwał dla unormowanego i dobrze zorganizowanego trybu życia Pueblosów w pewnej chwili odezwał się do Tomka:

— Ho, ho, nie spodziewałem się nigdy, że te amerykańskie dzikusy tak sobie wszystko ładnie tutaj urządziły. Narzekają, a dobrze im się wiedzie; widzę, że nawet uprawiają sprowadzone przez białych rośliny.

— Przeciwnie, to my, biali, od tych amerykańskich niby “dzikusów” przejęliśmy szereg roślin, nie znanych na innych kontynentach, które później po odkryciu Ameryki szeroko się rozpowszechniły po całym świecie i stały się nawet głównym pożywieniem milionów ludzi — prostował Tomek błędne mniemania bosmana. — Zaraz panu wyliczę. Na przykład Ameryka Środkowa, a ściśle mówiąc Chile i Peru dały nam kartofle, uprawiane i uszlachetniane tam jeszcze przed przybyciem Europejczyków. Z Peru również wywodzą się pomidory, z Brazylii fasola. Od Majów, Azteków i Inków nauczyliśmy się uprawiać kukurydzę — jedyne zboże wywodzące się z Ameryki. Ameryka Środkowa dała nam tytoń; nawet pana ulubiony rum jamajka pochodzi z wyspy Jamajka odkrytej przez Kolumba w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym czwartym na Morzu Karaibskim. Czy jeszcze mało?

— Aleś mi rąbnął litanie, brachu — odparł bosman usprawiedliwiająco. — Po prawdzie to co innego mnie dziwi, ale pewno znów źle się wyraziłem. Chodzi, widzisz, o to, że pustkowie to wygląda jak wysuszona na pieprz ziemia. Same tylko kaktusy i juki, a mimo to Indianie jakoś tu żyją. Osobiście nie dałbym nawet dwóch złamanych groszy za ten cały Meksyk.

Tomek znów się uśmiechnął, mówiąc:

— Nie tylko pan popełnia błąd, tak źle oceniając na pierwszy rzut oka niektóre ziemie bogatej Ameryki. Jak sobie przypominam z historii odkryć, przy końcu siedemnastego wieku żeglarz Bering, pozostający w służbie rosyjskiej, odkrył cieśninę dzielącą Azję od

Ameryki i dotarł do wybrzeży Alaski. Potem z sąsiedniej Syberii i Kamczatki, które należały do Rosji, przybywali na Alaskę myśliwi w poszukiwaniu cennych futer zwierzęcych. Na skutek częstych wypraw Rosjanie założyli tam nawet stację handlową, a rosyjski uczonec, Sarycew, dokonał pierwszych zdjęć wybrzeży i fiordów tej części Ameryki. Mimo to carowie tak samo nie doceniali wówczas Alaski, jak pan obecnie Meksyku, i odsprzedali ją Stanom Zjednoczonym za siedem milionów dolarów[52]. Tymczasem Amerykanie wkrótce odkryli tam bogate pola złotonośne i już w pierwszym roku wydobyli złota na sumę przewyższającą cenę zapłaconą Rosjanom. Jak więc pan widzi, nie warto być zbyt pochopnym w osądach.

— Iiii, tam do licha! Czy z tobą nie można normalnie gadać, żebyś zaraz nie zaczął z różnymi dyrdymałami?! — oburzył się bosman. — Zacząłem mówić o tym, że mi się ciut żal zrobiło Pueblosiaków, a ty od razu przybijasz mnie do krzyża nauką. Pomyśl tylko, brachu, że jak zabierzemy się do uwalniania naszej nieboraczki, to rozgromimy to całe bractwo na cztery wiatry jak sadybę Don Pedra.

— Ugh, Grzmiąca Pięść dobrze mówi — odezwał się milczący dotąd Czarna Błyskawica. — Musimy zniszczyć to gniazdo zdradzieckich psów puebloskich, aby uwolnić Białą Różę. Niełatwe to będzie zadanie, bo Zuni mają się na baczności.

— Co prawda, to prawda. Pilnują się, dranie! Co który zejdzie na ziemię, to inni zaraz wciągają drabinę z powrotem na taras — zafrasował się bosman. — Ciężką będziemy mieli robotę...

Tomek zamyślił się głęboko. Od kilku godzin zastanawiał się, w jaki sposób można by uwolnić Sally bez walki i niepotrzebnego przelewu krwi z obydwóch stron.

Nie ulegało wątpliwości, że Pueblosi nie dadzą się zaskoczyć. Straż bezustannie czuwała na dolnym tarasie, nie opuszczano drabin bez koniecznej potrzeby, a obok leżały całe stosy kamieni, którymi Indianie mogli skutecznie razić ewentualnych napastników. Ponadto Zuni byli dobrze uzbrojeni w łuki, dzidy, noże i topory.

Tomek długo rozważał wszystkie możliwe sposoby. W jego głowie musiał powstawać jakiś plan, gdyż to wychylał się poza krawędź skały, to znów bystro przyglądał się pueblu przez lornetę.

W końcu odwrócił się do swych towarzyszy i rzekł:

— Wydaje mi się, że w samotnym domku na najwyższym piętrze mieszka wódz Zuni, co pewien czas bowiem różni Indianie przychodzą tam i wychodzą, jakby odbierali rozkazy.

— Ugh! Mój brat dobrze to zauważył — przytaknął Czarna Błyskawica. — Tam na pewno mieszka wódz Zuni.

— W związku z tym nasunął mi się pewien pomysł — zaczął Tomek.

— Cóż tam wykombinował? — ożywił się bosman.

— Jak myślisz, Czarna Błyskawico, czy Zuni oddaliby nam Białą Różę w zamian za

swego wodza i jego rodzinę? — zapytał Tomek.

— Ugh! Na pewno by oddali, ale nie możemy im tego zaproponować — odparł Czarna Błyskawica. — Rodzina wodza Zuni jest bezpieczna w swoim wigwamie. Aby dostać się do niego, musielibyśmy zdobyć przedtem całe pueblo.

— Niby tak i niby... nie — zaprzeczył Tomek. — Chciałbym uniknąć zdobywania puebla biorąc do niewoli, jako zakładników, wodza Zuni i jego rodzinę.

Czarna Błyskawica wzruszył ramionami. Pomysł Nah'tah ni yez'zi był przecież nierealny. Przecięta Twarz uśmiechnął się wyrozumiale. Czy taka młoda blada twarz mogła się znać na taktyce wojennej? Nawet bosman skrzywił się i niechętnie machnął ręką.

— Pozwólcie mi najpierw wyjawić mój plan do końca — uparcie ciągnął Tomek. — Czarna Błyskawica rozważa tylko możliwość ataku z ziemi, wtedy istotnie należy najpierw zdobyć całe pueblo, aby dotrzeć do wodza. Gdybyśmy jednak pod osłoną nocy opuścili się na dach domu wodza Zuni i wzięli go razem z rodziną do niewoli, to wtedy moglibyśmy o świcie podyktować Pueblosom nasze warunki. Z tego miejsca, przy odrobinie śmiałości, można się dostać na najwyższy taras puebla.

Indianie, zdumieni, spojrzeli na Tomka.

— Ugh! Ugh! Mój biały brat chciałby się stąd opuścić na dach domu wodza Zuni?! — zawołał Czarna Błyskawica nie tając zdumienia.

— Czy uważasz to za zupełnie niemożliwe? — spokojnie zapytał Tomek.

Czarna Błyskawica bez słowa wychylił głowę poza krawędź skały. Od dachu samotnego kamiennego domku dzieliła ich trzydziesto-czterdziestometrowa przepaść. Po chwili cofnął się zdziwiony i podniecony jednocześnie niezwykłym pomysłem białego przyjaciela.

— Ugh! Stąd naprawdę można by się dostać na dom wodza Zuni — rzekł poważnie. — Co byśmy później zrobili?

Tomek przysunął się do przyjaciół i szeptał, jakby obawiał się, aby ich ktoś nie podsłuchał:

— Kilku odważnych i śmiałych wojowników może bez trudności opanować dom wodza Zuni i jego mieszkańców. Potem wystarczyłoby tylko wciągnąć drabinę i bylibyśmy tam jak w fortecy.

— Zuni przyniosą inne drabiny — mruknął Przecięta Twarz.

— Kule nasze szybko nauczą ich rozsądku. Będą musieli się trzymać w przyzwoitej od nas odległości. Gdy zrozumieją swoją bezsilność, łatwo powinniśmy się dogadać.

— Niech cię licho porwie! — zawołał bosman z uznaniem. — Co prawda nie tak trudno kark skrócić opuszczając się z tej skały na linie...

— Wydaje mi się, że mniejsze to będzie ryzyko niż atak na mury puebla z ziemi. Mamy zaledwie około czterdziestu wojowników, skąd więc pewność, że uda nam się siłą odbić

Sally? A czy nie stanie się jej jakaś krzywda podczas napadu? Poza tym jeszcze słyszę krzyk ludzi mordowanych na rancho Don Pedra,.. Tak bym chciał uniknąć okropnej walki, która przyniesie śmierć tylu ludziom...

— Ugh! Nah'tah ni yez'zi ma serce czerwone jak Indianin i fortele wojenne godne czerwonoskórego wojownika, lecz myśl jego jest biała... — rzekł Czarna Błyskawica. — Biali jednak nie mają tyle litości dla Indian, chociaż domagamy się jedynie tego, co nam się słuszenie należy.

— Czyż w tej bratobójczej walce nie będą ginęli właśnie Indianie? — gorąco odparł Tomek. — Jedynie dlatego pragnę jej uniknąć. Ilu twoich wojowników polegnie przy zdobywaniu puebla?

— Ugh! Tylko to ostatnie może mnie przekonać. Dobry wódz nie gubi niepotrzebnie swoich wojowników.

— Wodzu, gdy dawano mi orle pióra za walkę z Czerwonym Orłem, wtedy wódz Długie Oczy powiedział, że bezkrwawe pokonanie przeciwnika przynosi największy zaszczyt.

— Słowa płyną z ust mego białego brata jak woda w strumieniu — powiedział Czarna Błyskawica ciężko wzdychając. — Grzmiąca Pięść dobrze powiedział: z tobą trudno rozmawiać.

— Podejmuję się pierwszy opuścić na dom wodza Zuni — ciągnął Tomek zdecydowanie, — Jeżeli mnie się to nie uda, zrobicie, jak będziecie uważali.

— Idę z tobą, brachu — zawołał bosman.

— Czy pan sobie wyobraża, jaka gruba by musiała być lina, aby nie pękła pod pana ciężarem? — zaoponował Tomek. — Im sznur dłuższy, tym mniej wytrzymały, a tu trzeba liny co najmniej pięćdziesięciometrowej.

— Iii, gadasz brachu! Nie widziałeś jeszcze, jak się potrafię sprawiać na rejach!

— Nie o to chodzi! Waga pana ciała i niezwykła siła znajdą inne pole do popisu. Możemy sprowadzić tutaj zaledwie kilku wojowników. Co najmniej pięciu lub sześciu ludzi powinno opuścić się do puebla, podczas gdy pozostali będą trzymali linę, której nie ma tu do czego przywiązać. Czy pan teraz wie, ile będzie zależało od pana siły i przytomności umysłu?

— Że jak niby? — zdumiał się bosman, któremu bierna rola wcale nie przypadła do gustu.

— Pewne i silne dłonie muszą trzymać linę, ponieważ od tego zależy całe powodzenie wyprawy.

Bosman zamilkł markotny, a tymczasem Czarna Błyskawica i Przecięta Twarz spoglądali na siebie zaskoczeni tym dziwnym, oryginalnym planem białego chłopca.

— Niech Nah'tah ni yez'zi jeszcze raz wyjaśni nam swój plan — zaproponował Czarna Błyskawica.

Tomek zaczął:

— Ośmiu wojowników wejdzie z linami i bronią na szczyt ściany skalnej przewieszanej nad pueblem. Sześciu z nich powinno się opuścić na linie na dom wodza Zuni, obezwładnić go wraz z domownikami i utrzymać pozycję w razie ataku Pueblosów. O wykonaniu pierwszego zadania grupka śmiałków strzałem zawiadomi resztę towarzyszy, którzy w tym czasie okrążą całe pueblo z zewnątrz. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Pueblosi rychło zrozumieją, iż wpadli w pułapkę, i zgodzą się oddać białą brankę za własnego wodza.

— Ugh! Ugh! — szepnął Czarna Błyskawica.

— Ugh! — dziwił się Przecięta Twarz.

— Zreczniesz to wykombinował — pochwalił bosman.

Plan Tomka wydawał się teraz wszystkim nadzwyczaj prosty i łatwy do wykonania, chociaż wymagał niezwyklej odwagi i śmiałości. Jeszcze omówili niektóre szczegóły, po czym wódz polecił Przeciętej Twarzy pozostać na posterunku i przez lunetę dalej śledzić Pueblosów, a sam z dwoma białymi przyjaciółmi udał się w drogę powrotną do wojowników oczekujących na nich w kanionie gór Sierra Madre.

Następnego dnia tuż przed zapadnięciem zmroku ośmiu mężczyzn wspięło się na platformę skalną zawieszoną nad pueblem Zuni. Ostrożnie złożyli na ziemi ogromny zwój lin i broń, po czym przylgnęli do skały, aby nie zwrócić na siebie uwagi Pueblosów.

— Czy nic nowego nie zdarzyło się w pueblu? — zagadnął Czarna Błyskawica.

— Nie, wszystko w porządku — wyjaśnił zwiadowca. — Dzisiaj odbywały się u nich jakieś uroczystości, gdyż wszyscy mężczyźni spędzili całe popołudnie w podziemnych kivas i dopiero niedawno powrócili do swoich wigwamów.

— Czy wódz Zuni będzie u siebie? — niepokoił się Tomek.

— Ugh! Zdaje się, że jest; razem z nim na tarasie widziałem dwóch mężczyzn i trzy squaw. Jedna stara i dwie dziewczyny.

— Dobra nasza — ucieszył się bosman. — Wygarniemy ich z gniazda jak młode szpaki.

Pałący Promień i wszyscy inni wojownicy postanowili dokładnie poznać teren działań wojennych przed zapadnięciem ciemności. Kolejno czynili obserwacje życia w pueblu. Oprócz Tomka, bosmana, Pałącego Promienia i Przeciętej Twarzy, wódz wybrał jeszcze czterech młodych, silnych i odważnych Indian, których zadaniem było wzięcie do niewoli wodza Zuni. Reszta z wodzami Długie Oczy i Chytrym Lisem miała jeszcze przed świtem okrążyć osiedle i w ten sposób uniemożliwić jego mieszkańcom ewentualną ucieczkę.

Z wolna zapadał zmierzch. Nad skalnym cyplem pokazały się pierwsze gwiazdy, potem wypłynął zza gór srebrzysty księżyc w pełni, który majestatycznie żeglował ponad stepem. Życie skalnego osiedla cichło coraz bardziej, aż w końcu wokół zapanowała nocna cisza.

Pełen niepokoju nastrój mimo woli ogarnął Tomka. Indianie z przysłowiową indiańską

cierpliwością w milczeniu spoczywali obok niego, a bosman, jak zwykle niefrasobliwy i pozbawiony uczucia lęku, pochrapywał w najlepsze. Już trzeci raz na najniższym tarasie puebla zmieniała się warta.

Tomek miał wątpliwości, czy ryzykowny plan da się zrealizować. Bo cóż się stanie, jeżeli któryś z wartowników na dolnej platformie spojrzy w górę w czasie, gdy ze skalnego cypla zaczną się opuszczać na linie? Oczywiście wtedy nie uda im się zaskoczyć wodza, a ostrzeżeni Pueblosi będą jeszcze czujniejsi. Jaki los czeka wówczas kochaną Sally?

Na szczęście wszystko na tym świecie ma swój początek i koniec, więc i niepokój Tomka rozwiązał się natychmiast, gdy nadeszła tak niecierpliwie oczekiwana chwila działania.

Oto Czarna Błyskawica spojrział w niebo, potem odwrócił się w kierunku puebla i obrzuciwszy je czujnym wzrokiem, cicho powstał. Był to najodpowiedniejszy moment do akcji, księżyc zniknął już bowiem za górami i cały skalny cypel tonął w mroku. Przygotowano linę.

Tomek trącił bosmana. Marynarz drgnął, otworzył oczy. — Czy to już...? — zapytał.

Czarna Błyskawica skinął znacząco i przyłożył palec do ust. Zrozumieli, że nakazywał milczenie.

Ruchem ręki przywołał Pałacy Promień. Ten pojął od razu, że Czarna Błyskawica wyróżnił go wśród tylu dzielnych i nieustraszonych wojowników. Szybko przełożył karabin przez plecy, a przytrzymujący go rzemień mocno ściągnął na piersiach. Nóż i tomahawk wsunął za szeroki pas okalający biodra, był gotów. Bosman i czterej Indianie mocno ujęli linę. Wolno opuszczano ją w przepaść.

Czarna Błyskawica wyjrzał poza urwisko. Tomek wątpił, czy wódz zdoła cokolwiek ujrzeć w ciemności, lecz w pewnym momencie dał znak, by już więcej nie opuszczano liny.

Pałacy Promień bez słowa usiadł na ziemi, spuścił nogi w przepaść. Pewnie ujął linę i znikł w czarnej czeluści. Mijały sekundy... Pozostali na platformie pilnie wpatrywali się w naprężony sznur. Naraz lina zwisała luźno. Dwukrotne lekkie szarpnięcie oznaczało, że Pałacy Promień znajduje się już w pueblu. Czarna Błyskawica wskazał na Tomka.

Chłopiec zarzucił na ramię sztucer, ujął oburącz linę, usiadł na ziemi i wolno zsunął się z krawędzi. Teraz piersiami odwrócił się do skalnego bloku. Stopami odpychał się od stromego urwiska opuszczając się na rękach w dół. Po chwili zawisł w powietrzu między niebem a ziemią. Silny nad wiek, sprawnie zsuwał się po linie. Niebawem w mroku zamajaczyły mu białe kontury domów. Wkrótce dotknął stopami płaskiego dachu budowli. Dwukrotnie szarpnął linę, po czym położył się obok Pałacego Promienia.

Z kolei pojawił się Czarna Błyskawica, po nim Przecięta Twarz i jeszcze dwóch innych czerwonoskórych. Bosman z dwoma Indianami pozostali na skalnym cyplu i stamtąd, gdyby zaszła konieczność, mieli razić z karabinów mieszkańców puebla.

Na znak Czarnej Błyskawicy, kolejno opuszczali się z płaskiego dachu na taras. Dom

wodzina znajdował się na najwyższym piętrze puebla. Z tego też względu do jego wnętrza prowadził z tarasu normalny otwór drzwiowy, osłonięty jedynie grubym kocem. Czarna Błyskawica i Pałacy Promień pierwsi podkradli się doń, tuż za nimi przyczał się Tomek. Czarna Błyskawica mową znaków wskazał jednemu z Indian opuszczoną na niższe piętro drabinę. Dopiero teraz ostrożnie uchylił zasłony.

Wewnątrz domku żarzyło się ognisko. W jego mdłym odbłasku ujrzeli śpiących mieszkańców. Byli to trzej mężczyźni i trzy kobiety. Czarna Błyskawica szybko powzięła decyzję. Gestami wydawał rozkazy. Pałacy Promień z bronią gotową do strzału miał tarasować drzwi. Tomek wraz z jednym czerwonoskórym otrzymał rozkaz unieszkodliwienia starej Puebloski, podczas gdy dwaj następnii Indianie mieli się zaopiekować śpiącą na prawo od wejścia dziewczyną. Trzecią kobietę wziął na siebie sam Czarna Błyskawica. W tym czasie Pałacy Promień powinien bronią szachować mężczyzn, gdyby się przypadkiem zbudzili.

Jednocześnie ruszyli ku śpiącym. Bezszelestnie zbliżyli się do posłań na matach. Indianin szarpnął koc, narzucił go na głowę Puebloski, podczas gdy Tomek rzemieniami szybko związał jej ręce i nogi. Z kolei zakneblowali przerażonej dziewczynie usta i już było po wszystkim. Pozostałym towarzyszom również powiodło się doskonale. Trzy kobiety leżały skrępowane i przyduszone kocami.

Teraz po dwóch zaczęli się skradać w kierunku posłań mężczyzn. Indianie wyciągnęli zza pasów tomahawki. Dobycie broni przez czerwonoskórych nie przstraszyło Tomka, poznał już bowiem na tyle ich zwyczaje, iż wiedział, co to oznacza – obróconymi na płask tomahawkami ogłuszali swe ofiary lekkim uderzeniem w głowę. Widocznie przewidywali możliwość oporu ze strony Pueblosów.

Na palcach zbliżali się do posłań. W tej właśnie chwili mijali ognisko żarzące się na środku izby. Naraz coś ciężkiego zważyło się na dach domu. Cienka warstwa adoby stanowiąca pokrycie załamała się pod wpływem silnego uderzenia. Rozległ się głuchy trzask, łomot spadających kamieni i... na środku izby znalazło się olbrzymie cielsko bosmana. On to bowiem był sprawcą całego nieszczęścia.

Trudno się dziwić bosmanowi, że nie mógł się pogodzić z rolą wyznaczoną mu przez Czarną Błyskawicę. Podczas gdy Tomek walczył o wolność Sally, on miał spokojnie leżeć z karabinem gotowym do strzału na górze? Marynarz nie mógł się od razu sprzeciwić rozkazom Czarnej Błyskawicy, aby nie dawać złego przykładu, wszakże po kilku minutach, gdy sześciu towarzyszy znalazło się już w pueblu, polecił pozostałym z nim Indianom trzymać linę i odważnie opuścił się w przepaść. Z początku wszystko szło jak najlepiej. Jeszcze najwyżej dziesięć metrów dzieliło go od dachu domu, gdy naraz runął w dół. To dwaj Indianie, nie mogąc utrzymać tak znacznego ciężaru, puścili linę, aby nie stoczyć się ze skalnej platformy.

Bosman zachował się dzielnie. Nie krzyknął spadając jak kamień, nie jęknął, gdy razem z kupą gruzu wylądował na środku izby prosto w żarze ognia. Musiał jednak poczuć rozpalone węgle, ponieważ zerwał się szybciej niż skacze królik umykający w stepie przed kojotem. Ognisko przygasło, lecz mimo to bosman rozpoznał swoich. Zanim zaskoczeni

wypadkiem towarzysze ochłonęli, wyrznął pięścią w głowę wrzeszczącego wodza Zuni. Wielkie chłopisko ucichło natychmiast i zwało się na ziemię. Teraz rozgorzała krótka walka z jego obydwojoma synami, lecz i oni szybko ulegli napastnikom. Po chwili wszyscy już leżeli mocno skrępowani.

Czarna Błyskawica pozostawił w na pół zrujnowanej izbie Przeciętą Twarz przy jeńcach, sam zaś z resztą towarzyszy podążył na taras. Był już na to najwyższy czas. Wyrwani ze snu łomotem i krzykiem napadniętych, Pueblosi wybiegli z domostw z bronią w ręku. Kilku zamieszkałych piętro niżej już przystawiło drabinę do muru.

Czarna Błyskawica zdjął karabin z pleców i, nie przykładając go nawet do ramienia, nacisnął spust. Pueblos wdzierający się na stopnie drabiny runął na ziemię.

Głośne krzyki przerażenia odezwały się we wszystkich zakątkach puebla. Zuni przestraszeni czaili się na tarasach, nie mogąc zrozumieć, w jaki sposób wróg przedostał się do samego serca fortecy.

Na rozkaz Czarnej Błyskawicy Apacze i biali ukryli się za niskim ogrodzeniem obramowującym najwyższy taras, po czym jednocześnie wypalili z karabinów ponad głowami rozkrzyczanych Pueblosów. W odpowiedzi na salwę u stóp murów puebla rozległ się przeciągły okrzyk bojowy. To wodzowie Chytry Lis i Długie Oczy przychodzili z pomocą swym towarzyszom.

Z nastaniem świtu wielu Pueblosów z bronią w ręku próbowało zająć stanowiska obronne na najniższym dachu, lecz wtedy posypały się na nich strzały z sadyby wodza. Wszczęło się nieopisane zamieszanie, z którego właśnie Tomek zamierzał skorzystać. Razem z Czarną Błyskawicą wszedł do na pół zdemolowanego domku. Obydwaj zatrzymali się przed wodzem Zuni. Przeciętą Twarz odkneblował mu usta.

Wódz Pueblosów nie mógł zrozumieć, co się stało. W jaki sposób biali i Apacze wdarli się do jego domu? Czy oznaczało to, że pueblo bez walki zostało zdobyte? Wystraszonym wzrokiem spoglądał na stojących przed nim napastników.

— Usiądź, abyś mógł z nami godnie rozmawiać, jak przystało na wodza, chociaż nie jestem pewny, czy wart jesteś tego zaszczytu — dumnie odezwał się wódz Apaczów.

Zuni usiadł na posłaniu. Uspokoił się nieco ujrzawszy swą rodzinę skrępowaną powrozami. Skoro jeszcze żyli, to był dobry znak.

— Dlaczego napadliście na nasze pueblo? Czego od nas chcecie? — zaczął niepewnie. — Nie mamy już zapasów żywności. Wszystko zjedliśmy przez okres długotrwałej suszy.

Czarna Błyskawica nic nie odpowiedział. Długo mierzył Zuni pogardliwym spojrzeniem, aż w końcu rzekł:

— Masz odpowiadać tylko na pytania, parszywy psie pueblowski! Powiedz nam swoje imię, jeżeli w ogóle taki kiepski wódz może je mieć.

Ciemna twarz Zuni poszarzała pod wpływem tej obelgi. Opuścił głowę na piersi. Zrozumiał swoją bezsilność.

— Czy masz imię? — ostro zapytał Czarna Błyskawica.

— Moi bracia nazywają mnie Ma'kya, co w języku białych oznacza Łowca Orłów — ponuro odparł Zuni.

— Ciebie nazywają Łowcą Orłów? — roześmiał się Apacz. — Raczej powinieś polować na zające. Co to za wódz, który zgubił własne plemię! Możemy teraz zabić ciebie, twoich synów i twoje squaw. Uczynimy to również z wszystkimi Zuni, jeżeli nie podporządkujesz się naszej woli.

Ma'kya milczał. Nie miał przecież nic do powiedzenia. Wrogowie wzięli go do niewoli i prawdopodobnie zdobyli całe pueblo. Był na ich łasce, a czy można było spodziewać się litości od Apaczów?

Czarna Błyskawica z zadowoleniem patrzył na zgnębnego Zuni. Porozumiewawczo spojrział na Tomka. Grunt został przygotowany. Biały przyjaciel mógł rozpocząć pertraktacje.

— Czy zrozumiałeś już dostatecznie, że ty i twoi ludzie znajdujecie się teraz na naszej łasce? — zapytał Tomek.

Ma'kya nic nie odpowiedział, więc Tomek mówił dalej:

— Wzięliśmy do niewoli ciebie razem z rodziną. Możemy was zabić bądź darować wam życie. Nie zasługujecie jednak na litość i należy się wam surowa kara.

W tej chwili na platformie przed domem rozległy się strzały. Jednocześnie obiegający pueblo również rozpoczęli kanonadę. Czarna Błyskawica wybiegł z chaty. Niebawem wrócił i mrugnął nieznacznie do Tomka. Wszystko było w porządku.

— Tchórzliwi Pueblosi jak psy pochowali się do swych nor przed naszymi wojownikami — odezwał się pogardliwie.

Błysk zaciekawienia pojawił się w oczach Ma'kya. Co miały oznaczać te słowa? Czyżby pueblo nie było jeszcze w rękach wroga? W jaki wobec tego sposób Apacze znajdowali się w jego chacie?

— Ma'kya nie rozumie jeszcze, co się stało — rzekł Tomek, jakby w odpowiedzi na skryte myśli wodza Zuni. — Zaraz mu pokazemy, w jaką sytuację wpakował się przez podłość i głupotę.

Odwrócił się do Przeciętej Twarzy i rozkazał:

— Niech mój brat rozwiąże Ma'kya nogi!

Wyprowadził wodza Zuni na taras zalany promieniami wschodzącego słońca. Na widok Czarnej Błyskawicy i Tomka wojownicy u stóp puebla wydali przeraźliwy okrzyk bojowy. Ma'kya w dalszym ciągu nie mógł zrozumieć, w jaki sposób wzięto go do niewoli. Wróg znajdował się tylko na najwyższym piętrze i otaczał jednocześnie osiedle, podczas gdy na pozostałych tarasach kryli się wystraszeni Pueblosi.

Z powrotem wprowadzili Ma'kya do chaty i związali mu nogi.

— Czego ode mnie chcecie? — zapytał pokornie.

— Przybyliśmy, aby cię ukarać za napad na rancho szeryfa Allana i porwanie młodej białej squaw. Zależnie od tego, jak obchodziliście się z białą dziewczynką, potraktujemy was bardziej lub mniej surowo. Czy wiesz teraz, o co chodzi? — odpowiedział Tomek.

Wyraz ulgi ukazał się na twarzy Ma'kya. Widząc to Tomek odetchnął pełną piersią. Był to przecież widomy znak, że Sally nie stała się krzywdą.

— Skąd możecie wiedzieć, że to my właśnie porwaliśmy białą squaw? — chytrze zapytał Ma'kya.

— Gdybyśmy nawet wczoraj nie widzieli jej spacerującej po dolnym tarasie, to twoje naiwne pytanie powiedziałoby nam teraz całą prawdę — odparł Tomek. — Każ w tej chwili przyprowadzić ją tutaj albo zginiesz, jak na to zasługujesz!

Czarna Błyskawica zbliżył się do Zuni. Wolno wy dobył długi nóż. Lewą dłonią chwycił przerażonego jeńca za włosy, prawą przyłożył ostrze do czoła.

— Spiesz się albo zedrę ci skalp, a dopiero potem pchnę nożem — groźnie warknął Apacz.

Ma'kya trząśł się ze strachu. Z trudem zapytał:

— Czy zostawicie nas w spokoju, jeśli wydamy wam białą squaw?

— Biała squaw sama o tym zadecyduje — odparł Tomek.

— Dobrze, rozwiążcie mnie, abym mógł po nią pójść.

— Omyliłeś się, sądząc, że jesteśmy tak niemądrzy jak ty — gniewnie powiedział Tomek. — Twoja najmłodsza córka pójdzie ze mną po białą squaw, lecz pamiętaj, że ty i twoi synowie jesteście zakładnikami. W razie zdrady zginiecie natychmiast!

— Dobrze, dobrze, niech tak będzie, jak mówisz.

Czarna Błyskawica zmarszczył brwi słysząc słowa białego przyjaciela, lecz nie chciał oponować. Przecież to Nah'tah ni yez'zi ułożył cały plan działania.

Pochylił się nad Ma'kya, chwycił go za kark i wywłókł na taras. Inni Apacze uczynili to samo z jego synami, żoną i córkami. Tomek przeciął więzy najmłodszej Indiance. Z kolei Ma'kya polecił jej udać się z Tomkiem po brankę. Zanim Czarna Błyskawica pozwolił im zejść do Sally, Ma'kya głośno musiał oznajmić Pueblosom swą wolę.

Tomek odważnie schodził po drabinie na niższy taras. Z rewolwerem w dłoni prowadził przed sobą córkę wodza. Wojownicy na stepie krzyknęli donośnie, jakby zrozumieli, że w tej właśnie chwili należy przerazić Pueblosów.

Tomek drżał z niecierpliwości. W ostatniej chwili postanowił sam pójść po Sally, ponieważ każda chwila oczekiwania wydawała mu się wiecznością. Czy postąpił roztropnie? Za późno było na refleksje.

Szedł więc stanowczym krokiem, chociaż dziesiątki par rozgniewanych oczu śledziło

każdy jego ruch.

Byli już na najniższym tarasie. Naraz Tomek powziął jakąś myśl. Odwrócił się do swych towarzyszy na szczycie puebla i zawołał po polsku do bosmana:

— Zakneblujcie jeńcowi usta!

Teraz bez wahania wsunął się w ciemny otwór dachu wiodący do podziemnych kivas. Kilkunastu uzbrojonych Pueblosów zaraz otoczyło go zwartym kołem. Wylękniona córka wodza wyjawiała im wolę ojca. W ponurym milczeniu poprowadzili ich w głąb podziemia.

Przez zamaskowane w skale otwory wpadało tu nieco dziennego światła, które mieszało się z czerwonym odbłaskiem żaru ognisk. Indianie przywiedli Tomka przed osłonięte wzorzystym kocem drzwi.

— Tutaj jest biała squaw — powiedziała córka wodza.

Tomek odsunął zasłonę. Ujrzał plecy Indianki, która przykucnąwszy na ziemi z ożywieniem tłumaczyła coś towarzyszce siedzącej na matach.

— Sally...! — zawołał Tomek zdławionym głosem.

Indianka odwróciła się, odsłaniając jednocześnie białą dziewczynę. Była to naprawdę Sally.

Zdumionym i pełnym niedowierzania wzrokiem spoglądała na Tomka stojącego z rewolwerem w dłoni w drzwiach.

— Tommy, Tommy... — szepnęła zaledwie, jakby jeszcze nie dowierzała własnym oczom.

Do głębi wzruszony chłopiec nie mógł wymówić ani słowa. Przed nim znajdowała się Sally, za którą tak bardzo tęsknił i której omal nie stracił na zawsze... Wyciągnął więc tylko do niej lewą dłoń, a dziewczyna, gdy w końcu zrozumiała, że to naprawdę jej Tommy przybył tu po nią, porwała się jak szalona na równe nogi, skoczyła ku niemu i objęła go drżącymi ze wzruszenia ramionami.

Pueblosi onieśmieleni, a może i przejęci niezwykłą sceną, cofnęli się nieznacznie. Tymczasem dzielny biały chłopiec mężnie pokonał własne wzruszenie. Sytuacja była niebezpieczna i najmniejsza nieostrożność mogła spowodować nieobliczalne następstwa.

Przyjrzał się Sally. Przybladła trochę, lecz mimo to wyglądała zupełnie zdrowo.

— Czy nie stała ci się jakaś krzywda? — zapytał, z trudem tłumiąc radość.

— Nie, nie, Tommy! Powiedz mi, co z mamą i stryjem? Czy...

— Zdrowi są i tęsknią za tobą — odparł szybko, widząc, że dziewczyna rozplacze się za chwilę.

— Czy... naprawdę?

— Sally, czy mógłbym cię okłamywać?

— Kiedy mnie porwali, słyszałam strzały i odgłosy walki na ranczo... Mama była w sadzie...

— To właśnie ją uratowało. Gdy przybiegła, było już po wszystkim. Stryjek był ranny, ale powoli przychodzi do zdrowia.

— Słowo honoru?

— Oczywiście... Później wszystko ci opowiem. Musisz być teraz nadal dzielna. Napadliśmy z bosmanem i przyjaciółmi na pueblo, aby cię uwolnić. Podczas gdy ja przyszedłem po ciebie, oni trzymają w szachu wodza Zuni jako zakładnika. Chodźmy prędko! Kto wie, co może się zdarzyć...

Po kilku minutach znaleźli się na najniższym tarasie. Tomek nie miał zamiaru przedłużyć pobytu Sally w skalnym osiedlu. Odwrócił się do Pueblosów, którzy wyszli za nimi z kivas i rozkazał stanowczym głosem:

— Opuść drabinę!

Zawahali się. U stóp puebla znajdowała się wataha Apaczów i Nawajów. Czy nie skorzystają z okazji i nie wędrują do osiedla? Tomek wolno uniósł rewolwer.

— Liczę do trzech. Na mój znak zginie wasz wódz i jego rodzina! Teraz Pueblosi pospiesznie wykonali rozkaz, a wódz, mając zakneblowane usta, nie mógł zaproponować.

Zaledwie Sally stanęła na drabinie, rozległo się chrapliwe szczekanie Dinga trzymanego na uwięzi przez Czerwonego Orła.

Tomek z bronią w ręku nie ruszał się z miejsca, a tymczasem Czarna Błyskawica widząc, iż Nah'tah ni yez'zi znów zmienił plan, już schodził niżej prowadząc przed sobą Ma'kya. Za nim szli bosman i inni Indianie. Niebawem byli przy Tomku.

— Słuchaj, Ma'kya — odezwał się Tomek. — Traktowaliście dobrze białą squaw, więc dotrzemy słowa i zostawimy was w spokoju. Musisz mi jednak powiedzieć, dlaczego napadliście na ranczo szeryfa Allana i porwali białą squaw.

Ma'kya już pozbył się obaw. Apacz własnym nożem przeciął więzy jego squaw, uwolnił synów, a i on sam nie był teraz skrepowany. Nic mu nie groziło, skoro spełnił żądanie napastników. Odrzekł szczerze:

— Don Pedro namówił nas do wszystkiego. On pożyczył nam dużo kukurydzy podczas suszy, a potem zażądał, abyśmy zdobyli dla niego mustanga, który wygrał wyścig na rodeo. Ponieważ szeryf nie chciał sprzedać konia i darował go białej squaw, więc Don Pedro kazał ją porwać, aby potem zwrócić dziewczynę w zamian za wierzchowca.

— Co ty pleciesz, kłamczuchu? Nic z tego, co mówisz, nie rozumiem — rozgniewał się bosman. — Kogo Don Pedro kazał wam porwać? Konia czy dziewczynę?

— Zaraz, zaraz! Wiem, o co chodzi! — zawołał Tomek. — Gdyby Don Pedro nie miał aktu sprzedaży, nie mógłby zgłaszać Nil'chi na wyścigi do Stanów! Za zwrócenie Sally chciał wymusić na szeryfie oficjalną sprzedaż.

- Tak, tak! Tak, właśnie chciał uczynić — gorąco zapewniał Ma'kya.
- No, czort z nim, dostał za swoje — rzekł bosman. — Ruszajmy!

W DRODZE DO VERA CRUZ

Apacze sprowadzili konie pod mury puebla. Tomek właśnie ujął cugle Nil'chi, gdy naraz zza pobliskiego zakrętu wypadła gromada jeźdźców na mustangach. Ujrzawszy Apaczów, wrzasnęli przeraźliwie i runęli na nich jak burza.

W mgnieniu oka rozgorzała straszliwa walka. Byli to vaquerzy[53] zatrudnieni na rancho Don Pedra oraz pomoc pośpiesznie ściągnięta od sąsiadów. Pogoń prowadzili uwolnieni kilka dni temu na interwencję Tomka dwaj Metysi. Wiedzieli przecież, o co chodziło Apaczom, więc też z łatwością domyślili się, gdzie należało ich szukać. Pragnęli pomścić śmierć Meksykanina i zniszczenie rancho.

Zaskoczeni Apacze i Nawajowie w pierwszej chwili poszli w rozsypkę; kiedy jednak spostrzegli, z kim mają do czynienia, mimo liczebnej przewagi wroga rzucili się w wir walki.

Czarna Błyskawica pierwszy dojrzał obydwóch niedawnych jeńców. Ogarnęła go wściekłość. Wskoczył na swego mustanga. Z tomahawkiem w dłoni rzucił się na Metysów. Zaraz też jeden z nich runął śmiertelnie ugodzony. Czarna Błyskawica dopadł drugiego. Błyszczący topór śmignął w powietrzu. Wtem mustang jego potknął się i razem z jeźdźcem potoczył się na ziemię. Apacze z okropnym wyciem skoczyli na pomoc. Kłębowisko ludzi i mustangów przewaliło się pod mury puebla.

Bosman walczył z najwyższą pasją. Teraz zorientował się, że walka przybiera dla nich coraz bardziej niepomysłny obrót, pobiegł więc do Tomka osłaniającego Sally i zawołał:

— Skacz na Nil'chi i umykaj z dziewczyną!

Tomek zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia. Mieszkańcy puebla mogli uderzyć z drugiej strony i z łatwością przyczynić się do pogromu. Ponadto stronnicy Don Pedra byli znacznie liczniejsi.

— Prędeż, do licha! Nie widzisz co się dzieje? — wrzasnął bosman. — Prędeż! Zgubisz dziewczynę!

Nowa grupa jeźdźców gnała prosto na nich. Tomek przygryzł wargi. Wskoczył na Nil'chi. Szybko pochylił się, ogarnął Sally ramieniem, posadził ją przed sobą i krzyknął:

— Nil'chi.

Klacz z miejsca ruszyła galopem. Kilku vaquerów odłączyło się od bandy i gnało za nimi. Tomek dobył rewolweru. Odwrócił się, dwukrotnie nacisnął spust. Jeden jeździec chwycił się za ramię, zaraz też wstrzymał konia. Inni popędzili dalej za Tomkiem, lecz Nil'chi dopiero nabierała rozpędu. Pościg zostawał coraz dalej za nimi.

W pierwszej chwili Tomek nie zastanawiał się, dokąd mają uciekać. Teraz dopiero, gdy ucichł gwar bitewny, uważnie rozejrzał się po okolicy. Zaraz też skierował Nil'chi ku północy w kierunku granicy.

— Tommy, tak bardzo się boję o pana bosmana, Czarną Błyskawicę i wszystkich

Apaczów — rzekła Sally i rozplakała się.

— Ja też się o nich boję.

— To dlaczego sami się ratujemy, a ich zostawiamy?

— Nigdy bym w potrzebie nie opuścił przyjaciół, gdyby nie chodziło o ciebie — odparł Tomek.

Nagle w niewielkiej odległości przed nimi wyłoniła się kawalkada jeźdźców. Tomek przyhamował Nil'chi. Czyżby to byli Meksykanie? Na szczęście Sally odwrócona twarzą do niego i cała zapłakana nie mogła spostrzec nowego niebezpieczeństwa.

— To wszystko przeze mnie... — żaliła się. — Tylu dzielnych ludzi naraża dla mnie życie, a ja... nic nie mogę... pomóc.

— Teraz musimy myśleć o czym innym. Twoja matka umarłaby z żalości, gdybyś zginęła — pocieszał ją Tomek, starając się przebić wzrokiem tumany pyłu. Już miał zawrócić klacz na wschód, gdy lekki wiatr rozwiął kurzawę. Tomek ujrzał wyraźnie duże, popielate kapelusze pilśniowe, granatowe mundury i połyskującą w słońcu broń. To byli żołnierze. Jechali trójkami. Środkowy jeździec w pierwszym szeregu trzymał proporzec.

— Gwiazdzisty sztandar! To amerykańska kawaleria! — wrzasnął Tomek.

Zanim Sally zorientowała się w sytuacji, już kawalerzyści otaczali ich kołem.

— Hallo, young man! — wołano zewsząd.

— Tommy, cóż to za panienka? — żywo zapytał kapitan Morton podjeżdżając do Tomka. Właśnie na rozkaz gubernatora Nowego Meksyku urządził wypad wywiadowczy i nieoczekiwanie napotkał Tomka z Sally już niemal uznaną za zaginioną.

— Opatrzność chyba was zesłała! — pospiesznie krzyknął Tomek. — Odnależliśmy Sally Allan. Porwali ją Pueblosi namówieni przez Don Pedra. Na nieszczęście podczas rozprawy Don Pedro został zabity. Później wszystko wytłumaczę, lecz teraz musimy spieszyć na pomoc, ponieważ mój przyjaciel, bosman Nowicki, i nasi sojusznicy, Indianie, którzy pomogli nam odbić Sally, toczą walkę z przeważającą bandą vaquerów Don Pedra. Polegną wszyscy, jeśli nie przybędziemy im z pomocą. Mnie bosman kazał ratować Sally...

— Panie kapitanie, kochani, kochani, ratujcie bosmana, Czarną Błyskawicę i dzielnych Apaczów... — zawołała Sally, na nowo wybuchając głośnym, żalonym płaczem.

— Cóż ty mówisz, śliczna panienko? Czarna Błyskawica? — zdumiał się Morton.

— Ratujcie, ratujcie ich! — szlochała Sally.

Morton szeroko otwierał zdumione oczy, lecz jako wytrawny żołnierz pogranicza nie tracił czasu na wyjaśnienia.

— Gdzie toczy się bitwa? — zapytał krótko.

— Przy pueblu Zuni — wyjaśnił Tomek. — Wskażę drogę!

— Naprzód co koń wyskoczy! — krzyknął Morton, uderzając wierzchowca ostrogami.

Oddział kawalerzystów pomknął z szybkością wiatru. W pełnym biegu rozwinęli się w szereg. Na przedzie, tuż obok Mortona i Tomka, gnał kawalerzysta z proporcem Stanów Zjednoczonych. Wkrótce usłyszeli odgłosy walki.

Morton wydał rozkaz. Odezwał się głos trąbki wzywający do ataku.

Tomek przeraził się, gdy ujrzał swych towarzyszy w opłakanym stanie. Dzielni Apacze i Nawajowie bronili się na pagórku przy pueblu. Vaquerzy zasypywali ich gradem kul. Gdyby nie odsiecz, wyginęliby co do jednego.

Kawalerzyści jak huragan przetoczyli się po vaquerach. Teraz z okrzykiem trwogi Meksykanie uciekali w kaktusowe chaszczce. Kapitan Morton pognał za nimi ze swymi żołnierzami, podczas gdy Tomek i Sally pozostali przy przyjaciółach. Bosman i sprzymierzeni Indianie, będąc u kresu sił, jeszcze nie mogli uwierzyć, że to Nah'tah ni yez'zi w ostatniej chwili sprowadził pomoc.

Pierwszy ochłonął bosman. Wyglądał jak demon zniszczenia. Twarz, pierś i całe ciało osmalone miał ogniem, od stóp do głów zbryzgany był krwią. W prawej dłoni trzymał ciężki tomahawk. Wolno zbliżył się do Tomka i Sally przerażonych jego wyglądem.

— A to nas przyparli do muru! — odezwał się ciężko dysząc. — W sam czas przybyliście z pomocą, nie ma co mówić...

Zaczęto znosić rannych i zabitych. Kilku dzielnych wojowników nie dawało już znaku życia. Zaraz na początku bitwy poległ mężny wódz Długie Oczy ratując Czarną Błyskawicę. Obok niego leżał na ziemi Przecięta Twarz i inni. Czerwony Orzeł i Pałacy Promień w milczeniu pochylali się na ciężko rannym Czarną Błyskawicą. Sally i Tomek przypadli doń do głębi przejęci. Chociaż nie stracił jeszcze przytomności, od razu widać było, że to jego ostatnie chwile.

Kawalerzyści całą gromadą wracali z pościgu. Kapitan Morton zeskoczył z konia. Przystanął przy konającym wodzu obok Tomka i klęczącej zapłakanej Sally.

Czarna Błyskawica długo spoglądał na swego białego przyjaciela Nah'tah ni yez'zi. Na zawsze pozostanie tajemnicą, o czym wówczas rozmyślał ten groźny wódz rewolucjonistów, który poprzysiągł śmierć wszystkim najeźdźcom, a teraz oddawał życie w obronie białego przyjaciela i białej dziewczyny — Białej Róży. Tak oto kończył się jego sen o wolności Indian...

Tomek przyklęknął przy wodzu. Bardzo ostrożnie ujął jego już stygnącą dłoń. Czarna Błyskawica lekko się uśmiechnął.

— Topór... dla wrogów, serce dla... przyjaciół — wyszeptał.

Tomek nawet nie usiłował ukryć łez płynących po twarzy.

— Wybacz mi, jeśli możesz, Czarna Błyskawico. Przyjaźń nasza nie przyniosła ci szczęścia...

— Nie mów tak, *Nah'tah ni yez'zi*... — szepnęła Indianin zamierającym głosem. — Prawdziwa... przyjaźń... to skarb...

Głowa jego bezwładnie opadła na kolana Czerwonego Orła. Duch wielkiego, szlachetnego Indianina rozpoczął wędrówkę do Krainy Wiecznych Łowów. Teraz dopiero naprawdę odzyskał utraconą wolność.

Kapitan Morton zdjął kapelusz. Stał z opuszczoną na piersi głową. Nikt nie dowiedział się, o czym rozmyślał ten nieprzejednany wróg czerwonoskórych. Musiały to być niewesołe myśli. Twarz jego zasepiła się ponuro. Kawalerzyści odkryli głowy.

Palący Promień zaczął nucić wojenną pieśń Apaczów...

Po pamiętnej bitwie w pobliżu puebla Zuni, w domu szeryfa Allana odbyła się ważna narada. Napad i zniszczenie ranczo Don Pedra poruszyły umysły przeciwników Indian.

Dzięki wpływom ogólnie szanowanego szeryfa śledztwo zawisło na jakiś czas w próżni, lecz niektórzy ranczerzy domagali się zwołania specjalnej komisji w celu rozpatrzenia całej sprawy.

W takiej sytuacji dalszy pobyt krewkich Polaków w Stanach Zjednoczonych był jak najmniej pożądany. Rozsądny szeryf doradzał im drogę powrotną przez Meksyk. Pani Allan natychmiast zgodziła się na ten projekt, a obydwaj przyjaciele uznali to również za najlepsze wyjście z kłopotliwej sytuacji.

Nie tylko oni dwaj byli zagrożeni. Główne ostrze ataku kierowało się przeciwko Indianom ukrywającym się na terytorium Meksyku. Mieszkańcy tajemniczego kanionu byli teraz zmuszeni pomyśleć o swym bezpieczeństwie, toteż na naradę zaproszono wodza Chytrego Lisa i Palący Promień.

Chytry Lis okazał dużo dobrej woli i rozsądku. Gdy szeryf głowił się, w jaki sposób mógłby pomóc czerwonoskórym przyjaciołom, wódz zapytał Tomka, czy w dalszym ciągu ma zamiar zwerbować grupę Indian na wyjazd do Europy. Gdy otrzymał potwierdzającą odpowiedź, rzekł:

— Wobec tego wojownicy, którzy brali udział w bitwie, pojedą z Nah'tah ni yez'zi i Grzmiącą Pięścią do Europy. Ugh!

W ten sposób ostatnia trudność została rozwiązana. Nah'tah ni yez'zi zapewnił Apaczów, że nie będą musieli nosić ubrań białych ludzi. Nakłaniał ich nawet do zabrania całego dobytku ze starymi tipi włącznie. Szeryf ofiarował Indianom doskonałe mustangi — mieli się przecież popisywać w Europie brawurową jazdą oraz tresurą koni.

Tylko jeden Palący Promień był milczący i smutny. Śmierć nie była dla niego tak łaskawa jak dla Czarnej Błyskawicy. Teraz miał cichą nadzieję, że wyzwany swego czasu na pojedynek Grzmiąca Pięść skróci jego nędzny żywot. Bosman, jakby wyczuł nastrój małego wodza, zbliżył się doń i rzekł:

— Radzę ci jechać z nami, brachu. Czemu zwieszasz nos na kwintę?

— Czy Grzmiąca Pięść zapomniał już, że wyzwalem go do walki na śmierć i życie? — zapytał Palący Promień.

— Iii, kto by tam takie drobiazgi pamiętał — wesoło odparł bosman. — Ramię przy

ramieniu walczyliśmy z Pueblosami, a teraz miałbym szlachtować cię, jak... — W ostatniej chwili zorientował się, iż byłby palnął głupstwo, więc szukał właściwego słowa. W końcu dodał: — Niedźwiedzia?

Odwaga bosmana podczas bitwy zjednała mu wielki szacunek wśród Indian. Pałacy Promień wiedział, że nie może sprostać mu siłą. Wolał jednak odważnie zginąć, niż żegnać Skalny Kwiat jako narzeczoną białego człowieka.

Tymczasem marynarz daleki był od krwiożerczych myśli. Klepnął Indianina poufale w ramię i rzekł:

— Na wieczną między nami zgodę chcę ci uczynić pewną propozycję. Zaprosz mnie na drużbę na swoje wesele ze Skalnym Kwiatem. No co, zgoda?

— Przecież ona ciebie wybrała...

— Kiepski jesteś, Pałacy Promieniu! To jej szlachetny tatuś w ten sposób ocalił moją czuprynę. Ona kocha tylko ciebie!

W zagubionym wśród kaktusowej głuszy kanionie, na rusztowaniu wzniesionym ze ściętych drzew spoczywał w napowietrznej mogile wódz Apaczów i Nawajów — Czarna Błyskawica. W pobliżu niego pochowani byli również wódz Długie Oczy i wszyscy wojownicy polegli w walce pod pueblem Zuni.

Nie opodal mogiły wodza stała trójka białych przyjaciół. Byli to: Sally, Tomek i bosman. Po raz ostatni przyszli go pożegnać.

Tomkowi wydawało się, że bohaterska śmierć na polu walki była dla tego dumnego Indianina jedynym wybawieniem przed niesprawiedliwością na ziemi. Przecież marzenia Czarnej Błyskawicy nie mogły się urzeczywistnić. Jego dzieje i jego epoka należały już do przeszłości. Rezerwy były zbyt ciasne dla wodza łaknącego prawdziwej wolności, o którą walka z góry skazana była na niepowodzenie.

— No, czas już na nas — odezwał się bosman spoglądając na Sally i Tomka.

— Czas już na nas — jak echo powtórzył Tomek.

Jeszcze raz obrzucił smutnym spojrzeniem mogiłę Czarnej Błyskawicy i sąsiednie groby Apaczów.

Sally delikatnym ruchem ujęła go pod ramię. Podeszli ku wierzchowcom. Bosman pomógł Sally dosiąść konia, po czym udali się w dół kanionu. Wkrótce znaleźli się w gromadce Indian przygotowanych już do drogi.

Dążyli wprost ku najbliższej stacji kolejowej, skąd razem z panią Allan mieli udać się pociągiem do portu Vera Cruz.

Bosman przynaglił konia. Niebawem zbliżył się do Sally i Tomka. Przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Jeżeli tylko czas pozwoli, to zwiedzimy Meksyk, stolicę tego kraju — mówił Tomek.

— Chciałbym obejrzeć sławne muzeum starożytności. Nie masz Sally, pojęcia, ile tam

ciekawych zabytków. Ponadto stolica Meksyku jest położona najwyżej z wielkich miast i stolic na całym świecie...

— Chłopak znów zaczął po swojemu — mruknął bosman. — Hm, ale ta mała mimo to wpatruje się w niego jak sroka w gnat! Ładna z nich parka, nie ma co mówić!

Przypisy

[1] Rezerwaty — terytoria wydzielane przez europejskich kolonizatorów krajowcom w Ameryce Północnej i Południowej, w Afryce i Australii. W Stanach Zjednoczonych proces wypierania Indian z terenów wschodnich, najbardziej urodzajnych, zapoczątkowany został na przełomie XVIII i XIX w. Prezydent Jefferson postulował usunięcie wszystkich Indian z terenów na wschód od Missisipi, a jego następcy prowadzili podobną politykę. W 1763 r. Kongres zatwierdził wreszcie utworzenie Indiańskiego Kraju (Indian Territory), obejmującego tereny dzisiejszych stanów Oklahoma, Kansas, Nebraska, Dakota Północna i Południowa. Na mocy tej ustawy obszary na zachód od Missisipi miały być oddane na wieki pięciu tzw. cywilizowanym narodom; Czikasawom, Czirokezom, Kri, Seminolom i Czoktawcom. Przymusowe przenoszenie Indian pół-osiadłych, rolniczych na obszary często wrogich im plemion koczowniczo-myśliwskich powodowało ostre walki między plemienne i przyniosło wiele ofiar. W Traverse des Sioux w 1851 r. wymuszono na Saniee Dakotach zrzeczenie się części ziem. W tym samym czasie w Forcie La Ramie plemiona Równin Wewnętrznych pod naciskiem rządu przyrzekły nie napadać na emigrantów na Szlaku Oregoniskim i uznały prawo rządu do budowania dróg i fortów wzdłuż Szlaku w Indiańskim Kraju. Po tym złamaniu zasady nienaruszalności Kraju szybko następowały dalsze ograniczenia popierane użyciem siły. Coraz mniej ziemi zostawiano Indianom, aż w 1907 r. wszystkie plemiona osadzono w rezerwatach.

[2] Nowy Meksyk — kraina Indian. Ziemia odkryta w 1539 r. przez Marcowa de Niza i badana przez ekspedycję Coronada. Po 1821 r. Nowy Meksyk słał się prowincja niepodległego Meksyku. Na mocy traktatu Guadalupe Hidalgo z 1848 r., kończącego wojnę Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi, prowincja ta została włączona do USA jako terytorium obejmujące Arizonę i część Kolorado, i 1912 r. terytorium Nowy Meksyk wstąpiło jako stan do Unii Stanów Zjednoczonych. Podczas pobytu Tomka na pograniczu amerykańsko-meksykańskim jeszcze trwały niepokoje i wzajemne napady.

[3] Przygody Tomka podczas poprzednich wypraw opisane zostały w powieściach. Tomek w krainie kangurów i Tomek na Czarnym Łądzie.

[4] Daleki Dziki Zachód (Far Wild West) — nazwa terytoriów znajdujących się w zachodniej części Stanów Zjednoczonych A. P., pochodząca z okresu, kiedy ziemie te przeważnie zamieszkiwali wojowniczy Indianie.

[5] Siedzacy Byk (Silling Bull) i Czerwona Chmura (Red Cloud) byli wodzami szczepu Siuksów (Sioux); natomiast Cochise i Gerommo przewodzili szczepom Apaczów (Apache)

[6] Dr Emil Dunikowski, profesor lwowskiego uniwersytetu, przy końcu XIX w. przedsiębrał naukowe podróże do Sianów Zjednoczonych i Meksyku. Przewędrował Siany Zjednoczone ze wschodu na zachód; przebywał w Górach Skalistych, Nowym Meksyku i Arizonie. Przeżywał niezwykle przygody wśród Indian i poszukiwaczy złota, a gdzie tylko zetknął się z polskimi emigrantami, wiek opowiadał im o odległej Ojczyźnie. Razem z Polakiem Witoldem Szyszłą zapuścił się daleko na trzęsawiska Florydy zamieszkałe przez Indian Seininólów. Dunikowski przemierzył Meksyk wszerz i wzdłuż, czyniąc wszędzie

ciekawe spostrzeżenia. Później napisał szereg interesujących książek, a między innymi: *Meksyk i szkice z podróży po Amerycei Od Atlantyku poza Góry Skaliste*

[7] Squaw — po indiańsku kobieta

[8] Jankes (z ang. *Yankee*) — nazwa nadawana w Stanach Zjednoczonych początkowo mieszkańcom Nowej Anglii (sześciu północno-wschodnich stanów USA), później, w okresie wojny secesyjnej (1861-1865), południowcy nazywali tak swoich przeciwników z północnych stanów: w Europie natomiast od pierwszej wojny światowej nazywano tak wszystkich białych Amerykanów.

[9] Manitu — Wielki Duch, indiański odpowiednik chrześcijańskiego Boga.

[10] Zwycięska dla połączonych sił Dakotów, Szejenów i Arapahów bitwa nad Little Bighorn została stoczona 25 VI 1876 r. Zginął w niej dowódca Siódmego Pułku Kawalerii, pułkownik George Custer oraz cały bezpośrednio przez niego dowodzony batalion.

[11] Fort Marion — nazwa używana w latach 1825-1942. W 1942 r. Kongres przywrócił Fortowi Marion jego pierwotną nazwę Castillo de San Marcos. Jest to stary kamienny fort hiszpański założony na Florydzie w 1672 r. Od 1924 r. zaliczony do narodowych pomników USA.

[12] W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie Strzelecki przebywał w latach 1834-1835. Więcej wiadomości o Strzeleckim znajdzie czytelnik w powieści *Tomek w kramie kangurów*.

[13] Fort Moultrie leży w południowej części stanu Karolina.

[14] Tucson — miasteczko w południowo-wschodniej części stanu Arizona.

[15] Drzewo bawełniane — nazwa używana na określenie gatunków drzew strefy między-zwrotnikowej, jak puchowiec (*Ceiba*), serecznik (*Bombax*) i *Chorisia*, których owoce są pokryte włoskami lub nasionami podobnymi do bawełny.

[16] Korral (z hiszp. *corral*) — zagroda dla koni lub bydła.

[17] Wapiti (*Cervus elaphus canadensis*) — jeleni szlachetny, którego kilka odmian żyło dawniej w lasach strefy umiarkowanej w Ameryce Północnej. Pod względem wielkości wapiti zajmuje po łosiu drugie miejsce wśród zwierzyny płowej świata. Obecnie najliczniej występuje w Kanadzie.

[18] Karibu (*Rangifer tarandus caribu*) — renifer amerykański, podgatunek z rodziny jeleniowatych, zamieszkuje tundry i lasy północnej części Ameryki Północnej.

[19] Państwa te zostały całkowicie zniszczone przez Hiszpanów. W naszych czasach odkopano szereg doskonałych architektonicznie budowli z kamienia, olbrzymich piramid i dużych miast.

[20] Etnologia dzieli Indian Stanów Zjednoczonych na siedem grup: wschodnich Indian leśnych, południowo-wschodnich Indian leśnych, północno-zachodniego wybrzeża, kalifornijskich, południowo-zachodnich, zamieszkujących pas wyżyn i Indian żyjących na

równinach.

[21] Najbardziej znane plemiona Wielkich Równin to: Assiniboine, Black-foot (Czarne Stopy), Crow (Kruki), Cheyenne (Szejenowie), Gros Venire lub Atsena, Dakotowie-Teton, Yankton i Santee, Kiowa-Apache (Kiowa-Apacze), Comanche (Komancze). Plemiona, które mieszkały w osadach: Ankara, Hidatsa, Mandan, Omaha. Osage (Osagowie), Ponca, Pawnee (Paunisi), Oto, Iowa, Kansas, Missouri, Wichita.

[22] Adoba — rodzaj cegły, używanej przy budowie indiańskich domków.

[23] Zawiniątka ze świętymi przedmiotami (amuletami) — z ang. *sacred bundle* — święte zawiniątka, często zwane niewłaściwie przez białych *medicine bag* lub *medicine bundle* — woreczek z lekami. Niewłaściwe nazwy były skutkiem mylnego interpretowania pewnych czynności szamana, który badając chorego, między innymi dotykał jego ciała swoim zawiniątkiem ze świętymi przedmiotami. Wbrew mniemaniu białych, którzy sądzili, że szaman traktuje zawiniątka jako lek, był to tylko obrzęd magiczny: znajdujące się w zawiniątku talizmany, uważane za święte, miały odganiać złe moce i odczyniać uroki. Analogiczne znaczenie miało okadzanie chorego dymem ze świętej fajki, zwanej także mylnie *medicine pipe* — leczniczą fajką. Do leczenia chorych szamani, tak jak współcześni lekarze, stosowali skuteczne lekarstwa sporządzane z roślin i minerałów. W zawiniątkach Indianie przechowywali przedmioty uważane przez nich za święte, magiczne, wskazane im przez duchy w czasie snu lub wizji. Zawiniątka mogły stanowić własność plemienia lub indywidualną, i wtedy składano je w grobie razem ze zmarłym właścicielem bądź przechodziły z ojca na syna.

[24] Krzew meskitowy (ang. *mesquite*) — roślina strączkowa rosnąca w południo-wschodnich stanach w Ameryce Północnej i w Ameryce Południowej, używana na paszę bydłą.

[25] Juka (*Yucca*) — bylina z rodziny liliowatych, występuje w około 30 gatunkach w południowej części Ameryki Północnej, w Ameryce Środkowej i Południowej. Gatunek *Yucca gloriosa* ma pokrój drzew, liście mieczowate, skórzaste, do jednego metra długie.

[26] Kojot (*Canis latrans*) — amerykański wilk preriowy występujący od Kostaryki aż do 55° szerokości geograficznej północnej. Dorosły kojot osiąga długość do 1,4 m łącznie z czterdziestocentymetrowym ogonem. Pożera wszystko, co tylko pozwoli mu się zjeść. Kojoty mają przemyślny sposób łowów. Podczas polowania na zwierzęta szybciej biegnące od nich rozstawiają się pojedynczo na prerii na całych dziesiątkach kilometrów, niczym do biegu sztafetowego. Gdy jednego zmęczy pościg, zastępuje go następny, czający się w pewnej odległości, potem znów się zmieniają. Potrafią dogonić nawet antylopę widłorogą, słynącą z wielkiej szybkości.

[27] Crow (ang. — kruk) — do sporządzenia tego stroju używano piór ptaków pojawiających się nad polem bitwy. Zazwyczaj pierwsze przylatywały kruki, potem dopiero myszołowy, sroki i orły. Te ostatnie zawsze wyobrażały wojnę i siłę grzmotu.

[28] Dance bustle — robiący wrzawę, szum podczas tańca.

[29] Tak zwani “dog soldiers” – żołnierze-psy – stowarzyszenie wojskowe istniejące wśród Indian z równin. Żołnierze-psy wyróżniali się niezwykłym męstwem i odwagą. Oficerowie nosili długie pasy z materiału lub skóry, posiadające na jednym końcu otwór do przesunięcia przezeń głowy; pas ten zwisał przez plecy aż do ziemi. Na początku bitwy oficer zsiadał z konia, by dowodzić walką, i dzidą przybijał jeden koniec pasa do ziemi. Oznaczało to, że zwycięży tub zginie. Nawet w razie niepomyślnego obrotu walki nie wolno mu było wydobyć dzidy przytrzymującej pas. Mógł to uczynić jedynie ich oficer, co najmniej równy rangą, uderzając go jednocześnie batem po twarzy. Wtedy Indianin mógł się ratować ucieczką bez plamy na honorze.

[30] Pochodzenie konia jest niejasne. Istnieje hipoteza, że przedhistoryczne konie żyły w wielkich stadach w Ameryce, ale wraz z ostatnim okresem lodowym zniknęły z tego kontynentu.

[31] Senora (hiszp.) – pani; seniorita – panna.

[32] Senor (hiszp.) – pan.

[33] *Phrynosoma cornutum* – zwierzątko żyworodne, rodzące w jednym miocie około dwudziestu czterech młodych.

[34] Moloch australijski należy do rodziny jaszczurek; całe ciało ma pokryte kolczastymi wyrostkami skóry, sterczącymi na głowie jak rogi. Zwierzątko leżące w krzakach przypomina do złudzenia kolczastą gałąź.

[35] Zdolność do ochronnego maskowania się zwierzęcia przed wrogiem przez upodabnianie się kształtem, barwą, deseniem do otoczenia nazywamy mimetyzmem, np. podobieństwo patyczaków do uschniętych gałązek, skrzydeł niektórych motyli do liści. Typowym przykładem są kameleony, które mogą w każdej chwili zmienić swą barwę. Odmianą mimetyzmu jest mimikra, to znaczy upodabnianie się, osobników gatunków bezbronnych do gatunków zdolnych do obrony, np. niektórych motyli i muchówek do os, węży niejadowitych do jadowitych.

[36] Opuncja (*Opuntia*) – kaktus o płaskich pędach członowatych, kolczastych; posiada żółte, czerwone lub białe kwiaty; a owoce jego (jadalne) podobne są do fig. Rośnie w Meksyku, Peru i Chile.

[37] Indianie obliczają czas następująco: dni liczbą wieczorów lub przespanych nocy, miesiące jako księżycy, a lata liczbą zim.

[38] Długimi nożami nazywali Indianie kawalerzystów armii USA ze względu na noszone przez nich szable.

[39] W 1869 r. ukończono budowę pierwszej transkontynentalnej linii kolejowej, łączącej wschodnie wybrzeże Oceanu Atlantyckiego z zachodnim Oceanu Spokojnego, zwanej Drogą Żelazną Pacyfiku.

[40] Do Ameryki Środkowej zalicza się: część południowego Meksyku, Gwatemalę, Salwador, Honduras, Nikaragwę, Kostarykę, zachodnią Panamę, Belize oraz wyspy Wielkie

i Małe Antyle.

[41] Kanał Panamski, zbudowany w latach 1903-1914 przez Stany Zjednoczone na szerokim pasie, wydzierzawionym od Republiki Panamskiej. Ma długość ok. 81 km, szerokość ok. 91 m, a głębokość minimalną 14 m. Znajduje się 27 m nad poziomem obydwu oceanów, toteż statki przepływają przezeń dzięki śluzom.

[42] Mali wodzowie— bezpośredni przywódcy mniejszych grup. klanów i stowarzyszeń.

[43] Saksowie i Lisy (Sacs, Foxes) — szczepy Indian znad zachodnich wybrzeży jezior Michigan i Superior — obecny stan Wisconsin.

[44] Peon — w Ameryce Łacińskiej: wyrobnik, bezrolny chłop-robotnik, dawniej dłużnik odrabiający przymusowo długi.

[45] Przedrzeźniacz amerykański (*Minus polyglottus*) zamieszkuje całą strefę podzwrotnikową i umiarkowaną Ameryki z wyjątkiem wyspy Galapagos.

[46] Abraham Lincoln był prezydentem USA w latach 1861-1865. 1 stycznia 1863 r. wydał Proklamację Wyzwolenia głoszącą wolność dla czarnych niewolników.

[47] Rzeka Missouri wypływa z Gór Skalistych: na nizinach łączy się z rzeką Missisipi, biorąc początek z małego jeziora na zachód od Jeziora Górnego, a znajdującą ujście w Zatoce Meksykańskiej. Jeżeli przyjmiemy Missouri za rzekę główną, wówczas Missisipi-Missouri jest najdłuższą rzeką na ziemi (6660 km).

[48] Antylopa widłoroga (*Antilocapra americana*) występowała wyłącznie na równinach wewnętrznych Ameryki Północnej.

[49] Dawni Indianie wielokrotnie wykorzystywali przygotowywane specjalnie pułapki na biony. Świadczą o tym znaleziska białych ludzi. Np. w Kanadzie, nad południową odnogą rzeki Saskatchewan, znaleziono obok urwiska wał wysoki na osiem stop. szeroki na siedem, a na osiemset długi, ułożony przez dawnych Indian z kości bizonów. Te stosy kości, długie na trzysta, czterysta stóp, znaleziono również w okolicy jeziora Duke. Podczas polowania czerwonoskórzy zabijali po kilkaset sztuk bizonów.

[50] Bosman miał słuszność, gdyż domniemany polski odkrywca Ameryki okazał się postacią nie istniejącą.

[51] Park Narodowy obejmuje teren na sto kilometrów długi i osiemdziesiąt szeroki. Puszcze leśne, dzikie góry, liczne wodospady i gejzery tworzą fantastyczny zakątek świata, nietknięty w swej pierwotnej postaci. Nie wolno tam niczego eksploatować, osiedlać się ani polować. Jedynie w niedostępnych miejscach pobudowano drogi.

[52] Rosjanie sprzedali Alaskę Stanom Zjednoczonym w 1867 r. Odkrycie złota nastąpiło w 1896 i już w tyra roku wydobyto go na sumę 10 mln dolarów.

[53] Vaquero (hiszp.) — pastuch bydła.